

Silvana De Mari

# Ostatni elf





Silvana De Mari

# ostatni elf

przełożyła Anna Filip

Tytuł oryginału: L'ultimo elfo

Wydanie I

Warszawa 2008

*Mojemu ojcu, który wskazał mi drogę, mimo że sam zgubił własną.*



księga pierwsza

**ostatni elf**

Deszcz padał już od wielu dni. Błoto sięgało mu do kostek. Jeśli nie przestałoby wreszcie padać, to nawet żaby utopiłyby się w tych moczarach, w które zamienił się świat.

Z pewnością zginąłby też on sam, gdyby nie zdołał sobie szybko znaleźć jakiegoś suchego schronienia.

Świat był zimny. Ciepłe miejsce kojarzyło mu się z kominkiem w domu babci. Ale to było dawno temu. Serce małego elfa ścisnęło się z tęsknoty.

Babcia mawiała, że jeśli wystarczająco mocno czegoś pragniesz, twoje marzenie może stać się rzeczywistością. Sama jednak nie potrafiła już marzyć. Pewnego dnia mama odeszła tam, skąd się nie wraca, i babci nie udało się potem nigdy o niczym zamarzyć. On był na to za mały. A może nie.

Mały elf zamknął na chwilę oczy i zamarzył najmocniej, jak tylko potrafił. Poczul na skórze ciepło palącego się ognia. Poczul, że ma ogrzane stopy. Coś do jedzenia.

Z powrotem otworzył oczy. Wydało mu się, że teraz jego stopy są jeszcze bardziej zmarznięte, a żołądek jeszcze bardziej pusty. Nie zamarzył wystarczająco mocno.

Poprawił mokry kaptur na mokrych włosach. Nosił żółty elfi płaszcz. Grubo tkane płótno było ciężkie, szorstkie i przed niczym go nie chroniło. Woda wlała mu się za kołnierz i zaczęła spływać po plecach, wzdłuż kręgosłupa, aż do spodni. Wszystko, co miał na sobie, było żółte, szorstkie, przemoczone, brudne, zniszczone i zimne.

Może kiedyś będzie nosił ubrania miękkie jak skrzydła wróbli i ciepłe jak puch kaczek, w kolorach morza i wschodzącego słońca. Może kiedyś będzie miał suche stopy.

Może kiedyś odejdzie Cień i ustąpi Lód. Z powrotem zaświeci słońce. Gwiazdy znów rozblyszą na niebie. Może kiedyś.

Marzenie o czymś do jedzenia na nowo wypełniło mu myśli. Przypomniał sobie o podpłomykach babci; serce jeszcze raz ścisnęło mu się ze wzruszenia.

W całym jego życiu babcia zrobiła je tylko raz. Było to w czasie ostatniego święta nowiu, kiedy również elfom rozdano pół worka mąki, kiedy na niebie lśnił jeszcze księżyc.

Oslaniając ręką oczy, mały elf spróbował dostrzec cokolwiek w deszczu.

Zapadał zmrok. Niedługo miało się zrobić całkiem ciemno. Przed nadejściem nocy musiał znaleźć jakieś schronienie. Schronienie i coś do jedzenia. Kolejna noc w błocie i o pustym żołądku, a nie dożyłby poranka.

Wysilając wzrok, zmrużył swoje duże oczy. Jego spojrzenie błędziło wśród zlewających się ze sobą szarości drzew, ziemi i nieba, aż wreszcie zatrzymało się na najciemniejszym dostrzegalnym

kształcie. Serce zabiło mu mocniej. Odżyła nadzieja.

Zmęczone nogi grzęzły po kolana w błocie, lecz mimo to ruszył najszybciej, jak tylko potrafił

w stronę ciemnego punktu, ani na chwilę nie spuszczał go z oczu. Przez moment, podczas gdy deszcz padał coraz gęściej, pomyślał ze strachem, że to tylko kilka ciemniejszych drzew.

Po chwili zdołał jednak rozróżnić ściany i dach. Pośród drzew ukryta była maleńka, opleciona pnączami, drewniano-kamienna konstrukcja.

Kiedyś musiała służyć jako schronienie dla pasterzy i węglarzy.

Babcia miała rację. Jeśli marzysz wystarczająco mocno, wystarczająco długo, jeśli przepełnia cię wiara, twoje marzenie się spełni.

Mały elf znowu zamarzył o ogrzewającym go ogniu. Przez moment zdołał się rozgrzać na samą myśl o ciepłym, pachnącym żywicą i szyszkami dymie. Z rozmyślań wyrwało go nagle wściekłe szczekanie psa. Poczł się niepewnie. To nie było tylko marzenie.

Naprawdę czuł ciepło dymu i zapach palonych w ogniu szyszek. To nie tylko jego wyobraźnia. Zbliżył się do chaty człowieka.

Teraz było już za późno.

Marzenia mogą być czasem zgubne.

Szczekanie psa ogłuszyło go. Mały elf zaczął biec. Może da radę jeszcze uciec. Gdyby pobiegł wystarczająco szybko, udałoby mu się dostatecznie zwiększyć odległość dzielącą go od zwierzęcia. W przeciwnym razie zostanie schwytyany przez ludzi, a wtedy będzie mógł już sobie pomarzyć wyłącznie o spokojnej śmierci z zimna i głodu. Potknął się o korzeń, w którym ugrzęzła mu jedna stopa. Upadł twarzą w błoto. Po chwili miał już na grzbiecie psa.

To był koniec.

Malec nie miał odwagi nawet oddychać.

Upłynęło kilka chwil.

Pies nie pozwalał mu się ruszyć, ale jeszcze nie zatopił w nim zębów. Na szyi czuł jego oddech.

- Zostaw go - powiedział głos.

Brzmiał oschle i władczo. Pies odstąpił od swojej zdobyczy. Mały elf znów mógł oddychać. Spojrzał w górę. Człowiek był bardzo wysoki. Żółtawe włosy, splecione jak gruby sznur,

otaczały mu czubek głowy. Na jego twarzy nie było widać żadnej sierści. A jednak babcia nie miała wątpliwości - ludzie mają na twarzy sierść. Nazywa się to broda i jest to jedna z licznych rzeczy, które odróżniają ich od elfów. Mały skupił się, usiłując coś sobie przypomnieć. Nagle jego twarz się rozpromieniła.

- Ty być człowiek kobieta - stwierdził triumfalnie.

- Mówi się kobieta, głupku - powiedział człowiek.

- Och, ja przepraszać, kobieta głupku, ja bardziej uważać, teraz już dobrze cię nazywać, kobieta głupku - zapewniał gorliwie malec.

Ludzka mowa stanowiła dla niego pewien problem. Znał ją słabo. Tymczasem ludzi zawsze było tak łatwo rozdrażnić, a rozdrażnieni - stawali się okrutni. Co do tego babcia również nie miała wątpliwości.

- Chłopcze, chcesz źle skończyć? - zagroził człowiek.

Mały elf poczuł się niepewnie.

Chociaż babcia zawsze go uprzedzała, że całkowity brak jakiejkolwiek zdolności logicznego myślenia - określany jednym słowem jako „głupota” - jest podstawową cechą odróżniającą rasę ludzką od elfickiej, to niedorzeczność pytania była tak wielka, że całkowicie zbiła go z tropu.

- Nie, ja nie chcę, kobieta głupku - zapewnił mały elf - ja nie chciała źle skończyć, to nie być w moich planach - przekonywał.

- Jeśli jeszcze raz użyjesz słowa „głupku”, poszczuję cię psem. To obelga - wyjaśniła rozżłoszczona kobieta.

- Ach, teraz ja rozumieć - skłamał mały elf, rozpaczliwie starając się pojąć sens wypowiedzi. Dlaczego człowiek chciał, żeby on go obraził?

- Jesteś elfem, prawda?

Malec potwierdził kiwnięciem głowy. Lepiej odzywać się jak najmniej. Zerknął na psa, który odpowiedział na jego niepewne spojrzenie warknięciem.

- Nie lubię elfów - powiedział człowiek.

Malec znowu potakująco skinął głową. Zaczął się trząść. Strach zmieszał się z uczuciem zimna. Żaden człowiek nie lubi elfów. Babcia zawsze to powtarzała.

- Czego chcesz? Po co tu przyszedłeś? - spytała kobieta.

- Zimno.

Głos mu się załamywał. Czuł się zmęczony, zmarznięty i jednocześnie ogarniał go strach. Głos zaczął mu drżeć.

- Chata...

Znów nie mógł mówić.

- Tylko mi nie odstawiaj sceny o umieraniu z zimna. Jesteś elfem, tak? Masz swoje moce. Elfy nie cierpią z powodu zimna czy głodu. Jeśli chcą, mogą w ogóle nie odczuwać ani zimna, ani głodu.

Zrozumienie sensu tych słów zajęło malcowi dłuższą chwilę. Potem się rozpogodził.

- Naprawdę? - spytał rozradowany. - Ja naprawdę umieć robić te rzeczy? A jak się je robić?

- Nie wiem - krzyknęła kobieta - to ty jesteś elfem. My jesteśmy tylko nędznymi, głupimi, zacofanymi ludźmi, stworzonymi do życia wśród zimna i głodu.

Głos człowieka stał się naprawdę nieprzyjemny.

Mały elf poczuł, jak przepelniający go strach podchodzi mu do gardła, w którym już całkowicie zaschło. Rozpłakał się. Właściwie to nie był płacz, a pełne przerażenia zawrodozenie i łkanie. Kobieta wyczuła jego desperację oraz strach i aż przebiegł jej po plecach lodowaty dreszcz.

- Zrobiłam coś złego? - zastanawiała się.

Malec wciąż płakał. Wydawał z siebie rozdzierające dźwięki, które przenikały w głąb duszy, przesywając ją całym bólem świata.

- Jesteś dzieckiem, prawda? - spytała.

- Urodzony niedawno - potwierdził malec. - Panie człowieku - dodał, starając się użyć jakiegoś zwrotu, który nie brzmiałby obraźliwie.

- Masz jakieś moce? - zapytała kobieta. - Powiedz prawdę.

Elf dalej się w nią wpatrywał. Nic z tego, co mówiła, nie miało sensu.

- Moce?

- Wszystko, co potrafisz robić.

- A, to. No, wiele rzeczy. Oddychać, chodzić, patrzeć, ja umieć też biegać, mówić...

jeść, kiedy mieć co jeść.

W jego głosie słychać było tęsknotę i lekką nutkę nadziei.

Kobieta usiadła na progu chaty. Siedziała tak przez chwilę z pochyloną głową. Potem wstała.



- Tak czy inaczej, nie miałabym sumienia zostawić cię tu, na zewnątrz. Możesz wejść i ogrzać się przy ogniu.

W oczach małego elfa malowało się przerażenie. Zaczął się cofać.

- Proszę, panie człowieku, nie...

- A teraz o co ci znowu chodzi?

- Ogień nie, byłem grzeczny. Proszę, człowieku panie, nie jeść mnie.

- Co takiego?

- Nie jeść mnie.

- Zjeść cię? Niby jak?

- Chyba z rozmarynem. Babcia tak mówić, kiedy ona jeszcze żyć. Jak ty nie być grzeczny, przyjsć człowiek i cię zjeść z rozmarynem.

- Tak mówiła o nas twoja babcia? To miło z jej strony!

Słowo „miło” wywołało w małym elfie entuzjazm. Znał to słowo. Miał wrażenie, że porusza się po pewnym gruncie. Rozpogodził się i uśmiechnął.

- Tak, to prawda, tak jest. Babcia mówić: ludzie też kanibale i to być najmilsze, co móc o nich powiedzieć.

Tym razem poszło dobrze. Udało mu się powiedzieć właściwą rzecz. Człowiek się nie rozzłościł. Długo mu się przyglądał, a potem zaczął się śmiać.

- Dziś wieczór mam już co jeść - zapewniła go kobieta. - Możesz wejść.

Powoli, ociągając się, mały elf wszedł do środka. Na zewnątrz i tak umarłby z zimna.

Śmierć za śmierć...

Od palących się w ogniu sosnowych szyszek mocno pachniało żywicą.

Pierwszy raz od wielu dni znalazł się w suchym miejscu. Nad ogniem opieką się najprawdziwsza kolba kukurydzy.

Malec wpatrywał się w nią jak w transie.

Potem zdarzył się cud.

Człowiek wyciągnął nóż, lecz zamiast użyć go do poszatkowania elfa i przyrządzenia sobie z niego potrawki, pokroił kolbę kukurydzy i wręczył malcowi jeden kawałek.

Ale on dalej miał wątpliwości. Może człowiek nie był wcale taki zły, a może chciał go tylko podtuczyć, licząc, że znajdzie się gdzieś trochę rozmarynu. Tak czy inaczej, zjadł kukurydzę. Jadł ziarnko po ziarnku, tak aby trwało to jak najdłużej. Kiedy skończył, była już późna noc. Ogryzł dokładnie kolbę, a potem owinął się swoim szorstkim, wilgotnym płaszczem i zasnął, niczym mały suseł, w pobliżu tańczących płomieni.

Świt wstał tak szary jak wszystkie poprzednie. Cienkie pasma światła przeniknęły przez drewniane ściany chaty, prześwietlając kłębki dymu, które jeszcze unosiły się nad żarem. Mały elf obudził się z dziwnym uczuciem. Zastanawiał się nad nim przez dłuższą chwilę, aż wreszcie zrozumiał: nie było mu zimno, nie był bardzo głodny i nie miał

zmarzniętych stóp. Życie mogło być jednak wspaniałe. I człowiek wcale go nie zjadł. Malec wstał cały rozradowany.

Spał przykryty szalem z prawdziwej wełny. To była gruba szarawa wełna, a właściwie bardziej dziury niż wełna, ale jednak wełna. Człowiek go przykrył.

Oto dlaczego nie miał zlodowaciałych stóp. Zastanowił się, dlaczego człowiek otulił

go szalem. Być może, skoro męczył go kaszel, nie stanowił dla niego już tak smacznego kąska.

Człowiek też już nie spał. Robił coś z żarem. Za pomocą czegoś w rodzaju maleńkiej łopatkę wrzucał go do podziurawionej żelaznej kuli, w której było trochę słomy i spory kawałek wyschniętego drewna.

Cała ta operacja wydała się malcowi działaniem całkowicie pozbawionym sensu, czyli typowo ludzkim.

Nie skomentował jej jednak i tylko oddał szal.

- Możesz go zatrzymać - mruknął człowiek. - W nocy trząseś się z zimna.

Dymiącą żelazną kulę, osłoniętą czymś w rodzaju maleńkiego zadaszania ze zszytych skór, zawiesił na końcu kija i wziął na plecy.

- Idę w kierunku hrabstwa Daligar - powiedział szorstko. - To wysoko, na płaskowyżu.

Mówią, że woda ścieka z gór i że są tam jeszcze pola i uprawy.

Cisza. Mały elf zastanawiał się nad sensem tej informacji. Może była to forma grzeczności i powinien na nią odpowiedzieć, wyjawiając, dokąd się wybierał. Szkoda tylko, że on zmierzał donikąd. Oddalał się jedynie od miejsca, w którym przebywał wcześniej, a które już nie istniało, albo raczej istniało, tyle tylko, że pod dziesiątkami stóp wody, błota i zgniłych liści.

- Co się stało? Kot zjadł ci język?

- Tu nie być kotów, ekscelencjo - powiedział malec. Wreszcie zdołał sobie przypomnieć ludzki zwrot wyrażający szacunek. Jego przesadność wydawała się nieskończenie szalona, ale z szacunkiem lepiej nie żartować. - To się nazywać pies, ekscelencjo... i jeśli on zjeść mój język, teraz być krew na... - zaczął wyjaśniać z powagą i cierpliwością, lecz człowiek mu przerwał.

- Dobrze już, dobrze. Daj temu spokój.

Człowiek spojrzał na niego i, potrząsając równocześnie głową, wziął wyjątkowo długi wdech, a potem wykonał równie wyjątkowo długi wydech. Być może cierpiał na jakąś chorobę, przez którą nie mógł prawidłowo oddychać.

- Może inteligencja i magia pojawią się później. Tak jak zęby mądrości.

- Jak co, wasza wysokość? - spytał malec zaalarmowany słowem „zęby”. Gdyby tylko był pewien, jak brzmiała właściwa formułka grzecznościowa!

- Zęby, tutaj, z tyłu, te, które wyrastają po wszystkich innych.

Pokazała mu je. To był bardzo zły pomysł. Malec znów zaczął płakać.

- Ty powiedzcie ty mnie nie zjeść, wasza królewska mość - jęknął, popłakując.

Człowiek znów wykonał długi wdech i długi wydech. Z pewnością musiał być na coś chory.

- Zgadza się, tak powiedziałam - stwierdził wesoło. - A więc nic już nie da się zrobić, już nie mogę cię zjeść.

Pstryknęła palcami na psa i skierowała się w stronę wyjścia. Małemu elfowi zrobiło się smutno. Jakkolwiek nieprzewidywalny i szalony wydawał się człowiek, jego towarzystwo to zawsze było coś; lepsze niż bycie samemu aż po kres horyzontu. Poza tym może miał

jeszcze trochę kukurydzy. Serce małego elfa znów się ścisnęło. Poczul, jak smutek wypełnia wszystko niczym ciemność, kiedy nadchodzi noc.

Drzwi chaty były wielkie, zrobione ze źle ociosanych i źle połączonych sosnowych desek, miały za to ładne zawiasy z brązu.

- To musi być chata myśliwych lub sprzedawców skór - powiedział człowiek. - Nie zwykłych węglarzy.

Pies, cały szczęśliwy, wybiegł na deszcz.

Człowiek zatrzymał się natomiast w progu i obserwował chatę. Spojrzał w górę, na kamienne dachówki, zachowane w dobrym stanie, i na kawałki drewna wetknięte między kamienie dolnej części chaty po to, aby ograniczyć przeciągi. Były całkiem suche, nie porastała ich pleśń, a w ostrych krawędziach tkwiło pełno drzazg.

- Ta chata nie wygląda na opuszczoną - stwierdził człowiek. - Właściciele mogą wrócić w każdej chwili.

Mały elf zaczął pojmować sens ostatniej wypowiedzi.

- Oni jeść elfy?

- Z pewnością za nimi nie przepadam: na twoim miejscu nie czekałabym tu, żeby ich o to zapytać - powiedział człowiek.

Mały elf wyskoczył na zewnątrz szybciej od psa.

Ruszyli.

- Masz jakieś imię?

- Tak - odpowiedział pewnie malec.

Człowiek znów dziwnie westchnął.

- I jakież byłoby to imię?

Mały elf zaczął sobie powoli przypominać babcine lekcje gramatyki ludzkiej mowy.

- Nie, nie byłoby. „Byłoby” używa się do rzeczy niepewnych, a imię to pewna rzecz.

Każdy być pewien swojego imienia, więc ty powinien zapytać nie jakie byłoby, ekscelencjo, ale jakie być...

- No więc jakie jest to imię? - krzyknęła kobieta. - Dobrze, dobrze, nie będę już więcej krzyczeć, obiecuję. Nie zaczynaj znów płakać. Nie będę krzyczeć ani cię nie zjem. Jak się nazywasz?

- Yorshkrunsquarkljolnerstrink.

- Możesz powtórzyć? - spytał człowiek.

- Tak, oczywiście, ja móc - potwierdził malec, zadowolony. Człowiek znów westchnął. Musiał być chory.

- Powtórz - powiedział.

- Yorshkrunsquarkljolnerstrink.

- Jest od niego jakieś zdrobnienie?

- Oczywiście, że być.

Pauza i kolejne dziwaczne westchnienie człowieka. Konwersacja z ludźmi była prawdziwą udręką. Babcia mówiła mu o tym.

- I jakie jest to zdrobnienie?

- Yorshkrunsquarkljolnerstrink.

- Ależ oczywiście - powiedział człowiek, który nagle wydał się bardzo zmęczony.

Bez wątpienia musiał być chory.

- Będę cię nazywać Yorsh - stwierdził.

Znów potrząsnął głową.

- Prawdopodobnie musiałam zrobić coś strasznego w moim poprzednim życiu i teraz za to płacę - mruknął.

To przynajmniej miało jakiś sens. Oto dlaczego człowiek był taki głupi i szalony: zadał mu aż osiem pytań tylko po to, aby dowiedzieć się, jak ma na imię. A jednak samotna wędrówka po tej zatopionej krainie była naprawdę zbyt straszna. Poza tym wełniany szal, jeszcze zanim przemókł, trochę go ogrzewał.

- Ja nazywam się Sajra - powiedziała kobieta.

Yorsh pospieszył za nią, zadowolony z tej prezentacji.

- A pies jak ma na imię? - zapytał.

- Nie ma imienia - odparła kobieta. - Nazywa się pies i koniec. To krótka nazwa i nie musiałam nad nią długo myśleć.

Malcowi wydało się strasznie smutne to, że jakieś stworzenie nie posiada własnego imienia i określane jest za pomocą nazwy bardzo ogólnej, jak drzewo lub krzesło, lecz znając już skłonność kobiety do nieprzewidywalnych ataków gniewu, postanowił zatrzymać swoje uwagi dla siebie.

On w każdym razie nie pozostawi tego stworzenia bezimiennym. Nada mu imię w myślach. Musi tylko być bardzo ostrożny: imienia nie wybiera się przypadkowo. Imię to imię.

To duża odpowiedzialność.

Deszcz ciągle jeszcze padał.

Szli powoli z powodu błota.

Kobieta miała dłuższe nogi niż on. Yorshkrunsquarkljolnerstrink musiał biec, aby za nią nadążyć, a jego zmęczenie było ogromne. Psa nie bał się już prawie wcale, kilka razy odważył się go nawet dotknąć, żeby się na nim oprzeć. Pies nie protestował.

- Ty mieć jeszcze to coś z żółtymi ziarnami? - spytał nieśmiało malec.

- Mam jeszcze jedną kolbę, ale chciałam ją zachować na wieczór.

- Jeśli my umrzeć w błocie przed dzisiejszym wieczorem, to kto zjeść kolbę?

- Jesteś głodny już teraz?

- Tak. Ja być gło... nie, ja jestem głodny teraz.

- Dobrze, szybko pojmujesz. A więc pojmy i to: jeśli zjemy kukurydzę teraz, to dziś wieczór nie będziemy mieć nic do jedzenia, a to będzie straszne.

- Może do wieczora nie będzie już świata. Może do wieczora nie będzie już nas -

powiedział malec. Może do wieczora nie będzie już mnie - dodał w myślach.

- Cicho bądź i maszeruj. Oszczędzaj oddech na maszerowanie.

- Ja móc, nie, ja może... mmm, nie, ja mogę robić dwie rzeczy naraz, maszerować i rozmawiać o kukurydzy. Właściwie to nawet mniejszy wysiłek, jeśli my rozmawiać.

- Cicho - powiedziała kobieta. Miała zmieniony ton głosu.

- Ale...

- Cicho - syknęła.

Uklękała tuż obok małego elfa, chciała być niższa, mniej widoczna. Pies warknął.

Kobieta wciąż spoglądała badawczo w stronę zarośli i bagien po obu stronach ścieżki.

- Dobrze, my jeść dopiero wieczór, ty nie złościć...

- Biegnij - krzyknęła kobieta.

Podniosła się i sama też zaczęła biec, chwyciwszy malca za ramię.

- Tutaj - krzyknęła na psa, który również puścił się pędem za nimi. Mały elf upadł, podniósł się, potem znów upadł. Wreszcie zaczął płakać.

- Nie złościć, nie złościć, my jeść dopiero wieczór.

- Idą za nami - wyjaśniła kobieta, łapiąc resztki tchu i wciąż nie przestając biec. -

Widzisz to wzgórze, tam, w dole? Ja mam dłuższe nogi. Pobiegnę dołem i zwabię ich za sobą.

Ty przejdź między krzakami jeżyn i ocal ogień. Masz. Spotkamy się na wzgórzu.

Kobieta wręczyła mu kij z żelazną kulą i pobiegła. Uciekając, łamała gałęzie i wydawała chrapliwe odgłosy. Mały elf ukrył się wśród krzaków jeżyn i pozostał tam, czekając, aż jego serce się uspokoi.

Zastanawiał się, kto ich ścigał. Właściciele chaty, w której spędzili noc? Może rozzłościł się wtargnięciem na teren ich własności. Może mieli rozmaryn i do przyrządzenia posiłku brakowało im

tylko małego elfa.

Strach ścisnął mu żołądek.

W drobnym deszczu dokładnie przyjrzał się krzakom, ale nikogo w nich nie wypatrzył.

Lęk zaczął go powoli opuszczać, aż wreszcie ustąpił miejsca smutkowi.

Znów był sam. Znów, aż po kres horyzontu, był tylko on sam.

Pomyślał o babci, która trzymała go w ramionach, podczas gdy w kociołku gotowały się kasztany.

Przepelniający go smutek stopniowo przeradzał się w rozpacz.

Pomyślał o człowieku kobiecie, który napełniał go wprawdzie strachem, ale jednak dał

mu kukurydzy, a to już było coś. Coś lepszego niż być znów zdanym na siebie samego. Być zupełnie samym. Zaczął się żalić od nowa, po cichutku, nie robiąc hałasu, tylko w swojej głowie, nie zagłuszając lekkiego plusku padającego deszczu.

Pomyślał, że jeśli zobaczyłby jeszcze kiedykolwiek psa, mógłby go nazwać „Ten, który oddycha blisko ciebie”, ale przecież kobieta powiedziała, że do psa pasuje krótkie imię, a to wcale takie nie było.



Kiedy kobieta dotarła na wzgórze, zapadał już zmrok. Małemu elfowi aż urosło serce z radości. Kobieta nie mogła złapać tchu. Bezwolnie upadła w błoto.

Pies był razem z nią.

- To myśliwy - rzekła, z trudem łapiąc oddech. - Miał łuk. Widziałam. Udało mi się wywieść go w pole.

- Ooooooooooooooch - powiedział malec, wyraźnie pod wrażeniem jej słów - to znaczy, że potem wyrosnie z niego zboże?

- Ależ nie - odparła kobieta z irytacją. - To tylko znaczy, że go zgubiłam.

- Aaaaaaaaach! Zrozumiałem - skłamał. Dlaczego zawiła ludzka mowa przewidywała więcej niż jedno znaczenie dla tego samego słowa? No tak! Głupota! Musiał o niej pamiętać.

- Co to jest łuk? - spytał znowu.

Pies znów zaczął warczeć.

- Przytrzymaj psa - powiedział głos.

Mały elf zrozumiał, czym jest łuk: wygiętym kijem, do którego końców przywiązana była lina napięta wystarczająco mocno, aby móc z niej wystrzelić patyk z żelaznym ostrzem, wycelowany w serce kobiety.

Myśliwy był jeszcze wyższy niż ona, miał ciemne potargane włosy, które w nieładzie okalały mu twarz i, w przeciwieństwie do kobiety, z całą pewnością miał brodę. Jego ubranie wyglądało na ciepłe, cieplejsze niż płócienne, a przy pasie miał przypiętą okazałą kolekcję sztyletów oraz topór. Wyrósł nagle zza pleców elfa. Kobieta wierzyła, że zdołała wywieść go w pole, on tymczasem zaszedł ich od tyłu, od strony lasu.

Mężczyzna i kobieta przyglądali się sobie przez chwilę, a potem ona przywołała psa.

Myśliwy opuścił łuk.

- Chcę tylko trochę ognia. Mój zgasł. Chcę jedynie z powrotem rozpalić ogień.

Widziałem, że ty go masz.

Kobieta spojrzała na niego badawczo.

- Nic więcej?

- Nic więcej.

Jeszcze raz wymienili spojrzenia, potem kobieta skinęła potakująco głową.

- Daj mu ogień - powiedziała. - Hej, do ciebie mówię - dodała, patrząc na małego elfa.

- Daj mu ogień. Gdzie go podziałeś?

- Ukryłem go tam, w dole - odparł malec.

- Naprawdę? - spytała kobieta. - Cóż, dobry pomysł. A dokładnie gdzie go ukryłeś?

- W bagnie, pod wodą, tam nikt go nie może zobaczyć - powiedział malec, rozradowany.

Tak wspaniale było zostać za coś pochwalonym. Przypomniawszy sobie, jak to babcia trzymała go na rękach i mówiła mu, że jest najdzielniejszym małym elfem na całym świecie.

Nagle przepełniła go radość, taka sama jak ta, którą odczuwał, kiedy jeszcze wiosenny wiatr rozganiał chmury na niebie; kiedy jeszcze istniała wiosna.

Rozweselony, potruchtał ze wzgórza na dół. Deszcz przestał padać. Niewyraźny pas bladego błękitu pojawił się między chmurami i odbił się w tafli wody, nad którą pochylił się malec, aby triumfalnie wyciągnąć kij z żelazną kulą. Z jej środka wyciekły cienkie strugi wody.

Mężczyzna i kobieta, którzy przyszedli za nim, przyglądali mu się w milczeniu. Kobieta usiadła na jednym z pniaków i podparła głowę rękami.

- Zgasileś go - odezwała się zdławionym głosem.

- Tak, oczywiście, tak łatwiej go ukryć!

Wykonał rękoma gest naśladujący czynność ukrywania. Szal zsunął się, odsłaniając jego żółte ubranie.

- To elf - powiedział osłupiały myśliwy.

- Tak, rzeczywiście, to elf - potwierdziła kobieta bezbarwnym głosem.

- Szukasz kłopotów? - spytał mężczyzna.

- Nie, to one znajdują mnie.

- Ma jakieś moce?

- Nie, to jakby dziecko.

- Urodzony niedawno - potwierdził malec.

Mężczyzna nie miał zamiaru ustępować. Zwrócił się do niego.

- Umiesz rozpalić ogień?

- Taaaaak, myślę, że tak. Nigdy tego nie robiłem, ale każdy potrafi rozpalić ogień.

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na niego zaskoczona.

- A więc rozpal go - zażądał myśliwy.

Jego głos był bardziej głęboki niż głos kobiety.

Malec położył dłoń na suchej żelaznej kuli, którą wyciągnął ze swojej torby mężczyzna. W środku była słoma. Zamknął oczy. Obraz ognia wypełnił jego myśli, a zapach

- nozdrza. Ciepło ognia powróciło w jego wspomnieniach.

Kiedy z powrotem otworzył oczy, ogień rozświetlał żelazną kulę.

Kobieta zaniemówiła z wrażenia.

- Umiesz rozpalić ogień bez podpałki?

- Taaaaaaak.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Ty nie zapytywać.

- Spytałam cię, czy masz jakieś moce!

- Tak. Ja odpowiedzieć, wymienić wielkie moce: oddychać, jeść, żyć. Ogień rozpalić to mała moc. Wystarczy podnieść temperaturę i rodzi się ogień. Wszyscy umieć to robić.

- Ja nie - odparła kobieta.

- Niiieee? - malec był zdumiony. - Niemożliwe. Wszyscy umieć...

- Więc skoro potrafimy rozpalić ogień, to po co nosimy ze sobą podpałkę?

- Bo jesteście ludźmi - wyjaśnił pogodnie malec. - Wy jesteście głupi.

- Pokutujesz za poprzednie życie czy jest może jakiś inny powód, dla którego ciągniesz ze sobą elfa?  
- Mężczyzna wydawał się coraz bardziej zdezorientowany. - Pomijając już radość płynącą z takiego towarzystwa, to w pierwszej napotkanej wiosce ładnie was oboje urządzi. Ludziom nie podobają się tacy, co rozpalają ogień myślami.

- Dlaczego nie? Tak być wygodniej niż nosić kulę z ogniem w środku.

- Mógłbyś spalić człowieka albo dom. Dom z kimś w środku, z dwiema albo z piętnastoma osobami.

Myśl była tak okrutna, że mały elf zamknął oczy i jęknął z bólu. W swojej głowie zobaczył spalone ciała, a nawet poczuł ich woń. Ogarnęło go przerażenie. Zaczął

wymiotować. Kiedy udało mu się wreszcie przestać, popłakał się. Tym razem nie była to jednak zwykła seria skowytów i popiskiwań, ale długi płacz, pełen przeraźliwych jęków i rozdzierających zawodzeń.

- Każ mu przestać - wrzasnął mężczyzna. - Każ mu przestać. To nie do wytrzymania!

- Widzisz, co narobiłeś? - krzyknęła kobieta. - Proszę cię, mały, już wszystko dobrze, nic się nie stało. On tak tylko sobie powiedział.

- Tak tylko sobie powiedzcie? - Malec był oburzony. Słowa kobiety jednak pomogły.

Przestał płakać. - Tak tylko sobie powiedzcie. Jak śmieć, jak móc, jak móc śmieć powiedzcie tak bolesną rzecz jedynie po to, żeby tak tylko sobie powiedzcie.

Znów zaczął płakać. Tym razem była to zwykła seria przejmujących skowytów.

Mężczyzna usiadł na pniaku. On także musiał być chory, bo, tak samo jak kobieta, co parę chwil wydawał z siebie te długie westchnienia. Niebo wciąż się przejaśniało. Po raz pierwszy od wielu tygodni zaczęły pojawiać się na nim gwiazdy.

- Mam królika - oznajmił mężczyzna. - Upolowałem go dziś rano. Wy daliście mi ogień, ja mam królika i przestało padać. Rozbijemy tu obóz i coś zjemy. Ja nazywam się Monser.

Na moment zapadła cisza, ale był to tylko krótki moment.

- Sajra - powiedziała kobieta.

Malec także przestał się żalić i przedstawił się.

- Jest przeziębiony? - spytał mężczyzna.

- Nie, to nie było kichnięcie; to jest jego imię.

- Czy klólik też ma ziarna jak kolby kukurydzy? - spytał malec, który ożywił się na dźwięk słowa „jeść”.

Mężczyzna zaczął się śmiać.

- Nie - odpowiedział. - Królik ma piękne futerko, którym można sobie potem ogrzewać stopy, spójrz! - otworzył torbę, tak aby malec mógł do niej zajrzeć.

Yorsh położył dłonie na brzegach myśliwskiej torby i, szczęśliwy, zajrzał do środka.

Idea czegoś, co jednocześnie zapełniało żołądek i ogrzewało stopy, była rodem z raju: nawet babcia,

która wiedziała wszystko, nie mówiła mu nigdy o takim cudzie. Może ludzie wcale nie byli tacy... Długi krzyk rozbrzmiał nad całym bagnem.

Długi, przejmujący krzyk, zawierający w sobie cały ból świata.

- To trup - krzyknął mały elf. - Zobacz: trafił go patykiem z ostrzem na końcu. I teraz nie żyje. Chcecie zjeść trupa?

- A wy jecie króliki żywe? - Mężczyzna był zirytowany.

- Elfy nie jedzą niczego, co myślało, biegało, było głodne lub bało się śmierci. Babcia mówiła, że ludzie jedzą tych, którzy byli żywi. Z rozmarynem. Jest tu gdzieś rozmaryn? Ja nie chcę zostać zjedzony. - Malec znów wydobywał z siebie płaczliwe, rozdzierające piski.

Kobieta podparła głowę rękami.

- A dokładnie to jaką, aż tak straszną zbrodnię popełniłaś w swoim poprzednim życiu?

Sprzedawałaś własną matkę? - zapytał mężczyzna.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz. Dziękujemy za twojego królika. Nie skorzystamy z propozycji. Masz z powrotem swój ogień, a teraz żegnaj.

- Chyba nie chcesz zrezygnować z kawałka królika z powodu tego tu? - powiedział

mężczyzna, wskazując ruchem głowy na małego elfa.

- Wiem, to szaleństwo, ale nie zniosę jego płaczu. Proszę cię, odejź.

- Nie mogę tak po prostu sobie iść - odparł niepewnie mężczyzna.

- Dlaczego?

- Nie mogę tak zostawić młodej kobiety na środku bagien. Gdybyś była sama, to już byłoby wystarczająco niebezpieczne, a ty na dodatek masz ze sobą to - ten sam ruch głowy wskazujący na malca.

- Bardzo ci dziękuję, mój szlachetny panie, ale do tej pory sama dawałam sobie radę.

Nie potrzebuję pomocy. Zabierz sobie swojego...

- Zaraz, zaraz, co on wyprawia?

Kobieta odwróciła się, aby sprawdzić. Malec trzymał królika w ramionach i powoli go głaskał. Jego palce zatrzymywały się tam, gdzie futerko było przesiąknięte krwią. Miał

zamknięte oczy i rozmarzony wyraz twarzy. Przestał płakać.

- Co robisz?- spytała go kobieta.

- Myślę.

- Myślisz? A o czym?

- O nim, o króliku.

- *Króliku.*

- Króliku. Myślałem o tym, jak oddychał, jak biegał. On... tak, on czuł zapachy, kręcąc swoim nosem. Ostatnim zapachem, jaki poczuł, był zapach mokrych liści i grzybów. Nie wyczuł myśliwego. Czuł tylko zapach mokrej trawy i grzybów, tak, tylko ten ładny zapach...

Myślę o tym, jak oddychał... O krwi, która w nim płynęła...

Królik drgnął, otworzył oczy. Z szeroko otwartymi i pełnymi przerażenia oczami zaczerpnął parę razy powietrza, potem się otrząsnął, rzucił na ziemię i zaczął biec. Ominął

stopy myśliwego, przebiegł między łapami psa, przeskoczył pień, na którym siedziała kobieta, a następnie, po ostatnim gwałtownym uskoku, zniknął na zawsze w zaroślach.

Mały elf zastanowił się, czy „Królik” to dobre imię dla psa. Może jednak nie: zwierzęta były wprawdzie do siebie trochę podobne, ale kształty ich ogonów całkiem się różniły.

Mężczyzna i kobieta długo wpatrywali się w punkt, w którym zniknął biały ogon królika. Mały elf sprawiał wrażenie wyczerpanego. Leżał skulony na ziemi i drżał, ale po chwili zaczął powoli wracać do siebie. Pies położył się obok niego, a malec go objął.

Zrobiło się zupełnie ciemno.

Gwiazdy rozbłysły na niebie i odbijały się w mokradłach, tworząc na powierzchni wody drugi firmament, nierówny i przerywany kępami krzewów.

To była pierwsza pogodna noc od niepamiętnych czasów.

- Czy oprócz matki sprzedałaś też któregoś ze swoich młodszych braci? - spytał

mężczyzna.

Kobieta, zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do elfa:

- Potrafisz zrobić to samo z ludźmi?

- Ludźmi, elfami albo trollami? Oczywiście, że nie. To można robić tylko z małymi stworzeniami, które mają w głowach mało rzeczy: zapach wody, kolor nieba. Najprostsze jest ożywienie much, komarów i muszek, wystarczy lekko je dotknąć i pomarzyć przez chwilę o tym, że się lata, a one

zaczynają z powrotem brzęczeć.

- Naprawdę? - spytał mężczyzna. - To wspaniale! Latem bardzo cenne jest towarzystwo kogoś, kto ożywia komary. Przywracasz do życia komary, wskrzeszasz moją kolację, którą choć raz udało mi się złapać: jesteś marzeniem mojego życia. Jak ja mogłem do tej pory bez ciebie żyć?

- Umiesz robić inne rzeczy? - zapytała kobieta. - Nie wiem... na przykład pomnożyć kolby kukurydzy? Mamy jedną. Możesz zrobić z niej trzy? Albo pięć?

Byli kompletnie głupi. Mały elf wydawał się zniechęcony.

- Ależ oczywiście, że nie, przecież nie da się pomnożyć materii.

- Ale da się ożywić martwego królika?

- To da się zrobić. Stworzenie umiera, kiedy traci swoją energię...

- Swoją co?

- Swoją siłę. Ogień też gaśnie, kiedy traci swoją siłę. Ożywić stworzenie to jak rozpalić na nowo ogień. To tylko małe przeniesienie energii, ze środka mojej głowy poza moją głowę.

Myśliwy zwrócił się do kobiety.

- Chodź stąd - powiedział jej. - Chodź stąd, on jest niebezpieczny. Zostaw go tu i chodź.

- Nie mogę. To jest... tak, to jeszcze dziecko.

- Szczeniak - poprawił ją mężczyzna.

- Urodzony niedawno - sprecyzował malec.

Zapadła cisza. Kobieta potrząsnęła głową.

- Dobrze, moi państwo - odezwał się mężczyzna. - Było mi niezmiernie miło was poznać, powiedziałbym nawet, że naprawdę świetnie się bawiłem. Nie chciałbym, aby cała ta radość mi zaszkodziła, dlatego powrócę teraz do bycia strasznym myśliwym, który rozgniata dla przyjemności komary, żyje jakoś, jedząc króliki i utrzymuje się ze sprzedaży ich skór.

Mam nadzieję, że jeśli nasze drogi znowu się zejdą, zdążę uciec, zanim mnie zobaczycie.

Mały elf sprawiał wrażenie bardzo zainteresowanego tym odkryciem.

- Ojej, naprawdę? To radość szkodzi ludziom? Więc to dlatego tak bardzo staracie się być nieszczęśliwi! To nie tylko dlatego, że jesteście głupi!

- Nie - odparł myśliwy. - Na ogół ludzie starają się być szczęśliwi. To, co powiedziałem, to była

„ironia”. Odchodzę, bo w waszym towarzystwie nie mogę być szczęśliwy; nie mogę nawet zjeść mojego królika. Tylko, że zamiast powiedzieć jedną rzecz, powiedziałem inną; jej przeciwieństwo. Ludzie czasami tak robią. Zrozumiałeś?

- Tak, oczywiście - skłamał malec.

Byli po prostu głupi. Szaleni i głupi. Bez jakiejkolwiek nadziei na poprawę.

- Zaczekaj - rzekła kobieta. - Dam ci moją kukurydzę. Przez nas straciłeś swojego królika.

Wyciągnęła z torby ostatnią kolbę kukurydzy i dała mu ją. Malec zobaczył, jak żółte ziarna zmieniają właściciela. Jego oczy straciły swój blask, a na twarzy odmalowały się smutek i przygnębienie, lecz nie odważył się pisnąć ani słowa.

- To jedyna kolba, jaką posiadasz?

- Tak - odpowiedziała kobieta.

Ona również miała wyraz twarzy kogoś, kto przed chwilą pochował matkę. Matkę i młodszych braci.

Myśliwy zastanawiał się nad czymś przez chwilę, potem odpiął od przełożonego przez ramię pasa kołczan oraz łuk i usiadł na jedynym na całym wzgórzu płaskim kamieniu.

- Cóż, królika i tak już nie ma. Zostanę tu na dzisiejszą noc i podzielimy kolbę na kawałki - po jednym dla każdego.

Niebo znowu się zachmurzyło, ale nie zaczęło padać. Rozsiedli się na suchym kamieniu. Kiedy kolba kukurydzy się upiekła, myśliwy przeciął ją na trzy części, które zjedli powoli, ziarnko po ziarnku. Potem malec usnął niczym mały suseł. Przed zaśnięciem pomyślał przez chwilę nad imieniem dla psa. „Ten, który biegnie przez wiatr” wydało mu się ładne, ale nie był pewien, czy tak długie imię zostałoby zaakceptowane. Kiedy już zasnął, myśliwy przykrył go swoim futrzanym okryciem, tak aby było mu pod nim ciepło.

Naciągnął mu kaftan aż po sam czubek głowy, nakrywając nim jego oczy, uszy i nos.

Następnie wziął do ręki mniejszą torbę, którą trzymał pod kołczanem, i wyciągnął z niej przepiórkę. Ukradkiem i po cichu oskubali ją z piór. Kobieta pomagała mu w tym, jak tylko umiała. Ułożyli ptaka nad ogniem. Na szczęście dym nie leciał w tę stronę, gdzie spał mały elf. Kiedy ptak był już upieczony, czy przynajmniej na tyle mało surowy, że nadawał się do jedzenia, zjedli go. Zrobili to w pośpiechu; w pośpiechu i w ciszy, niczym para złodziei, nieustannie obrzucając zatroskanym spojrzeniem futrzane zawiniątko ze śpiącym elfem w środku. Kiedy skończyli, dali kosteczki psu, który połknął je, cały szczęśliwy, po czym dokładnie pozbierali wszystkie piórka i myśliwy oddalił się, aby wykopać w ziemi maleńki dołek, w którym je zagrzebał.

Potem wreszcie zasnęli.



Świt wstał nieco mniej szary niż zazwyczaj. Nie padało, a na niebie widać było niewielki skrawek bladego błękitu. Pierwszy obudził się mężczyzna. Przeciągnął się, wziął

głęboki wdech i pomyślał, że powietrze ma ładny zapach. Zapach mokrych liści i grzybów.

Ładny zapach. Spojrzał na kobietę i małego elfa, którzy wciąż spali. Pozbierał swoje rzeczy, wziął je na plecy razem z kijem, na którym niósł podpałkę, zabrał futrzany kaftan, którym owinał elfa, i odszedł. Schodząc ze wzgórza, obejrzał się i jeszcze raz na nich popatrzył, na kobietę i na małego elfa - dwa zawiniątka śpiące przy tym, co pozostało z ognia. Mały elf zadrżał z zimna. Było to widać nawet z takiej odległości. Mężczyzna wrócił i z powrotem okrył malca kaftanem, a potem podsycił ogień. Wreszcie znów ruszył przed siebie. W

połowie drogi jeszcze raz się obejrzał i popatrzył na dwie postacie przy ogniu. Uszedł pół mili i znów się odwrócił. Blask płomieni mieszał się z blaskiem wschodzącego słońca, które po raz pierwszy od wielu miesięcy na kilka chwil pojawiło się na horyzoncie. Nawet z tej odległości było ich jeszcze widać. Mężczyzna długo się im przyglądał, po czym powoli, krok za krokiem, wrócił na miejsce.

Usiadł na kamieniu i czekał.

Pierwszy obudził się elf.

Jego przeraźliwy krzyk znów rozległ się nad bagnem. Także tym razem przepełniony był całym bólem świata.

Malec krzyknął na widok tej strasznej, zrobionej ze skór trupów szmatki, którą był

przykryty. Krzyk rozbrzmiewał długo ponad bagnem, a później rozproszył się pośród innych krzyków, które przeplatały się z echem tych poprzednich, podczas gdy słońce pojawiała się i zniknęło, potem pojawiała się znowu, i tak na zmianę, dopóki nie zaczęło wreszcie z powrotem padać.

Ruszyli w drogę. Jedno z piórek zjedzonej przepiórki wzbilo się w powietrze i - po zapachu, a może po myślach, które wywoływało, tego nie było do końca wiadomo - zostało przez malca natychmiast zidentyfikowane jako pióro zgubione przez nieżywą już przepiórkę, co wywołało długą serię rozziewających zawodzeń.

Pogrążony w przygnębieniu, malec nie zauważył wystającego korzenia i potknął się o niego. Wyniknęło z tego ciche popłakiwanie, które trwało aż do południa. Wtedy to myśliwy zagroził mu, że jeśli nie przestanie, to jego też nadzieje na mały rożen, co wywołało z kolei serię pełnych przerażenia popiskiwań, ciągnących się do samego wieczora.

Zaczynało się już ściemniać, kiedy mały elf zorientował się, że odczuwa dotkliwy głód. Był to taki rodzaj głodu, który rodził się w brzuchu i docierał aż do głowy, przechodząc jednocześnie przez zimne stopy i, jakimś sposobem, również przez lodowate uszy. Uraczył

pozostałych szczegółowym opisem tego, co czuł w środku, nie potrafiąc ustalić, czy była to po prostu pustka, brak czy też prawdziwie negatywna esencja.

Następnie rozmowa zeszła na temat cierpienia w ogóle, jako że również w tym wypadku nie było do końca jasne, czy jest to niezależna od niczego negatywna esencja, czy po prostu brak radości lub, dokładniej mówiąc, tylko samego zdrowia, bo właściwie to... Nie, brak zdrowia jest na ogół większym cierpieniem niż zwykły brak radości, który może nawet być stałą czy wręcz prawie normalną sytuacją. Na ogół. A tymczasem, tak a propos cierpienia jako esencji od niczego niezależnej, czy opowiadał im już, jak wbił sobie kiedyś drzazgę pod paznokieć dużego palca u prawej stopy? A może tego u lewej? Nie, jednak u prawej. Tak, tak, teraz, kiedy dobrze się nad tym zastanowił, był już pewien. A więc wbił sobie tam kolec i babcia musiała mu go wyjąć igłą. IGŁĄ. DO tej pory na samą myśl o tym robiło mu się słabo.

To było straszne. STRASZNE. A wspominał już o tym, jak się wywrócił i rozciął sobie łokieć? Z rany poląła mu się krew. Była wszędzie. Straszna rzecz. STRASZNA. Na lewym łokciu. Za to paznokieć był u prawego palucha. Tak, teraz nie miał wątpliwości. Została mu nawet blizna. To znaczy na łokciu. A może chcieliby zobaczyć? Bliznę. Nie? Na pewno nie?

Wreszcie, podczas gdy malec rozprawiał o trzecim razie, kiedy dostał kataru, i o tym, ile śluzu, jakiego koloru i jak gęstego wyciekało mu z nosa na różnych etapach rozwoju choroby, natknęli się na dwa zielone krzaki, które zarówno kobieta, jak i mężczyzna rozpoznali jako krzaki rozmarynu. Od tego momentu, po raz pierwszy odkąd wstał świt, mały elf wreszcie ucichł.

Kiedy przechodzili przez położony na zboczu wzgórza las kasztanów i modrzewi, nagle z za zakrętu wyłoniło się miasto Daligar. Położone było w głębi małej doliny, po obu brzegach małej wylewającej rzeki. Sprawiało wrażenie miejsca jak z bajki. Było w nim mnóstwo domów i we wszystkich oknach paliły się światła, oświetlając zaostrome szpice drewnianych pali, które ochraniały zewnętrzne mury miasta. Wszystkie rozświetlone okna odbijały się w ciemnej wodzie, a jakby tego było jeszcze mało, światło biło także od płomieni palących się na każdej z wież przedzielających mury obronne, na których znajdowali się łucznicy. Na murach rozmieszczone były kolejne pochodnie, jedna co sześć kroków, a przy każdej para halabardników. Wszystkie te światła odbijały się w wodzie wypełniającej fosę.

Zwodzony most był podniesiony i, tak samo jak mury i wieże, wyposażony w spiczaste pale skierowane ostrzami na zewnątrz, przez co całe miasto przypominało z wyglądu olbrzymiego jeżozwierza.

Myśliwy przystanął, aby się temu wszystkiemu przyjrzeć.

- Nie wydają się przyjaźnie nastawieni - skomentował.

- A właśnie, że tak! - zaprotestował malec. - Ludzie zapalają światła, kiedy oczekują przyjaciół. Poza tym, tam gdzie jest tyle świec, na pewno są też kolby kukurydzy. Tam musi być wspaniale. Na pewno mają stoły zastawione kukurydzą, kasztanami i świecami! I może mają też talerze. Może nawet prawdziwe łóżko. I duże kominki. Pójdziemy tam?

- Nie, teraz pójdziemy spać, a jutro wymkniemy się szybko, omijając to miejsce szerokim łukiem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że są zamknięci za tym przyjaźnie wyglądającym, oświetlonym jak na przyjęciu urodzinowym mostem zwodzonym niczym małże w swoich muszlach. Dlatego, że to miasto wygląda na jedno z owych miejsc, do których trudno się dostać, a z których jeszcze trudniej się wydostać.

- Co to jest muszla?

- Coś, co znajduje się w morzu, w wodzie, po drugiej stronie mrocznych gór.

- Do jedzenia?

- Nie, skądże! - odparł myśliwy, udając oburzenie. - Muszle są żywe, rodzą się, umierają, myślą, a nawet potrafią pisać całkiem niezłe wiersze. Wracając do tematu to, pomijając już most zwodzony i palisadę, ty jesteś elfem, a elfy mogą przebywać tylko w Obozie dla Elfów, którym to miasto nie jest. Jeśli zjawimy się w nim razem z tobą, zawiśniemy na jednej z ich baszt jeszcze przed świtem. O tym, jaki koniec spotka ciebie, wolę nawet nie myśleć. Tacy jak ty, którzy dają się przyłapać poza Obozem dla Elfów, źle kończą, wiesz o tym? Naprawdę źle.

Położyli swoje rzeczy na ziemi, a potem zaczęli zbierać drewno i szyszki na ognisko.

Myśliwy ściał dwie duże gałęzie i oparł je o siebie, tak aby tworzyły małą chatkę, coś w rodzaju krytego legowiska, w którym mogliby się schronić na noc. Kobieta poszukała mchu, paproci i suchej trawy na wyściółkę, żeby mogli spać na miękkim podłożu.

- Tak przy okazji - zaczęła kobieta. - Elfów już od niepamiętnych czasów żyją w Obozach dla Elfów, w których zostały umieszczone. Wydaje mi się, że tym, którzy je opuszczają, grożą wcale niewesołe konsekwencje. A więc co ty tutaj robisz, wędrując sobie po świecie?

- Obóz dla Elfów, w którym mieszkałem, został zatopiony - odpowiedział malec.

Na wspomnienie o tym ścisnęło mu się serce. Na jego twarzy znów malowała się rozpacz, oczy zgasły ze smutku, nabierając nieokreślonego, szarawego koloru, a ich błękit rozmył się niczym kolor nieba odbijającego się w szarej kałuży.

- Zatopiony? Wszędzie była woda?

- Tak, wszystko było pod wodą; a potem babcia powiedziała mi, że mam sobie iść.

- Iść dokąd?

- Nie wiem. Po prostu iść.

- A twoja babcia nie mogła czegoś wyczarować? Sama nie wiem... nie mogła na przykład podgrzać wody, tak żeby zniknęła, tak samo jak w lecie znikają kałuże, albo coś takiego?

- Tak można zrobić z małą wodą. Z miseczką wody. Ale nie wtedy, gdy wody wystarcza, żeby zatopić cały świat. Oprócz tego to było po tym, jak mama odeszła w miejsce, z którego już się nie wraca. Dla mnie to była moja mama, a dla babci jej córka. I babcia już więcej nie czarowała. Kiedy ktoś jest zbyt smutny, magia topi się w smutku tak samo jak ludzie w wodzie. Mimo to babcia wiedziała, jak się czaruje. Jeśli myślisz o rzeczach wystarczająco mocno, to stają się one prawdziwe. Lecz jeśli masz w sobie smutek, wszystko to, co wychodzi z twojej głowy, także jest smutkiem. Jak jesteś smutny, to nie rozpalisz nawet ognia. My mieliśmy ogień tylko dlatego, że od zawsze był w kominku. Gdyby zgasł, zostalibyśmy bez niego, bo babcia nie miała już siły czarować, a ja byłem na to za mały.

Potem przyszła woda i zgasł nawet ten ogień, który palił się w kominku. Później wody było coraz więcej i więcej i babcia powiedziała: „Idź”. „Dokąd? - zapytałem. „Gdziekolwiek, tylko nie zostawaj tutaj”, poprosiła. „Woda porwała nawet budki wartowników. Nie zatrzymają cię.

Idź. Ja jestem już za stara, ale ty sobie poradzisz. Idź i nie oglądaj się za siebie”. No i poszedłem. Krok za krokiem, przez błoto i wodę. Ale obejrzałem się za siebie. W Obozach dla Elfów chaty nie mają drzwi ani nawet okien, tylko duże dziury. Dlatego mogłem zobaczyć babcie siedzącą na krześle i wodę, która się podnosiła. Babcia wciąż tam siedziała, a woda wciąż się podnosiła, aż wreszcie widać było już tylko wodę.

Malec znów zaczął płakać. To była spokojna seria cichutkich skowytów, prawie niesłyszalnych.

Mężczyzna i kobieta rozpalili ognisko za pomocą ognia palącego się nadal w żelaznej kuli myśliwego. Potem, przeszukawszy podszycie lasu, znaleźli garść kasztanów. Upiekli je i prawie wszystkie dali małemu elfowi, bo zorientowali się, że oni oboje jakoś dziwnie nie są głodni.

Malec zjadł je powoli, kawałeczek po kawałeczku, tak aby trwało to jak najdłużej i jego smutek rozpuścił się w jasnym miąższu kasztanów.

Zanim zasnął, pomyślał o imieniu dla psa, który był tego samego koloru co kasztany, tyle tylko, że biegał i szczekał, podczas gdy kasztany były nieruchome i ciche, i nigdy nie przychodziły polizać ci twarzy ani nie potrafiły nawet merdać ogonem. A zatem imię

„Kasztan” także nie było dobre. Musiał wymyślić jakieś lepsze. Zanim mu się to udało, usnął

w pobliżu ognia, między mężczyzną a kobietą, owinięty swoim wełnianym szalem.

Zbudzili ich halabardnicy. Odbywali patrol.

Pobyt nie tylko w samym Daligar, lecz również w jego okolicach był zabroniony dla kogokolwiek, kto nie był jego mieszkańcem, krewnym mieszkańca, gościem mieszkańca czy chociaż mile widzianym przez obywateli miasta, a oni nie należeli do żadnej z tych kategorii.

Patrol zasięgnął informacji co do istnienia i wielkości ich ewentualnego dobytku oraz ogólnie co do tego, jakie mają środki utrzymania, a uzyskana odpowiedź, która brzmiała „Nie posiadamy kompletnie niczego, z wyjątkiem ubrań, które mamy na sobie, i trzech jednogroszowych monet”, sprawiła, że halabardnicy stali się jeszcze mniej przyjaźni.

Patrol upewnił się też dokładnie co do stanu ich zdrowia. Czy mają kleszcze, wszy, pchły? Czy kontaktowali się z chorymi na cholere, trędowatymi, krostowatymi, chorymi na skrofuły, dżumę, czerwonkę, mającymi mdłości, gorączkę, jakiegokolwiek rodzaju plamy, owrzodzenia, zaropiałe oczy, robaki jelitowe? Bo jeśli tak, to zostaliby zabici na miejscu, aby uniknąć jakiegokolwiek formy zarażenia. Czy ich dziecko też jest zdrowe? Skoro tak, to dlaczego matka ścisła je mocno w ramionach, owinięte w ten szal? Bo jest zmęczone, małe i płaczące? Nie, małym, zmęczonym i płaczącym dzieciom wstęp nie jest wzbroniony.

Potem przyszła kolej na uzbrojenie. Mają przy sobie broń sieczną, rzucaną, miotającą, zapalającą, miażdżącą, kłującą, tnącą, wywołującą poparzenia, broń myśliwską, do walki pieszej, do walki konnej, na mułach, na jakichkolwiek czworonożnych; broń do walki w pojedynku, do walki w oddziałach, okopach, oblężeniu, ofensywie; broń do strzelania do celu i dla przyjemności? Taaaak? Łuk, sztylet, topór, mały tasak i nóż do krojenia chleba.

Wszystko skonfiskowane. Nawet dwie żelazne kule do przenoszenia ognia: broń zapalająca.

Czy to oni ścięli aż dwie całe gałęzie należące do hrabstwa Daligar i wyrwali cztery paprocie, aby zapewnić sobie schronienie? To kwalifikowane było jako „zbrodnia przeciwko majątkowi państwowemu” i w związku z tym czekał ich proces. Mogliby przytrzymać psa, podczas gdy oni wsadzali go do klatki? Wszystkie typy zwierząt, zarówno domowych, jak i dzikich, były zabronione, a ich bestia podpadała pod obie kategorie.

Teraz mogli iść.

Weszli do Daligar pod eskortą halabardników. Było to najbardziej dziwaczne i niesamowite miejsce, jakie mały elf mógł sobie w ogóle wyobrazić. Ludzie byli wszędzie: duzi, mali, mężczyźni, kobiety, uzbrojeni, nieuzbrojeni, w ubraniach we wszystkich możliwych kolorach.

Słysząc było głosy. Wydawało się, że wszyscy sprzedawali wszystko. Podpłomyki, kolby kukurydzy, duże jabłka, kotły do gotowania, drewno na opał, drewno do robienia krzesel. Wszędzie dreptały śmieszne ptaki, które przechadzały się pośród tłumu. Były dziwne, duże i tłusciutkie, miały skrzydła zbyt małe, aby móc latać, i wydawały z siebie jeden dziwny okrzyk, w którym powtarzało się nieustannie koko.

Halabardnicy zaprowadzili ich na sam środek placu, gdzie znajdowało się coś w rodzaju baldachimu, który przykrywały pasma czerwonych i złotych tkanin, nadające całości dość osobliwy wygląd gigantycznej kołyski. W środku znajdował się mężczyzna, również owinięty długą, białą, ozdobioną haftami szatą, która zakrywała mu także głowę, przez co wyglądał jak wielki niemowlak.

Wielki

niemowlak

oświadczył,

że

jego

imię

to

ZARZĄDCADALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH, które nie było wprawdzie imieniem tak pięknym jak Yorshkrunsquarkljolnerstrink, niemniej było to całkiem ładne imię.

ZARZĄDCADALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH zasięgnął informacji na temat ich imion, wieku, działalności czy chociaż tego, co potrafili robić, a przede wszystkim tego, co przyszedli robić w Daligar, nie będąc mieszkańcami, krewnymi mieszkańców, gośćmi mieszkańców lub przynajmniej mile widzianymi przez tychże.

Myśliwy odparł, że nic a nic nie obchodzi go Daligar i jego mieszkańcy, krewni mieszkańców, goście mieszkańców i sympatycy ani ktokolwiek inny, a jedyne, czego chcieli, to jak najszybciej odejść z Daligar i terenów przyległych i znów ruszyć w swoją drogę.

ZARZĄDCADALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH wyglądał na zasmuconego tą odpowiedzią. Jego twarz spochmurniała, a tłum zgromadzony dookoła także wydał pomruk niezadowolenia. Nieuprzejmie jest mówić komuś, że nie obchodzi cię miejsce, w którym ten ktoś mieszka: nawet małemu elfowi babcia wytłumaczyła takie rzeczy.

ZARZĄDCADALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH zauważył, że skoro nie podoba im się Daligar, jego okolice i jego mieszkańcy, włączając krewnych, gości i sympatyków, wystarczyło, żeby zostali we własnym domu, gdziekolwiek to miejsce się znajduje, tak aby oszczędzić halabardnikom fatygi związanej z koniecznością wytropienia ich,

przesłuchania

i

aresztowania,

a

jemu,

ZARZĄDCYDALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH, przykrego obowiązku spotkania ich, osądzenia, skazania i wydalenia z miasta, nie mówiąc już o zbrodni przeciwko majątkowi państwowemu, czyli ścięciu aż dwóch całych gałęzi i wyrwaniu czterech paproci - szkodzie, na którą, w całym swym okrucieństwie, narazili tutejszą społeczność.

Tłum mruknął z aprobatą. W tej samej chwili znowu zaczęło padać i humory wcale się nie poprawiły.

Skazano ich na zapłacenie grzywny w wysokości trzech jednogroszowych monet, czyli dokładnie tylu, ile mieli (to się dopiero nazywa przypadek!), oraz skonfiskowano całą broń wraz z żelaznymi kulami do przenoszenia ognia. Pozostawiono im psa.

- Cóż... - mruknęła kobieta, kiedy już zaczęli się powoli oddalać - mogło być gorzej.

- Niby jak? - spytał myśliwy.

W tym momencie rozpoczynała się druga tego dnia sprawa dla jego ekscelencji ZARZĄDCYDALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH.

Chodziło o kobietę, której jakiś wózek właśnie rozjechał jednego z tych dziwnych ptaków robiących koko. Jak się okazało, ptak nazywał się „kura”. Kobieta trzymała go na rękach, widać było, że zwierzę ma przetrącony kark. Kiedy mijala Sajrę, małeńki palec u małeńskiej rączki wystającej z rękawa w niepowtarzalnym żółtym kolorze wysunął się spod szarego wełnianego szala, spoczął na miękkich piórach wokół złamania i tam się na chwilę zatrzymał. Szyja kury z powrotem przybrała normalny kształt, a ptak otworzył oczy.

Następnie rozpętało się piekło: kura uciekała, słowo „elf rozbrzmiewało echem wśród tłumu, wszyscy krzyczeli i zderzali się ze sobą nawzajem, aż wreszcie ich trójka została otoczona przez halabardników, którzy oparli ostrza swych kopii dokładnie o ich gardła.

- Właśnie tak - odparła kobieta. - Teraz jest gorzej.

Po zmartwychwstaniu kury atmosfera zrobiła się naprawdę gorąca. Tym razem ZARZĄDCADALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH był wyraźnie zdenerwowany właśnie na Yorshkrunsquarkljolnerstrinka, który jednak uznał go za życzliwego i sympatycznego człowieka o ładnym imieniu. Cóż, tak, myśliwy był trochę opryskliwy podczas ich wspólnej rozmowy. Nie mówi się komuś, że jego kraj to nic wielkiego i że wcale cię on nie obchodzi.

To nieuprzejme. Tak się po prostu nie robi.

- To elf - powiedział surowo Zarządca.

Powoli wymawiał słowa. Jego głos był podniosły i niewzruszony. Zwolnił jeszcze bardziej,

wypowiadając słowo „elf. Głoski, wymówione każda z osobna, uderzyły w milczący tłum niczym kamienie.

- To tylko szczeniak - odezwał się myśliwy.

- Malec - stwierdziła kobieta.

- Urodzony niedawno - sprecyzował mały elf, cały zadowolony. On również chciał, aby inni się dowiedzieli, że nosi ładne imię. - Yorshkrunsquarkljolnerstrink - przedstawił się, wykonując lekki ukłon.

- Nie wolno czkać przed trybunałem - powiedział Zarządca, sposepniawszy - a ja, ZARZĄDCADALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH, zabraniam ci również kłamać. -

Wymawiając te ostatnie słowa, Zarządca wstał i nabrał jeszcze bardziej uroczystego wyglądu.

Malec poczuł się zmieszany. Elfy nie potrafią mówić rzeczy innych od tych, jakie mają w głowie. Co najwyżej stać je na drobne grzeczności, takie jak mówienie, że zrozumiałeś, kiedy wypowiedzi innych są kompletnie niezrozumiałe, tylko dlatego, że traktowanie głupków jak głupków to brak ogłady - ale to wszystko. W każdym innym wypadku to, co jest w głowie, jest także poza nią. Zmieszanie powoli ustąpiło miejsca rozczarowaniu. Mimo że Zarządca miał ładne imię, człowiek ten wcale nie był mniej dziwaczny od innych.

- Ponadto żądam, abyś zwracał się do mnie z szacunkiem, na jaki zasługuję.

No tak, tylko jak brzmiała ta formułka grzecznościowa? Mały elf zaczął się denerwować.

- Głupku!

Nie, to chyba jednak nie tak.

- Głupelencjo, nie, ekscegłupku - jak też ona brzmiała?

- Cisza! - krzyknął Zarządca do śmiejącego się tłumu. - A ty zwracaj się do mnie ZARZĄDCODALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH - dokończył, mówiąc do elfa.

- Oczywiście! Oczywiście! - odpowiedział z entuzjazmem malec, podczas gdy ogromny

uśmiech

rozpromieniał

mu

twarz.

-



ZARZĄDCADALIGARITERENÓWPRZYLEGŁYCH to przepiękne imię: moglibyśmy nadać je psu!  
- dodał triumfalnie.

Tłum dosłownie parsknął śmiechem. Pewien starszy pan o mało się nie udławił, a jeden z halabardników upuścił sobie halabardę na stopę. Zapanowała ogólna wesołość.

Zarażony nią, również mały elf zaczął się śmiać: kiedy ludzie się śmiali, wyglądali po prostu uroczo. Jedynym, który pozostał poważny, był Zarządca.

- Odpowiedz - zwrócił się do malca. - Znasz tego mężczyznę i tę kobietę?

- Tak - odparł zdecydowanie malec.

- Czy poza ciężkim przewinieniem przyprowadzenia ze sobą elfa i jeszcze cięższym przewinieniem wprowadzenia go podstępnie do naszego ukochanego miasta popełnili oni jakieś inne zbrodnie?

- Taaaaaaaak. Człowiek mężczyzna zjada trupy, wydaje mi się, że z rozmarynem, a potem zarabia, sprzedając ich skóry, człowiek kobieta sprzedał swoją matkę i starszych braci... nie, nie, tych młodszych... mmmm... tak, najpierw chyba tych młodszych, nie pamiętam dokładnie.

Ponownie zapadła kompletna cisza. Potem rozpętała się piekielna wrzawa i naprawdę nic już nie można było zrozumieć.

- Powiedziałaś ci, że to kłopoty znajdują mnie - odezwała się kobieta do myśliwego. -

Dlaczego od razu nie poszedłeś w swoją stronę?

- W poprzednim życiu musiałem widocznie sprzedać własnego ojca - odpowiedział.

Kiedy ich prowadzili, mały elf znów zobaczył tę samą kurę: siedziała we wgłębieniu jednego z okien, gdzie uwiła sobie coś w rodzaju gniazda, w którym leżały dwa jajka.

Spojrzeli na siebie przez chwilę i pozdrowili się, bo przez moment ich umysły stanowiły jedność, a to połączyło ich już na zawsze.

Malec zastanowił się, czy „Kura” lub „Kogut” byłyby dobrymi imionami dla psa.

Sylwetka nie była ta sama, ale kolor piór na ogonie kury przypominał trochę kolor ogona i tylnych łap psa. Potem pomyślał, że pies nie znosił jaj, a kura nie lizła kogoś po twarzy, kiedy widziała, że jest mu smutno, tak więc to imię również nie było dobre.

Umieszczono ich w miejscu, które nazywało się „więzienie”. Było naprawdę piękne.

Całe zrobione z solidnego kamienia, duże kolumny podtrzymywały łukowate sklepienia. Ten typ architektury był charakterystyczny dla trzeciej dynastii runicznej. Łuki nie były okrągłe, lecz utworzone z dwóch półłuków, które krzyżowały się pod ostrym kątem. Łuki okrągłe są typowe dla pierwszej dynastii runicznej, a te wydłużone ku górze - dla drugiej.

Poza tym znajdowała się tam prawdziwa słoma, na której można było spać. Dano im nawet miskę smacznych ziaren kukurydzy i groszku. Były naprawdę smaczne i było ich dużo.

Kilka z nich mały elf podarował rozkosznej gromadzie szczurów o pięknej czarnej, błyszczącej sierści, które zbiegły się ze wszystkich stron, jak tylko zapach jedzenia rozszedł

się po celi, a dreptały teraz pospiesznie we wszystkich kierunkach po kamiennej posadzce. To miejsce było prawdziwym rajem.

Znikąd nie padało, z wyjątkiem twarzy kobiety, która, dziwnym sposobem, sama z siebie padała deszczem.

- Dlaczego krople kapią z twojej twarzy? - spytał kobietę mały elf.

- To się nazywa „łzy” - odpowiedział mężczyzna. - To nasz sposób płakania.

- Naprawdę? A to coś, co cieknie jej z nosa i co wyciera sobie rękawem?

- To nieodłączny element płaczu.

- My, kiedy jesteśmy smutni, żalimy się tak, aby inni mogli usłyszeć nasz smutek i zrobić coś, żeby zmniejszyć naszą udrękę - powiedział malec z nieukrywaną dumą. - Ale siedzieć na ziemi, pozwalając, by kapało ci z nosa i z oczu, tak że potem ma się czerwone oczy i trzeba oddychać przez usta, to jak specjalnie się przeziębic.

- W rzeczy samej - skomentował oschle mężczyzna.

- Czemu płaczesz?

Znów odpowiedział mu mężczyzna.

- Bo jutro rano nas powieszają.

- Och, naprawdę? A co to znaczy?

- Nie - odezwała się kobieta - proszę cię, nie, bo on też zaraz zacznie, a ja nie chcę słuchać jego płaczu.

- Przecież to tylko i wyłącznie jego zasługa, że...
  - Nie - powtórzyła kobieta - nie znoszę, jak on płacze.
  - W porządku. Słuchaj, mały, jutro nas powieszają i to będzie coś pięknego. Zawieszają nas wysoko i z góry będziemy mogli zobaczyć cały tłum i dachy domów. To będzie tak, jakbyśmy byli ptakami i latali wysoko w górze.
  - Ooooooooooooooch. Naprawdę? To dlaczego jej kapią krople z twarzy?
  - Ona płacze, bo cierpi na zawroty głowy. Kiedy jest w górze, źle się czuje, a do tego zbiera jej się na wymioty. Dla niej jutrzejszy dzień to będzie coś strasznego. Prawdziwy koszmar.
  - Ooooooooooooooch. Naprawdę? - mały elf po prostu zaniemówił z wrażenia. Ciągłe uczył się czegoś nowego.
  - W takim razie nie. Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie. Jeśli to jej szkodzi, to nie będzie żadnego wieszania - powiedział stanowczo malec. Fruwanie w górze ponad dachami musiało być wspaniałe, ale jeśli komuś szkodzi...
  - Żadnego?
  - Żadnego.
  - Więc co zrobimy? Oni postanowili już nas powiesić.
  - Moglibyśmy sobie pójść.
  - Racja, dobry pomysł. - Myśliwy naprawdę wydawał się być pod wrażeniem jego słów. - To naprawdę dobry pomysł. Myślenie dobrze ci idzie. Wiesz może, jak rozwiążemy problem zaryglowanych drzwi?
  - Otworzymy je! - wyjaśnił malec, pełen entuzjazmu.
  - No tak, oczywiście. Absolutnie genialne! A klucze?
  - To te podłużne przedmioty, które się obracają, robią *cyk* i drzwi się otwierają?
  - Tak, dokładnie, to te podłużne przedmioty, które się obracają, robią *cyk* i drzwi się otwierają.
  - Wiszą osiem kroków za rogiem, który zobaczysz, jeśli wyjrzysz zza krat.
- Myśliwy, który do tej pory leżał na słomie, nagle się podniósł i usiadł. Również kobieta, która siedziała wciśnięta w kąt, obejmując rękoma kolana, wytarła sobie twarz i wstała.
- A ty skąd to wiesz?

- To jest w ich głowie - powiedział malec, wskazując szczury. - One mijają je mnóstwo razy w ciągu dnia. Nie wiedzą, czym są klucze, ale mają w głowie ich kształt.

- Możesz coś zrobić, żeby wziąć klucze? Nie wiem... na przykład sprawić, żeby tu przyleciały?

- Ależ nieeee, oczywiście, że nie, takie rzeczy w ogóle nie są możliwe. Nie można łamać prawa grawitacji.

- Prawa czego?

- To reguła, zgodnie z którą wszystko spada - wyjaśnił malec. - Widzisz! - upuścił dwa ostatnie ziarenka groszku, a szczury rzuciły się w ich stronę.

Mężczyzna i kobieta z powrotem usiedli.

- To zasada, zgodnie z którą jutro nasze ciała opadną w dół, podczas gdy szyje pozostaną w górze obwiązane sznurem - wytłumaczyła kobieta, zaczynając znowu płakać.

- Mogę wysłać po klucze małe śliczne zwierzątka. Klucze wiszą tuż nad ławą stojącą przy ścianie. Dla ślicznego zwierzątka to łatwo dostępne miejsce.

Mężczyzna i kobieta znowu zerwali się na równe nogi.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście - potwierdził pogodnie malec. - W czym problem? One są teraz przyjaciółmi - dodał zadowolony, wskazując na szczury. - Jeśli pomyślę mocno o małym ślicznym zwierzątku, które zabiera klucze i przynosi je tutaj, ta myśl staje się obrazem, który przechodzi z mojej głowy do główki ślicznego zwierzątka, i potem ono po prostu to robi.

Malec pochylił się nad szczurami, jego drobne palce musnęły ich łebki. Gromada radosnych zwierzątek wybiegła z celi, przemykając między zamykającymi ją kratami, a po głośniejszym cyk i całej serii nieco cichszych zgrzytów pojawiły się z powrotem, ciągnąc ze sobą duży pęk kluczy. Mały elf wziął go do ręki, wybrał jeden klucz i cyk - ciężki rygiel ustąpił.

- Gotowe - oznajmił malec.

Kobieta i mężczyzna wyskoczyli na zewnątrz.

- A teraz dokąd?

- Tędy, wszystko jest w głowach małych ślicznych zwierzątek. Dziesięć kroków w lewo, potem dalej w lewo, a później po schodach. Teraz brama. - Mały elf znów wybrał

właściwy klucz za pierwszym razem. - Następne schody, następna brama, hopla, znów na dół, schody, brama, klucz, cyk i gotowe. Teraz przejdziemy podziemnymi korytarzami, a potem będzie rzeka. Ładnie tu. Spójrz tutaj, to łuki okrągłe, pierwsza dynastia runiczna.

- Naprawdę wspaniałe. Wrócimy tu jeszcze kiedyś, żeby spokojnie je obejrzyć, ale teraz chodźmy. Wiesz, mogą się obrazić za to, że nie chcieliśmy, by nas powiesili.

- Ooooooooooooooch, spójrz!

- Na te znaki?

- To nie znaki, to litery.

- To znaki; to takie ozdoby.

- Nie. To litery. Runy z czasów pierwszej dynastii. Potrafię je odczytać. Babcia mnie nauczyła. Ona umiała je czytać. To... zo... stało zbu... do... wane... To zostało zbudowane pod miejscem, w którym przepływa rzeka... całe szczęście, że to odczytałem. Jeśli tędy pójdziemy, utopimy się. Górą, a potem naokoło. O, tutaj, widzisz, ostatnia brama, ostatni klucz i jesteśmy na zewnątrz. Cyk. O, jaki ładny hałas! To dznowy, nie, nie, mmm... *dzwony*; to dzwony prawda?

- To zbroja żołnierzy. Myślę, że są naprawdę rozzłoszczeni. Musieli się obrazić nie na żarty.

- Hej, spójrz. Te w kurżganku...

- *Krużganku.*

- To łuki wydłużone; druga dynastia runiczna. Widzę je po raz pierwszy.

- Jestem naprawdę pod wrażeniem. Czy moglibyśmy się pospieszyć? Dzwo... mmm...

tak, wojownicy są tuż za nami.

- To są natomiast runy z czasów drugiej dynastii runicznej. Odróżniają się tym, że w górnych częściach liter mają takie koliste spirale.

- Fascynujące! To wszystko, na co cię stać przy tych krótkich nóżkach, czy możesz biec szybciej?

- Taki typ spirali to symbol nieskończoności... nie, czasu, który zatacza koło. To jest przepowiednia!

- Jestem naprawdę wzruszony. Czy mam cię wziąć na rękę, abyśmy mogli pobiec szybciej?

- K... ie... dy w... o... da za... to... pi zi... emię... Kiedy woda zatopi ziemię...

- Tak, ale teraz się przebiegniemy. Ścigają nas. Obrazili się nie na żarty. Wezmę cię na rękę i tak będzie ci wygodniej czytać, kiedy będziemy biec.

- Hej, tu jest mowa o elfach! Kiedy woda zatopi ziemię, zniknie słońce, nastaną ciemności i chłód. Kiedy ostatni smok i ostatni elf przerwą krąg, przeszłość i przyszłość spotkają się, słońce nowego lata zabłyśnie na niebie... Hej, zaczekaj, zwolnij. Było tam jeszcze coś, ale nie zdążyłem przeczytać. Coś o kimś wielkim i... wszechmocnym... wielki i wszechmocny poślubi... musi poślubić

dziewczynkę, która ma na imię tak jak rodzące się światło i która widzi w ciemności i jest córką... nie przeczytałem czyją!

- Możemy się tym nie przejmować - ostatnim tchem wykrztusił z siebie mężczyzna. -

Z pewnością nie będzie to nasza córka, tylko córka jakiegoś króla albo maga. O takich jak my ścienne napisy nigdy nic nie mówią.

Wydostali się na zewnątrz pałacu. Myśliwy biegł z elfem na rękach i kobietą u boku.

Ulice były wąskie, pełne zakrętów i, na szczęście, puste, z wyjątkiem ich trojga i żołnierzy, którzy ich gonili.

Żołnierze naprawdę się pogniewali za tę historię z wieszaniem i zaczęli strzelać do nich zaostrzonymi na końcach patyczkami, co wcale nie jest miłe, nie, nie, nie, nie, nie, nie, a poza tym komuś może się nawet stać krzywda.

Mały elf zaczął mieć tego dosyć. Byli doprawdy przewrażliwieni: przecież ich trójka odmówiła tylko tego, żeby ich jutro rano powieszono!

Nagle wyrósł przed nimi jeden z żołnierzy i wycelował do nich z łuku.

Mały elf zapragnął z całych swoich sił, aby to się nie działo. Obraz powstał w jego głowie i pofrunął do głów tych, którzy stanowili z nim jedność. Królik, który biegł w tym momencie poprzez zarośla, zatrzymał się całkowicie zdezorientowany. Kura, która wysiadywała właśnie jajka w swoim gnieździe we wnęce między kolumnami znajdującymi się dokładnie nad żołnierzem, wstała ze słomy i z całą siłą, jaką miała w skrzydłach, skoczyła mu na głowę. Żołnierz zachwiał się i upadł, pozostawiając wolne przejście.

W głębi placu stały klatki ze skonfiskowanymi zwierzętami. Pies należący do kobiety szczekał najgłośniej, jak potrafił. Na szczęście, klatka nie była zamknięta na klucz, tylko na duży hak, który kobieta wyciągnęła i klatka się otworzyła.

Ulica, zakręt, jeszcze jedna ulica, mury obronne, zwodzony most i byli bezpieczni.

A jednak nie, jeszcze nie. Zwodzony most zamknięto im tuż przed nosem. Z malcem na rękach myśliwy wskoczył na schody wspinające się na szczyt murów. Pies, biegnący przed nimi, wyrzucił wojownika, który nagle zagroził im drogę. Kiedy dotarli na szczyt murów, mężczyzna chwycił kobietę za nadgarstek i, wciąż trzymając na rękach malca, pokonał gzyms i rzucił się do płynącej dołem lodowatej rzeki. Pies skoczył za nimi.

- Może jednak małe wieszanie wcale nie byłoby takie złe! - zaprotestował malec, ale było już za późno.

Na prawo grawitacji nie ma rady.

Wszyscy wpadli do ciemnej wody.

Mały elf zastanowił się, czy określenie „siła grawitacji” byłoby dobrym imieniem dla psa, ale jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to ani nie było ono krótkie, ani nie oddawało istoty czegoś miękkiego, co umiało się bawić.

Woda dostała mu się do ust i do nosa. Chłód był okropny. Brakowało oddechu. Mały elf poczuł, jak zimno i desperacja wypełniają wszystko wokół. Desperacja i strach mogą też wypełnić głowę i wtedy magia w nich tonie.

Potem przyszło mu nagle do głowy, żeby być rybą. Pomyślał o... jakby to powiedzieć... o *rybowatości*, o czystej esencji wodnego zwierzęcia.

Pomyślał o uczuciu posiadania skrzeli, o przyjemności płynącej ze znajdowania się w zimnej wodzie, o radości ślizgania się, fruwania pośród fal niczym ptak pośród chmur.

Powietrze wypełniło jego płuca, chłód wody stał się rozkoszą.

Ślizgał się pod jej powierzchnią, aby uniknąć deszczu zaostzonych patyczków, które wpadały do wody, wystrzeliwane przez wszystkich łuczników garnizonu Daligar. Płynął

blisko pozostałych. Pies radził sobie całkiem nieźle, ale mężczyzna i kobieta jak zwykle wyczyniali różne głupie rzeczy: ona wsadzała głowę pod wodę, a on starał się ją wyciągać z powrotem na powierzchnię. Mały elf próbował im powiedzieć, że to nie jest właściwy moment na zabawę w wojnę wodną, a potem zamierzał wyjaśnić poprawną metodę postępowania: najpierw w głowie tworzy się obraz ryby, a później uwaga koncentruje się na skrzelach, lecz myśliwy nie chciał go słuchać i, co więcej, był dla niego bardzo niegrzeczny.

Na szczęście prąd rzeki unosił ich we właściwym kierunku: dalej, coraz dalej, daleko od Daligar, od jego halabardników i wieszania, w stronę płaskowyżu i pagórków.

Krajobraz stawał się coraz przyjemniejszy. Na brzegach było coraz mniej skał i pojawiały się coraz gęstsze zarośla. Woda w rzece stała się płytsza, a prąd mniej rwący.

W końcu zdołali dopłynąć do brzegu i wydostali się na ląd.

Kobieta nie oddychała dobrze, przy wdychaniu i wydechaniu powietrza słychać było wodę: coś w rodzaju bulgotania dochodzącego z kociołka, w którym gotuje się groch, oczywiście pod warunkiem, że ma się kociołek, ogień, wodę i groch, ale nawet bez grochu sama woda, gdy się gotuje, wydaje taki właśnie odgłos.

Mężczyzna wydawał się zrozpaczony.

Mnóstwo wody i błota kapało mu z włosów na twarz, w związku z tym mały elf nie miał do końca pewności, ale mógłby przysiąc, że krople kapały mu także z oczu i nosa.

- Zrób coś! - krzyknął do niego mężczyzna. - Jeśli możesz, zrób coś, proszę cię.

Możesz coś zrobić, prawda? Ona umiera.



- Och, napraaaaaawdę!

Mały elf był zdumiony. Więc ludzie, kiedy umierają, wydają taki sam dźwięk jak gotujący się na ogniu groch?

Wyciągnął rękę i położył swoją dłoń na twarzy kobiety.

To było jak cios pięścią w żołądek. Albo właściwie nie w żołądek, tylko w płuca i krtań. Mały elf także poczuł bulgoczącą w nim wodę, a gardło bolało go tak, jakby wbił się w nie jeden z zaostrzonych na końcu patyków. Najstraszniejsza rzecz tkwiła jednak w głowie: to uczucie, że to już ostatnie minuty, że wszystko właśnie się kończy. Strach już miał nim zawładnąć, lecz udało mu się go powstrzymać - na szczęście, bo w strachu tonie magia.

Malec skoncentrował się z całych sił na oddechu: powietrze, które wchodzi, powietrze, które wychodzi, zapach mokrej trawy, zarośli i grzybów.

Powietrze wchodzi. Ma ładny zapach. Płuca rozszerzają się. Powietrze wychodzi.

Głowa wypełnia się zapachem powietrza i wiemy już, że ten oddech nie jest naszym ostatnim, ale będzie po nim następny, a potem kolejny i znów kolejny.

Kobieta wykaszlała dużo wody zmieszanej z błotem, po czym otworzyła oczy i odetchnęła. Mały elf również zakaszał. Oboje byli całkiem bladzi i drżeli. Myśliwy uśmiechnął się uszczęśliwiony, potem pobiegł nazbierać trzciny i suchych gałęzi. Na szczęście było ich pod dostatkiem. Mimo że nie miał już swojej siekiery i wszystko musiał robić tylko przy użyciu siły własnych rąk, działał bardzo szybko. Kiedy stos był już wystarczająco duży, malec dotknął go palcem i ogień zaskwierczał radośnie. Byli zmarznięci i przemoczeni, lecz myśliwy wciąż zbierał gałęzie, a ogień wciąż skwierczał, tak że powolutku stawali się coraz mniej zmarznięci i coraz mniej przemoczeni. Kobieta usnęła. Myśliwy znalazł w wiewiórczej dziupli kilka orzechów i podzielił się nimi z malcem.

- Nie mamy już broni, ale przynajmniej nas nie powiesili - powiedział mężczyzna.

- Jaka szkoda: musieliśmy zrezygnować z wiszenia na linie i huśtania się wysoko w górze! To byłoby takie cudowne!

Mężczyzna zaczął się śmiać.

- Skoro tak ci na tym zależy, możemy to zrobić. Nie zabrali mi sznura. Zobacz: mam go nadal przy sobie. A teraz ci wszystko pokażę. Ta gałąź jest wystarczająco mocna. Spójrz: wiążę tutaj, potem tutaj. Tu zwijam sznur podwójnie. Zrobione. Chcesz spróbować? Trzymaj się mocno. Teraz cię popchnę.

Było cudownie. W górę i w dół. W dół i w górę. Zarośla, rzeka, niebo - i z powrotem - niebo, rzeka, zarośla.

W oddali widać było wzgórze, a za nimi blask zachodzącego słońca. Mały elf nigdy nie widział

zachodu słońca. Zawsze zasłaniały je chmury. Teraz całe było różowe, a kilka małych chmur, długich i delikatnych, błyszczało w słońcu niczym złoty naszyjnik.

W ostatnich promieniach widać było lasy kasztanowców, na przemian z małymi polami uprawnymi.

To najwspanialsza rzecz, o jakiej można zamarzyć. Wspaniała niczym latanie. Małego elfa przepełniła radość.

Kobieta obudziła się z uśmiechem na twarzy.

Malec śmiał się jak oszalały.

- Zobacz, to jest powieszenie - powiedział rozradowany do człowieka kobiety.

- Nie - odparła. - To się nazywa „huśtawka”.

Przestała się uśmiechać.

- Bycie powieszonym to okropna rzecz - kontynuowała. - Zawijają ci sznur wokół

szyi i obciążają go, używając ciężaru twojego własnego ciała. Sznur się zaciska, powietrze nie przechodzi przez gardło i umierasz, tak jak przed chwilą ja umierałam przez wodę.

Malec zatrzymał się przerażony.

Potem spadł ze swojej prowizorycznej huśtawki.

Ze strachu otworzył szeroko oczy.

Zsiniał.

Zaczęło mu brakować powietrza.

Skulił się i, nadal leżąc na ziemi, zaczął długą serię przerywanych zawodzeń.

Mężczyzna i kobieta poczuli, jak lodowate ciarki przebiegają im po plecach.

- Dlaczego mu powiedziałaś? - spytał mężczyzna z wściekłością. - Był szczęśliwy.

Choć raz był szczęśliwy.

- Dlatego, że spotka innych ludzi, a ci ludzie, których spotka, również będą chcieli go powiesić, bo to przecież elf. Nie chcę, żeby on wyszedł im naprzeciw cały szczęśliwy, myśląc, że szubienica to huśtawka. Lepiej, że jest nieszczęśliwy i żywy.

- Ja mogę go chronić.

- Właśnie zauważyłam. Gdyby nie szczury, *powisimy* na szubienicy.

- Gdyby nie szczury, *wisielibyśmy* na szubienicy - poprawił malec, nie zaprzestając zawodzeń.

Kobieta wzięła go w ramiona i przytuliła. Zawodzenia powolutku ucichły. Na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy. Kształty pagórków zarysowały się delikatnie na tle szafirowego nieba.

Posadziła malca na huśtawce i z powrotem zaczęła go łagodnie bujać.

- Jeśli chcesz, możesz znów zacząć być szczęśliwy. Musisz tylko pamiętać, że jeśli ludzie cię złapią, powieszą cię.

- A potem zjedzą mnie z rozmarynem?

- Nie.

- Bez rozmarynu?

- Ludzie nie jedzą elfów. Nigdy.

- To dlaczego chcą mnie powiesić, skoro potem nawet mnie nie zjedzą? To nie jest miłe, nie, nie, nie, nie, nie, nie, i w ogóle kto im każe to robić?

Huśtawka poruszała się delikatnie w tę i z powrotem.

- To dlatego, że wszyscy ludzie nienawidzą elfów.

- A dlaczego?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Huśtawka kołysała się delikatnie. Pies ziewnął.

- Bo to wasza wina.

- Co jest naszą winą?

- Wszystko.

- Wszystko co?

- Cóż... wszystko to, co jest złe. Cień. Deszcz. Tak, otóż to, deszcz. Woda, która zatapia ziemię. Głód. Nasze dzieci umierają przez was z głodu, a wioski zostały zniszczone przez wodę.

- To my sprawiamy, że pada? Jak? - Malec był oburzony. - Jak?

- Skąd mam wiedzieć. Może marząc o deszczu.

- Jeśli potrafiłbym wywołać deszcz, marząc o nim, teraz zamarzyłbym o pięknym słońcu, które osusza mi stopy. A poza tym - nie ustępował - musielibyśmy być naprawdę głupi, bo przez wodę i niedostatek ginie także my, i to liczniej niż wy. Skoro jest tak, jak on mówi - wskazał na myśliwego - to dlaczego babcia nie pomyślała o słońcu, kiedy woda wciąż się podnosiła i

podnosiła? Dlaczego mama nie pomyślała, żeby zostać ze mną, kiedy odchodziła w miejsce, z którego nie można już wrócić?

Malec znów zaczął płakać. Tym razem było to ciche kwilenie.

- Cóż... - myśliwy sprawiał wrażenie zmieszanego. - Wszyscy mówią, że to wina...

Odwrócił się do kobiety, szukając u niej pomocy.

Kobieta stała w pobliżu huśtawki. Lekko zmarszczyła czoło, ale nie wyglądała na rozżłoszczoną ani smutną: miała wyraz twarzy kogoś, kto intensywnie nad czymś myśli.

- Nienawidzimy was, bo jesteście mądrzejsi. Nieznośni, ale mądrzejsi - stwierdziła. -

Macie tę swoją magię. Wiecie więcej niż my. To, co dla nas jest obrazkiem, dla was jest literą... Myślę, że się was obawiamy. A ponieważ nie wiemy dokładnie, jak wielkie są wasze moce, wyobrażamy sobie, że są bardzo wielkie. Nasza bezsilność jest tak... kompletna... że ktokolwiek...

Yorsh przestał płakać.

- A tak przy okazji: wyjaśnij mi - kontynuowała kobieta - jak udawało ci się zawsze wybrać właściwy klucz, który należało włożyć do zamka?

Elf wyglądał na zdezorientowanego.

- Właściwy w jakim sensie?

Teraz to kobieta była zdezorientowana.

- No taki, który idealnie zazębia się z mechanizmem danego zamka i dlatego otwiera go po włożeniu do dziurki.

- Włożyć? - Malec był zdziwiony. - Oooooooch, naprawdę? Trzeba go włożyć do środka? I się zęza...

- *Zazębia*: to znaczy, że pasuje. Rozumiesz?

Yorsh był pod ogromnym wrażeniem. Zamyślił się tak mocno, że aż zmarszczył czoło.

Po chwili się rozpromienił.

- Rozumiem! - krzyknął w euforii. - Na każdy zamek przypada jeden klucz: wkłada się go do środka i, jeśli to ten właściwy, pasuje do mechanizmu, więc kiedy się go obraca, sprawia, że położony poziomo kawałek żelaza, który blokuje drzwi, przesuwa się. To bardzo pomysłowe. Naprawdę bardzo pomysłowe. Nieprawdopodobnie inteligentne jak na ludzi.

Naprawdę! Babcia zawsze mówiła, że stać was najwyżej na to, aby położyć zwieńczenie kolumny na

jej szczycie, a wy tymczasem potrafcie teŹ być pomysłowi! To wspaniale!

Zapadło lodowate milczenie.

- Dziękujemy ci - powiedział bardzo oschle myśliwy.

Malec huśtał się na huśtawce zadowolony i dumny z nowo nabytych wiadomości.

- Ale jak udało ci się otworzyć zamki, skoro nie wiedziałeś o mechanizmie? - spytała kobieta.

- Opierałem klucz o zamek, a potem w mojej głowie powstawał obraz drzwi, które się otwierały, no i później... *cyk*, drzwi się otwierały.

Mężczyźnie i kobiecie na moment zapało dech w piersiach.

- A więc przez cały ten czas umiałeś otwierać zamki! Bez kluczy, bez szcurów. Bez niczego!

Mały elf wciąż huśtał się powoli i nadal marszczył czoło.

- Tak, to prawda! - Yorsh wybuchnął śmiechem. - Ale to śmieszne! Groziło nam powieszenie, a ja przez cały ten czas potrafiłem otwierać zamki!

- To naprawdę zabawne - skomentował myśliwy. - Chyba pękne ze śmiechu.

Mówił takim tonem, jakby kawałek kolby kukurydzy utknął mu w gardle.

Nie przestając się huśtać, mały elf dalej myślał o ich ucieczce. Nagle przypomniał sobie o czymś innym.

- Przepowiednia!

- Te zawijasy z kruźganku?

- Tak, litery w kształcie spirali. Druga dynastia runiczna. Teraz sobie przypominam: *Kiedy woda zatopi ziemię,*

*zniknie słońce,*

*nastaną ciemności i chłód.*

*Kiedy ostatni smok i ostatni elf*

*przerwą krąg,*

*przeszłość i przyszłość spotkają się, słońce*

*nowego lata zabłyśnie na niebie.*

- Dalej było jeszcze coś o ostatnim elfie, który miał kogoś poślubić...

- I co to znaczy?

- Nie wiem. Myślę, że to może znaczyć, że... Przerwał w pół zdania. Pies zerwał się na równe łapy i zaczął warczeć.

- Oooooooch, spójrz, to drzewo się rusza! - powiedział malec.

- To nie jest drzewo. To troll.

- Naprawdę? To jest troll? To pierwszy, jakiego widzę! Malec był w euforii.

- Nie mów! Najpierw łuki z okresu drugiej dynastii runicznej, a teraz prawdziwy troll!

I to wszystko jednego dnia. Dzisiaj mamy dzień wielkich odkryć! A teraz, jeśli szybko uciekniemy, może znów zdołamy się uratować.

- Co to są te dwa krzaki za trollami? Czy to trolle-dzieci? Czy trolle też mają dzieci?

- Te dwa krzaki to ludzie. Najwięksi i najbardziej uzbrojeni, jakich kiedykolwiek widziałem.

Nie zdążyli uciec.

Dwaj olbrzymi byli szybsi. Otoczyli ich.

Oni także trochę przypominali wyglądem myśliwych: ich ubrania zrobione były ze szmatek i kawałków zwierzęcych skór. Mieli też kilka sztyletów, lecz najbardziej zdumiewająca i zastanawiająca była spora ilość posiadanych siekier: niektóre małe i ciemne, nie większe od rozłożonej dłoni; inne za to tak ogromne, że za jednym zamachem dałoby się nimi odciąć głowę; jeszcze inne, obosieczne, miały różne rozmiary i różnorodne uchwyty, wykonane z rozmaitych rodzajów drewna. Wszystkie starannie naostrzone.

Troll był ogromny. Górował nad nimi wszystkimi, a w bladym świetle ostatnich promieni słońca jego ogromny cień zakrył drzewo wraz z huśtawką i kołyszącym się na niej malcem. Warczenie psa zamieniło się w pełne przerażenia skomlenie.

- Nie zbliżajcie się - groźnym tonem rozkazał myśliwy.

Jak zawsze musiał być nieuprzejmy.

- Dlaczego nie? Jesteście nieuzbrojeni! - stwierdził, uśmiechając się szyderczo, najmniejszy, a raczej najmniej ogromny z dwóch mężczyzn, którzy i tak wyglądali przy trollu jak dwa karzełki.

- Nie jesteśmy nieuzbrojeni - odparł stanowczym głosem myśliwy. - To jest elf, prawdziwy elf - kontynuował, wskazując na malca. - Jego magia może was spalić niczym ogień, powalić na ziemię

niczym huragan. Może ścisnąć wasze gardła tak, że zabraknie wam powietrza, dokładnie jak ludziom, których wieszają, albo może wypełnić je wodą, jak u tych, którzy toną.

- Nie, to nieprawda! To nieprawda, to nieprawda, to nieprawda, to nieprawda, to nieprawda, to nieprawda, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie.

Dlaczego myśliwy wciąż opowiadał rzeczy tak wstrząsające, tak okropne, tak przerażające, tak straszne, tak przeraźliwe, tak odrażające, tak wstrętne i nieprawdziwe.

Nieprawdziwe. Nieprawdziwe. Nieprawdziwe. Malec był oburzony, rozgniewany i obrażony.

- To nieprawda, że my robimy takie rzeczy! My nie czynimy nikomu krzywdy! Nigdy nie zrobiliśmy nikomu krzywdy! Nie możemy nikomu wyrządzić krzywdy, bo jeśli zrobimy komuś krzywdę, to potem ta krzywda, którą mu zrobiliśmy, która jest poza naszą głową, trafia do wnętrza naszej głowy, dlatego że wszystko to, co jest poza głową, jest wewnątrz głowy, a wszystko to, co jest wewnątrz głowy, jest poza głową!

Yorsh miał dosyć tego, że wszyscy źle się z nim obchodzili oraz źle wyrażali się o nim i jego rodzie! Tego było po prostu za wiele!

Myśliwy, pierwszy raz, zaniemówił.

Zaniemówili także dwaj olbrzymi.

Spojrzeli na myśliwego, następnie na malca, potem znów na myśliwego, później ponownie na malca i jeszcze raz na myśliwego.

- Groźna ta twoja broń - powiedział do myśliwego większy spośród olbrzymów. -

Pokutujesz za poprzednie życie czy masz jakiś inny powód, żeby ciągnąć za sobą elfa?

Dwaj nowo przybyli ludzie wyglądali na zdziwionych.

- Musiałem chyba sprzedać własnego ojca - potwierdził myśliwy.

- Troll jeść elfy - wybełkotał troll, zbliżając się do malca.

Pies ujadał, coraz bardziej wystraszony, ale do ujadania dzielnie dodał jedno warknięcie.

- Nie możesz go zjeść. To tylko szczeniak - oznajmił myśliwy.

- Malec - dodała kobieta.

- Urodzony niedawno - sprecyzował mały elf.

- Troll jeść elfy - powtórzył uparcie troll.



Malec zaczął się śmiać.

- Tak, oczywiście, z rozmarynem. A to się nazywa „ironia”! - uśmiechnął się triumfalnie, niczym ktoś wtajemniczony w skomplikowane zagadnienie.

Troll stanął jak wryty. Wpatrywał się w uśmiechniętą twarz małego elfa tak, jakby patrzył właśnie na latającego osła lub na księżyc, który zszedł z nieba na ziemię, żeby pograć sobie w piłkę.

Dwaj mężczyźni, którzy przybyli za nim, również zastygli w bezruchu i musieli się dobrze wysilić, aby przypomnieć sobie o tym, że mają oddychać.

Malec zbliżył się do trolla. Ogromna twarz była zupełnie pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, niczym maska jakiegoś kamiennego bożka. Malec zdołał już tak bardzo przywyknąć do widoku twarzy rozgniewanych, rozzłoszczonych lub zmartwionych, że w obliczu tej bez wyrazu poczuł się bezpieczny.

Skóra trolla pokryta była łuskami, jak skóra jaszczurek, które oprócz tego, że są miłutkie, należały do ulubionych zwierzątek małego elfa, ponieważ żyły w świetle słońca, a słońce jest ładne. Również twarz trolla bardzo przypominała jaszczurkę, co więcej, jej skóra, tak samo jak skóra jaszczurek, mieniła się na zielono i fioletowo, a to były ulubione kolory małego elfa, bo taki właśnie kolor miały firanki w domu babci w czasach, kiedy elfom pozwalano jeszcze mieć firanki w oknach.

Duże kły wystające ku górze z górnej szczęki lśniły niczym dwa półksiężyce i ani trochę nie zaniepokoiły małego elfa, który, przekonany, że wszystko, co służy do gryzienia, znajduje się wewnątrz buzi, a nie poza nią, uznał je za elementy dekoracyjne, tudzież służące do nadziewania na nie precelków, czyli spełniające zarówno funkcję przenośnej spizarni, jak i drążka, na który, na przykład w czasie festynu, podczas jakiejś zabawy, można wrzucić precelki lub coś równie smakowitego.

Ta myśl przepełniła jego serce radością. Radość zawrzała w nim jak gotująca się woda w kociołku, a potem, dokładnie jak woda, która gotuje się w kociołku, wykypiała na zewnątrz, aby wszyscy mogli się nią ucieszyć.

- Ależ ty jesteś piękny - zwrócił się do trolla mały elf.

Powiedział to radosnym i rozmarzonym głosem. Jego dźwięk odbił się pełnym czułości i wesołości echem, a radość rozbrzmiała w głowach słuchaczy.

Wszystkim obecnym udzieliły się na moment radość i wiara w życie, które przybrało tak piękną postać trolla.

- Ależ ty jesteś duży! Jesteś pierwszym trollem, jakiego widzę, wiesz! Jesteś...

imponujący. Tak: imponujący. Babcia nie mówiła, że troll może być taki piękny...

- Pi... pi... piękny? - Troll zaczął powoli dochodzić do siebie.

Nie ośmielał się nawet oddychać. Przez chwilę wydawało się nawet, że jego twarz zmienia wyraz, a właściwie należałoby powiedzieć, że w ogóle jakiegoś nabiera.

- Piękny. Tak. Babcia też nigdy żadnego nie widziała, chciałem powiedzieć, żadnego trolla. Co też babcia mawiała o trollach? A tak: że pierwszy troll, jakiego się samemu spotka, będzie jednocześnie ostatnim. Kto wie, co to mogło znaczyć? Pewnie chodziło jej o to, że trolli jest niewiele, czyli jeśli zobaczysz w życiu jednego, to i tak dużo! A więc to wielkie szczęście zobaczyć trolla! Ależ jestem szczęśliwy. SZCZĘŚLIWY. Nie dość, że jednego spotkałem, to jeszcze takiego pięknego. PIĘKNEGO.

- Pi... pi... pięknego? - zapiszczał znów troll.

- To prawda, że cały czas podróżujesz i nie zatrzymujesz się ani na chwilę? -

kontynuował malec. - To prawda, że widziałeś cały świat? Cały świat, nawet za wzgórzami?

To prawda, że widziałeś morze? To prawda, że morze istnieje? Wiesz, tak dużo wody, z każdej strony, jak duża łąka, tylko że zamiast trawy jest woda. Życie trolla musi być piękne.

Bardzo piękne.

- Pi... pi... piękne?

- Tak, naprawdę piękne. To zaszczyt móc cię poznać. Ja nazywam się Yorshkrunsquarkljolnerstrink.

- Mnie przykro ty kaszleć. Ty mówić jeszcze, ja piękny.

- Jesteś przepiękny. PRZEPIĘKNY. PRZE-PIĘK-NY. - Malec był naprawdę oczarowany. Jego głos stawał się coraz bardziej rozmarzony. - Jesteś taki duży. Bycie takim dużym musi być piękne.

Głos małego elfa był słodki i łagodny niczym wiosenny wietrzyk. Był samą słodyczą, która kołowała duszę.

- Elf dobre papu, ale ten elf mówić ja pi... pi... piękny.

- Och, nie wierzę już w te historyjki. - Słowa trolla wydawały się nie robić na małym elfie większego wrażenia. - Wiem, że nigdy byś mnie nie zjadł. To tylko ironia.

Kobieta była bladopopielata. Nawet myśliwy, który zazwyczaj pozostawał niewzruszony, teraz całkowicie pobladł.

- Lepiej było zostać w Daligar - powiedział. - Przed powieszeniem przysługiwał nam ostatni posiłek.

- Lepiej byłoby, jeśli zostalibyśmy w Daligar, przed powieszeniem przysługiwałby nam ostatni posiłek - poprawił go automatycznie malec.

- Dokładnie za ile sprzedałeś swojego ojca? - zapytał większy z dwóch olbrzymów.

- To był kiepski interes - odparł posępnie myśliwy.

Malec zbliżył się do dwóch olbrzymów.

Ktokolwiek podróżował z kimś odpowiednio wyposażonym do transportowania precelków lub do rzucania nimi do celu, musiał być bezgranicznie łagodny i dobry, nie tak jak ten okropny myśliwy, który podróżował obładowany łukiem, strzałami i sztyletami, a do tego zawsze był taki nerwowy.

- Jesteście drwalami, prawda? - spytał elf.

- Drwa... kim???? - odpowiedział pytaniem jeden z olbrzymów.

- Kto, my????? - spytał drugi.

Obaj byli coraz bardziej zdumieni.

- Drwalami-stolarzami! - Malec, ogromnie rozradowany, przesuwając dłonią wzdłuż ostrzy ich siekier, toporków i tasaków. - Zamieniacie gałęzie nieżywych drzew w przedmioty dla żywych osób. Kołyski, fotele na biegunach. Moja babcia miała fotel na biegunach, wiecie? Taki fotel na biegunach, do którego przyczepiona była moja kołyska, i kiedy babcia się kołysała, kołysałem się także ja. Wy robicie fotele na biegunach?

Na myśl o fotelach na biegunach i zabawkach serce małego elfa przepęłniło się czułością. Nieskończenie mocno zapragnął normalnego, codziennego życia i domowego ciepła. Znow zatęsknił za mamą, której nigdy nie poznał; za babcią, którą musiał opuścić.

Cała ta bezgranicznie wielka czułość przelała się z jego serca do jego głosu.

Wszyscy obecni mieli wrażenie, że w ich żyłach krąży miód. Wszyscy pragnęli, aby krążył tam dalej; pragnęli, aby to nagłe uczucie bycia dobrym i kochanym trwało nadal.

- Cóż... - dwaj stolarze zawahali się - mniej więcej.

- Zabawki też? Robicie zabawki? Lalki, konie na biegunach?

- Za... co? - zapytał niepewnie pierwszy z olbrzymów.

- Kto? My? Lalki? - wtrącił drugi.

- Zrobiliście kiedyś taki fotel na biegunach połączony z kołyską?

- Mmmmmnie, nie, jeszcze nie, nie przyszło nam to do głowy.

- Moglibyście go zrobić, to dobry pomysł. Uroczy.

- Mmmmmtak, uroczy - zgodził się mniejszy z olbrzymów.

- Oczywiście, nie ścinacie drzew, które jeszcze nie umarły?

- Mmmmmnie, nie, skądże - odpowiedział ten większy.

- Najpierw je zabijamy - potwierdził mniejszy olbrzym. - Tak je nie boli.

- Bycie stolarzem musi być piękne. Praca rolnika też musi być piękna. Tam, gdzie wcześniej była ziemia, potem jest zboże. Wspaniale było was poznać. On jest taki piękny, a wy jesteście tacy dobrzy.

- Dobrzy? - spytali razem olbrzymi.

- Pi... pi... piękny? - po raz kolejny upewnił się troll.

Obaj olbrzymi popatrzyli na siebie, a potem wzruszyli ramionami.

Ciemność stawała się coraz czarniejsza. Znow zaczął padać drobny deszczyk.

Tę noc spędzili wszyscy razem, zebrani wokół maleńkiego ogniska, które rozpałił

malec pod czymś w rodzaju prowizorycznej szopy, zbudowanej z gałęzi ściętych przerażającymi siekierami przez dwóch „stolarzy”.

Pies i malec spali razem, zwinięci w kłębek, niczym dwa obejmujące się przecinki, a obok leżały kolejno trzy wielkoludy: mniejszy z dwójki olbrzymów, większy z dwójki olbrzymów i wreszcie - dwa razy większy od nich - troll.

Myśliwy i kobieta leżeli po drugiej stronie ognia.

Dwaj olbrzymi chrapali. Troll mruczał przez sen:

- Pi... pi... pi... pi... pi...

- Będzie tak piszczał przez całą noc? - spytał rozzłoszczony myśliwy.

- Jak tylko skończy piszczeć, obedrze nas ze skóry - odparła Sajra. - Na twoim miejscu bym nie narzekała.

Myśliwy przestał narzekać.

Piski trolla zmieszały się z cichym chrapaniem pozostałej dwójki.

Kobieta obróciła się we śnie i dotknęła lekko myśliwego, który pozostał nieruchomy już do świtu, obawiając się, że mógłby ją obudzić.

Skulony między psimi łapami, mały elf zastanowił się, czy „Mały troll” mogłoby być dobrym

imieniem dla psa. Wydało mu się urocze, tyle tylko że pies nie miał po bokach ust drążków na precelki.

Potem zasnął i przyśniło mu się morze.

Świt zabarwił niebo kolorami rózu i złota. Gwiazdy zgasły, gubiąc się w coraz jaśniejszym świetle dnia. Niebo było bezchmurne. Pagórkowaty krajobraz przeplatał ze sobą na zmianę zieleniące się szczyty, które błyszczały w słońcu, i maleńkie doliny tonące jeszcze we mgle. Niektóre ptaki śpiewały.

Pierwszy obudził się troll, a zaraz po nim mały elf, który ani na chwilę nie przestawał się rozwodzić nad jego pięknem, siłą i ogromem.

Malec skomentował okazałość fioletowych kitek, które troll miał pod szyją i na których osiadły krople rosy, teraz połyskujące w słońcu. Potem pochwalił jego pazury, które wyglądały niczym półksiężyc nocą w środku lata, oraz okrągły i czerwony nos, przypominający księżyc w pełni nocą w środku zimy. Następnie przemawiał długo na temat dobroci dwóch olbrzymich ludzi, którzy zamieniali nieżywe lub umierające drzewa w ciepły ogień albo kołyski, stoły i zabawki. Łzy wzruszenia zabłyśły w oczach trolla i stolarzy.

Jeden z dwóch olbrzymów sięgnął po swoją torbę, aby następnie zaproponować wszystkim śniadanie.

Myśliwy spojrzał na niego całkowicie zdezorientowany, wytrzeszczając oczy, jakby zobaczył ducha własnego ojca. Torba zawierała sześć kolb kukurydzy, co dawało astronomiczną cyfrę jednej całej kolby dla każdego, oraz kawałek uwędzonej szynki.

Yorshkrunsquarkljolnerstrink popatrzył na niego z cierpieniem w oczach i wydał z siebie cichutkie jęknięcie. Było to prawie nic w porównaniu z lamentem, do jakiego doszło na widok królika, ponieważ tym razem od odejścia stworzenia upłynęło zbyt dużo czasu, aby móc jeszcze poczuć jego ból i strach przed śmiercią.

- To znaczy, że możemy go sobie zjeść? - spytał myśliwy z nadzieją w głosie.

- Przenigdy! - odpowiedział zgorszony malec. Potem zwrócił się do trolla i dwóch drwali-stolarzy. - Wy na pewno nie chcieliście zjeść stworzenia, które było kiedyś żywe, prawda? Wy, którzy jesteście tacy piękni i dobrzy?

- Mmmmmmkto, my? - spytał jeden z olbrzymów.

- Mmmmmmmnie, my nie - potwierdził drugi.

- Ciekawe, skąd on się w ogóle wziął w tej torbie.

- My, piękni i dobrzy, my nie jeść tej rzeczy, co ty nie chceć - rzekł troll.

Myśliwy był coraz bardziej zdezorientowany i coraz bardziej wytrzeszczał oczy, tak jakby ta rozmowa, która dla malca, po wielu wcześniejszych absurdalnych była pierwszą, normalną rozmową,

jemu wydawała się dziwna.

Podczas gdy kolby kukurydzy opiekały się nad ogniem, mały elf wykopał w ziemi maleńki dołek i pochował w nim kawałek szynki. Następnie przykrył go ziemią i, wobec braku kwiatów, przyozdobił maleńki grób czerwonymi jagodami. Podczas całego tego obrządku myśliwy ani na moment nie przestawał wpatrywać się w szynkę. Miał wyraz twarzy kogoś, kto obserwuje pochówek bliskiego krewnego. Może kiedyś znał tę świnkę i wzruszył

się na wspomnienie o niej... W sumie nie był aż taki zły.

Nadzieja na jedną kukurydżę dla każdego okazała się płonna. Troll zjadł trzy kolby, olbrzymi po jednej, a mężczyzna, kobieta i malec podzielili się szóstą - i tak była to prawdziwa uczta.

Na koniec, kiedy słońce było już wysoko na niebie - prawdziwie złote słońce, które świeciło na prawdziwie błękitnym niebie - obie grupy pożegnały się i każda ruszyła w swoją stronę.

Mężczyzna, kobieta i elf szli przodem, a pies podążał za nimi. Towarzyszyło im światło jaśniejącego na niebie słońca. Na małej leśnej polanie znaleźli kawałek pergaminu zawieszony na drzewie. Informował on o krążących w okolicy dwóch niebezpiecznych bandytach, którym towarzyszył jeden z najbrzydszych trolli, jakiego kiedykolwiek widziano.

Obiecana była nagroda. Malec pomyślał, że mieli prawdziwe szczęście, że ich nie spotkali!

Wręcz przeciwnie, poznali dwóch drwali i najpiękniejszego trolla w całym wszechświecie!

To dziwne, że aż tyle trolli jest w okolicy.

- Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co się właściwie stało i dlaczego jeszcze żyjemy, i jesteśmy cali i zdrowi? - spytał myśliwy.

Sajra uśmiechała się. Miała mądry wyraz twarzy osoby, która właśnie coś zrozumiała.

- To, co jest w głowie małego elfa, wydostaje się z niej na zewnątrz i przenika do głowy tego, kto go słucha - wyjaśniła. - Kiedy Yorsh przez nas rozpacza, staje się nieznośny, a kiedy się boi, wpadamy w popłoch, ale mimo to dalej myślimy. Jeśli chodzi o... proste umysły, to, co mówi malec, jest jak powódź: zalewa całą głowę. On powiedział „piękny” i

„dobrzy”, a oni... jak by to powiedzieć... dostosowali się do tych definicji.

- Proste umysły? - zapytał Monser.

- Proste umysły - potwierdziła kobieta.

- Proste umysły - powtórzył znowu. Potem zatrzymał się nagle i uderzył dłonią w czoło. - Zapomnieliśmy o sznurze: był przywiązany do drzewa jako huśtawka. Zaczekajcie tu na mnie: pobiegnę z powrotem i go odzyskam.

Kobieta, malec i pies usiedli na słonecznej polanie. Słońce sprawiało prawdziwą radość.

Myśliwy popędził szybko jak wiatr. Dotarł na miejsce, w którym znajdował się ich prowizoryczny obóz, lecz grobowiec z szynką został już otwarty i opróżniony. Najwidoczniej nawet prostota prostych umysłów ma swoje granice: nie on jeden wpadł na pomysł

odzyskania pochowanego posiłku.

Zabrał swój sznur, zwinął go, schował do torby i ruszył w drogę powrotną.

Kiedy tak szedł, przypomniał sobie o przerwanej rozmowie.

O co chodziło w tej historii o przepowiedni?

Kiedy dołączył do nich na polanie, zapytał o to elfa.

Yorshkrunsquarkljolnerstrink poszukał w pamięci i wyrecytował:

- Kiedy woda zatopi ziemię, zniknie słońce, nastaną ciemności i chłód. Kiedy ostatni smok i ostatni elf przerwą krąg... słońce nowego lata zabłyśnie na niebie.

- I co to znaczy?

- Nie wiem.

- Babcia nie wspominała nigdy o deszczu? - spytała kobieta.

- Oczywiście, że o nim wspominała.

- I co mówiła?

- Mówiła: „Dzisiaj znów pada deszcz” albo: „Zakryj się dobrze, bo deszcz pada”, albo: „Nakrycia znów pleśnieją...” Raz powiedziała: „Dach przecieka...” Kiedy indziej: „Tutaj to przyjdą wreszcie mieszkać żaby”. Potem, kiedy po raz trzeci miałem katar... Opowiadałem wam już o tym, jak po raz trzeci miałem katar? To było wtedy, gdy śluz, który blokował mi nasek, zrobił się...

- Nie, nie, chodziło mi o to, czy babcia nie mówiła ci nigdy, dlaczego w ciągu ostatnich lat zrobiło się tak zimno i zaczęło tak dużo padać? Mówiła ci kiedykolwiek coś o tym, że prędzej czy później przestanie? Mówiła, czy można coś zrobić, aby przestało?

Mówiła coś takiego?

- A, coś takiego. Nie, nigdy.

- Jesteś pewien?

- Tak.



- No dobrze - odpowiedziała kobieta. - W takim razie co wiesz o smokach?

- Są duże, mają skrzydła, latają, mają trudny charakter, zwłaszcza odkąd ludzie zaczęli je tępić, i są strażnikami pradawnych sekretów świata, a jeśli chodzi o pismo runiczne, to one naprawdę potrafią je odczytywać, nie tak jak pewne znane mi osoby, których nie wymienię z imienia, a które biorą je za esy-floresy...

- Musimy znaleźć ostatniego smoka i ostatniego... - mężczyzna urwał w połowie zdania, jakby nagle wpadł na jakąś myśl. Spojrzał na malca i nie odważył się kontynuować.

- Ostatniego elfa - dokończył za niego malec. - Biedaczek! Ostatni elf. To musi być straszne być ostatnim elfem. Być zawsze jednym jedynym. Nie mówiąc już o tym, że to oznacza, że elfów już nie będzie. To okrutne. OKRUTNE. Na samą myśl robi mi się słabo.

Hej, tym sposobem będę mógł poznać innego elfa. Jak dotąd poznałem tylko siebie samego i babcię. A kiedy już go poznam, nie będzie ostatnim, bo będzie nas dwóch, i to będzie wspania...

Zapadła cisza. Długa cisza.

- *Ja* jestem ostatnim elfem.

Cisza. Długa cisza. Nagle zniknęło słońce i podniosła się mgła. Jakiś ptak wydał z siebie ochryplą krzyk. Kobieta pochyliła się i objęła malca, przyciskając go do siebie tak mocno, jak nigdy wcześniej.

- To tylko przepowiednia. Nie wiemy nawet, do jakiej epoki się odnosi. To może nastąpić za tysiąc lat... Może nie jest nawet prawdziwa: przepowiednie wcale nie zawsze się sprawdzają, przeciwnie...

Twarz malca przybrała ziemistą barwę. Jego zielono-niebieskie oczy straciły cały swój blask.

- Może nawet za dwa tysiące lat - potwierdził mężczyzna. - Może to nigdy nie nastąpi.

On także się pochylił, aby objąć malca.

Pozostali tak, przytuleni, zlewając się we mgle w jedną dużą figurę. Zaczął padać drobny deszcz. Nawet wtedy się nie poruszyli.

Dołączył do nich pies i teraz było ich już czworo, wszyscy przyciśnięci mocno do siebie pośród kropel padającego deszczu. Pierwsza poruszyła się kobieta.

- Możemy się schronić pod drzewami.

- Tu niedaleko jest wieża. Słyszę szum wody - jesteśmy blisko potoku, niedaleko od miasta Daligar. Za naszymi plecami jest rzeka. Wiem, gdzie jesteśmy. W tych stronach powinna znajdować się opuszczona wieża, na której rośnie drzewo - powiedział malec.

- Skąd to wiesz?

- Słyszę szum wody w potoku, a poza tym widziałem obrazek. Mówiłem wam. Wiem, gdzie jesteśmy.

- Jaki znów obrazek? O czym ty mówisz? - spytał myśliwy.

- Potem wam wytłumaczę. Teraz chodźmy poszukać miejsca, w którym będziemy mogli się schronić.

- Mały elf sprawiał wrażenie wyczerpanego. W jego oczach nie było już ani trochę blasku.

Z trudem pokonali kłujące krzaki jeżyn. Faktycznie, niedaleko znajdował się strumyk.

Woda była czysta, a brzegi porastała zielona i miękka trawa. Niedaleko od miejsca, w którym wydostali się z jeżynowych zarośli, rozciągała się mała polana, a na niej wznosiła się na wpół

zburzona już wieża. Jej szczyt porastał ogromny dąb.

Schronili się w jej wnętrzu. Główne pomieszczenie było nienaruszone i znajdowała się w nim nawet sterta prawie całkiem suchego drewna, które malec zdołał rozpalić, choć z wielkim trudem.

Myśliwy napełnił swój bukłak wodą, wystarczyło jej dla wszystkich. Potem mężczyzna złapał małego pstrąga i wyjaśnił elfowi, że nie mieli innego wyboru: albo śmierć rybki, albo ich własna, z głodu - jego, kobiety i psa.

Yorsh przytaknął. Pies pozostał tuż przy nim, zwinięty w kłębek, ciepły i cichy.

Mały elf oderwał się od swojej rozpaczki, aby znaleźć wreszcie imię dla psa. „Ten, który dochowa ci wierności”, mogłoby być dobrym imieniem. Ten, który nigdy cię nie opuści, nigdy cię nie zostawi, będzie zawsze przy twoim boku, gotowy za ciebie walczyć.

Może trzeba to tylko trochę skrócić. Dochowujący wierności, oddany... WIERNY. Wreszcie idealne imię. WIERNY: dochowujący wierności, oddany - oto właściwe imię. Mój wierny kompan, mój wierny pies. Idealne.

Znalazłszy wreszcie imię dla psa, malec z powrotem oddał się swojej rozpaczki. Został

tylko on. Pozostali - wytropieni, wypędzeni, wygnani, wyszydzeni, czasem powieszani, czasem po prostu pozostawieni na śmierć z głodu - nie żyli, wszyscy. Wszyscy wygnani z królestwa żywych. Nie było już nikogo poza nim. On był ostatni.

Mężczyzna i kobieta zjedli po pół pstrąga, czując się jak dwójka dręczycieli skulonych w jednym kącie, podczas gdy malec męczył się w kącie naprzeciwko. Myśliwy przyniósł mu parę znalezionych przez siebie grzybów, ale mały elf nawet ich nie tknął. Objął tylko psa, który skulił się w kłębek tuż przy nim. Następnie poprosił ludzi, aby wyszli, oddalili się od wieży i pochowali z godnością to, co zostało z małego pstrąga. Czując się w połowie jak najwięksi idioci, a w połowie jak najgorsi bandyci, jacy kiedykolwiek istnieli, Sajra i Monser wykonali polecenie.

Kiedy wrócili, malec wyszedł ze swojego kąta i wyciągnął spod żółtych ubrań zniszczony haftowany woreczek. Gdy odwrócił go do góry nogami, wypadły z niego kolejno: mały bączek z drewna, pomalowany w niebiesko-białe paski, małeńka książeczka, oprawiona w przetarty już granatowy aksamit, na którym wyhaftowane były srebrną nitką elfickie litery, oraz kawałek pergaminu, zwinięty i przewiązany sznureczkiem z niebieskiego aksamitu.

- Niebieski to kolor elfów - wytłumaczył malec. - Ale teraz jest dla nas zabroniony.

Nienawidzimy żółtego.

Ludzie przytaknęli.

Malec rozwiązał sznurek i rozwinął pergamin.

- Wiecie, co to jest? - spytał.

- Kawałek pergaminu.

- Tak, zgadza się, ale czy wiecie, co to za znaki?

- Rysunki? - zasugerował mężczyzna.

- Litery? - spróbowała zgadnąć kobieta.

- To mapa! Kiedy babcia kazała mi odejść, kazała mi również zabrać ze sobą książkę z wierszami i mapę. Książka z wierszami należała do mamy, a mapa - do taty. Mój tata był

podróżnikiem. Dlatego zginął. Elfom nie wolno przebywać poza Obozami dla Elfów. Kiedy tata próbował wrócić do domu, do Obozu dla Elfów, w którym mieszkaliśmy, ci, co strzegli naszego Obozu, złapali go i został skazany na śmierć. To dlatego nigdy nie poznałem mojego taty. To jest mapa całej drogi, którą już przebyliśmy i którą mamy jeszcze przebyć. Ale... nie umiecie odczytywać mapy? Ta jest prosta: nazwy są zapisane w języku elfickim i ludzkim.

Cisza. Malcowi przemknęła przez głowę przerażająca wątpliwość.

- Wy nie umiecie czytać! W ogóle nie umiecie czytać! Nie tylko starodawnych run, ale nawet dzisiejszego pisma!

Cisza. Mężczyzna wzruszył ramionami. Kobieta przytaknęła. To straszne.

Mały elf poczuł litość dla tej dwójki biedaków zagubionych w świecie, w którym nie ma nawet możliwości zapisywania słów. Zapamiętał sobie, że musi być dla nich cierpliwy.

Uprzejmy i cierpliwy, bo oni żyli w świecie, w którym słowa zagubiły się w czasie i pozostawały tylko w pamięci.

Malec objaśnił mapę: z jednej strony znajdowały się Góry Ciemności, a za Górami Ciemności - morze. Na dole, po lewej stronie, widniała liczna grupa domów otoczonych murami, między nimi przepływała rzeka - to Daligar, tak było tam napisane. Rzeka nazywała się Dogoń, to również było napisane na mapie. Strumyk, nad którym teraz się znajdowali, to ten tutaj strumyk bez nazwy, a nieopodal narysowana była wieża, nienaruszona, z rosnącym na niej małym dębem. Wieża, w której znajdowali się teraz, była na wpół zniszczona i rósł na niej olbrzymi dąb. Najwidoczniej odkąd przeszedł tamtędy jego tata, losy dębu potoczyły się dobrze, natomiast losy wieży już trochę gorzej, ale miejsce było z pewnością to samo. Nieco dalej strumyk z powrotem łączył się z Dogonem, rzeką Daligaru, i płynął dalej, poza Astrid, ostatnią wioskę oznaczoną na mapie, w stronę Gór Ciemności. Rzeka przepływała przez góry wzdłuż głębokiej doliny, która była na tyle wyraźnie narysowana na mapie, że dawało się nawet rozróżnić skałę górującą nad przełęczą. Przy skale znajdował się słupek dymu oraz napis, który głosił: HIC SUNT DRACOS, język trzeciej dynastii runicznej: „Tutaj są smoki”.

Za skałą, ponad rzeką widać było jeszcze jakiś dziwny rysunek.

Wystarczyło podążać za strumykiem, aby dotrzeć do rzeki. Wystarczyło podążać za rzeką, aby dotrzeć do smoka.

To on był ostatnim elfem.

To on musiał to zrobić.

- Skąd masz pewność? - spytała kobieta.

- To jest w moim imieniu. Moje imię to Yorshkrunsquarkljolnerstrink, a *nerstrink* znaczy po elficku „ostatni”.

- Może to nic nie oznacza. Może to tylko dźwięk jak każdy inny, który tak naprawdę nic nie znaczy. Ja mam na imię Sajra i tak samo nazywa się kwiat, który porasta mury mojej wioski, a przecież ja wcale nie jestem kwiatem.

- A co oznacza pozostała część imienia? - spytał mężczyzna.

- Wielki i wszechmocny.

- To na pewno tylko zlepek dźwięków - podtrzymywał mężczyzna.

- *Shk* oznacza stopień najwyższy.

- Co oznacza?

- To znaczy „najbardziej”. *Runsq* znaczy „duży”, a *uarkljol* „mocny”. Największy, najmocniejszy i ostatni, ten, po którym nie będzie już żadnego innego.

Malec wydał się odmieniony. Jego wielkie oczy lśniły zielenią i błękitem, dwoma kolorami elfów, jakby od wewnątrz rozświetlając mu twarz. Wydał się nawet trochę wyższy.

- Jutro wyruszamy - powiedział spokojnie. - Wyruszamy na poszukiwanie ostatniego smoka. Ja i on musimy przerwać krąg. Nie wiem, co to za krąg. Nie wiem, co to wszystko oznacza, ale gdy już do tego dojdzie, wróci słońce.

Potem malec podniósł wzrok i rozejrzał się. Otaczały go mury starej wieży.

- Mój tata był tutaj - powiedział wzruszony. Spoglądał długo na stare kamienie i musnął je delikatnie dłonią. - Mój tata też dotykał tych kamieni - dodał. Potem znów popatrzył na mapę. - Na mapie jest taki dziwny rysunek, tak jakby wskazywał coś, co znajduje się jeszcze niżej, pod ziemią.

Istotnie, rysunek wskazywał coś, co znajdowało się jeszcze niżej, pod ziemią.

Pokazywał, że wieża ciągnie się pod ziemią, pod ich stopami. Sterta drewna skrywała mały właz, który prowadził do ukrytej małej celi, gdzie pozostawione zostały szpada, siekiera i łuk.

Wszystko to inkrustowane było srebrem układającym się w jedyne w swoim rodzaju elfickie litery. Do łuku dołączone były w kołczanie trzy strzały, również pokryte dookoła srebrnymi spiralami tajemniczych słów.

- Jak miał na imię twój ojciec? - spytał mężczyzna, kiedy już udało mu się odzyskać głos.

- Gornonbenmayerguld.

- I co to znaczy?

- „Ten, który odnajduje drogę i wskazuje ją innym”.

W kołczanie znajdował się także woreczek z niebieskiego aksamitu, zawierający trzy sztuki złota.

- Twój tata zostawił ci prawdziwy spadek - stwierdził mężczyzna.

Mały elf poczuł się nagle mniej osierocony. Jak gdyby samotność była murem ze szkła, na którym po raz pierwszy pojawiły się zarysowania i pęknięcia.

Był ostatnim z wytępnionego rodu, lecz z przeszłości docierała do niego odrobina uczucia, którego odmawiała mu teraźniejszość.

Jego palce wodziły tam i z powrotem po przedmiotach, które dla niego wykonano i jemu pozostawiono.

Ktoś darzył go miłością, gdy je wykonywał, gdy mu je pozostawiał.

Miał nadzieję, że Śmierć jest miejscem, z którego tata mógł go zobaczyć.

O świcie podniosła się mgła. Ruszyli dość szybkim krokiem wzdłuż strumienia. Po kilku godzinach zaczęła padać drobny deszcz, który nie przeszkodził im jednak w wędrówce.

Przed południem ich oczom ukazała się rzeka. Krzaki jeżyn ustąpiły miejsca wielkim kasztanowcom, co oznaczało szybki marsz o pełnym żołądku. Jedli kasztany na surowo, nie chcieli tracić czasu na ich gotowanie.

Rzeka poszerzyła się. Niebo pojaśniało. Deszcz przestał padać. W zakolu rzeki natknęli się na grupkę trzech domów, obok których znajdowało się pole kukurydzy i winnica.

To musiała być Astrid, ostatnia zaznaczona na mapie wioska. Były tam łąki i las kasztanowców, a za nimi wznosiły się wzgórza. Góry Ciemności znajdowały się już niedaleko. Między domami rozłożone były kratki, a na nich, nad dużym miedzianym kotłem, opiekął się tuzin pstrągów.

Dookoła domów rosło sporo jabłoni, które ugiwały się pod ciężarem jabłek. Na środku zakola rzeki, przywiązane grubymi linami do grubych pali, unosiły się, kołysane przez prąd, trzy małe łódki. Pośród łąk i kasztanowców pasło się kilkanaście dorodnych owiec i kilka kóz. Każdy z domów miał komin, z którego wydobywał się dym.

- Zanim nadeszły te niekończące się ulewy, cały świat musiał być taki bogaty i piękny

- powiedziała Sajr.

Mieszkańcy - kilkanaścioro mężczyzn i kobiet, plus nieokreślona liczba dzieci -

zgrupowali się, aby wyjść im naprzeciw. Mieli na sobie ubrania z grubej wełny, naturalnej lub w kolorze indygo. Spojrzeli na żółtą tunikę malca i na elficki łuk, który niósł myśliwy, lecz nie okazali na ich widok ani strachu, ani wrogości.

Myśliwy przemówił pierwszy. Grzecznie wszystkich powitał, przedstawił się i spytał, czy możliwe byłoby kupno jedzenia, jednej łodzi oraz ubrań.

Nie odpowiedzieli od razu. Po długiej naradzie człowiek, który wydawał się najstarszy z całej grupy - wysoki, z krótką białą brodą - zasięgnął informacji na temat formy zapłaty.

- Kawałek prawdziwego złota - zaproponował myśliwy.

Wtedy przystąpiono do niekończących się pertraktacji. Nic nie dało się zrobić: starzec zażądał wszystkich trzech monet. Myśliwy musiał ustąpić.

W końcu dobito targu. Wybrana łódź była mała, ale solidna. Myśliwy zapakował na nią bukłak koziego mleka, jeden duży wór jabłek, jeden mniejszy kukurydzy i dwa, jeszcze mniejsze, wypełnione uwędzonymi pstrągami i rodzynkami. Potem kupił Yorshowi tunikę, parę spodni i duży wełniany płaszcz w kolorze indygo, aby mógł się wreszcie uwolnić od swoich podartych, szorstkich żółtych

szmatek.

Yorsh rozpromienił się, gdy ujrzał nowe ubranie.

- Tamten elf też był ubrany na niebiesko - powiedział starzec. - Ten, który przechodził

tędy kilka lat temu i sprzedał nam za te same trzy sztuki złota kocioł dostatku i zgody.

- Co takiego?

- Kocioł dostatku i zgody - wyjaśnił starzec, wskazując na kocioł, nad którym wędziły się ryby. Był to dziwny kocioł, jakby z podwójnym dnem, w którym znajdował się drobny węgiel drzewny. W jego górnej części zrobione były dziury, a z nich wydobywał się dym. -

Dopóki kocioł działa, nie grożą nam nędza ani kłótnie. Deszczu pada tyle, ile trzeba, a odkąd przeszedł tędy elf, nie dochodzi do bójek. Wcześniej zdarzały się co najmniej trzy w ciągu dnia. I wcale się dobrze nie kończyły - w tych stronach wszyscy nie najgorzej posługujemy się nożami. To były dokładnie te same sztuki złota. Pierwsza trochę bardziej owalna, a druga spłaszczona z jednego boku. Mały elf to jego syn, zgadza się? Cóż, interesy z wami to przyjemność. Nie tylko odzyskaliśmy złoto z naszej wioski, ale jeśli wy także przynosicie zgodę i dostatek, to cieszymy się, że mogliśmy wam pomóc.

- Nie sądzisz, że odzyskanie jednego z tych trzech kawałków złota pomogłoby nam jeszcze bardziej?  
- zaryzykował myśliwy.

- Na pewno jesteście na tyle dzielni, że poradzicie sobie również bez niego - odparł

pogodnie starzec. - Lekcji o prawach handlu i pertraktacji udzielił nam tamten elf, zanim sobie poszedł. Był naprawdę wyjątkową istotą.

Podróż łódką okazała się wspaniała. Wystarczyło tylko leżeć na plecach, jako że prąd rzeki unosił łódź we właściwym kierunku, wykonując za nich całą pracę. Poza tym łódka, rozkosznie wygodna, wyposażona była w małe zadaszenie, które chroniło od deszczu, oraz w żelazny koksowy piecyk, w którym mogli rozpalać ogień, aby ogrzewać sobie stopy lub opiekać kolby kukurydzy. Rano i wieczorem schodzili na ląd, aby pozwolić wybiegać się psu i nazbierać suchych pędów i drewna. Brzegi miejscami były kamieniste, miejscami pokryte delikatnym piaskiem, ale zawsze tak samo łagodne i opustoszałe. Po raz pierwszy w życiu ich dotychczas nieodłączny towarzysz podróży - głód - opuścił ich. Mały elf pozwolił nawet trzem mięsożercom zjeść kilka kęsów uwędzonego pstrąga.

Z każdym dniem byli coraz bliżej gór i coraz bardziej wydłużała się część dnia, którą spędzali w cieniu ich szczytów. Yorsh siedział w milczeniu blisko piecyka, trzymając w ręku swoją książeczkę.

- Twój tata musiał władać niezwykle silną magią - powiedział któregoś ranka Monser.

- Babcia twierdziła, że nie. Magia nie jest taka sama u wszystkich: niektórzy mają jej mniej, inni więcej. Babcia mawiała, że tata był zdecydowanie najmniej magicznym elfem, jakiego kiedykolwiek знаła. Mówiła, że jedyne, co potrafił zrobić przy użyciu swojej magii, to rozpalić ogień. I to tylko



przy sprzyjających warunkach i wietrze, który wiał w odpowiednią stronę. Za to babcia potrafiła nawet zgotować wodę bez pomocy ognia i uleczyć kurzajki ziołami.

- A więc jak twojemu tacie udało się uczynić to miejsce bogatym i spokojnym? Jak zdołał zmniejszyć ilość padającego deszczu?

- Nie wiem. To wszystko nie ma sensu!

Teraz cień otaczał ich ze wszystkich stron. Rzeka płynęła spokojnie środkiem ogromnego wąwozu.

Niebo nad ich głowami stało się korytarzem biegnącym równolegle do rzeki, między dwoma ścianami spadających pionowo w dół skał. Ich wysokość przyprawiała o zawrót głowy.

W górze, na wyższej z dwóch ścian, można było dostrzec stos głazów, który wyglądał

jak jeden ze szczytów, ale równie dobrze mógł być budowlą. Unoszący się ponad nim ogromny słup dymu oraz wyryty pod spodem wielkimi literami napis: Hic SUNT DRACOS

nie pozostawiała wątpliwości. Tutaj są smoki. Pismo drugiej dynastii runicznej. To ten napis wskazywał malec.

Nurt rzeki był szybki, ale dzięki wiosłu mężczyzna zdołał zbliżyć łódź do brzegu i zacumować, zaczepiając linę o ostry występ skalny. Lina napięła się, łódź obróciła się gwałtownie i skręciła minawszy skałę. Jej dziób wbił się w nabrzeżny krzak. Ukryta była za nim maleńka plaża, długa na niewiele więcej niż jedną lub dwie stopy. Była to jedyna przystań w całym wąwozie i prowadziła do wąziutkich, bardzo stromych schodów, wykutych w jasnej skale.

Malec wyciągnął swoją mapę i spojrzał na nią.

- Wiem już, co oznacza ten dziwny rysunek za rzeką: to wodospad. Słyszę jego hałas.

Nie możemy zawrócić, a przed sobą mamy wodospad. Tak więc pozostają schody!

Ruszyli. Stopnie były wąskie i strome. W niektórych miejscach już się obsunęły, a w innych porastający je mech sprawił, że stały się śliskie i łatwo było stracić równowagę. Po pierwszych godzinach wspinaczki pojawiło się słońce. Wspięli się wystarczająco wysoko, aby zobaczyć wodospad - pionową ścianę wody mieniającą się w słońcu kolorami tęczy.

Wspinaczka stawała się coraz bardziej męcząca. Zatrzymywali się o wiele częściej. Kiedy dotarli wreszcie na szczyt schodów, było już wczesne popołudnie. Za Górami Ciemności rozciągała się szeroka równina, a za równiną - długie pasmo błękitu, które linia horyzontu oddzielała od nieba. Morze! Spoglądali na morze! Mały elf odzyskał odwagę. Opuściło go nawet zmęczenie. Zobaczył morze, tak jak jego tata. Ponad nim wznosił się napis: Hic SUNT DRACOS

Potem droga skręcała i dochodziła do kamiennego wzniesienia, które - teraz było to już wyraźnie widać - okazało się ogromną skałą wydrążoną w środku, tworzącą coś na kształt budowli. Jej wierzchołek zniknął pośród gęstej warstwy nisko zalegających chmur.

Udało mu się. Doszedł na miejsce.

Mężczyzna trzymał w ręku napięty łuk, przygotowany do wystrzelenia strzały.

Kobieta ścisnęła w dłoniach małą siekierę. Nawet pies wydawał się niespokojny i węszył ostrożnie wokoło.

Malec wszedł na sam szczyt. Znajdowały się tam ogromne drzwi otoczone po bokach napisami. Tym razem były to litery pierwszej dynastii runicznej.

- Co tam jest napisane? - spytał mężczyzna. Elf zaczął odszyfrowywać wyrazy.

Ogarniały go jednocześnie przerażenie i radość. Oto jego los miał się wypełnić. Jego przeznaczenie było tuż przed nim.

- Proi... betur proibetur... sputaz... zel... lis. Zabrania się plucia.

- Zabrania się plucia? To niemożliwe. Jesteś pewien?

- Tak. - Yorsh także był zdumiony.

- Zaraz, zaraz, przebyliśmy pół świata, prawie zdarliśmy płuca na tych przeklętych schodach...

- Schody wcale nie były takie straszne! - przerwał malec.

- Nie były straszne, bo niosłem cię na rękach! Chcesz powiedzieć, że pokonałem więcej schodów niż jest kropli w morzu tylko po to, żeby tu przyjść i przeczytać, że zabrania się plucia?! Czy nie miało tu być jakiegoś kręgu, przyszłości, słońca nowego lata? Zobacz, czy jest tam poza tym coś napisane. Tam są jeszcze jakieś inne bohomy.

- Zabrania się plucia, biegania, rozsypywania okruszyn i głośnego mówienia -

potwierdził elf. - Przed wejściem do środka obowiązkowe jest umycie rąk - dodał.

W tym momencie drzwi się otworzyły i pojawił się smok.

Smok wyglądał na znudzonego. Był naprawdę stary i choć niełatwo jest określić wyraz twarzy smoka - zwłaszcza jeśli jest on bardzo stary i spotyka się go po raz pierwszy -

to nie ulegało wątpliwości, że był wyjątkowo znudzony.

Ogromne, drewniane drzwi - wysokie niczym pół tuzina trolli stojących jeden na drugim - otworzyły się z imponującym hałasem, odsłaniając wnętrze ogromnej sali, w której wystające z góry i z dołu stalaktyty i stalagmity spotykały się ze sobą, tworząc niekończący się labirynt cieni i światła. Smok stał na środku. Światło padało z góry, przenikając przez dziesiątki małych okien, w których funkcję okiennic spełniały cienkie tafle bursztynu, nadając całości złocistą poświatę.

- Jakież to zło przygnało was, nierozważni przybysze, aż pod me progi, gdzie bezwstydnie zamęt czynicie i ciszę tych miejsc spokojnych zakłóćacie?

Głos smoka poniekąd ich zaskoczył. Zadrżeli. Potem popatrzyli po sobie, starając się ustalić, kto spośród ich trojga powinien odpowiedzieć.

Monser pierwszy odważył się przemówić:

- Otóż, wielmożny panie, ja jestem człowiekiem, a on elfem...

- Nikt na tym świecie nie jest idealny - stwierdził wielkodusznie smok, który nie wydawał się poruszony tą informacją. - Nie wszystkie stworzenia mogą urodzić się jako smoki, która to postać jest najlepszą, jaką kiedykolwiek stworzyła natura - podsumował

wyrozumiale.

Myśliwy zmieszal się na moment. Przełknął jednak ślinę, wziął głęboki oddech i zaczął od nowa:

- On, to znaczy mały elf, na imię ma Yorshkrunsquarkljolnerstrink.

Tą informacją smok również nie wydawał się poruszony.

- Napisane jest wyraźnie, że zabrania się plucia - orzekł.

- Nie splunąłem. To jest jego imię. Jego ojciec nazywał się Gornonbenmayerguld.

- Każdy nosi imię, jakie zostało mu nadane - odparł smok, wykazując coraz mniejsze zainteresowanie.

Zapadła krępująca cisza. Los wydawał się niepewny, a przeznaczenie musiało najwyraźniej zgubić się gdzieś po drodze.

Yorshkrunsquarkljolnerstrink spróbował ponownie nawiązać rozmowę:

- Odczytaliśmy pewną przepowiednię, która mówiła o was, głu-pe... mmm... nie, ekscelencjo.

- Któż jest autorem tej przepowiedni?

- Ludzie z drugiej dynastii runicznej. Odkryliśmy ją w mieście Daligar.

- Trudna niezwykle jest sztuka przepowiadania przyszłości i nigdy nie zdarzało się, aby ludzie przepowiedniom zawierzali, a za głupca zawsze uważany był ten, który bohomazom na murze zaufał. Teraz, wielmożni państwo, proszę, abyście mojego spokoju dalej nie zakłócali, przez co chciałem powiedzieć, że macie sobie po prostu stąd pójść -

zakończył smok.

Drzwi zamknęły się z powrotem. Trzask był tak wielki, że kilka małych kamyków sturlało się na dół ze szczytu, a oni musieli szybko uskoczyć w bok. Potem znów zaległa cisza.

- Jak on do licha mówi? Co on w ogóle powiedział? - spytał Monser.

- Powiedział, że przepowiednia to głupota i że mamy sobie pójść - przetłumaczył zmęczonym głosem malec.

Opadł bezwładnie na duży kamień. Pies podszedł do niego i polizał go po twarzy.

Nawet mężczyzna był jak skamieniały. Kucnął na ziemi, obejmując głowę rękami.

Kobieta stała zamyślona.

- Skąd wiedział, że przepowiednia była napisana na murze? - spytała w końcu. Jako jedyna wciąż stała. - Bardziej prawdopodobne byłoby stwierdzenie, że została zapisana na pergaminie, drewnianej tablicy, tarczy czy ikonie - przedmiotach, na których normalnie się coś zapisuje.

Sajr schyliła się, podniosła kamień i cisnęła nim z całej siły w drzwi.

- Hej, ty! - krzyknęła na całe gardło. - Otwórz z powrotem te drzwi, jak nie chcesz, żebyśmy ci je wyważyli kamieniami!

- Oszalałaś? Chcesz zginąć? - spytał myśliwy.

- Nie, wprost przeciwnie, nie chcę zginąć. Jesteśmy na szczycie góry, do której można dotrzeć tylko rzeką, a ta płynie zbyt szybko, aby móc wrócić pod prąd, i zmierza w stronę najbardziej przerażającego wodospadu, jaki można sobie wyobrazić. Jeśli jest stąd jakieś inne wyjście, to tylko przez jamę tego czegoś, więc warto spróbować, albo inaczej zostaniemy tu już na zawsze i wreszcie zjedzą nas kruki. Poza tym teraz już nie można zawrócić. Doszliśmy aż tutaj i musimy w jakiś sposób stawić czoło smokowi.

- Nie będzie się musiał specjalnie wysilać, aby rozszarpać nas na kawałki! Wystarczy, że lekko nas

szturchnie!

Kobieta nie posłuchała go. Znowu odwróciła się w kierunku drzwi i tym razem zadała im cios elficką siekierą. Ze wszystkich stron poleciały drzazgi.

- Hej! - krzyknęła znowu. - Do ciebie mówię!

Drzwi ponownie się otworzyły, tym razem na szerokość palca.

- Jak śmiałaś... - zaczął smok.

- Ty też wiedziałeś o przepowiedni, prawda? - przerwała mu Sajra.

- Coś słyszałem - przyznał ogólnikowo smok - lecz to żadnego nie ma znaczenia.

- Boisz się? - spytała kobieta. - Jest w naszym przybyciu coś, co cię przeraża; coś, co może cię narazić na niebezpieczeństwo? Coś, o czym my nie wiemy? To byłoby dziwne, że nie jesteś ani trochę ciekawy.

- To *byłoby* dziwne, jeśli nie *byłbyś* ani trochę ciekawy - poprawił odruchowo malec.

Kobieta zmierzyła go piorunującym wzrokiem.

- To *byłoby* dziwne, jeśli nie *byłbyś* ani trochę ciekawy. I co się stało z tą legendarną gościnnością smoków? Nie zaprosiłeś nas nawet do środka!

- To przez mój szacowny wiek - zaczął się usprawiedliwiać smok. - A do tego ten ból, który sprawiają mi kości łap moich...

- Nie bój się - powiedziała kobieta.

- Nie bój się? - mruknął myśliwy. - Niby kogo? Nas? Wystarczy, że kaszlnie, a skończymy jak kolby kukurydzy nad rozżarzonym węglem.

Nastąpiło długie milczenie.

- Czy wy nic nie rozumiecie? On jest stary, samotny i stracił już swoją moc. To on boi się nas. Czy nic do was nie dociera? - Kobieta była naprawdę zirytowana. - Nie bój się -

powtórzyła, zwracając się do starego smoka.

Znowu długa cisza. Słysząc było jedynie dobiegający z daleka hałas wodospadu.

Potem smok się rozplakał. Nastąpiła długa seria spazmatycznych szlochów, które przeszły w skomlenie przestraszonego szczeniaka.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego smoki wyginęły - mruknął Monser.

O mały włos dostałby kopniaka wymierzonego w jego goleń. Wreszcie drzwi całkiem się otworzyły.

Sala była ogromna. Między stalaktytami i stalagmitami welony pajęczyn przesiewały przechodzące przez bursztynowe okiennice światło, nadając całemu wnętrzu magiczny wygląd. W środku było duszno. Całe pomieszczenie wypełniał gęsty dym, a podłogę pokrywały bujne pnącza złocistego groszku, które wspinały się również po ścianach sali. W

głębi znajdowała się niezliczona ilość innych wejść, które ukazywały inne sale, również wyścielone mnóstwem welonów miękkich pajęczyn, pośród których wirowały spirale dymu, a dookoła pięły się gęsto strąki groszku.

- Skąd wydobywa się ten dym? - spytał mały elf.

Lamenty smoka przybrały na sile, a stalaktyty zaczęły drżeć z powodu coraz ostrzejszych pisków. Myśliwy rozglądał się wokoło zaniepokojony. Również kobieta, po raz pierwszy odkąd weszła do groty, wydała się wystraszona. Problem rozwiązany został przez psa: zbliżył się do smoka i polizał go, skomląc łagodnie, tak jak to robią psy, gdy kogoś pocieszają. Smok przestał płakać. Podniósł powoli swoją dużą głowę. Długo się sobie nawzajem przyglądali. Pies merdał ogonem. Smok zaczął się uspokajać. Znów normalnie oddychał. Stalaktyty przestały drżeć.

Dochowujący wierności. Oddany. Na miejscu zawsze, gdy się go potrzebuje. Wierny -

to z pewnością było idealne imię dla psa.

Mały elf zaczął się przechadzać po grocie i rozglądać wokoło. Wszystko wydawało się takie niezwykle. Smok był olbrzymi. Łuski na jego ciele układały się w skomplikowane i wspaniałe spirale w kolorach różu i złota, w niektórych miejscach już nieco przetarte, gdzieniegdzie nawet poszarzałe. Wielu brakowało, w ich miejscu pojawiły się stare rany, tworzące głębokie bruzdy, w których spokojnie znikłaby cała ręka. Szpony u jego łap musiały być kiedyś ogromne, ale teraz były zdarte i rozplaszczone. Głowa smoka spoczywała na jego przednich łapach, a gdy tylko ją podnosił, wstrząsało nią lekkie drżenie.

Był już starcem.

Biednym stworzeniem, które nie miało sił.

Kobieta miała rację!

Yorsh wciąż przechadzał się po grocie. Zbliżył się do miejsca położonego w głębi jaskini.

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Pod ich stopami znajdował się olbrzymi krater, z którego, z błyskawiczną prędkością, wydobywał się dym. Gęsty słup wydostawał się na zewnątrz przez równie olbrzymią dziurę na szczycie jaskini. To był wulkan! Dymiący wulkan! Babcia mówiła mu o nim.

Yorsh przypomniał sobie to popołudnie, kiedy babcia opowiedziała o gorącym sercu świata; o wulkanach i trzęsieniach ziemi. Jako że już od dawna nie posiadali pergaminu, wykonała rysunki na

ubitej ziemi stanowiącej podłogę ich chaty i pokazała mu na nich, jak gorące serce świata dostarcza wulkanom ciepła. Poza tym nad płomieniem świeczki ogrzała gąsiorek do połowy wypełniony wodą i zaprezentowała mu, jak ciepło wyrzucą zatykający go korek w powietrze, czemu towarzyszyło małe chlup i obłok dymu. On pękał ze śmiechu i babcia też się śmiała, a potem wyciągnęła skądś trzy orzechy, które przechowywała na specjalną okazję i powiedziała, że kiedy ktoś się śmieje, to jest specjalna okazja. To był dobry pomysł, bo później nie mieli już więcej orzechów, a poza tym babcia i tak już nigdy więcej się nie śmiała, więc nie było już czego świętować.

Malec otrząsnął się ze wspomnień i spojrzał na słup dymu, który miał przed sobą.

Wiedział, co to było: długi szyb, połączony z gorącym sercem świata, środkiem Ziemi, gdzie wciąż płonął jeszcze prastary ogień, z którego zrodziło się życie. To nie był wulkan lawy i wulkanicznych skał. To był wulkan dymu. Prastare podziemne rzeki napotykały ciepło i zamieniały się w parę, która wznosiła się i wznosiła, dopóki nie wydostała się z ziemi pod postacią chmury. Oto dlaczego wielka chmura otaczała ciągle szczyt góry! Rodziła się z góry.

A właściwie ze środka Ziemi, przechodząc tylko przez górę. Potem para docierała do nieba i tam uwalniała się, rosnąc do tego stopnia, że aż zasłaniała gwiazdy. Chmury. Nic tylko chmury i chmury. Gwiazdy zasłonięte na wiele lat. Chmury i nic tylko chmury. Deszcz i nic tylko deszcz.

- To jest wulkan, prawda? - Wydawało się, że mały elf nagle odzyskał głos. - Wulkan, z którego wydobywa się dym. Dym dociera tu ze środka Ziemi, tędy wychodzi, wznosi się i zasłania niebo, a potem staje się chmurą, która staje się deszczem.

Popatrzył na pozostałych. Jego twarz się rozpromieniła - teraz już wiedział.

- To dlatego jest tak ciemno i pada deszcz! - wyjaśnił rozradowany. - Wystarczyłoby przesunąć tutaj ten ogromny kamień i zablokować nim dziurę, a wszystko byłoby znów jak dawniej. Słońce i deszcz - na zmianę. Tak w ogóle, to ten kamień wygląda jakby był

stworzony do tego, aby zęza... jak to się mówi? A tak: zążyć się z kraterem. Ma wypukłości i wgłębienia, które pasują do siebie.

Mały elf chodził dookoła olbrzymiego krateru i olbrzymiego kamienia, wciąż je oglądając.

- Hej, one dokładnie do siebie pasują! Nawet bruzdy w kamieniu się zgadzają!

Nagle zaniemówił. Jego naukowe zainteresowanie ustąpiło miejsca oburzeniu.

- Ten kamień leżał tu wcześniej i zatykał krater. To ty go przesunąłeś!!! - krzyknął do smoka. - To ty otworzyłeś wulkan! - Teraz głos małego elfa zdradzał prawdziwe oburzenie. -

Jak mogłeś zrobić tak głupią rzecz? To nas kosztowało lata błota i deszczu! To nas kosztuje lata błota i deszczu.

- Następny specjalista od dyplomacji - mruknął Monser. - Usuńcie się chociaż sprzed jego paszczy - powiedział do pozostałej dwójki. - Nie rozumiecie, że jeśli splunie, to wszyscy skończymy jak na

roźnie?

Smok nie wydawał się zainteresowany tą propozycją. Najwidoczniej smoki są straszne tylko za młodu, a ten wyglądał na bardzo starego. Bardzo starego, bardzo zmęczonego i zrozpaczonego. Znow zaczął jęczeć i skomleć. Kilka stalaktytów niebezpiecznie zadrżało.

Pies zaskomlał także, starając się go pocieszyć.

Kobieta zachowała spokój. Zbliżyła się do smoka i odważyła się nawet musnąć dłonią jego łapę.

- To nic, nic się nie stało, nic się nie stało, teraz wszystko naprawimy - zaczęła go uspokajać. - Nie bój się. Musisz nam tylko wszystko dokładnie wytłumaczyć, bo inaczej nic nie zrozumiemy. Wytłumacz wszystko od samego początku.

Łkanie zaczęło powoli ustawać. Stalaktyty przestały drzeć. Smok pochlipał jeszcze chwilę, a potem rozpoczął swoją historię.



- Odkryłem to miejsce dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem - zaczął smok.
- Szczeniakiem - sprostował myśliwy.
- Urodzonym niedawno - poprawił malec.
- To było w czasach, kiedy jeszcze miałem imię. Teraz wyleciało mi ono z pamięci, jako że już od wieków nikt go nie wypowiadał. Przybyłem tutaj, ponieważ to właśnie w tym miejscu znajduje się najcenniejszy skarb tego świata - kontynuował smok.
- Naprawdę? - spytał Monser, wyraźnie zainteresowany. - Skarb? A gdzie on jest?
- Wszędzie, wokóło.

Myśliwy rozejrzał się wokóło. Zobaczył jedynie stalaktyty i pajęczyny.

- Za czasów drugiej dynastii runicznej pająki uważane były za cenne? - spytał

rozczarowany.

- Patrz i podziwiał - powiedział smok. Nabrał powietrza i delikatnie dmuchnął. Wieki kurzu i pajęczyn wzbiły się w powietrze, odsłaniając miliony książek. - To była wielka biblioteka drugiej dynastii runicznej. Była to prawdziwa świątynia wiedzy i wszyscy zachowywali się tutaj tak, jak przystoi zachowywać się w świątyniach - nic nie mówili i nie spluwali, mieli umyte dłonie i czyste obuwie. A dla zupełnej pewności, by każdy zachowywał

się odpowiednio, od zawsze przebywały tu smoki i dlatego umieszczono na zewnątrz napis głoszący, że tu znajdują się smoki. Kiedyś była to największa skarbnica wiedzy. Potem ludzie zapomnieli, jak się czyta i jak wygląda pismo. Świat zatracił się w barbarzyństwie. Nawet wspomnienie o tym miejscu uległo wreszcie zatarciu. Wielu nigdy nie uwierzyło w jego istnienie, lecz ja, dzięki skrzydłom moim, wreszcie je odnalazłem. I gdy tutaj dotarłem, radość ma była ogromna. Miałem dla siebie wszystkie księgi świata. Do tej pory, na samo wspomnienie, łza kręci mi się w oku. Kiedy poczułem, że starość się zbliża i że siły mnie opuszczają, tak że ogniem nie mogę już zionąć, skrzydeł rozłożyć ani nawet własnego imienia sobie przypomnieć, wtedy tutaj przybyłem i tutaj postanowiłem pozostać. Byłem zbyt zmęczony, zbyt stary, by latać. Na dnie mojej torby miałem tylko garść złotego groszku, który daleko stąd zebrałem, w miejscu, gdzie słońce mocno świeci i deszcz obficie pada. To on z głodu mi umrzeć nie pozwolił, lecz by go uprawiać, więcej ciepła i więcej wody potrzebowałem, niż na szczycie tej góry znaleźć mogłem.

A góra ta jest wulkanem. Przesunąłem więc ten wielki kamień i przyjemne ciepło oraz delikatny dym kości me i groszek ogrzewają, dzięki czemu kości nie bołą, a groszek rośnie wybornie. Od razu jednak strach mnie naszedł, że cały ten dym, który ku niebu się wznosił, słońce zaciemnia i Ziemię oziębia, lecz zbyt wielkim to dla mnie wyrzeczeniem było, by krater na powrót przykryć i tak tu zamkniętym pozostać, zimno i głód cierpiąc.

- Ale przez ciebie panują głód i bieda! - powiedział oburzony malec, podczas gdy myśliwy starał się go usunąć sprzed nozdrzy smoka.

Smok znów zaczął swój lament. To było spokojne, prawie niedosłyszalne zawodzenie.

Stalaktyty pozostały na swoich miejscach.

- Czy wszyscy, których spotykamy, spędzają cały swój czas na płakaniu? - spytał

Monser.

- Nie, wcale nie wszyscy - odparła wesoło kobieta. - Tylko ci, którzy nie spędzają go na staraniach, aby nas powiesić.

- Czy możesz położyć ten duży kamień z powrotem na miejsce? - spytał Yorsh stanowczym, lecz uprzejmym tonem.

- A potem umrę z zimna, osłabienia i głodu?

- Nie - odpowiedział odważnie elf, coraz spokojniejszy i coraz pewniejszy. - Ja nie pozwolę ci umrzeć. Nigdy. Przysięgam, że zostanę tu z tobą na zawsze i będę cię żywił. Będę ogrzewał to miejsce, paląc wiązki chrustu, który zbiorę w lesie. Jeśli groszek już tutaj nie wyrośnie, posadzę kukurydzę. Będę cię karmił i ogrzewał. Przysięgam na honor elfa.

Zapadła długa cisza. Yorshkrunsquarkljolnerstrink był spokojny i poważny. Sprawiał

wrażenie wyższego. Smok pierwszy przerwał ciszę.

- Stary już jestem bardzo i bardzo słaby. Nie potrafię już latać, nie potrafię już ziać ogniem. Jeśli mnie oszukujesz, nic innego jak śmierć mnie nie czeka - umrę zmarznięty i o pustym żołądku.

Położył się, kładąc swoją wielką paszczę na ziemi.

Zamknął oczy.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

Yorshkrunsquarkljolnerstrink zbliżył się do smoka. Położył mu dłoń na czole.

Przemknął opuszkami palców po dużych pomarszczonych łuskach na ciele smoka. Bezkresne zmęczenie. Malec poczuł je w swojej głowie, poprzez dotyk. Całkowite, absolutne zmęczenie.

- Będę cię chronił przed wszystkim - powiedział. - Ale teraz przywróć wszystko do porządku.

Smok przytaknął. Przyłożył paszczę do ogromnego kamienia i popchnął go ze wszystkich sił.

Kamień przesuwiał się powoli, odrobinę za każdym popchnięciem, lecz przed wieczorem krater był

zatkany.

Myśliwy i malec pomogli. Kobieta upiekła groszek z kukurydzą. Zapach ciepłego dymu i dobrych rzeczy do jedzenia rozszedł się po całej jaskini. Pies ułożył się wygodnie na miękkim jak aksamit dywanie z liści groszku i drzemał spokojnie.

Yorsh zaczął mówić. Po raz pierwszy w swoim życiu czuł się silny, wiedział, co, dlaczego i jak powinien zrobić.

- Zostanę tu z tobą i będę chodził szukać ci czegoś do jedzenia - obiecał malec. -

Smakują ci kolby kukurydzy? Tak? Dobrze. Mam kilka w kieszeni. Zanim zjemy do końca groszek, zasadzimy ziarna i urządzimy tu, naprzeciwko, pole kukurydzy. Ona rośnie nawet bez ciepła i bez dymu. A potem będziemy czytać. Zobaczysz, będzie wspaniale. Myślę, że to jest właśnie ten krąg, który musimy przerwać: woda staje się dymem, który staje się chmurą, która staje się deszczem, który staje się wodą. Teraz krąg został przerwany: ja zostanę z tobą i nie pozwolę ci umrzeć z głodu.

Smok wyglądał na zachwyconego.

Przytaknął szczęśliwy.

Kazał sobie jeszcze raz pokazać kolby kukurydzy i wyjaśnić historię ich uprawy.

Potem popłakał jeszcze trochę, tym razem ze szczęścia, a na koniec wystąpił niespodziewanie z najdziwniejszą wypowiedzią całego dnia. Powiedział, że również inny elf, ten wysoki, ten, który przeszedł tamtędy dawno temu, kazał mu pozostawić krater zamknięty, bo obawiał się, że to dym był przyczyną ciemności oraz deszczu, i również on zaproponował, że będzie go karmił. Jednakże po kilku dniach elf poszedł sobie w swoją stronę, cały wesoły, mówiąc mu, że jeśli chce, to równie dobrze może zostawić krater otwarty, bo to służy pędowi groszku. Co więcej, powiedział, że tak będzie nawet lepiej, bo dzięki unoszącemu się nad górą słupowi dymu łatwiej będzie odnaleźć drogę jego synowi, który także, prędzej czy później, będzie musiał tędy przejść, aby wypełnić swe przeznaczenie. On, biedny smok, uwierzył mu.

Otworzył z powrotem krater i znów wydobywał się z niego ciepły dym. Kiedy jednak oni zapukali do drzwi, cała ta historia znów nagle mu się przypomniała, wystraszył się oskarżeń i w ogóle... tego wszystkiego...

Cisza, która zapadła po tych słowach, była straszna.

Słysząc było jedynie, jak pies, rozradowany, że znalazł się wreszcie w ciepłym miejscu, na wygodnym dywanie z listków groszku, merdał ogonem i uderzał nim o jeden ze stalagmitów, wzbijając w powietrze maleńkie obłoki pajęczyn i kurzu.

Mały elf nie mógł nawet oddychać.

Jego tata był tutaj.

Jego tata był tutaj, mógł położyć kres ciemnościom, przywrócić równowagę między deszczem i światłem słońca, powstrzymać głód oraz biedę dręczące świat i nie zrobił tego.

To okropne. Okropne, potworne, okrutne, niewyobrażalne, niewiarygodne...

- Straszne - powiedziała kobieta.

- Przerazające - potwierdził mężczyzna.

Mały elf doznawał jednego najsmutniejszych uczuć, jakie istnieją na świecie: wstydu za własnych przodków. Na jego twarzy malowała się rozpacz.

Jego oczy straciły blask, a serce wypełniło się żalem, a w nim utonęła magia. Teraz nie byłby w stanie ożywić nawet muszki.

- Dlaczego? - spytała kobieta.

- Cóż, jak tu sprzedawać kociołki ładnej pogody za trzy sztuki złota każdy na świecie, na którym świeci słońce? Elfy zawsze miały smykałkę do robienia interesów, czyż nie? -

odpowiedział myśliwy. Mówił to lodowatym tonem, pełnym wściekłości, która malowała się także na jego twarzy. Zaczął przemierzać jaskinię dużymi krokami. Kopnął palące się drewno, tak że kolby kukurydzy i groszek poleciały we wszystkie strony. Pies przestał merdać ogonem i zaskomlał, wystraszony.

- Lata nędzy, lata głodu, ciemności i rozpaczy, a wszystko to przez głupiego smoka i przez elfa, który... który... - Myśliwy szukał w myślach wystarczająco ostrej obelgi. Wreszcie znalazł tę najgorszą: - Przez elfa, który zachował się jak elf.

Yorshkrunsquarkljolnerstrink załkał cicho.

Tym razem jednak tylko pies podszedł, aby go pocieszyć.

- Można się stąd jakoś wydostać? - zapytał smoka mężczyzna. Mówił to oschłym i równocześnie zmęczonym głosem. - Oczywiście tak, aby nie zabić się w wodospadzie.

Innymi słowy: czy jest stąd jakieś wyjście dostępne również dla ludzi bez skrzydeł? - dodał.

Było. W końcu nawet ci z drugiej dynastii runicznej, którzy - po tym jak już umyli ręce, wytarli buty i przyrzekli na swój honor, że nie będą spluwać na posadzkę ani tym bardziej na pergaminy - wchodzili do środka, aby skorzystać ze swoich cennych tomów, musieli potem w jakiś sposób schodzić z tego szczytu. Okazało się, że w głębi polany miała swój początek nieznaną nikomu, nieoznaczoną na żadnej mapie, stara droga, która wiała się południowym zboczem Gór Ciemności, oddalając się od rzeki i wodospadu, a potem gubiąc w gąszczu lasu na północ od gór.

Kiedy wyszli, zapadła już noc, ale była tak jasna, tak rozświetlona mnóstwem lśniących gwiazd i mocnym blaskiem księżyca, że i tak postanowili wyruszyć.

Droga powrotna zaczynała się dokładnie po przeciwnej stronie drogi, którą przyszli.

Choć ukryta między drzewami cedrowymi i częściowo zarośnięta kępami małych stokrotek, była jednak rozpoznawalna, gdyż w swoim czasie została wybrukowana i resztki dawnej nawierzchni zachowały się do tej pory.

Kostki były małe, sześciokątne, stłoczone jedna przy drugiej, jak komórki w plastrze miodu. Między stokrotkami tkwiły małe kolumny, które w przeszłości musiały podtrzymywać poręcze ułatwiające wejście i zejście. Od czasu do czasu droga rozszerzała się w małe tarasy, które pozwalały przerwać podróż i chwilę odpocząć. W miarę jak schodzili, drzewa cedrowe ustępowały miejsca modrzewiom, a potem ogromnym kasztanowcom i kilku dębom.

Noc była tak jasna, że nawet o tej późnej porze Sajra zatrzymała się, aby nazbierać trochę kasztanów. Wkładała je do swojej torby, jeden po drugim, starając się nie pokłuć rąk kolcami. Zebrała ich dziesiątki, wbijając sobie, pomimo ostrożności, pełno kolców w dłonie, a potem się rozplakała.

- Cóż, lepsze to niż bycie powieszonym - mruknął myśliwy.

Placz trwał krótką chwilę. Sajra wstała. Odwróciła się i ruszyła z powrotem pod górę.

- Idę do malca - powiedziała stanowczo. Łagodnie, spokojnie, lecz stanowczo. Tonem kogoś, kto nie ma zamiaru zawrócić. - To wcale nie jego wina - kontynuowała. - On nic nie zrobił. Przeciwnie. Poświęca swoje życie, zostając ze smokiem, żeby słońce znów mogło zaświecić na niebie. Ratuje świat. A my nawet mu nie podziękowaliśmy. Jego ojciec może faktycznie nie zachował się jak należy, ale nawet jeśli, to co? To nie znaczy, że mały elf nie jest kimś porządnym. A poza tym to wcale nie jego ojciec sprawił, że nadeszła epoka błota.

Po prostu temu nie zapobiegł. To co innego. Nie chciał poświęcić swojego życia na to, by zostać ze smokiem i uratować dobrą pogodę. Może nie mógł. Może był chory. Miał inne rzeczy do zrobienia. Może musiał wrócić do syna, żeby przed czymś go ostrzec? Co my możemy na ten temat wiedzieć? Kto dał nam prawo, aby osądzać innych? Od zawsze wszyscy oskarżają o wszystko elfy, ale nam przyłączenie się do tego chóru nie wydało się w porządku.

W każdym razie ojciec małego elfa nie spowodował ciemności. Po prostu postanowił tylko nas przed nią nie ratować.

Myśliwy szedł za nią bez słowa. Czasem przerywał ciszę, wydając pomruk dezaprobaty, lecz nie tylko nie zwolnił kroku, ale wręcz go przyspieszył, pomimo całego zmęczenia, jakie odczuwał w nogach. Dotarli już do drzew cedrowych, kiedy zaszedł księżyc.

Chmury zasłoniły gwiazdy i zapadły całkowite ciemności. Dalsza wspinaczka stała się niemożliwa. Skulili się jedno obok drugiego, wraz z psem, na jednym z tarasów, na których odpoczywali dawni wędrowcy, i tak spędzili resztę nocy.

Jak tylko zaczęło świtać, wstali i rozpoczęli wspinaczkę na nowo. Oboje odczuwali niepokój, jaki odczuwa ktoś, kto postąpił niesprawiedliwie. Wspinali się z pośpiechem kogoś, kto nie zapanował

wcześniej nad swoją złością i teraz musi temu szybko zaradzić, bo bardzo zranił jednego malca, jedno dziecko, jednego urodzonego niedawno.

Kiedy dotarli wreszcie do biblioteki, słońce świeciło już całym swym blaskiem na niebie, a w oddali wodospad mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Drzwi były otwarte, smok spał w złocistym świetle w środku jaskini. Biblioteka została dokładnie odkurzona: wszystkie pergaminy lśniły uporządkowane i czyste.

Mały elf siedział w jednej z wewnętrznych komnat. Otaczały go pergaminy pokryte charakterystycznym srebrnym elfickim pismem; dziwnymi rysunkami kul i okręgów. Był

szczęśliwy, niczym małe orlątko, które właśnie nauczyło się latać. Siedział pośrodku całej plejady kul, które krążyły po różnych, pochyłych i wydłużonych, kręgach wokół kuli środkowej, a ta z kolei obracała się wokół własnej osi.

- Napisał je dla mnie mój tata - powiedział szczęśliwy Yorsh, wskazując na napisy i rysunki. - A to zrobiłem ja sam! - dodał z euforią w głosie, pokazując kule krążące w powietrzu. - Wykorzystałem starą skórę smoka - wiecie, one zmieniają ją jak węże - aby zrobić te globy, które teraz udają układ planet. Jeśli rzeczy są małe i krążą same wokół siebie, to potrafię je utrzymać w powietrzu nawet wbrew grawitacji.

Następnie doszło do długich i zawitych wyjaśnień.

W komnatach obok znajdowało się mnóstwo pergaminów o ruchach gwiazd. Smok nigdy jednak do nich nie dotarł. Biorąc pod uwagę rozmiary przejść z jednej sali do drugiej, wszystko to, co nie znajdowało się w głównej komnacie, było dla niego niedostępne, podobnie jak świat na zewnątrz. Smok nie mógł więc nigdy przestudiować pergaminów o ruchach ciał niebieskich, ale ojciec małego elfa, „Ten, który odnajduje drogę i wskazuje ją innym”, Gornonbenmayerguld, zrobił to i wszystko zrozumiał. Pozostawił mu wskazówki na tyle czytelne, że on, Yorsh, zdołał ogarnąć to wszystko w ciągu zaledwie jednej nocy!

Wniosek był taki, że zmiana klimatu po prostu nastąpiła, i tyle. Nie było to niczyją winą, a teraz, jako że nadszedł właściwy moment, należało mieć nadzieję, że wszystko wróci do normalnego stanu, również bez niczyjej zasługi. Wulkan nie miał w tym żadnego udziału.

Wydobywający się z niego słup białego dymu nie był na tyle intensywny, aby mógł zamienić całą okolicę w krainę błota! Mały elf użył następnie całego mnóstwa słów pozbawionych jakiegokolwiek sensu: meteoryty, zmiana nachylenia osi obrotu Ziemi, wspominał też znów o prawie grawitacji, mimo że nigdzie w pobliżu nie było niczego, co mogłoby spaść, ani nikogo, kto miałby być powieszony.

Morał z całej historii był taki, że lata deszczu i błota nastąpiły przez przypadek, z powodu ogromnego kamienia, który przemknął przez niebo, tak że nikt nie mógł go dojrzeć, a teraz mijały, ponieważ kamień się oddalał, a to przywracało coś, co nazywa się „kątem nachylenia osi obrotu Ziemi” do pozycji, przy której klimat jest optymalny. Albo przynajmniej nie aż tak beznadziejny. Trochę słońca, trochę deszczu, co jakiś czas piękny dzień z lekkim wietrzykiem, w sam raz na puszczenie latawca lub

obsianie pola.

Myśliwy i kobieta niewiele zrozumieli z całej tej przemowy malca. Mimo to nie przerwali mu, aby zapytać, czym jest planeta i czy „glob” znaczy to samo co „kula”. I nawet kiedy mały elf posunął się do stwierdzenia, że Ziemia jest okrągła i to nie Słońce krąży wokół

niej, lecz na odwrót, co było najgłupszym ze wszystkich głupich stwierdzeń, jakie zostały przez niego sformułowane - wystarczy mieć oczy i rozejrzeć się dokoła, żeby wiedzieć, jak jest - oboje, przez uprzejmość, postanowili dać temu spokój i niczego nie komentować.

Istotnie, musieli przyznać, że w ciągu dwóch ostatnich nocy pogoda, po raz pierwszy od wielu lat, zaczęła się poprawiać. Znowu pojawiły się błękitne niebo, słońce i gwiazdy.

Można było dostrzec zachody słońca. Po wielu latach światło brzasku zaczęło się wreszcie przebijać pośród chmur i ulewnych deszczy.

Bardziej zrozumiałe od tych astronomicznych wydały im się wyjaśnienia językowe.

Język drugiej dynastii runicznej był niezmiernie precyzyjny. Przepowiednia mówiła: *Kiedy ostatni smok i ostatni elf*

*przerwą krąg,*

*przeszłość i przyszłość spotkają się,*

*słońce nowego lata zabłyśnie na*

*niebie.*

*Kiedy.* Nie *kiedy już.* W języku drugiej dynastii runicznej *kiedy* oznacza w tym samym czasie *gdy, równocześnie.* *Kiedy już* oznacza następstwo; coś, co dzieje się w *konsekwencji* czegoś innego. Według przepowiedni, to wszystko po prostu miało się stać w tym samym czasie. Nie jedno w konsekwencji drugiego. A krąg, który malec i smok mieli przerwać, to nie był cykl: woda, para, chmura, deszcz, woda, lecz inny krąg - ten, w którym zamyka się linia horyzontu; ten, który zamyka się wkoło, a w środku jesteś tylko ty sam. Krąg samotności.

Mały elf musiał spotkać ostatniego smoka, aby połączyć przeszłość i przyszłość: odzyskać mądrość świetlanej ludzkiej przeszłości, kiedy to nauka i wiedza wypełniały życie, i uratować je dla przyszłości. Wszystko było takie oczywiste... takie piękne... a jego tata to zrozumiał i wyznaczył szlak, którym należało podążać, który lśnił niczym usypana z maleńkich kamyczków ścieżka w świetle księżycy...

- A kociołek ładnej pogody? - spytał myśliwy.

- To normalny kociołek, nad którym opieka się jedzenie. Poprawa pogody miała i tak następować, poczynawszy od ziem położonych najbliżej Gór Ciemności, ziem chronionych od wiatrów wiejących z zachodu. Mój tata to przewidział.

- Sprzedaż normalnego kociołka, nad którym opieka się jedzenie, za trzy sztuki złota w języku ludzi nazywa się „oszustwo” - skomentował oschle mężczyzna i o mały włos dostałby znowu kopniaka w goleń. Usiadł sobie wygodnie w krześle wyrzeźbionym w litej skale.

- W języku elfów to się nazywa „geniusz” - odpowiedział malec wielce rozweselony -

nie tylko dlatego, że dzięki temu mój tata zostawił mi środki, abym mógł dotrzeć aż tutaj, ale również dlatego, że drogo go sprzedając, podarował im zgodę. Oni, mieszkańcy wioski, przekonani, że mają do czynienia z magią, która poza dobrą pogodą przynosiła im także pokój

- przestali się nawzajem zabijać, a to jest warte wiele więcej niż trochę złota. Prawo handlu mówi, że jeśli płacisz dużo za coś, co jest bezcenne, to i tak ubiłeś dobry interes. Myślę, że przywódca wioski też to zrozumiał!

Nastąpiła długa cisza, a potem mężczyzna się roześmiał. To był długi, rozluźniający śmiech. Kobieta rozplakała się i objęła malca, przyciskając go mocno do siebie, tak aby dobrze zapamiętać tę chwilę.

- Może jeszcze kiedyś się spotkamy - powiedział elf z sercem pełnym nadziei. Może kiedyś jeszcze ich spotka, ale teraz musieli się rozstać. Oni oboje mieli swoje życie - pola, łąki, hodowlę gęsi, być może wychowywanie dzieci, z pewnością nie było w nim miejsca na książki ani złote pędy groszku. On przysiągł, że pozostanie ze smokiem. Przepełniał go smutek, dlatego kule, które krążyły w powietrzu, upadły i potoczyły się delikatnie po podłodze. Pies pobiegł za kilkoma z nich.

- Prędzej czy później na pewno tak się stanie - powiedziała kobieta.

Długo stali przytuleni, podczas gdy słońce wschodziło coraz wyżej i biblioteka coraz bardziej pogrążała się w złotym świetle. Groszki błyszcząły niczym klejnoty pośród starych regałów.

- Chciałbym nadać imię psu - powiedział Yorshkrunsquarkljolnerstrink.

Sajra ścisnęła go jeszcze mocniej.

- Oczywiście.

Yorshkrunsquarkljolnerstrink był przejęty. Rozpierała go duma.

- WIERNY - powiedział triumfalnie.

- Wierny? - spytał myśliwy. - Wierny? Psa nazywa się Ogon albo Plama, Łapa, albo po prostu Pies. Wierny to śmieszne imię dla psa, dziwaczne. To na pewno będzie pierwszy i ostatni pies, który nazywa się...

Nie zdążył dokończyć. Uciszył go kopniak w goleń.

- To piękne imię - powiedziała Sajra. - Będzie idealnie pasować.

Obejmowali się tak przez chwilę, potem jeszcze przez chwilę i jeszcze przez chwilę.



Wreszcie się rozdzielili. Spojrzeli na siebie po raz ostatni i pożegnali się już na zawsze. Nawet smok obudził się w tym czasie. Ziewnął parę razy, po czym został

poinformowany, że może z powrotem otworzyć już na zawsze swój wulkan i spokojnie ogrzewać sobie stare, obolałe kości, otoczony pędami złotego groszku. Jego radość była tak wielka, że nawet zamerdał starym ogonem, łamiąc nim trzy stalagmity i kawałek jednego z regałów z książkami. Radość namieszała też w jego pamięci niczym chochla w garnku z zupą, i coś się z niej wynurzyło. Nie jego imię, które było stracone na zawsze, lecz coś innego.

Przypomniał sobie, że pod wielkim portalem znajdował się kuferek, a w nim coś, co przypominało złote groszki, ale próbując to zjeść, można sobie było połamać zęby. Jak też się to nazywało? Nieważne, w każdym razie chodziło o to coś, z czego robi się berła i korony; te cenne monety. Wiedzieli o co chodzi, prawda? Było ich niewiele, jakieś sto sztuk. Czy będą wiedzieli, co z tym zrobić? Tak? Czy w takim razie mogliby mu wyświadczyć przysługę i je stąd zabrać, bo tylko płaczą mu się pod nogami?

Kiedy schodzili długą drogą w dół, a pies biegł za nimi, myśliwy często pomagał

Sajrze, chwytając ją za rękę w najtrudniejszych do przejścia miejscach. Potem trzymał ją nadal, nawet tam, gdzie ziemia się nie osunęła i nie było już ponad czym przeskakiwać. Sajra nie cofała ręki. Pies podążał za nimi zadowolony.

- Jeśli chcesz, to za złoto, które dał nam smok, możemy kupić sobie trochę ziemi i żyć na niej szczęśliwie - zaproponował mężczyzna.

Kobieta nie odpowiedziała.

- Mieć winnicę, uprawiać trochę zboża, kukurydzy - dodał. Kobieta zatrzymała się.

- Hodować kilka kur - dodała.

Mężczyzna uśmiechnął się uszczęśliwiony i jeszcze mocniej ścisnął jej dłoń.

Szli dalej w milczeniu.

Byli już prawie na samym dole, kiedy mężczyzna znów się odezwał.

- Wiesz, dziś rano, gdy ujrzałem cię w pierwszym świetle dnia... cóż... więc... ja...

chciałem ci powiedzieć... my dwoje moglibyśmy... myślałem... Wiesz na pewno, jakie to piękne, kiedy niebo nabiera różowego koloru, mam na myśli to piękno brzasku nowego, wstającego dnia, więc jeśli mielibyśmy córkę, moglibyśmy ją nazwać Jutrzenka.

Tym razem kobieta też nie cofnęła dłoni.

- To piękne imię - pochwaliła, trochę nieśmiało się uśmiechając. Potem zastanowiła się. - Jeśli będziemy mieć córkę, *będziemy mogli* ją nazwać Jutrzenka - poprawiła.

Uskoczyła przed zbliżającym się kopnięciem w goleń. Roześmiała się.

Przytulili się do siebie. Stali tak długo, jedno w ramionach drugiego, czując ciepło ciała drugiego, czując na twarzy dotyk włosów drugiego.

Tulili się do siebie jeszcze bardzo długo, w świetle jasnego nieba, bo już od pierwszej chwili, w której się ujrzeli, mieli ochotę to zrobić.



**księga druga**

**ostatni smok**

Juna usiadła na jednym z pniaków. Nabrała w płuca rzeńskiego powietrza. Spojrzała na drzewa w głębi doliny. Liście zaczynały już żółknąć. Na łące ostatnie kwiaty wczesnej jesieni lśniły w świetle wschodzącego słońca. Rosły tam te małe żółte kwiatuszki, które jej mama nazywała „guziczkami króla”, a prócz nich takie niebieskie kwiatki, które wyglądały jak dzwonki, i takie w kształcie kuli, co jak na nią dmuchniesz, wszystko odlatuje i cały kwiat się rozpada.

Zbliżała się jesień. To oznaczało, że później miała nastać zima. Najpierw jesień, później zima. Taka była kolejność.

Jesień: kasztanów parę, owsianki prawie w ogóle, jabłek kilka, stopy zimne, a w nosie smarki.

Zima: kasztanów w ogóle, owsianki prawie w ogóle, jabłek ani jednego, stopy złodowaciałe, nos tak zasmarkany, że smarki schodzą w dół gardła i przy oddychaniu zamieniają się w kaszel. Ewentualnie można się było ogrzać przy drewnie na podpałkę. Nie w takim sensie, że wolno je było rozpalić - bo to było zabronione - ale w takim, że rąbało się je siekierą - po jednym pniu kolejny pień, a po nim następny - i na końcu bolał kręgosłup, bolały ramiona i miało się bąble na dłoniach, ale przez chwilę przynajmniej nie umierało się z zimna.

Potem zimno wracało, a na dłoniach zostawały bąble.

Jeśli udawało się przeżyć zimę, nadchodziła wiosna i wtedy trzeba było obchodzić domostwa i karmić zwierzęta, naprawiać ogrodzenia i wypasać krowy, i to była dobra rzecz, bo wtedy zawsze dawało się ukraść jajko albo trochę mleka, tylko trzeba było być sprytnym, bo wszystkie domostwa należały teraz do hrabstwa Daligar, a w hrabstwie Daligar kradzież chociażby jednego jajka oznaczała dwadzieścia razów kijem. Oni wszyscy nie potrafili liczyć, ale dwadzieścia znaczyło, że jedno uderzenie kijem przypada na jeden dziecięcy palec, najpierw u rąk, a potem u stóp. Cala miała jeden palec mniej, bo kiedy rąbała drewno siekierą, nie trafiła jak trzeba, więc kiedy ją bito, doliczano jedno uderzenie więcej.

Latem walczyło się o własną krew z wszami i komarami, ale było za to tak dużo różnych rzeczy, które można było ukraść, że każdemu udawało się coś podjąć, nie dając się na tym przyłapać - nawet tym najbardziej głupiutkim, tym, którzy dopiero co przybyli i jeszcze czasami płakali.

Ona była sprytna. Nie dała się nigdy złapać. Przynajmniej nie w ciągu ostatniego roku.

Dwa lata temu, kiedy dopiero co trafiła do Domu dla Sierot, złapali ją trzy razy, ale wtedy była mała. Głupiutka, jak to małe dzieci. Poza tym ciągle jeszcze miała w głowie mamę i tatę.

Aby być dobrym złodziejem, trzeba się skoncentrować. Kiedy masz w głowie tatę, mamę, miejsce, które kiedyś było twoim domem, nie jesteś wystarczająco skoncentrowany. Poza tym nawet kiedy starała się nie myśleć o tacie i mamie, wystarczyło, że przypomniła sobie swoją drewnianą zielono-różową łódkę albo szmacianą lalkę, a łzy od razu napływały jej do oczu.

Teraz już dobrze jej szło. Teraz się koncentrowała. Nikt już jej nie przyłapywał.

Nagle wspomnienie o suszonych jabłkach mamy wypełniło jej umysł tak szybko, że aż poczuła ich zapach. Mama kroїła jabłko w plasterki i suszyła je w szopie na drewno.

Udawała, że bardzo się złości, kiedy Juna je podbierała, i goniła ją wtedy po całej szopie, a kiedy już złapała, obsypywała całusami i potem obie śmiały się jak szalone. Jadała suszone jabłko z ciepłym mlekiem, blisko ognia palącego się w kominku, trzymając w ramionach swoją lalkę, a na zewnątrz z nieba spadały duże płatki śniegu i cały świat stawał się biały niczym skrzydła dzikich gęsi, kiedy przebija przez nie światło słońca. Potem, wieczorem, jej tata wracał zawsze z czymś naprawdę dobrym do jedzenia. Tata, oprócz tego, że miał domek w wiosce, hodował owce, sadił jabłonki, hodował świnie, był pasterzem, stolarzem, naprawiał dachy, budował chaty i łowił ryby był przede wszystkim myśliwym i zawsze przynosił dobre rzeczy na kolację. Zimą pstrągi, bo łatwo było je złowić: robiło się dziurę w lodzie, który pokrywał rzekę, i wystarczyło tylko chwilkę poczekać. Wspomnienie wędzonych z rozmarynem pstrągów także wypełniło jej umysł, stając się udręką dla żołądka.

Juna odpędziła myśl. Jeśli ją teraz złapią, nie będzie żadnych całusów. Powstrzymała łzy. To dobre dla małych dzieci. Ona nie była już dzieckiem.

Pojawiło się słońce i ją oświetliło. Powietrze stało się trochę cieplejsze. W głębi polany rosły dwa wielkie orzechowce. Orzechy są dobre przez cały rok, nawet te trzymane w workach, ale wyjątkowo pysznie smakują na początku jesieni, kiedy rosną na drzewach, bo są świeże. Wtedy ściągają się z nich paznokciami gorzką skórę, a pod spodem jest orzech biały jak skrzydła gęsi, kiedy przebija przez nie światło słońca. Ale drzewa orzechowe były widoczne z okien kamiennieo-drewnianego domku, który górował nad koślawą budowlą Domu dla Sierot. Zbyt ryzykowne. Za orzechowcami rosły krzaki jeżyn, które wprawdzie nie umywały się do orzechów, ale zawsze to coś. Jeżyny znajdowały się jednak w zasięgu wzroku łuczników pełniących wartę w strażnicy. To prawda, że o tak wczesnej porze prawdopodobnie jeszcze spali, jednak nie warto było ryzykować dla tak wodnistej rzeczy, która ani nie wypełniała żołądka, ani nie wynagradzała czasu, jaki musiał upłynąć, żeby przestały boleć podrapania od kolców nabyte podczas zbierania.

Juna zamknęła oczy, a pod powiekami narodziło się marzenie, to samo, które prześladowało ją, odkąd opuściła swój dom. Pojawiało się zawsze, gdy tylko mogła usiąść spokojnie w jakimś ciepłym miejscu. Zamarzyła o smoku i przybywającym na nim księciu o włosach tak jasnych, że przypominały srebro. To był ogromny smok, o dwóch wielkich zielonych skrzydłach, które zasłaniały niebo i przez które prześwitywało światło słońca.

Księżę miał na sobie śnieżnobiałe szaty, tak jasne jak skrzydła dzikich gęsi przelatujących na niebie. Uśmiechał się. Smok leciał w jej stronę. Przybywali, aby ją ze sobą zabrać, aby zabrać ją daleko stąd. Już na zawsze. Marzenie rodziło się samo. Na początku było niewyraźne: coś białego na czymś zielonym. Z każdym mijającym dniem stawało się coraz wyraźniejsze. Tak jakby księżę i smok lecieli pośród mgły i dzień za dniem, coraz bardziej się do niej zbliżali.

Nie było to marzenie, które sama przywoływała: to ono samo układało się jej w głowie, jakby za sprawą magii.

Juna odpędziła je od siebie. Głupstwa. Smoki już nie istniały. To były okrutne, niegodziwe bestie, i

całe wieki temu zostały wytopione. Życzliwi książęta również wyginęli albo może udali się w inne strony, ponieważ o nich także pamięć zaginęła już dawno temu.

Juna z powrotem otworzyła oczy. Tuż przed nią stado kuropatw poderwało się do lotu w złotym, wczesnojesiennym słońcu. Trzepot skrzydeł na moment zabarwił niebo ciemnym odcieniem turkus. Ptaki wyleciały pomiędzy krzaków głogu, w dolnej części polany, niewidocznej zarówno z Domu dla Sierot, jak i ze strażnicy. Jej tata był myśliwym. Gdyby jeszcze żył, użyłby teraz swojego łuku, a one z mamą zjadłyby na kolację upieczoną kuropatwę z rozmarynem. Jej tata nazywał się Monser. Miał czarne włosy, tak jak ona, i był

duży oraz silny jak dąb. Mama oskubałaby kuropatwę z piór, które naszyłaby następnie, jedno po drugim, na jej kaftanik, aby był piękny i ciepłutki. Jej mama miała na imię Sajra. Juna spróbowała naciągnąć brudną spódnicę z szorstkiego szarawego płótna na kostki, by sobie je ogrzać, ale ta spódnica nie była wystarczająco długa. Mama miała ciemne blond włosy i robiła najlepsze w całej dolinie naleśniki z jabłkami. Juna wstała. Nie miała luku ani strzał

swojego ojca, ale i tak turkusowe kuropatwy oznaczały dla niej jedzenie. Składały jaja na początku jesieni, kiedy były tłusciutkie, spędziwszy lato na pożeraniu motyli, glist i żuków.

Motyle, glisty i żuki też można jeść, ale tylko wtedy, gdy naprawdę nie ma już nic lepszego, a jajka to jedna z najlepszych rzeczy do jedzenia, jakie istnieją na całym świecie. Kiedy ma się w żołądku jajko, nie tylko głód, ale także zimno i strach na jakiś czas znikają.

Juna ostrożnie rozejrzała się wkoło. Obudziła się pierwsza wszyscy inni jeszcze spali.

Słyszała głośny sen innych dzieci na sali sypialnej - jak zwykle jęki i kaszel. Z domku, który górował nad sierocińcem, dobiegało jak zawsze chrapanie dwojga pilnujących, dwójki „Jaśnie Wielmożnych Opiekunów Domu dla Sierot”, Karambola i Beki, męża i żony, zwanych niezbyt czule „Hienami”. W przeciwieństwie do dzieci, spali w prawdziwym domu z prawdziwym, ciepłym kominkiem. Przed Juną rozpościerała się dolina, cała zalana słońcem, a góry w oddali zlewały się z błękitem nieba. Na szczytach lśnił już pierwszy śnieg. Wartownie były daleko, a dolna część polany znajdowała się poza zasięgiem wzroku strażników. Ci, zdaniem Hien, mieli ochraniać dzieci z Domu dla Sierot w razie gdyby jakiś człowiek o złych zamiarach przyszedł... właściwie nie wiadomo dokładnie po co, może ukraść im wszy - tylko tego było u nich pod dostatkiem. W rzeczywistości, gdyby nie strażnicy, ani jedno dziecko, nawet spośród tych najmniejszych i najmniej rozgarniętych, nie zostałoby w tej okropnej ruderze w towarzystwie dwóch Hien i ich kija po to, by nadal dzielić się z robakami owsianką, pracować do upadłego, zbierać ciosy lub - w zależności od pory roku umierać z zimna albo być jedzonym żywcem przez komary.

Juna nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie była pewna, że wszyscy śpią i nikt jej nie obserwuje. Bo nawet jeśli zabrało się jajka z gniazda kuropatwy na wrzosowisku albo orzechy z drzewa orzechowego, które nie należało do nikogo, lub owoce z ciernistego krzaka jeżyn, całe jedzenie i tak musiało zostać oddane. Jeśli zjadło się je samemu, uchodziło to za kradzież. Kradzież i egoizm. Egoizm również był ciężkim przestępstwem. Rodzice Iomir, najlepszej przyjaciółki Juny, byli egoistami; EGOISTAMI; e-go-i-sta-mi - jak zwykła sylabizować Beka za każdym razem, kiedy wypowiadała to słowo. Byli egoistami, co znaczy, że próbowali zapłacić mniejsze podatki, niż

należało, znajdując na to doprawdy śmieszny wymówkę, że inaczej dzieci umarłyby z głodu, oraz wnosząc doprawdy śmieszne pretensje, jakoby fasola i zboże, które sami zebrali w pocie własnego czoła z ich własnej ziemi, należały do nich, a nie do hrabstwa Daligar.

Jeśli chodziło o jej własnych rodziców... Juna wolała nie myśleć o swoich rodzicach.

Odpędziła od siebie tę myśl. Nie tego ranka. Nie po tym, jak odkryła, gdzie kuropatwy mają swoje gniazda.

Zbliżała się powoli, ale nie w linii prostej, tylko tak, żeby sprawiało to wrażenie -

gdyby ktoś ją zauważył - niewinnego przechadzania się bez celu. Nie miała pewności, czy ktokolwiek uwierzyłby, że dziewczynka umierająca z głodu tak po prostu włóczy się o świcie po wrzosowisku bez żadnego celu, lecz Karambol i Beka nie grzeszyli bystrością umysłu, a poza tym zawsze mogła powiedzieć, że zbudził ją zły sen, a ona chciała tylko o nim zapomnieć. W Domu dla Sierot złe sny zdarzały się często. Trawa dookoła stała się wyższa.

Juna posuwała się na czworakach, starając się w niej ukryć. Zeszła z górki pod same krzaki.

Gniazdo znajdowało się na wysokości jej nosa. Prawie w nie wpadła. Leżały w nim dwa jajka: dwie chwile bez głodu. To były małe jajka, o skorupkach delikatnie nakrapianych brązowym kolorem, który w najjaśniejszych punktach przechodził w złoty. Juna wzięła do rąk jedno jajko i poczuła na skórze jego gładką powierzchnię i jego ciepło. Zamknęła na moment oczy. Kiedy mama przytulała ją do siebie, mówiła jej, że gdy jesteśmy szczęśliwi, osoby, które nas kochały, a których już z nami nie ma, powracają z królestwa umarłych, aby znowu być blisko nas. Może jej tata i jej mama byli teraz blisko niej. Juna otworzyła z powrotem oczy. Spojrzała jeszcze raz na swój bezcenny skarb w postaci dwóch jajek kuropatwy, a potem postanowiła go naruszyć. Jajko, które trzymała w ręku, zjadła natychmiast: uderzyła nim o gałąź, zrobiła w skorupce małą dziurkę i z dziką radością wysssała ze środka zawartość: najpierw białą część, a potem tę lepszą, żółtą, która powoli, kropelka po kropelce, spłynęła do żołądka, a wynikająca z tego przyjemność bliska była samej radości życia.

Problem stanowiło drugie jajko. Najpierw pomyślała, że zje je od razu. Tego, co ma się w żołądku, nie można zgubić ani nie mogą ci tego ukraść. Ale dwa jajka naraz to dużo: czasami żołądek, kiedy jest bardzo przyzwyczajony to bycia na wpół pustym, nie utrzymuje jedzenia, zaczyna boleć i wymiotujesz. A potem, nieważne jak bardzo znów się go napełni, po połowie dnia żołądek znowu jest ściśnięty z głodu. Lepiej jeść mniej, a częściej. Juna oblepiła jajko warstwą ziemi, następnie zawinęła w garść traw, i schowała je nie do tej dużej kieszeni, którą miała w spódnicy i która służyła do przechowywania narzędzi do pracy, lecz do drugiej, ukrytej. Od wewnętrznej strony swojej kurteczki z szarawej i brudnej juty zrobiła sobie sama

- używając dużego ciernia jako igły i jako nitki kawałka sznurka ukradzionego z worków, w których trzymano owsiankę - coś w rodzaju kieszonki, w której mogła chować różne rzeczy.

Dzień bez głodu. Juna wciągnęła do płuc poranne powietrze: to miał być dobry dzień.

Poranek wstał słoneczny. Światło przeszło przez stare bursztynowe okiennice i biblioteka nabrała złotego koloru. Yorshkrunsquarkljolnerstrink, chłopiec elf, obudził się i przeciągnął, rozprostowując swoje długie ramiona.

Smok nadal spał. Tafle bursztynu drżały pod wpływem jego cichego chrapania, sprawiając, że światło padające na ściany poruszało się delikatnie, tak jak staw przy lekkim wietrzyku. Chłopiec elf wstał i strząsnął z siebie setki błękitnych i złotych motyli, które przykrywały go nocą, ogrzewając ciało swym delikatnym ciepłem.

Stał przez chwilę przed porastającymi stare łuki i uginającymi się pod ciężarem owoców pnączami. Zastanawiał się, czego tak naprawdę ma ochotę spróbować na śniadanie.

Delikatnej słodyczy truskawek ze zdecydowaną cierpkością pomarańczy? Nie, nie na śniadanie. Lepsza będzie konkretna słodycz figi z orzeźwiającą i krągłą słodyczą winogron.

Zdecydowanie lepsza. Kolorystycznie efekt też był lepszy. Jasny róż i ciemna zieleń pasowały do siebie. Na talerzu z bursztynu tworzyły wdzięczny kontrast.

Miał wielkie szczęście, że odkrył w jednej ze starych ksiąg nasiona i instrukcje do uprawy pnączy owocowych. Ich delikatny, smakowity zapach unosił się w całej jaskini. Elf westchnął. Wszystko było takie idealne. Tak przyjemnie idealne. Tak nieskazitelnie idealne.

Nieźródnie idealne. Niezaprzeczalnie idealne. Nieuchronnie idealne. Nudno idealne.

Nieznośnie idealne.

Smok był chrapiącą górą, która zajmowała swoim ogromem całą wielką salę.

Przeplatające się szarawe i różowe łuski tworzyły mu na ciele skomplikowaną sieć esów-floresów i spirali. Jego ogon był zwinięty jak liny na przystani. Elf przeszedł obok niego, a potem zbliżył się do starych wielkich drzwi z rzeźbionego drewna, które zamykały jaskinię.

Otworzył je delikatnie. Nie udało mu się nie narobić przy tym hałasu, lecz smok wciąż spał.

Na zewnątrz wiał wiatr. W oddali horyzont stykał się z ciemnym morzem, bielącym się miejscami od piany morskiej. W górze latały mewy. Elf poczuł docierający do niego z daleka zapach morza. Usiadł i popatrzył na mewy. Wiatr rozczochrał mu włosy. Za jego plecami Góry Ciemności wznosiły się aż ponad chmury. Zapach morskiej toni mieszał się z zapachem sosen. Chłopiec zamknął oczy i zamarzył o tym, że dotyka morza. Czuje pianę na twarzy. Smak soli w ustach. Zamarzył o tym, że widzi rozbijające się fale. O tym, że płynie przez morze, wspina się po górach, przemierza miasta, ogląda rzeki. Czuje pod stopami ziemię, krok za krokiem, gdy wędruje, żeby zobaczyć, jak wygląda świat.

Głos smoka przeszył poranne powietrze i rozbrzmiał mu w uszach.



- Ty nieszczęsny młodzieńcze, jakże mogłeś rzecz tak okrutną jak uchylenie tychże drzwi uczynić, skoro mnie, staremu smokowi, wielce choremu, wszystkie strzelające od reumatyzmu kości marzną? I czyś zapomniał, że kiedy jest przeciąg, ból, który głowę mą rozsadza, pogarsza się jeszcze? Nie wspomnisz nigdy, nieszczęsny, jak wielce zaszkodzić mi może powietrze, które drzwiami wlatuje i mnie oziębia... Pamiętaj, młodzieńcze, że jeśli przeciągi zachowasz, to wnet mnie pochowasz...

Elf otworzył z powrotem oczy. Westchnął głęboko. Trzy lata temu wspomniał raz głośno o zejściu po schodach, aby zobaczyć z bliska morze. Zejście i powrót na górę zajęłyby mu najwyżej pół dnia. Lamenty smoka trwały dni jedenaście. Od całego tego wielkiego płaczu i przerażenia wizją rychłego odejścia smok dostał aż zapalenia zatok, które skomplikowała potem choroba obu uszu, z czego wyniknęły następnie uciążliwe zawroty głowy, a te już nigdy potem tak naprawdę nie ustąpiły i pogarszały się w wietrzne dni. Zaś gdy męczyły go zawroty głowy, smok czuł, jakby żołądek wychodził mu gardłem i prawym uchem, czasem także lewym, ale częściej prawym...

Yorsh znów westchnął.

Kiedy był dzieckiem, przysiągł, że będzie się opiekował smokiem. Na zawsze.

Zapytał smoka uprzejmie, czy jest głodny.

W odpowiedzi usłyszał pełne moralnego cierpienia zawodzenie. Pytanie oburzyło smoka. Głodny? Głodny? On? Nie pamiętał, nieszczęsny, że on, smok, cierpi na halitozę, zgagę, burczenie w brzuchu, odbicia, bóle drugiej, trzeciej i szóstej przestrzeni międzyżebrowej po prawej stronie, nie mówiąc już o czkawce? Jak mógł, przy tych wszystkich nieszczęściach, być jeszcze głodny? Już sama taka myśl była nieodpowiedzialna i dziwaczna.

- A więc nie chcesz śniadania? - spytał Yorsh.

Tym razem zawodzenie wprawiło w drżenie bursztynowe okiennice, a światło na ścianie zafalowało jak fale na morzu. Jak mógł - i to z takim okrucieństwem, z taką złośliwością - jak śmiał proponować mu post? Za każdym razem kiedy dłużej niż dwie dwunaste dnia nic nie jadł, między żołądkiem a przelykiem następowała cała seria skurczów, tak jakby tam były jakieś maleńkie bąble, nie mówiąc już o kluciu w piątej, jedenastej i dwudziestej szóstej przestrzeni międzyżebrowej po lewej stronie...

Chłopiec elf zaprotestował, mówiąc, że wydawało mu się, iż smoki posiadają tylko dwadzieścia cztery zębra. Smok zaczął płakać, bo nikt go nie kochał.

Chłopiec elf osunął się bezwładnie na ziemię i podparł sobie głowę rękami. Potem przypomniał sobie przysięgę: Będę się nim opiekował. Na zawsze! Wstał, ułożył plaster różowego melona z paroma różowymi winogronami na warstwie różowych truskawek, mając nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Narzekania ustały. Udało się. Różowy zawsze pomagał.

Wiatr wtargnął do środka jaskini przez otwarte drzwi, na zakręcie osłabł i zamienił się w lekki powiew. Suche patyczki wiszące u sufitu zadrżały i w jaskini rozbrzmiała zachwycająca muzyka.

Wszystko było tak okropnie doskonałe.

Po śniadaniu smok znów zasnął i chrapanie zagłuszyło muzykę.

Wreszcie można było w spokoju poczytać. Od trzynastu lat Yorsh był praktycznie zamknięty w bibliotece, razem z niezliczoną ilością motyli i smokiem, który stanowił

kwintesencję bezkresnej nudy, nie mówiąc już o tym, że jego umysł z każdym dniem nieodwracalnie stawał się coraz mniej jasny i coraz bardziej gubił się w ciemnych labiryntach niepamięci.

Przynajmniej można było czytać. Cała wiedza ludzka i elficka, począwszy od historii dawnych królestw, poprzez imiona wielkich królów, niszczącą inwazję orków, a skończywszy na zielarstwie, astronomii i fizyce, mieściła się w księgach znajdujących się w bibliotece.

Księga za księgą, regał za regałem, Yorsh przeczytał, przestudiował, uporządkował i skatalogował, komnata za komnatą, stalaktyt za stalaktytem. Prawdopodobnie żadne inne żyjące stworzenie, ani spośród elfów, ani tym bardziej spośród ludzi, nie zbliżało się nawet odrobinę do jego poziomu wiedzy. Przypuszczalnie nawet w zamierzchłych czasach, w okresie swej świetności, kiedy bibliotekę odwiedzali tak tłumnie mędrcy z całego świata, że aż trzeba było zabronić plucia na podłogę, nie panował w niej taki porządek jak teraz.

Pozostał jeszcze tylko ostatni regał, w małej komnacie, tej najbardziej wysuniętej na południe, najbardziej oddalonej od wielkiego serca biblioteki - gdzie chrapał smok. Była to maleńka, niezgrabna komnatka, gdzie stalaktyty i stalagmity wyrastały tak gęsto, że ledwo dawało się między nimi przecisnąć.

Yorsh udał się tam, a gdy przechodził między ukwieconymi pnączami, chmury motyli wzbijały się w powietrze. Na jedynym znajdującym się w komnacie regale stały: książka o historii, kolejna już biografia wielkiego Arduina i książka do zoologii, najprawdopodobniej fantastyczna, zważywszy, że na okładce przedstawiono coś w rodzaju bardzo chudej krowy z bardzo długą szyją, w żółte i brązowe plamy, oraz dziwne szarawe zwierzę, ogromne jak dom, z bardzo długim nosem, którym drapało się za wielkimi uszami. Poza tym, jak zwykle, księgi do elfickiej astronomii, tekst o ludzkiej astrologii oraz jakiś stary, zniszczony pergamin, który pleśń zdążyła już zamienić w jeden nieczytelny blok, niedający się nawet rozwinąć. W ciągu swojej trzynastoletniej kariery bibliotekarza Yorsh opanował sztukę odnawiania starych pergaminów: potrzebny był do tego czas, para i olej ze słodkich migdałów. Wszystkiego miał pod dostatkiem: para z wulkanu ogrzewała bibliotekę, słodkie migdały wyścielały jego zachodnią ścianę, a czasu miał tyle, że nie wiedział, co z nim robić, dlatego cokolwiek, czym mógł go wypełnić, było dla niego błogosławieństwem. Teraz, kiedy wszystko, co było do przeczytania, zostało już przeczytane, wszystko, co było do przestudiowania - przestudiowane, a do zarchiwizowania - zarchiwizowane, Yorsh zastanawiał się, jak zdoła wypełnić swój czas, aby nie pochłoneła go tęsknota. Bywały dni, kiedy musiał się bardzo skupiać, aby nie powędrować myślami do myśliwego i kobiety. Kto wie, czy jeszcze żyli. Z pewnością się pobrali! Może mieli dzieci i może im nawet o nim mówili. Może czekali, aż urosną, żeby móc wyruszyć w drogę i go odwiedzić. A może nie mogli nikomu powiedzieć, że poznali prawdziwego elfa, i powrót tutaj byłby dla nich zbyt niebezpieczny. Może już nigdy więcej o nich nie usłyszy.

Nie powinien o tym myśleć. To było zbyt bolesne.

Zabrał się do pracy. Umieścił na kij splesniały tobołek namoczony wcześniej w olejku z migdałów i przytrzymał go nad kraterem. Nie przywiązał pergaminu do kija. Nie był

w stanie sprawić, aby przedmiot sam się unosił nad ziemią, ale potrafił kontrolować myślami jego równowagę. Tobołek przesiąkł parą. Teraz wystarczyło zaczekać.

Yorsh usiadł wygodnie pośród płatków róż, które wyścielały podłogę w głównej sali, i zacisnął dłonie na kij. Był szorstki, obłupany i sękaty. Należał do myśliwego. Elf zamknął

oczy i pogрузił się we wspomnieniach. A wraz z nimi pojawiła się tęsknota. Tylko skrawki wspomnień związanych z mamą: chwila, kiedy się śmiała, echo jej głosu. Babcię pamiętał za to dobrze, pamiętał cały jej smutek i wszystko to, czego go nauczyła. Potem oni, Sajra i Monser, ich wesołość, ich odwaga...

Yorsh uśmiechnął się na to wspomnienie, lecz po chwili ogarnęła go tęsknota i uśmiech zniknął, jak znikają ostatnie kwiaty z nadejściem mrozu. Tęsknota za przyjaźnią, za czułością oraz za pewnym delikatnym i nieuchwytnym uczuciem trudnym do określenia. To była, jakby to powiedzieć, niepewność wydarzeń, ich nieprzewidywalność. Dzień rozpoczynał się o poranku i nie wiadomo było, jak potoczy się dalej. Wszystko, a zarazem przeciwieństwo wszystkiego, zawsze mogło się wydarzyć.

Strach, nadzieja, rozpacz, głód, szczęście i radość wypełniały wtedy ich dni.

Teraz, od rana do wieczora, rok po roku, sezon za sezonem, i tak w nieskończoność, przez kolejne pory roku, wszystko jednakowe. Jego dni pełne były jedynie płatków kwiatów i różowej doskonałości.

Pragnienie niedoskonałości stawało się z każdym dniem coraz silniejsze. Nawet myśl o błocie, deszczu i głodzie napawała go tęsknotą. Lecz tak naprawdę tęsknił za nimi, za Sajrą i Monserem, kobietą i mężczyzną, którzy go przygarnęli, uratowali, towarzyszyli mu w wędrówce, kochali go. Właściwie, jeśli się dobrze nad tym zastanowić, to nie niedoskonałości mu brakowało.

Brakowało mu Sajry i Monsera.

Brakowało mu wolności.

- Co ty czynić? - spytał smok.

- Nic ważnego - odpowiedział elf.

- A zatem móc ty przyjść tutaj to czynić? Tak ja w samotni nie pozostawać i my móc księgę ładną przeczytać, mimo że my już ją przeczytać wcześniej, tę księgę o pięknej księżniczce, która poślubia czarującego księcia, który to jako dziecko zgubiony został i wszyscy wierzyli, że o innego chodziło...

Najwidoczniej rozum smoków po upływie drugiego tysiąclecia ich życia zaczyna przejawiać dramatyczne ubytki. Smok nie przypominał sobie własnego imienia. Ze wszystkich możliwych ubytków ten wydał się elfowi najokrutniejszy i najdobitniej, jego zdaniem, świadczył o całkowitym

otępieniu. Tak myślał na początku, ale wtedy nie znał

jeszcze zamiłowania smoka do powieści miłosnych. Nie wszystkich. Tylko tych absolutnie idiotycznych.

- Skończę tutaj i zaraz przyjdę - obiecał.

Para zmiękczyła już pleśń. Yorsh zaczął powolutku rozwijać pergaminy zlepione w jeden blok. Robił to naprawdę powoli, tak aby nie porwać pergaminu. Znowu smarował

całość olejem z migdałów, a następnie delikatnie odklejał jedne kartki od drugich.

Już niedługo będzie można odczytać tytuł.

Zniecierpliwiony smok zapytał go ponownie, co robi, Yorsh odpowiadając mu, rozszyfrował tytuł: *Dracos*. Język trzeciej dynastii runicznej. Smoki. Księga o smokach!

Pierwsza na ten temat. W całej bibliotece, na pięćset dwadzieścia trzy tysiące osiemset dwadzieścia sześć ksiąg, ani jedna nie mówiła o smokach. Pięćset dwadzieścia trzy tysiące osiemset dwadzieścia sześć ksiąg, począwszy od tych o astronomii, alchemii, poprzez meteorologię, geografę, wskazówki dotyczące łowienia ryb i konserwowania czarnych jagód w spirytusie, włączając w to tysiąc sto pięć zbiorów z przepisami o grzybach i osiemnaście tysięcy czterysta trzydzieści sześć powieści miłosnych, i ani jednego traktatu, który mówiłby o smokach?

Potem zrozumiał. Biblioteka musiała zawierać dziesiątki albo nawet setki ksiąg o smokach, ale z jakichś niejasnych powodów smok nie chciał, aby zostały one przeczytane, i zniszczył je.

Teraz znów zaczął się cicho uskarżać na samotność, skurcz żołądka i klucie w piątej przestrzeni międzybrowej po lewej stronie, promieniujące do sto pięćdziesiątego siódmego kręgu... ale po chwili usnął i jego ciche chrapanie rozległo się w całej bibliotece.

*Smoki (Dragosaurus Igniforus) posiadają sto pięćdziesiąt sześć kręgów* - brzmiało pierwsze zdanie książki. Odczytywanie pisma trzeciej dynastii runicznej szło Yorshowi raczej dość wolno, ale mimo to jakoś sobie radził.

Juna wślizgnęła się do sali sypialnej. To duże pomieszczenie w przeszłości było owczarnią. Przez szpary między deskami prześwitywało światło poranka. Brakowało w nim okien, a jako drzwi służyła, wisząca w progu, stara owcza skóra. W powietrzu unosiła się woń pleśni i niedomytych ludzkich istotek, pomieszana dodatkowo ze smrodem owiec, który stanowił w rezultacie najmocniejszą nutę całej tej mieszanki zapachowej. Na podłodze, między ciałami śpiących dzieci a gołą ziemią, leżała bezkształtna warstwa siana. Kurz tańczył

w promieniach wschodzącego słońca. Juna odnalazła swoje miejsce między Iomir a północną ścianą - tą, gdzie drewno było trochę bardziej wilgotne i trochę bardziej spleśniałe. Przykryła się płaszczem, który nocą służył jako kołderka, musnęła palcami maleńką wypukłość, jaką tworzyło w ukrytej kieszonce drugie jajeczko i, szczęśliwa, zamknęła oczy. Gdy tylko to zrobiła, pojawił się obraz księcia i smoka, lecz tym razem nie odpędziła go od siebie. Leżała z zamkniętymi oczami, wpatrując się w niego i pozwalając, aby wypełnił jej myśli i serce.

Była tak pogrążona w swoich marzeniach, że dźwięk dzwonu na pobudkę, mimo iż przewidziany i oczekiwany, sprawił, że aż podskoczyła. Nie ona jedna: dzieci w sierocińcu przywykły już do tego, budząc się ze swoich niespokojnych snów. Cała sala zerwała się natychmiast na równe nogi. Oczekiwanie marnego nawet posiłku oraz świadomość nietolerowania spóźnień ze strony Hien powodowały, że wszyscy ruszali się tak szybko, że dostawali zadyszki. Płaszcze poskładano i złożono na ubitej ziemi, zgodnie z panującym porządkiem, który przewidywał także odpowiednią pozycję dla każdego dziecka podczas zbiórki. Siano zebrano w stosy w kątach pomieszczenia, tak aby odsłonić gołą, ubitą ziemię, na której ustawiły się dzieci, jak zawsze zgodnie z kolejnością swoich legowisk. Wszystko odbywało się w ciszy, pośpiechu i strachu przed spóźnieniem. Owcza skóra wisząca w wejściu uchyliła się i Hieny wtargnęły do sali sypialnej. Ostatni spóźnialscy spieszyli się tak, że aż wpadli na siebie nawzajem, przestraszeni. Beka była jak zawsze uśmiechnięta.

Wydawała się ładna, a właściwie należałoby powiedzieć, że kiedyś, dawno temu, musiała taka być, teraz zaś pozostało jej jedynie przyzwyczajenie do bycia ładną, bo w rzeczywistości już taka nie była. Była mała. Miała owalną twarz i dziwne uczesanie z warkoczyków zebranych razem nad karkiem i poprzipinanych do głowy srebrnymi spinkami z zielonymi kamyczkami. Tego dnia włożyła różowy kubrak, na którym ciemnoróżowe hafty przeplatały się z rządkami szklanych koralików. Spódnica była nieco ciemniejsza od kubraka, dobrana do koloru haftów. Jej szyję otaczała fałdzista biała koronka, która z przodu krzyżowała się sama ze sobą, tworząc okazały węzeł. Karambol był od niej dużo starszy. Być może w przeszłości miał inteligentny wyraz twarzy, albo może chociaż powiedział lub zrobił coś inteligentnego, ale to naprawdę musiało zagubić się gdzieś w zamierzchłych czasach. Obecnie przypominał

ogromną ropuchę, która połknęła w całości gigantyczny melon, a na jej twarzy malowała się teraz satysfakcja z tego, że jej się to udało - był to jedyny wyraz, jaki przyjmowała jego twarz, na zmianę z wyrazem bezkresnego, totalnego znudzenia.

- Dzień dobry, kochane dzieci - powiedziała Beka. Karambol przytaknął niewyraźnie.

- Dzień dobry jasnie wielmożna pani Beka i jasnie wielmożny panie Karambolu -

odpowiedziały jednym głosem dzieci.

Jedno z nich nie dokończyło zdania - przerwał je kaszel. Beka na moment srogo zmarszczyła czoło. Malec natychmiast sam spróbował przywołać się do porządku.

- Wstaje kolejny cudowny dzień, w którym będziecie mogli zaznać dobroci, wielkoduszności, hojności i łagodności waszego wielkiego dobroczyńcy. Naszego wielkiego dobroczyńcy. Dobroczyńcy nas wszystkich. Naszego przywódcy. Tego, który nas broni.

Wszyscy kochamy...

- Zarządcę Daligar i terenów przyległych - znów jednogłośnie odpowiedziały dzieci.

To małe znów nie zdołało dokończyć, bo przerwał mu kaszel. Stało za plecami Juny, ale ona nie miała odwagi obejrzeć się, żeby zobaczyć, kto to był. Na długiej, różnorodnej liście uchybień odwrócenie się podczas „dialogu” sklasyfikowane było jako „bezczelność” i karane policzkami, których liczba wahała się od jednego do sześciu, zależnie od okoliczności. Junie wydawało się, że kaszlała Iomir, ale nie miała pewności.

- Jesteśmy wszyscy...

- Wdzięczni - dokończyły dzieci.

- Naszemu ukochanemu...

- Zarządcy Daligar, naszemu kochanemu hrabstwu, jedynemu dobru na świecie, dla którego warto żyć i za które warto umierać...

Zwłaszcza umierać: to najłatwiejsze i najbardziej prawdopodobne. Żeby utrzymać się w tym hrabstwie po prostu przy życiu, z dnia na dzień trzeba było mieć coraz większe szczęście i wykazywać się coraz większymi umiejętnościami.

Kaszel znów przerwał gadaninę Beki. Tym razem Juna nie miała wątpliwości: chodziło o Iomir.

- Bez niego bylibyście... - ciągnęła dalej znudzona Beka.

Głowę Juny znów wypełniły myśli o mamie i tacie. Gdyby nie Zarządca Daligar i terenów przyległych, jej rodzice nadal by żyli, a ona spałaby teraz pod wełnianymi przykryciami w swoim domu. Potem obudziłaby się, żeby zjeść śniadanie - mleko, chleb, jabłka, trochę miodu, a czasem nawet sera.

- Zagubieni i zrozpaczeni - odpowiedział chórek - będąc dziećmi niewdzięcznych rodziców.

Szczęśliwi i z pełnym brzuchem, pomyślała Juna. Przynajmniej ona i Iomir, i wszyscy ci, których rodzice zmarli od ciężkiej pracy. Zanim Zarządca Daligar i terenów przyległych zjawił się, aby

zreorganizować wszystkim życie zgodnie ze swoim własnym, dość osobliwym, pojmowaniem Sprawiedliwości i Miłości, trudno było być naprawdę głodnym w krainie, gdzie kwitło mnóstwo sadów, gdzie ogrody przeplatały się z winnicami, a łąki pełne były krów, nie tylko kwiatów. Głód nie dotknął hrabstwa nawet w epoce Wielkich Deszczów ani podczas mrocznych lat ciemności. Teraz stanowił codzienność, normalność, regułę. Wozy zboża i owoców każdego lata opuszczały wioski i kierowały się w stronę miasta Daligar, gdzie tym wszystkim były chyba wybrukowane ulice, bo przecież nie sposób, aby mieszkańcy mogli zjeść całe te zapasy.

Gdyby nie Zarządca, nie byłiby też sierotami. Gdyby nie Zarządca, żyliby w świecie, w którym tym, dla czego należało żyć i za co warto było umrzeć, były - według ludzi - ich własne dzieci.

- Albo i gorzej - podjęła Beka.

W tym miejscu chór zamilkł.

- Dziećmi rodziców egoistów - kontynuował pojedynczy głos Iomir, ale kaszel znów uciął ostatnie sylaby.

Juna nabrała powietrza w płuca; teraz jej kolej jako solistki.

- Lub egoistów i obrońców elfów - dodała w pośpiechu, z nadzieją, że był to jeden z tych poranków, kiedy wszystko szło szybko i szybko się kończyło. Nadzieja okazała się złudna. To miał być jeden z tych poranków, kiedy wszystko się wlokło i wchodziło się w szczegóły. Beka podeszła bliżej, a jej uśmiech złagodniał jeszcze bardziej.

- Właśnie tak - zaczęła wyjaśniać - twoi rodzice byli...

- Egoistami - mruknęła Juna, ograniczając się do lżejszego z zarzutów, gdyż sama myśl o tym, że jej rodzice mogliby kiedykolwiek chronić elfa, napawała ją wstrętem.

- Głośniej, moja droga, głośniej!

- E-go-i-sta-mi - przesyłabizowała Juna.

- I co to znaczy?

- Że byli przywiązani do swojego bogactwa. - Juna zastanowiła się nad tym bogactwem: nad suszonymi jabłkami mamy, kaczkami taty, sadem, który rósł za domem. Tata i mama zaczynali pracować przed świtem, kończyli późną nocą, a w zamian mieli pełną spiżarnię i rzędy kapusty w ogródku. Potem przyszli żołnierze.

- To prawda, najdroższe dzieci - wyjaśniła Beka, podczas gdy Karambol przytakiwał

znudzony - to rzecz okropna, o-kro-pna, nie dzielić się z innymi własnymi dobrami; trzymać bogactwa tylko dla siebie.

Beka przerwała znudzona - spojrzenie Juny zatrzymało się na jej fioletowych aksamitnych

trzewikach, wyszywanych gęsto złotymi nićmi, z maleńką perełką, która błyszczała w miejscach krzyżowania się ścięgu. Doprawdy trudno było patrzeć w dół bez spoglądania na buty, a Juna ciągle jeszcze pamiętała ten jeden jedyny raz, kiedy to odważyła się odezwać do Beki, nie wbijając przy tym wzroku w ziemię.

- Złocene trzewiki nie są dla mnie - syknęła lodowatym tonem Beka. - Są dla funkcjonariusza Daligar, którego reprezentuję. Moja skromna i pokorna osoba tylko je nosi -

wytłumaczyła, sylabizując, jakby mówiła do grupy tępaków.

Beka westchnęła i przyjrzała się dzieciom. Juna także spojrzała ukradkiem wokoło.

Widok nie wydał jej się zachwycający: wszyscy byli bez butów, ubrani w jutę koloru błota, mieli brudne, nieuczesane włosy, które opadały na wychudzone i nieumyte twarze. Raz Juna zaplotła Iomir warkocze, lecz zostało to uznane za „zachowanie dziwaczne i lekkomyślne” -

kara: dodatkowa godzina pracy i żadnej kolacji dla obojgu.

Iomir znów zaczęła kaszleć i Beka spojrzała na nią smutno, jakby zabolęła ją ta forma nieodpowiedzialnej niewdzięczności.

- Dzisiaj przerwałaś mnóstwo razy, Iomir - powiedziała słodko, zbliżając się do dziewczynki. Iomir próbowała przestać kaszleć i o mało się nie udusiła. - Żadnego śniadania -

dodała Beka, wydając głębokie westchnienie, pełne smutnego rozczarowania.

Potem się odwróciła i dwóm najstarszym chłopcom - Drabowi i Ospowi - kazała rozdać po jabłku i garści owsianki na głowę. Porcję Iomir mogli podzielić się między sobą.

Drabo i Osopo wymienili triumfalne spojrzenia. Potem, dodała Beka, mieli zaprowadzić dzieci na łąki, aby skosiły resztki siana i pozbierały drewno. Iomir zaczęła, aż Hieny wyszły, i rozpłakała się. Rój dzieci wybiegł na zewnątrz. Wszyscy ustawili się grzecznie w kolejce po owsiankę - wszyscy z wyjątkiem Juny, która została tam, gdzie była, i Iomir, która przycupnęła w kącie sali sypialnej, aby sobie pochlipać.

Juna pomyślała o jajku, które miała w żołądku. W tym dniu głód został pokonany.

Spojrzała na Iomir, małą i zrozpaczoną, zasłaniającą sobie twarz rękami.

Podczas gdy inni wychodzili na słońce, Juna pozostała w cieniu, wyjęła z ukrytej kieszonki jajko kuropatwy, oczyściła je z ziemi, a potem zbliżyła się do małej i wsunęła jej jajko w dłoń.

- Tylko nie przestawaj płakać od razu! - poleciła szeptem. - I zjedz także skorupkę, tak żeby nic nie zostało.

Potem ustawiła się w kolejce po swoje jabłko. Dostał jej się pomarszczony i lekko nadpsuty owoc, a i owsianki było też mniej niż zwykle, lecz kiedy już ją jadła, słyszała, jak płacz Iomir stawał się



coraz radośniej udawany. To miał być dobry dzień.

Smok zażądał, aby przeczytano mu od początku historię o księżniczce na ziarnku groszku, mimo że już od dawna musiał ją znać na pamięć. Księżniczka zaginęła jako niemowlę, na polu groszku, podczas powodzi, i została potem wychowana przez złą wieśniaczkę, a kiedy spotkała ją królowa, która nie wiedziała, że jest jej matką - księżniczka jej nie rozpoznała. W tym miejscu należało przerwać lekturę, aby dać smokowi czas na wylanie wszystkich łez, a potem można było czytać dalej. W chwili gdy księżniczka, która myślała, że jest biedna, mówiła złemu księciu, iż może zatrzymać dla siebie całe swoje bogactwo, następowała kolejna przerwa na zalanie łzami dywanu z płatków róż, którym pokryta była podłoga jaskini. Radość wybuchała w momencie rozpoznania, gdy dziewczyna od groszku i królowa matka padały sobie w ramiona. Łzy lały się tak obficie, że nie tylko płatki róż, ale i motyle były całkowicie przemoczone. Potem następował koniec. Cisza.

Zmęczony wielkim płaczem i wielką radością, smok usypiał. Jego ciche chrapanie wprawiało płatki i motyle w regularny ruch, przypominający lekkie fale na morzu.

*Smoki posiadają sto pięćdziesiąt sześć kręgów, dwadzieścia cztery pary żeber, cztery płuca, dwa serca. Między języczkiem a tarczycą znajdują się gruczoły ogniowe, które zawierają glukozoalkoholprzeistaczacz, substancję, która zamienia glukozę w alkohol. Kiedy jakiegokolwiek emocje podwyższają temperaturę smoka, alkohol zapala się i wydechowi powietrza towarzyszy obfite wydzielenie ognia. Inhalacja z wody zmieszanej z naparem ze świeżych kwiatów tojadu białego (aconitus albus), naparstnicy purpurowej (digitalis purpurea) i arniki górskiej (arnica montana) zmniejsza wydzielanie ognia, które jest niekontrolowane u smoka niemowlęcia. Kwiatów musi być jednak niewiele, gdyż zbyt duża ilość jest trująca i może okazać się śmiertelna. Również zwykła inhalacja z...*

Niestety, zwykła inhalacja z... która również gasiła ogień smoka, została nadjedzona przez pleśń i utracona podczas rozklejania pergaminu. Jego smok nigdy niczego nie wyzionął, nawet jednej iskierki - może reguła, zgodnie z którą wszystkie smoki ziały ogniem z gardzieli, miała jednak pewne wyjątki.

*Jeśli do inhalacji stosuje się miętę pieprzową (mentha piperita), może się nawet poprawić oddech.*

Gdzie mógł posadzić trochę mięty pieprzowej? Jedną sadzonkę albo dwie, albo może nawet trzy.

*Także dusza smoków to czysty ogień - głosił dalej podręcznik. - Ich odwaga nie ma sobie równych. Podobnie ich szlachetność. Ich wiedza jest rozległa niczym ocean, mądrość wielka niczym firmament, a jedyne, co równać się może z ich intelektem, to nieskończenie wielka miłość do wolności i do latania.*

Yorshkrunsquarkljolnerstrink był tak zdezorientowany, że sprawdził ponownie tytuł: tak, księga naprawdę mówiła o smokach. Nie wydawało mu się, aby strach przed przeciągami miał wiele wspólnego z niezrównaną odwagą. Wiedza o rozmiarach oceanu zdawała się z kolei nie pasować do łez nad losami zamienionych w dzieciństwo księżniczek, nie mówiąc już o niepamiętaniu własnego imienia.

Zdecydowanie, od wszystkich reguł są wyjątki.

*Istnieje tylko jedno słowo, którym opisać można smoka: WSPANIAŁOŚĆ .*

Cóż, wszystko na świecie jest kwestią opinii.

Prawdopodobnie albo autor dzieła był wielbicielem narzekań i entuzjastą burczenia w brzuchu, albo to, co napisane było w książkach o smokologii, dotyczyło wszystkich smoków z wyjątkiem niego.

Być może w bibliotece znajdowały się kiedyś inne podręczniki smokologii, a smok je zniszczył, obawiając się, że jego... krótko mówiąc „nienormalność” wyjdzie na jaw. Albo kiedy był jeszcze dzieckiem, to znaczy szczeniakiem, to znaczy urodzonym niedawno, inne smoczki żartowały sobie z niego, bo wołał historie o podmienionych księżniczkach od zabawy w kółko graniaste nad wulkanem czy gry w chowanego wśród błyskawic i chmur.

Elfowi zmiękło serce. To straszne być płacziwą, nieznośną niezdara w świecie wspaniałych geniuszy.

Kolejnej strony nie udało mu się odkleić tak dobrze jak poprzedniej - w kilku miejscach pismo się rozmazało i pozostało nieczytelne.

*Wszystkie smoki pod koniec życia składają jajo.*

Odczytywanie pisma trzeciej dynastii runicznej nie szło mu najlepiej. Yorsh przeczytał więc to zdanie jeszcze trzy razy zanim nabrał całkowitej pewności. Wszystkie smoki pod koniec życia składają jajo. Wszystkie? Ale czy smoki to samce czy samice? A jego smok? Nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby nie być samcem.

*Tak jak niektóre gatunki morskich ryb, smoki rodzą się jako samce, a następnie zostają matkami.*

Interesujące. Nie podano jednak ani naukowej, ani potocznej nazwy ryby, o której była mowa. Książka prezentowała niewybaczalne braki.

*Wysiadywanie trwa trzynaście lat, trzy miesiące i osiem, czasem dziewięć dni.*

Trzynaście lat wysiadywania? Plus trzy miesiące i osiem i pół dnia?

*Podczas wysiadywania smok traci swój ogień, swoją odwagę, chęć latania i bycia wolnym. Wszystko to tonie w rozpaczliwej potrzebie znalezienia się w ciepłym, spokojnym miejscu, w którym można pozostać. Wiedza smoka zetraca się w nicości, która wszystko pochłania: najpierw matematykę, potem geometrię, astronomię, astrologię, sztukę prorokowania, historię, biologię oraz sztukę łapania motyli. Wszystko zostaje pochłonięte przez nicość. Przedostatnią zanikającą rzeczą jest gramatyka - smok zaczyna mówić niezrozumiałym językiem, przypominającym język tych, którzy uderzyli się w głowę, wyrządzając sobie tym wielką krzywdę, i taki sam jak tych, którzy uderzyli się w głowę, wyrządzając sobie tym wielką krzywdę, staje się też umysł smoka. W ciągu ostatnich trzynastu lat zostaje przez smoka zapomniane nawet jego własne imię, które stanowi najwyższą formę wiedzy, gdyż własne imię jest też własną duszą, zwłaszcza dla smoków,*

*które wybierają swoje imię same, będąc u szczytu swych mocy, jeśli nie zostanie im ono nadane przez tych, którzy je wychowują,*

Yorsh przełknął ślinę. Miał wrażenie, jakby właśnie wpadł do lodowatej wody.

*Do wysiadywania potrzebna jest wielka ilość, ciepła, W czasach gdy smoków było wiele i zamieszkiwały one licznie świat, tak jak dziś zamieszkują go bąki i polne koniki, smok, przed rozpoczęciem wysiadywania, musiał zadbać o innego smoka, który opowiadałby mu różne historie. Były to historie sentymentalne, wzbudzające wiele emocji, gdyż takie tylko historie sprawiają, że temperatura smoka wzrasta i jajo wysiadywane jest prawidłowo. Smok-przyjaciel smoka wysiadującego, poza umilaniem i rozgrzewaniem wysiadywania historiami o podmienionych dzieciach i porwanych księżniczkach, ma też inne zadanie, o wiele ważniejsze: musi on wychować nowo narodzone maleństwo smoka, gdyż ten nie przeżyje więcej niż paru godzin po zakończeniu wysiadywania - czasu koniecznego dla odbycia swego ostatniego lotu, tak aby po raz ostatni poczuć moc wiatru w skrzydłach i oddalić się, ażeby jego młode, dopiero co z jajka się wykluwszy, nie zobaczyło swego rodzica, jak z tego świata odchodzi.*

Odchodzi? Umiera? Jego smok miał umrzeć? Elf poczuł ból przeszywający jego serce.

*Taka jest przyczyna, dla której smok wysiadujący, jest wyjątkowo płaczący, nudny, nieinteresujący i nieznośny, tak aby wypróbowana została, ponad wszelką wrażliwość, cierpliwość przyszłego opiekuna jego własnego maleństwa, tego, który będzie musiał je kochać, chronić i przede wszystkim nauczyć je latać, ponieważ młody smok tylko kiedy już nauczy się latać, przestaje być niemowlakiem.*

Ale dlaczego smok mu tego nie powiedział? Dlaczego to przed nim ukrywał?

Prawdopodobnie zniszczył wszystkie podręczniki smokologii, aby on sam tego nie odkrył.

*Smok, który wysiaduje, boi się wszystkiego.*

Ukrył to przed nim ze strachu. Ze strachu przed opuszczeniem? Ze strachu, że on opuści jego cenne jajo?

*Obecnie, gdy smoki wymierają, coraz trudniej jest smokowi znaleźć miejsce spokojne, ciepłe i w pożywienie zaopatrzone. Nie może on oddalić się, nawet na króciutki lot, gdyż w przeciwnym razie jajko oziębia się i obumiera. Ponadto smok potrzebuje historii, które na czas wysiadywania wystarczająco podnoszą jego temperaturę. A nawet jeśli owych historii słucha, to potrzebuje jeszcze kogoś, kto zaadoptuje pozostawioną przez niego sierotkę, i to jest powodem, dla którego smoków coraz mniej jest i coraz mniej będzie. Smok, który wysiaduje, wie, że za wszelką cenę stan swój w tajemnicy utrzymać musi, gdyż wychowanie smoka niemowlęcia niezwykle jest... (pleśń)... i nikt nie sprostałby takiemu obowiązkowi. Również dlatego...*

Również dlaczego i co nie było dane mu się dowiedzieć. Reszta pisma została zjedzona przez pleśń.

Żołądek elfa skurczył się z przerażenia i ze wzruszenia. I z poczucia winy. Czy nie mógł być bardziej

uprzejmy? Oczywiście, że smok jest głupi, płacziwy, władczy i niezdolny, ale to dlatego, że wysiada!

Wysiadywanie było tak straszne, tak bardzo długie i tak bardzo męczące, że unicestwiała duszę, unicestwiała umysł, unicestwiała odwagę. To był ostatni czyn w jego życiu. Potem miała nadejść śmierć. ŚMIERĆ.

Yorsh wypuścił z rąk pergamin, który upadając na ziemię, wydał z siebie ciche *plask*.

Nie zdążył już zrobić nic innego, bo nastąpił przerażający trzask i ściany jaskini zdrząły.

Potem do jego uszu dobiegło dziwne *plask, plask, plask*, jak pergamin, który upada na ziemię, lecz o wiele miększe i głośniejsze. Coś jak hałas ogromnych skrzydeł, które trzepoczą na niebie.

Na koniec doszedł go śmiertelnie ostry pisk, który zamienił w okruszyny połowę bursztynowych okiennic.

Chłopiec elf wbiegł do wielkiej sali. Na środku leżało ogromne jajo. Przeplatały się na nim szmaragdowa zieleń i złoto, tworząc te same esy-floresy, które na skórze smoka (smoczy?) tworzyły róż i jasny popielaty. Jajo było pęknięte z jednej strony i ze środka wystawała głowa należąca do szmaragdowozielonej, pomniejszonej wersji wysiadującego (wysiadującej?). Na twarzy niemowlaka malowała się rozpacz. Miał na sobie kolory ciemnej zieleni i złota, tak jak skorupa jaja. Czupryna nad oczami była w kolorze ciemniejszej zieleni, jak dno przejrzystego morza. Jego oczy były ogromne, okrągłe, szeroko otwarte i pełne rozpacz. Wszystkie księgi z regału na północnej ścianie - osiemset czterdzieści sześć ksiąg do geometrii analitycznej i przepisy, jak robić przetwory z czarnych jagód i papryki - dymiły się. Najwidoczniej do pisku dołączyła wiązka ognia. Yorshkrunsquarkljolnerstrink pomyślał, że umieszczenie ksiąg z tego samego zakresu na jednym regale nie było dobrym pomysłem.

Teraz analiza planimetrii zniknęła z listy znanych przedmiotów i ludzkość będzie musiała odtworzyć ją sobie od początku, chyba że on znajdzie wolną chwilę, jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, mniej więcej, aby napisać na nowo przynajmniej jej podstawy. Przepisy na przetwory z jagód i papryki, marynowanych razem w tymianku, także zniknęły już na zawsze, lecz jeśli o nie chodzi, to przy odrobinie szczęścia może nikt nigdy ich znów nie odkryje.

Trzask z towarzyszącym mu drżeniem ścian spowodowany był otwarciem się ogromnych drzwi. Oba ich skrzydła zostały otwarte na oścież i wiatr od morza wpadał do środka, unosząc nad podłogą małe kłęбки płatków, motyli i popiołu pozostałego po trzech wiekach studiów z planimetrii. Po drugiej stronie, ponad morzem, na niebie trzepotały wielkie skrzydła wielkiego smoka. Wypełniał on sobą całe niebo. Światło znajdującego się już wysoko słońca prześwitywało przez arabeski na jego skrzydłach. Złote oczy smoka i błękitne oczy chłopca elfa spotkały się. Była w tych oczach wszelka czułość świata, wszelka duma, wszelka możliwa miłość i wszelka siła, wszelka wyniosłość i arogancja.

Wszelka wspaniałość.

WSPANIAŁOŚĆ.

WSPANIAŁOŚĆ.

WSPANIAŁOŚĆ.

WSPANIAŁOŚĆ.

WSPANIAŁOŚĆ.

WSPANIAŁOŚĆ.

WSPANIAŁOŚĆ.

WSPANIAŁOŚĆ.

- Erbrow - krzyknął smok, podczas gdy smuga ognia wydobyła się z jego gardzieli i przecięła niebo, barwiąc je na pomarańczowy kolor.

Yorsh zrozumiał, że to było jego imię. Przytaknął, a potem oddał głęboki pokłon.

Smuga ognia pozostała na niebie, dzieląc je na dwie części, podczas gdy wielkie skrzydła wielkiego smoka trzepotały coraz niżej na horyzoncie, unosząc go coraz bliżej miejsca, w którym wzburzone fale stykały się z niebem.

Fale rozchyliły się i, powoli, przyjęły ogromne skrzydła, które pozostały długo zawieszony w miejscu, gdzie morze graniczyło z horyzontem, a ponad nimi unosiła się chmura mew.

Potem fale zamknęły się i po smoku nie pozostał już nawet ślad. Yorsh wpatrywał się ciągle w punkt, gdzie skrzydła po raz ostatni zalśniły w słońcu.

Serce elfa wypełniło się bólem. Ból, niczym ostrze, przeszył mu także duszę, napotykał inny ból, ten, który tkwił tam od zawsze: mama, która odeszła tam, skąd już się nie wraca, gdy on był jeszcze zbyt mały, aby móc ją sobie teraz przypomnieć; babcia, która została w ich chatce, podczas gdy wody ciągle przybywało, a on był już zbyt duży, aby móc o tym kiedykolwiek zapomnieć.

Serce elfa pogrążone było w żalu.

Zaprażył mieć jeszcze przy sobie wielkiego smoka, móc po raz ostatni przeczytać mu historię o księżniczce na ziarnku groszku, bobu lub czegokolwiek. Z całych sił zaprażył

zostać upomnianym za to, że jak ostatni przestępca próbował się wspiąć na rosnący przed drzwiami wejściowymi dąb lub po raz kolejny usłyszeć o wszystkich objawach zapalenia ucha zewnętrznego, nie mówiąc już o niezycie żołądka, zapaleniu zatok, pokrzywce lub skurczu w trzydziestym drugim, siedemnastym czy czterdziestym kręgu ogonowym.

Potem kolejny, śmiertelnie ostry pisk rozległ się za jego plecami.

Smoczek znów płakał.

W związku z tym cała fizyka także została obrócona w kupkę popiołu na podłodze.

Ludzkość będzie musiała na nowo odkryć termodynamikę i prawa dźwigni. Zajmie to całe tysiąclecia. Jeśli dobrze pójdzie.

Podczas gdy Yorsh zastanawiał się zrozpaczony, co i jak powinien zrobić, przyszło mu na myśl jedno z powiedzeń Arduina, Pana Światła, Założyciela Daligar: „*Kiedy grożą nam nieszczęścia, nie mamy czasu myśleć o tym, jak bardzo jesteśmy zasmuceni i zrozpaczeni, więc przestajemy takimi być*”.

Pierwsze, co należało zrobić, to wyciągnąć smoczka z jego jajka. Skorupa miała grubość na trzy palce. Yorsh spróbował ją złamać, ale to było tak, jakby usiłował skruszyć dłońmi kamień. Wyciągnął ostrożnie rękę, uważając, aby wykonać jak najwolniejszy ruch i nie przestraszyć małego smoka.

Ruch nie był jednak wystarczająco wolny.

Kolejny cichy pisk i fala ognia. Na szczęście wśród przepisów na grzyby i instrukcji dotyczących konstruowania latających maszyn znajdował się też podręcznik leczenia oparzeń.

Yorsh ponowił próbę, tym razem lewą ręką, jako że prawa przypominała wyglądem jeden z borowików z *Jak przyrządzić grzyby nad rozżarzoną węglem* - czwarty regał na południowej ścianie trzeciej komnaty. Spowolnił ruch, aby uniknąć zwiększenia podobieństwa między jego twarzą a rysunkami z *Jak nie zwęglić grzybów nad rozżarzoną węglem* - trzeci regał na południowej ścianie trzeciej komnaty.

Ruch okazał się wystarczająco wolny.

Tym razem Yorsh zdołał położyć dłoń na głowie malca. Esy-floresy z maleńkich szmaragdowozielonych łusek przeplatały się z pasmami sierści miękkiej jak aksamit, w ciemniejszym zielonym kolorze, mieniającej się miejscami na złoto. Wszystko, czego dotykał, było gładkie, miękkie i ciepłe, ale poprzez dotyk elf poczuł rozpaczliwy strach malca, przygnębiający i wszechogarniający; taki, jaki może odczuwać tylko niemowlę; strach wypełniający umysł, w którym nic innego jeszcze nie ma, a zatem mogący wypełnić sobą całą istotę. W ciepłej główce sporego smoczka panował bezgranicznie wielki niepokój i strach przed czymś nieskończenie bardziej bolesnym niż głód i nieskończenie bardziej przerażającym niż ciemność.

Yorsh o mały włos nie zagubił się w tym ślepych i bezkresnym przerażeniu, przypomniał sobie siebie samego pośród niekończącego się deszczu, bez nikogo przy boku, samotnego, aż po kres horyzontu.

Strach przed samotnością.

Strach przed tym, że nikt cię nie kocha.

Zrozumiał, co powinien zrobić. Z całych swoich sił pomyślał o sobie i malcu razem.

Wyobraził sobie siebie z głową malca spoczywającą na jego kolanach, pośród bezkresnej łąki maleńkich stokrotek. Potem wyobraził sobie, jak spali razem przytuleni do siebie. Później - jak dzielili się po połowie słodkimi migdałami i groszkami. I znowu - gdy malec trzymał głowę na jego kolanach, pośród bezkresnego pola stokrotek.

Malec się uspokoił, rozpacz zniknęła z jego twarzy, rozpromieniły się oczy.

- Już dobrze, maleńki, już dobrze.

Maleńki w cudzysłowie - smoczek był niczym mała góra. Ale Yorshowi nie przychodził do głowy żaden inny zwrot.

To był malec. Miał wielkie wilgotne oczy, które mieniły się na zielono i złoto, niczym górskie jezioro w promieniach słońca.

Słowa: „Wszystko w porządku, maleńki, jestem przy tobie”, działały. Zielone oczy smoka utonęły w błękitnych oczach elfa.

- Mój śliczny malec, moje śliczne maleństwo. Jesteś moim ślicznym maleństwem.

Moim ślicznym pisklątkiem. Moje maleńkie pisklątko, mój śliczny smoczek, maleńki smoczek.

Smoczek rozpromienił się. Po raz pierwszy w swoim życiu uśmiechnął się.

Był o wiele mniej kanciasty od dorosłego smoka i miał bardzo łagodny uśmiech, choć prawie bezzębny: ani śladu kłów tylnobocznych, tylno-środkowych, dolnych ogonowych ani dolnych czaszkowych. Widoczne były jedynie oznaki głównych kłów.

Po raz pierwszy w swoim życiu smoczek zamachał ogonem i jego ogromne jajko rozleciało się na kawałki. Oto jak udawało się smokom wydostać ze skorupy. W książce nie było o tym wzmianki, elf będzie musiał coś na ten temat dodać. Kawałki skorupy rozprysły się we wszystkie strony niczym szmaragdowozielone i złote fajerwerki podczas eksplozji.

- Erbrow! - oto jak będzie się nazywał. - Erbrow - powtórzył triumfalnie elf.

Malec dosłownie oszalał z radości. Podskoczył rozpromieniony. Zabójczy cios jego merdającego ogona powalił wiekowy stalaktyt i z sufitu odpadły odłamki skały. Smoczek wydał z siebie pełen radości pisk, na szczęście Yorsh uchylił się w porę, ratując swoją twarz, lecz z części jego włosów pozostała tylko maleńka kupka popiołu, która tańczyła po podłodze wraz ze zwęglonymi resztkami *Sztuki tworzenia zegarów słonecznych*. Przez najbliższe stulecia ludzkość nie będzie nawet wiedziała, która jest godzina. Przewidywanie komety lub zaćmienia będzie dla ludzi wielkim wyzwaniem.

Yorsh usiadł na ziemi. Smoczek znów się uśmiechnął, bezzębnie, ale jego oczy promieniały wtedy jeszcze bardziej. Położył elfowi głowę na kolanach i natychmiast usnął, zmęczony.



Spokój.

Yorsh czuł, jak piecze go prawa ręka. Czoło także zostało muśnięte przez ogień.

Spróbował szybko sporządzić listę rzeczy, które koniecznie musiał zrobić: poukładać wszystkie księgi i pergaminy, gromadząc je w głównej sali, aby uchronić je i przed smokiem, i przed niepogodą. W następnej kolejności będzie musiał poszukać sobie arniki górskiej, tojadu i naparstnicy purpurowej oraz znaleźć sposób na robienie smoczki inhalacji, aby uczynić go bardziej... jak by to powiedzieć... nieszkodliwym. To się nazywa szczęśliwy zbieg okoliczności: arnika górska leczy też poparzenia. Będzie ją musiał wszędzie posadzić.

Poruszając się ostrożnie, tak aby nie obudzić malca, który spał na jego kolanach, Yorsh położył się na podłodze jaskini, pośród dywanu z małych stokrotek, wysunął lewą dłoń, jedyną, jaką miał chwilowo sprawną, i rozciągając się najdalej, jak tylko mógł, wziął z powrotem do ręki swój podręcznik smokologii - aktualnie najważniejszą księgę w całej bibliotece.

Zaraz, zaraz. Stokrotki? Yorsh rozejrzał się dookoła. Łąka stokrotek pokrywała podłogę jaskini.

W podręczniku nie zamieszczono kilku istotnych informacji o smokach.

Nie wspomniano na przykład o tym, że kiedy smoczek jest szczęśliwy, jego umysł urzeczywistnia marzenia.

Chociaż kto wie, może i wspomniano, ale zjadła to pleśń.

Pracowali od rana przy zbieraniu winogron: najwspanialsza praca na świecie. Nie można policzyć wszystkich kiści na winorośli ani wszystkich winogron w kiści. Podczas pracy musieli bez przerwy śpiewać, aby udowodnić, że nie mają nic w buzi, ale i tak nikt nie był w stanie się zorientować, kiedy jednego głosu brakowało.

Słowa:

*...wszyscy Zarządcę kochamy,*

*wszyscy mu ufamy, z*

*wdzięcznością go wychwalamy za*

*to, że nas kocha...*

rozbrzmiewały nieprzerwanie pośród winorośli. Dzieci nauczyły się jeść na zmianę, za każdym razem jedno - to, które w danej chwili było najbardziej oddalone od Beki. Podczas gdy ona krążyła bez przerwy między rzędami winogron, Karambol chrapał na dole, w cieniu drzewa figowego, u stóp zbocza z winoroślami. Kiedy spał, otwierały mu się usta, ślina ciekła wąską stróżką po jego szarawej brodzie, ale i tak miał wtedy mądrzejszy wyraz twarzy, niż gdy nie spał.

Nawet Drabo i Ospo nie stanowili zagrożenia - zbyt zajęci pochłanianiem jak największej ilości winogron.

Słońce migotało między rzędami. Lato było suche, a winogrona wspaniałe. W oddali, na szczytach Gór Ciemności, lśnił pierwszy śnieg. Mówiło się, że po ich drugiej stronie jest morze, coś w rodzaju wielkiej rzeki, która nie ma końca i rozciąga się we wszystkich kierunkach, dopóki horyzont nie oddzieli jej od nieba. Juna pomyślała o swoim ojcu, który opowiadał często, że kiedyś pokaże jej morze, bo dusza wolnych istot nieuchronnie gna je do miejsc, gdzie nic nie przysłania horyzontu, a niebo graniczy z ziemią wzdłuż jego linii.

Iomir była blisko Juny, nawet ona wyglądała niemal na wesołą, gdy między jednym a drugim winogronem krzyczała na całe gardło:

*...za to, że nas kocha...*

Nagle jej twarz znieruchomiała. Dziewczynka zasłoniła usta dłonią i o mały włos nie upuściła zerwanej kiści. Na jej twarzy odmalowały się kolejno: największe na świecie zdziwienie, największa na świecie radość, największy na świecie smutek, największy na świecie strach i największa na świecie groza. Juna odwróciła się, aby spojrzeć w kierunku, w którym patrzyła Iomir, i pośród rzędów winogron zobaczyła skulony cień. Od razu zrozumiała: jedno z rodziców Iomir, a może nawet obydwójce, przyszło po córkę, mała zaś przeraziła się na myśl o tym, że Beka i Karambol lub jedno z opuszczonych dzieci mogliby ich zobaczyć.

Do Domu dla Sierot można było trafić, będąc prawdziwą sierotą, czyli dzieckiem, którego rodzice umarli, lub będąc porzuconym, czyli dzieckiem rodziców, którzy poszli sobie w swoją stronę, zostawiając własne potomstwo na łasce Hien.

W związku z powyższym istniały w sierocińcu dwa obozy, nieuchronnie nieżyczliwe dla siebie nawzajem, wręcz wrogo do siebie nastawione. Porzuceni mieli porzucenie we krwi, już we wczesnym dzieciństwie udało im się jakimś sposobem przetrwać głód i okrucieństwo; głód i okrucieństwo już ich wybrały, stając się jednocześnie fundamentalnymi składnikami ich osobowości i ogólnie ich życia. Nieuniknioną tego konsekwencją była nie tylko nienawiść, lecz także wzdą, jaką porzuceni darzyli każdego, kto żywił ukryte wspomnienia czułości i dostatku zaznanych w dzieciństwie. Porzuceni znali Bekę i Karambola od zawsze i cieszyli się niemalże ich łaskawością, bardzo małą, rzecz jasna, gdyż tylko do takiej była zdolna owa dwójka. Porzuceni stanowili żywe świadectwo tego, że pod opieką, którą roztaczały nad wszystkimi Hieny, dało się jednak przeżyć: w pewnym sensie byli oni oczkiem w głowie prowadzących Dom dla Sierot.

Porzuceni żywili potajemnie pewne marzenie: pewnego dnia przybędzie ktoś, aby ich stamtąd zabrać; jakiś król lub jakaś królowa zapuka do drzwi Domu dla Sierot, by odszukać swoje maleństwo, zagubione na skutek jakichś strasznych wydarzeń - zaginione podczas trzęsienia ziemi, uniesione w wiklinowym koszyku przez prąd rzeki podczas powodzi, porwane z czystej niegodziwości przez orków, trolle, elfy, wilkołaki i im podobne, a potem porzucone.

Mijał dzień za dniem, a do drzwi nie pukał jak na złość nikt. Właściwie to w Domu dla Sierot nie było nawet drzwi, do których jakiś król, jakaś królowa czy ktokolwiek mógłby zastukać i zapytać, czy przypadkiem nie znajduje się tam jego ukochane dziecko, jego najukochańsza córka. W wejściu wisiała tylko owcza skóra, która, jeśli się uchylała, to jedynie po to, by do środka weszły Hieny i ewentualni „tymczasowi opiekunowie”, którzy przychodzili, aby najać dzieci do pracy. Uzgadniali cenę z Beką, natomiast Karambol obserwował wszystko, siedząc pod wierzbą, podczas gdy jedno z najmniejszych dzieci wachlowało go i odganiało od niego muchy. Nuda nadawała mu bezsprzecznie głupkowaty wyraz twarzy.

Ale nigdy nic nie wiadomo. W najskrytszych zakamarkach swoich umysłów porzuceni, wszyscy bez wyjątku, nawet ci najstarsi, ci całkowicie pozbawieni najprostszyc form prostoduszności i wiary, ukrywali marzenie o królu i królowej, których złota karoca, przepelniona jedzeniem, stanie pewnego dnia przed owczą skórą wiszącą w progu sierocińca.

Prawdziwe sieroty przybywały do Domu dla Sierot pod opiekę dwóch Hien, nie posiadając odpowiedniego przygotowania. Co więcej, tęsknota i wspomnienia sprawiały, że ich przygotowanie było jeszcze mniej odpowiednie. Wtedy do akcji wkraczały Hieny. Do ich głównych obowiązków należało wyplenienie z młodych umysłów jakiegokolwiek uczucia miłości, którego obiektem nie byłoby Daligar.

To nie wszystko. Każda ludzka istota, nawet ta najgorsza, a właściwie to przede wszystkim ta najgorsza, odczuwa dzikie pragnienie bycia kochanym, a przynajmniej niezbyt nienawidzonym. W pełnym rozpacz i zgaszonym spojrzeniu dzieci, których mamę i tatę zastąpiły nagle Hieny, a chleb i ser - owsianka z robakami, ukryta pod strachem i głodem, wciśnięta między strapienie i upokorzenie, drzemała nienawiść.

Wprawdzie panowały bieda i nieurodzaj, wybuchały epidemie, lecz często zdarzało się, że odejście rodziców takiego dziecka nie było spowodowane właśnie nimi, ale bardziej bezpośrednią interwencją Zarządcy, który to nigdy nie poskąpiłby swojemu ludowi, dla jego własnego dobra, świętej kary śmierci przez powieszenie. To, z jednej strony, podsycalo nienawiść w spojrzeniach dzieci, a z drugiej, wzmagalo mroczną radość Hien płynącą z wymierzania kar, redukowania racji żywnościowych lub wydłużenia godzin pracy.

Bezpośrednia interwencja Zarządcy mogła oznaczać wyrok skazujący na śmierć przez powieszenie lub na wygnanie z hrabstwa Daligar, przy czym temu drugiemu towarzyszył nakaz pozostawienia na miejscu dzieci, uznawanych za własność hrabstwa.

To właśnie przytrafiło się rodzicom Iomir. Jeśli wróciliby kiedykolwiek, aby odzyskać córkę, popełniliby przestępstwo klasyfikowane jako uprowadzenie nieletniej i zagrożone karą śmierci.

Niczym dowódca wojskowy obmyślający strategię starcia, Juna ustaliła błyskawicznie pozycję Beki i najniebezpieczniejszych przedstawicieli obozu porzuconych, głównie Draba i Ospa, a także Cali, dziewczynki, która miała o jeden palec mniej i nienawidziła Iomir z całego serca. Drabo i Osposo byli daleko, po drugiej stronie winnicy, Beka znajdowała się mniej więcej w połowie drogi między Juną i Iomir a ukrytym cieniem. Odwrócona tyłem, spoglądała w stronę szczytu wzgórza, gdzie jedno z mniejszych dzieci wywróciło się i może nawet skaleczyło, ale najgorsze było to, że przewróciło kosz z zebranymi winogronami.

Niebezpieczeństwo stanowiła Cala: stała parę kroków od skulonego cienia. Na szczęście jej uwagę też odwróciło koziołkujące dziecko i związane z tym wyzwiska rzucane przez Bekę.

Nie miało to jednak trwać długo. Juna gorączkowo starała się wpaść na jakiś pomysł. Nagle zaczęła biec jak szalona, oddalając się jak najbardziej od przycupniętego wśród winorośli cienia.

- Wąż, ratunku, wąż! - krzyczała na całe gardło.

- Uspokój się natychmiast i wracaj do pracy, głupia dziewczucho - wrzasnęła Beka. - To najwyżej zaskroniec.

Za późno. Pośród rzędów winorośli wybuchła panika, choć nie można też wykluczyć, że dzieci wykorzystały po prostu okazję, aby mniej śpiewać i zjeść więcej winogron.

Przestały zbierać owoce, zewsząd dobiegały krzyki przerażenia, wszyscy uciekali w różne strony, zderzając się ze sobą nawzajem. Juna wciąż biegła, udając przestraszoną, wymachując rękami i wydając z siebie potworne piski. Nagle, już nie na żarty, zahaczyła o korzeń i runęła jak długa na jeden z wielkich wiklinowych koszy, do którego opróżniano skrzynki napełniane przez dzieci pośród rzędów winorośli. Kosz zachwiał się parę razy, potem stracił równowagę na dobre, runął na ziemię i zaczął się toczyć w dół, gubiąc po drodze część - ale niewielką -

swej zawartości. Właściwie to kiedy po ostatnim rykoszecie od jednego z kamieni wzbił się w powietrze, aby wylądować następnie na Karambolu, praktycznie nadal był pełen. Rozpętało się

piekło. Wszyscy krzyczeli. Beka pospieszyła uwolnić swego kompana, lecz kosz pasował

jak ulał do głowy Karambola, która zaklinowała się w środku. Drabo i Ospo nadbiegli z pomocą, mimowolnie i nieuchronnie dodając komizmu całej tej scenie, przedstawiającej kolejno: ich dwóch ciągnących z jednej strony, Bekę - z drugiej, i Karambola po środku, w koszu, krzyżącego i chlapiącego dookoła sokiem z winogron. Wśród krzewów winorośli ktoś zaczął się głośno śmiać.

Kątem oka Juna dostrzegła, jak Iomir znika między rzędami winorośli w ramionach dużej postaci. Udało się.

Problem stanowiła teraz jej własna sytuacja. Juna próbowała wpaść na jakiś pomysł, aby wydobyć się z kłopotów, ale w głowie miała pustkę, niczym niezmaconą pustkę, równie niezmaconą jak powierzchnia małego stawu za ich domem, gdy mewy odleciały na zimę na południe.

Karambol, kiedy już wreszcie wy dostał się z kosza, ociekając sokiem z winogron niczym zmokła kura wodą po deszczu, wstał i zmierzał teraz w jej stronę, a na jego twarzy malował się trzeci - po głupkowanym zadowoleniu i czystej głupocie - wyraz: furia. Nawet w tym momencie nie sprawiał jednak wrażenia osoby w miarę inteligentnej, natomiast jeśli chodzi o wzbudzanie strachu, to szło mu całkiem dobrze.

- Ty... ty... - zaczął krzyżeć, wskazując palcem Junę - ty... ty... - głos uwiązał mu w gardle.

Juna nie miała najmniejszej ochoty dowiedzieć się, co miało nastąpić po owym „ty”.

Zastanowiła się, jakie miała szanse na ucieczkę. Żadnych - Drabo i Ospo zagradzali jej drogę.

Zastanowiła się, ile uderzeń zostanie jej wymierzonych i ile razy zostanie wydalona z kolejki po owsiankę i jabłko, i strach przed bólem przepełnił jej serce, a wraz z nim strapienie na myśl o głodzie.

Po raz pierwszy naprawdę się bała: może nie dożyje nawet do wiosny.

Juna nie ruszyła się z miejsca, obezwładniona. Pierwszy raz w swoim życiu odniosła wrażenie, że zgasł ostatni promyk nadziei.

Nagle świat stał się zielony. Ktoś krzyknął ze strachu. Juna spojrzała w górę. Na niebie było coś ogromnego, szmaragdowozielonego, przez co prześwitywało światło. Juna pierwsza zrozumiała, czy też właściwie rozpoznała to, co wszyscy widzieli: słońce zasłoniły skrzydła smoka.

Yorsh obudził się i przeciągnął. Poparzenia na prawym ramieniu i na czole praktycznie już się zagoiły, prawie ich nie czuł, za to te na plecach zaboląły go tak, że aż zobaczył gwiazdy. Kiedy szedł, kulał. Ostatni stalaktyt, który zrzucił na niego swoim ogonem smok, uderzył go w kostki u nóg. Obydwie. Był cały zdrętwiały i obolały.

Z zimna ścierpły mu kończyny, a kolan po prostu nie czuł. Miał wrażenie, że jest rakiem, który przespał się w lodowcu. W Astrid, ostatniej wiosce zaznaczonej na mapie, myśliwy kupił mu ciepłe i wygodne ubrania z szarej i niebieskiej wełny, tyle tylko, że ubrania nie rosną, a dzieci tak, a do tego wszystkiego dochodziły jeszcze rozdarcia, rozprucia i miejsca, w których wełny już po prostu nie było, bo się przetarła. Teraz po ubraniu pozostał

mu wyłącznie strzępek przykrywający biodra, podczas gdy cała reszta umierała z zimna.

Przypominał sobie o pięknych czasach, kiedy to sypiał w idealnej temperaturze pod idealną warstwą motyli, które go ogrzewały. I jeszcze wtedy narzekał! Teraz niedoskonałości i niepewności miał pod dostatkiem; wręcz go przytłaczały. Dużo oddałby za kilka przewidywalnych i monottonnych, podobnych do siebie dni.

Przypominał sobie siebie samego jako malca, prawie trzyletniego, gdy umierał z zimna, strachu i głodu pośród ciemności i deszczu. Poprosił los o trochę ciepła oraz dostatek i przez trzynaście lat miał ich tyle, że aż mu obrzydły. Najwidoczniej jego los nie potrafił

zachować umiaru.

Smoczek jeszcze spał. Cienka warstwa śniegu pokrywała modrzewiowy las, w którym spędzili noc. Lepiej zostać poza biblioteką - nie tylko po to, żeby uratować co nieco ze skarbnicy ludzkiej wiedzy, ale również dlatego, że malec był prawdziwym wulkanem radości, zawsze ze wszystkiego zadowolonym, i nie przestawał ani na chwilę merdać ogonem, a stalaktyty, które nim zrzucał, mogły być śmiertelnie niebezpieczne.

Chłopiec elf wyszedł z lasu na polanę. Arnika górską rosła tam, gdzie góry stykały się z lodowcem. Yorshkrunsquarkljolnerstrink zrobił wszystko, co w jego mocy, aby przekazać smoczkowi obraz pola arniki górskiej, mając nadzieję, że zobaczy, jak wyrasta mu ono pod stopami, tak samo jak wcześniej pole stokrotek. Jedyne, co otrzymał w odpowiedzi, to zasmucony pisk niezrozumienia, z towarzyszącą mu nieodłącznie śmiertelną wiązką ognia.

Plecy piekły go jeszcze do tej pory na samo wspomnienie.

Najwidoczniej materializacja działała tylko wtedy, kiedy towarzyszyły jej wielkie emocje: gejzery radości i przemożne fale uczucia. Fakt, że Arnika była mu potrzebna do uleczenia poparzeń lub do zapobiegnięcia im, nie wywoływał dostatecznie wielkiego wybuchu namiętności.

Do tego wszystkiego maleństwu rosły kły: centralne były już na swoim miejscu, a dodatkowo pojawiły się pierwsze ślady tylnobocznych. Powodowało to swędzenie dziąseł, a ulgę przynosiło

smoczkowi gryzienie różnych rzeczy. Oznaczało to, że wiedza przyszłych pokoleń może zostać uszczuplona o zawartość tych książek, które zamienią się w kupkę popiołu albo trocin. To było jak trzymanie w domu tysiącsześciusetfuntowej myszy.

Yorsh zdołał dokuśtykać do arniki - roślinek było niewiele, ale wystarczająco dużo, aby mógł uleczyć swoje plecy i ramię. Dla ugaszenia ognia smoczka albo przynajmniej osłabienia go choć trochę potrzebne były także tojad i naparstnica. Problem polegał na tym, że w księdze nie podano dawek. Polecano, aby w naparze znajdowało się niewiele kwiatów, ponieważ wiele mogło sprawić, że napar stanie się trujący. Śmiertelnie trujący. Ile to *niewiele*, a ile to *wiele*!

W związku z wątpliwościami elf musiał pogodzić się z tym, że poparzenia będą pojawiać się w dalszym ciągu. Musiał się tylko postarać, by je trochę ograniczyć, oszczędzając malcowi niespodziewanych emocji.

Yorsh skończył opatrywać swoje poparzenia. Wstał. Za nim ośnieżone szczyty Gór Ciemności bieleły się na tle błękitnego nieba, a przed nim rozpościerała się dolina.

Rozejrzał się wokoło. Mały świerkowy las, z którego wyłonił się nagle mały lisek i przestraszył Erbrowa - wciąż jeszcze dymił, natomiast krzaki jeżyn w pobliżu jeziora, gdzie Erbrov odkrył chmurę cudownych motyli, już zgasły. Kulejąc, Yorsh skierował się w stronę lasu modrzewi. Gdyby Erbrov się obudził i zorientował, że jest sam, przestraszyłby się i kolejne drzewa skończyłyby jako płonące pochodnie.

Smoczek spał jeszcze pośród modrzewi. Yorsh usiadł i pogłaskał go. Jego palce przebiegały powoli po miękkiej, ciepłej sierści o szmaragdowej barwie. *Smok niemowlak waży tysiąc sześćset funtów*, mówiła książka.

Tysiąc sześćset funtów klęsk i zniszczeń. Tysiąc sześćset funtów ciepłej sierści i czułości.

Tysiąc sześćset funtów katastrof i poparzeń. Tysiąc sześćset funtów małych błyszczących łusek i tkliwości.

Smoczek obudził się, przeciągnął i ziewnął szeroko, co obróciło w popiół szczyt stuletniej sosny na skraju polany.

Potem Erbrov spostrzegł elfa, popatrzył na niego uszczęśliwiony i zaczął się śmiać z radości, że go odnalazł. Yorsh w samą porę zrobił unik - zdołał już nabrać kocich odruchów -

ale krzak rozmarynu tuż obok stanął w płomieniach. Yorsh nadal głaskał smoczka, a ten, szczęśliwy, merdał ogonem. Później obaj przytulili się do siebie blisko krzaku rozmarynu, który nadal się palił, ogrzewając powietrze i nadając mgłę złote refleksy. Malec popatrzył na niego zachwycony, a chłopiec pocałował go w sam czubek nosa. Jak młodszego braciszka.

Erbrow był naprawdę szczęśliwy, więc machanie ogonem przybrało na sile i jeden z modrzewi, złamany na pół, runął na ziemię. Tym razem Yorsh zdołał umknąć; tak, zdecydowanie nabierał kociej zwinności i zdecydowanie czuł się tak, jakby miał maleńkiego braciszka. Tysiącsześciusetfuntowego

braciszka.

Tysiącsześciusetfuntowy braciszek, z czego co najmniej pół tuzina funtów przypadało na gruczoły ogniowe.

Nie był już całkiem sam aż po kres horyzontu, lecz niewątpliwie jego los nie radził

sobie z zachowaniem umiaru. Gdyby chociaż plecy bolały go trochę mniej!

Yorsh wziął do rąk swoją starą, pocerowaną torbę, którą nosił przewieszoną przez ramię. Otworzył ją i wyciągnął swój pergamin oraz garść złotego groszku dla malca. Malec przepadał za nim i rozradowany zabrał się do jedzenia, ziarnko po ziarnku, powolutku, tak jak wszystkie smocze szczenięta.

*Smok przestaje być niemowlęciem, kiedy już nauczy się latać. Dopiero wtedy nieskończona mądrość przychodzi, dopiero wtedy uczy się mówić, pisać i kojarzyć swój ogień ze szkodami, jakie on wyrządza...*

„Kiedy już”, nie „kiedy”. Po tym i w konsekwencji tego. W konsekwencji tego, że uczy się latać; po swoim pierwszym locie smok przestaje być niemowlęciem. Był tam także rysunek ilustrujący tę koncepcję. To emocje doznawane podczas lotu oraz ruchy mięśni klatki piersiowej i grzbietu umożliwiają ostateczne wykształcenie się mózgu.

Tak więc opiekun smoczka musiał nauczyć go latać. A dopóki mu się to nie uda, lepiej zaopatrzyć się w duży zapas arniki górskiej.

Pytanie brzmiało: jak? Latania uczyło się przez naśladownictwo.

Yorsh nie potrafił latać. Największym jego doświadczeniem w sferze tego rodzaju doznań było popołudnie spędzone na huśtawce. Pierwszy pomysł, jaki przyszedł mu do głowy, był prosty, a zarazem genialny. Yorsh położył dłoń na ogromnej główce smoczka, a potem skoncentrował się z całych sił na grupie krążących w powietrzu mysikrólików. Nie zadziałało. Smoczek podjął kilka prób wydobycia z siebie ćwierkotu (poparzenie prawego ramienia Yorsha i zniszczenie ośmiu drzewek różowej mandarynki) i spędził połowę dnia, podskakując jak ktoś przekonany, że waży zaledwie jedną ósmą uncji, a następnie wyrwał z korzeniami trzy pnącza różowych grejpfrutów, które starał się przeskoczyć.

Drugi pomysł był bardziej praktyczny. Yorsh zrobił sobie dwa mechaniczne skrzydła, które zamiast piór miały liście powalonych grejpfrutów, i spróbował zademonstrować smoczkowi, o co chodzi. Zdezorientowany malec patrzył na niego bez większego zainteresowania, gdy on biegał tam i z powrotem po polanie, machając dwoma ogromnymi skrzydłami z liści różowego grejpfruta.

Zanim Yorsh upadł, powalony całym tym długim bieganiem, Erbrow znalazł maleńką żabkę. Najpierw się jej przestraszył, bo była to pierwsza żaba, jaką widział, i w konsekwencji wiązka ognia zniszczyła rosnącą niedaleko dziką śliwę. Potem zaczął się bawić rozradowany, skacząc za nią we wszystkie strony.



Wobec znikomego sukcesu swoich dotychczasowych prób Yorsh postanowił zmienić metodę nauki - wspiąć się na skały i poszybować z nich prosto na ziemię. Rzecz w tym, że upłynęło już dużo czasu od lektury podręcznika budowy maszyn latających, a nie mógł

przeczytać go ponownie, ponieważ został on obrócony w popiół przez drugie kichnięcie malca, podczas gdy teksty na temat balonów i latawców zostały zniszczone już przez pierwsze.

Skrzydła nie były najwidoczniej wystarczająco duże lub, co też prawdopodobne, niewłaściwy był kąt nachylenia liści służących utrzymaniu równowagi do tych, które wytrzymały uderzenia powietrza. Przy pierwszej próbie Yorsh rozbił się żałośnie na środku łąki porośniętej kwiatami goryczki, a w powietrze wzniosła się chmura liści grejpfruta.

Zdezorientowanie widoczne w oczach smoczka nagle ustąpiło przerażeniu; zbocze góry jeszcze długo miało nosić ślady jego desperackiego płaczu. Yorsh nauczył się gasić ogniska: stosował na opak przeniesienie energii, dzięki któremu potrafił je rozpalać. Rzecz w tym, że energia ulegała przeniesieniu, ale nie zniszczeniu. Przenosiła się wewnątrz głowy chłopca, a dokładniej do miejsca położonego między czołem a nosem, gdzie pozostawała przez chwilę, wywołując pieczenie i coś w rodzaju wewnętrznego poparzenia połączonego z zabójczym bólem głowy - być może dałoby się to jakoś znieść, gdyby nie nieuchronne kontuzje kostek, poparzenia pleców i otarcia lewego kolana, nie mówiąc już o sińcach na łokciach i o zwichniętym dużym palcu lewej nogi.

Palce i oczy chłopca przebiegały po starych pergaminach, które znał już na pamięć.

Trzymał w ręce kwiaty arniki górskiej oraz chłodny śnieg i przykładał je do wszystkich obolałych miejsc: poparzeń, skaleczeń, otarć, zwichnięć, zadraśnień i sińców. Nagle podskoczył. Ostatnia strona nadpleśniałego pergaminu, której do tej pory nie mógł odkleić, rozwijała się i stawała czytelna.

Śnieg i arnika górska, które trzymał w dłoni, w połączeniu z dymem ze spalonego rozmarynu, okazały się skutecznym środkiem na pleśń pergaminów. Było to bardzo interesujące odkrycie.

Mógłby je dodać do Podręcznika konserwowania i restaurowania starych pergaminów, gdyby nie to, że malec zdążył go już pogryźć.

Na odzyskanej stronie zapisanych było tylko kilka linijek.

*Jeśli smok nie posiada nikogo, kto opowiadałby mu historie o księżniczkach w dzieciństwie zamienionych i o księżętach wyjątkowej urody, istnieje jeszcze jedna możliwość: można wyczytać je w księgach. Istnieje nowa rasa istot narodzonych ze związku elfów z ludźmi. Nie są one jak elfy, które uwielbiają jedynie naukowe książki oraz takie, co tłumaczą, jak rzeczy powstają; nie są też jak ludzie, którzy żadnych ksiąg nie uwielbiają, odkąd po upadku imperium i nadejściu nieokrzesanych ludów barbarzyńskich zaczęli się sami zachowywać jak dzikusy, a nawet gorzej.*

Yorsh przeczytał ten fragment raz, potem jeszcze raz, i znowu, dopóki nie był pewien ponad wszelką wątpliwość, że każde słowo, każda litera i sylaba odcisnęła się w jego umyśle niczym rozżarzone żelazo na żywej skórze.

Erbrow skończył jeść ziarna groszku i, zadowolony, podszedł do Yorsha, aby ten go popieścił.

Istoty narodzone ze związku elfów z ludźmi. A więc małżeństwa między elfami a ludźmi nie zawsze były karane; nie zawsze groziło za to spalenie na stosie. W rzeczy samej, gdy się teraz nad tym zastanowił, wydało mu się to oczywiste: skoro takie związki zostały zabronione, to znaczy, że kiedyś do nich dochodziło.

Zawsze myślał o sobie jako o samotnym elfie. Samotnym chłopcu. Samotnym młodzieńcu, samotnym mężczyźnie, samotnym starcu, który umiera samotnie pośród swoich ksiąg. Samotnie lub w towarzystwie smoka.

A tymczasem okazuje się, że nie musiało tak być: mógłby się ożenić z dziewczynką, z przedstawicielką ludzkiej rasy.

Już na samą myśl o tym ścisnęło mu się serce. Dziewczynka byłaby... ludzka, to znaczy, krótko mówiąc, tak... to oznacza, że posiadałaby ludzkie cechy, takie jak płacz, który wypływa z ludzi pod postacią wody kapiącej im z oczu i nosa. Nie-elf mógłby nawet nie mieć blond włosów ani błękitnych oczu. Mógłby mieć spróchniałe zęby. To byłby ktoś, kto jada nieżywe mięso i rozgniata rękami komary. Właściwie to na myśl o tym bardziej niż serce ścisnął mu się żołądek.

A jakby tego było jeszcze mało, dzieci, które by się potem urodziły, bredziłyby o księżniczkach zagubionych na polach groszku i odnalezionych później na polach kapusty.

W zamian za to jego smoczek, pod warunkiem że nie spaliłby ani nie roztrzaskał

biblioteki, mógłby wysiadywać w niej swoje jajko. Miałby schronienie, owoce i cały zapas głupkowatych powieści.

Nagle Yorsh przypomniał sobie o przepowiedni z Daligar.

Mówiła coś o elfie, który był wszechmocny i ostatni. Wiedział już, że to on.

Wszechmocny i ostatni elf miał spotkać ostatniego smoka. Yorsh wzdrygnął się na samą myśl. Ostatniego? Ostatniego w tym sensie, że smok trafiał się teraz już tylko raz na jakiś czas, czy też w tym znaczeniu, że nie zdoła on złożyć swojego jaja i wraz z nim jego rasa zaginie?

Wydawało mu się także, że napisano tam, iż jego przeznaczeniem jest poślubienie dziewczynki o imieniu oznaczającym światło dnia, córki mężczyzny i kobiety, którzy... Były tam jeszcze trzy słowa, lecz nie udało mu się ich odczytać. Pismo drugiej dynastii runicznej nie było łatwe, zwłaszcza jeśli czytało się je w biegu, będąc niesionym przez kogoś, kto ucieka w popłochu. Gdyby tylko zdołał odczytać ostatnie trzy słowa, te następujące po

„którzy”. Gdyby tylko niosący go na rękach myśliwy trochę zwolnił! Wtedy zdążyłby je przeczytać i teraz nie miałby wątpliwości co do swojego przeznaczenia. Z drugiej strony, gdyby biegli trochę wolniej, toby ich złapano i powieszono, a to weszłoby w drogę jego przeznaczeniu, więc lepsze już są wątpliwości. Gdyby chociaż zrozumiał, dlaczego w Daligar aż tak się na nich zdenerwowali! On był elfem, to prawda, ale jedyną rzeczą, jakiej dokonał w mieście Daligar dzięki swojej magii, było

ożywienie kury. Przepięknej kury, o piórach w kolorach ciepłego brązu.

Tym, który miał kogoś poślubić, musiał być właśnie on. To on musiał poślubić dziewczynkę o imieniu oznaczającym światło poranka.

Musiał nauczyć smoka latać. Koniecznie musiał nauczyć smoka latać.

Pozostawał jeszcze jeden pomysł, który do tej pory nie został wypróbowany, a mógł przynieść pożądany skutek.

Yorsh ruszył w kierunku ośnieżonych szczytów. Erbrow potruchtał za nim, cały ciepłutki dzięki swojemu futerku i swoim szmaragdowym łuskom.

Elf trząsał się z zimna. Koncentrując się z całych sił na uczuciu ciepła na skórze, udawało mu się uniknąć zamarznięcia, ale i tak było mu strasznie zimno. Roślinność stawała się coraz uboższa. Śnieg coraz głębszy. W ciągu ostatnich dni śnieżycą przyprószyła zieleni w dolinie, a tutaj, w górach, przykryła świeżym puchem śnieg z poprzedniej zimy.

Był tam jeden idealny szczyt. Yorsh dostrzegł go z doliny: ogromny stromy głaz wznoszący się nad skalną ostrogą, leżącą dwadzieścia stóp niżej. Jeszcze niżej rozpościerał

się wąwóz: tysiące stóp spadania pionowo w dół, prosto na granitowe szczyty, wysokie niczym dziesiątki wież postawionych jedna na drugiej. W oddali ciągnęły się doliny, w których modrzewiowe lasy przeplatały się z polanami, a jeszcze dalej widać było morze w całej swojej okazałości.

Zimno było nieznośne. Miejsce - idealne. Pomysł polegał na tym, aby, bawiąc się ze smoczkiem, zaprowadzić go na sam szczyt. W ostatniej chwili Yorsh wskoczyłby pod jego krawędź - była tam swego rodzaju wnęka, która wydawała się wręcz do tego stworzona.

Erbrow, biegnąc z zapalem za nim, spadłby w pustkę i, już w niej będąc, rozpostarłby swoje skrzydła, tak aby poszybować następnie na skalną ostrogę dwadzieścia stóp niżej. Ostroga była duża. Żadnego ryzyka, że malec runie do wąwozu. Plan wydawał się prosty, a zarazem genialny.

Yorsh zaczął biec. Wymachiwał rękami, śmiał się i wołał malca. Erbrow był

przeszczęśliwy. Piszczął z radości, a małe wiązki ognia rozpuszczały tu i ówdzie śnieg i ogrzewały powietrze.

„Teraz”, pomyślał elf. Rozpędził się. Czuł, jak ziemia tuż za nim dudni pod ciężkimi krokami malca. Dobiegłszy do krawędzi głazu, wskoczył do wnęki i kucnął tam z sercem w gardle. Erbrow nie zdążył wyhamować, wypadł poza krawędź, znalazł się w próżni, nad przepaścią i, przerażony, poleciał w dół, nie otwierając skrzydeł, po czym gruchnął na skalną ostrogę dwadzieścia stóp niżej.

Stał tam zaskoczony, bo pierwszy raz w swoim życiu zrobił sobie krzywdę, i to dosyć dużą. Nawet jego futerko i łuski, które przed wszystkim go ochraniały, były otarte, pobrudzone i poplamione

krwią. Ale smoczek nawet się nie rozplakał. Powoli podniósł głowę i poszukał wzrokiem Yorsha. Najgorsze były te oczy. Szeroko otwarte wpatrywały się w elfa.

Tysiąc sześćset funtów zdziwienia. Tysiąc sześćset funtów rozpacz, cierpienia i rozczarowania. Nawet jego niemowlęcy umysł pojął, że to wszystko nie wydarzyło się przypadkiem. Jak mógł mu to zrobić? Dlaczego mu to zrobił?

Smoczek spuścił głowę. Rozplakał się - to było cichutkie kwilenie. Nie pojawiła się nawet wiązka płomieni, jakby jego ogień zgasł.

Yorshkrunsquarkljolnestrink czuł się okropnie. Głowa opadła mu na piersi. Nie miał już siły.

Poczuł, jak jego straszna samotność pozbawia go tchu niczym stalowe przesywające ostrze.

Samotnie włókł się przez błoto i deszcz. Mężczyzna i kobieta pomogli mu wprawdzie, ale nie pocieszyli go, bo oni byli ludźmi, a on elfem i mur obcości oraz niezrozumienia zawsze istniał między nimi.

Przez dziesięć lat żył w towarzystwie smoka zbyt pogrążonego w niepokoju o wysiadywane jajo, aby mógł naprawdę zauważyć jego obecność i jego zmartwienia, a teraz znowu nikogo nie miał. Pragnął kogoś, kto by go pocieszył, przytulił i powiedział: „Dobrze się spisałeś, mój synu, zrobiłeś wszystko, co mogłeś, wszystko, co było w twojej mocy. Teraz już się nie przejmuj, ja się tym zajmę”.

„Nie przejmuj się, ja się tym zajmę” - nie słyszał tych słów nigdy w całym swoim życiu.

Pragnął, aby ktoś go zawołał i powiedział mu, że kolacja jest gotowa.

Pragnął, aby ktoś otulił go wieczorem kołdrą.

Pragnął, aby zjawił się ktoś tak duży i tak dzielny, że umiałby pomóc małemu smokowi. Ktoś, kto wiedziałby, co powiedzieć i co zrobić, aby ulżyć jego cierpieniu.

Jak na złość nie było nikogo. Tylko on. I mały zrozpaczony smok.

Musiał poradzić sobie sam. Przypomniawszy sobie, że uzdrowił królika i kurę, przywracając je do życia. Pomógł płucom Sajry opróżnić się z wody. Nie było nikogo większego ani silniejszego niż on, ale był on. To lepsze niż nikt.

Był on. To musiało wystarczyć. Musiał podejść do smoczka, uśmierzyć ból jego ran, zagoić je. Nie potrafił leczyć własnych ran, ale cudze - tak.

Potem musiał pocieszyć malca i siebie samego. Pocieszanie to jedna z tych rzeczy, którą można zrobić nawet będąc samym, ale we dwoje wychodzi lepiej: jeśli pocieszysz kogoś innego, sam też czujesz się pocieszony.

Potem musiał nauczyć małego latać. Uda mu się. Na razie smoczek po prostu był

jeszcze za mały.

Za kilka miesięcy znów spróbuje i wtedy malec wszystko zrozumie. Oczywiście, że tak. Wybrał niewłaściwy moment. Yorsh uniósł głowę znad obolałych ramion i ruszył, aby pomóc małemu. Przez nieuwagę stanął na ułamanej gałęzi. Jego kontuzjowana kostka nie utrzymała go. Stracił równowagę i spadł z głazu. Zleciał niemalże dwadzieścia stóp w dół i wyhamował rozbijając się o smoczka. Cichy skowyt malca zamienił się w spazmatyczny krzyk. Przerażony Erbrow podskoczył, a jego gwałtowny ruch wyrzucił chłopca w powietrze: pofrunął po idealnie półkolistym łuku, takim jak te z okresu pierwszej dynastii runicznej, i wylądował na krawędzi skalistej podkowy, gdzie kończyła się skała i zaczynała pustka.

Zdołał chwycić się rękami krzaku jeżyn. Reszta ciała wisiała bezwładnie w pustce.

Pod nim rozpościerała się przepaść głęboka na tysiące stóp, a potem był granit.

- Pomóż mi! - krzyknął do smoczka. - Pomóż mi! - powtórzył, drąc się na całe gardło.

- Ogon. Rzuć mi swój ogon. Możesz mnie uratować.

Malec przyglądał mu się znieruchomiąły i przerażony. Był jak sparaliżowany.

Tysiąc sześćset funtów skamieniałego niezrozumienia.

- Ogon - krzyknął znów chłopiec - rzuć mi swój ogooooon!

Dłonie poranił sobie podczas upadku. Poza tym były też na nich stare, jeszcze niewygojone poparzenia, a do tego wbiły się w nie jeszcze kolce z krzaku jeżynowego.

Elf starał się trzymać z całych sił, ale jego dłonie były coraz słabsze.

- Zaraz spadnę. Nie pozwól mi zginąć. Ogon. Możesz to zrobić, przeklęta bestio.

Uratuj mnie.

Tysiąc sześćset funtów osłupiałej, absolutnej bezużyteczności. Dłonie Yorsha nie wytrzymały. Runął w pustkę.

Próbował coś wymyślić, jeśli nie po to, żeby się uratować, to chociaż po to, żeby jak najmniej cierpieć, kiedy nadejdzie moment uderzenia o granit. Zastanawiał się, ile czasu trwa śmierć i czy trwa wystarczająco długo, aby poczuć ból. Postarał się przypomnieć sobie swoją mamę. Teraz znów się spotkają. Ale ta myśl go nie pocieszyła. Za wszelką cenę chciał dalej żyć - to jedyne, czego był pewien w tej chwili.

Świat stał się zielony - niebo, słońce, ręce, które trzymał wyciągnięte, podczas gdy spadał, części swojego ciała, które był w stanie widzieć, śnieg na szczytach gór. Wszystko.

Dwa wielkie skrzydła rozpostarły się ponad nim i przesłoniły światło.

Smoczek latał. Był tuż nad nim, z rozpostartymi skrzydłami. Przynajmniej nauczył go latać.

Ale Yorsh wołał się nie łudzić.

„On mnie tylko naśladuje”, pomyślał. „Lata jedynie dlatego, że mnie naśladuje. Lada chwila wyda z siebie swój pisk i zamiast roztrzaskać się na kawałki, spalę się żywcem”.

Potem jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Erbrowa. Tysiąc sześćset funtów zdecydowania. Tysiąc sześćset funtów determinacji. Maleństwo przybywało mu na ratunek.

Upadając, smoczek zrobił sobie krzywdę, i to dużą. Zrozumiał, że upadając, można sobie zrobić krzywdę. Przybywał, aby uchronić elfa przed upadkiem na ziemię. Przybywał, aby go schwycić. Był już tuż przy nim. Yorsh zamknął oczy i wstrzymał oddech, czekając, aż poczuje, jak smoczek, starając się wprawdzie ocalić mu życie, wbije w niego swoje pazury.

Być może zostanie uratowany przed upadkiem tylko po to, aby umrzeć przebity jego pazurami.

Tysiąc sześćset funtów inteligencji.

Poczuł szarpnięcie do góry. Erbrow chwycił go za nadgarstki, zamykając je w dwóch szponach swoich tylnych łap. Uchwyt był pewny, silny i jednocześnie... miękki. Łapy Erbrowa były jeszcze delikatne, tak jak łapy wszystkich szczeniąt. Szponami nawet go nie zadrasnął. Jego mózg już się rozwinął i pracował jak należy!

Smoczek poderwał się zdecydowanie do góry i skierował w stronę wzgórz za Górą Ciemności. Obniżyli lot nad łagodnym krajobrazem, gdzie winorośle przeplatały się z jabłonią. Yorsh zebrał wszystkie swoje siły, napiął mięśnie brzucha i podciągnął stopy, wykonując coś w rodzaju koziołka. Erbrow szybko zrozumiał, jaki był cel jego manewru, i ułatwił mu zadanie, obniżając prawy bark i zwalnając jednocześnie w odpowiednim momencie zacisk na nadgarstkach, dzięki czemu chłopiec znalazł się na górze, na grzbiecie smoka. Yorsh dostrzegł w dole, między rzędami winorośli, maleńkie figurki rozbiegające się we wszystkie strony.

- Lećmy stąd! - krzyknął.

Erbrow skręcił i skierowali się w stronę morza leżącego po drugiej stronie Gór Ciemności, które pokonali, lecąc na przemian wysoko, ponad chmurami, i nisko, ocierając się o wierzchołki modrzewi. Yorsh zauważył, że jego biblioteka jest już całkowicie odcięta od reszty świata. Ziemia, która osunęła się dwa razy, prawdopodobnie przedostatniej wiosny, kiedy padały gwałtowne deszcze i jednocześnie panowała odwilż, zamknęła dostęp do schodów, które kiedyś pokonał razem z Sajrą i Monserem, oraz do drogi, którą oboje odeszli.

Do jego biblioteki mógł się teraz dostać tylko ktoś, kto miał skrzydła. Wreszcie ujrzał

horyzont, daleko w oddali, poza doliną, pod chmurami, na którym widać było jedynie mewy.

Czuł wiatr we włosach. Szum morza mieszał się z szumem wiatru i krzykiem mew.

Grzbiet smoka wydawał się wprost stworzony dla jeźdźca: między dwoma właściwymi skrzydłami rosły dwa małe skrzydła wewnętrzne z miękkiego i ciepłego futerka. Gdy smok spostrzegł, że chłopiec drży z zimna, zamknął go w dwóch mniejszych skrzydłach. To było najwspanialsze i najwygodniejsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić.

Pod nimi rozciągała się dolina w całej swej okazałości. Erbrow śmiało obniżył lot, tak aby musnąć wierzchołki modrzewi, potem znów się wzniósł i ponownie opadł, aż tak nisko, że przeleciał tuż ponad trawą na leśnej polanie, po czym znowu wzbił się wysoko pod niebo.

W powietrzu rozbrzmiał krzyk smoka, o wiele niższy i głębszy niż dotychczasowe piski, a przed nimi utworzyła się ognista linia. Smoczek przeleciał przez nią tak szybko, że ani on, ani chłopiec nie zdołali poczuć jej gorąca, tak samo jak wtedy, gdy przesuwają się szybko palec nad płomieniem świecy.

Przy każdym krzyku smoka niebo nabierało płomiennego, złotego koloru, ale już po chwili znowu stawało się błękitne i czyste. Smoczek przeleciał tuż ponad morzem, ocierając się o fale. Yorsh poczuł na twarzy i we włosach słoną pianę. Wokół niego prześcigały się fale, fruwały mewy i nic nie przesłaniało horyzontu.

Elf pomyślał, że jest w życiu „przed” i „po”: przed i po tym, kiedy po raz pierwszy zanurza się dłoń w morzu. Życie pozbawione tego momentu to życie, w którym chyba czegoś brakuje.

Erbrow otoczył go swoimi wewnętrznymi skrzydłami, aby było mu cieplej, a potem zanurzył się w morskiej toni. Yorsh znów zamarzył o tym, by być rybą, i słona woda wokół

niego stała się czystą przyjemnością. Napotkali grupę delfinów, które przyglądały im się z zaciekawieniem. Była wśród nich mama ze swoim małym, na ich widok serce Yorsha na moment przepełniła tęsknota za jego własnym dzieciństwem, którego nigdy nie zaznał, lecz potem Erbrow znów poderwał się do góry, przelatując przez obłok mew, i tęsknota rozplynęła się w pienistych kroplach.

Smok po raz kolejny krzyknął swoim niskim i mocnym głosem przypominającym róg myśliwski. Przed nimi nie pojawił się płomień.

Yorsh roześmiał się. Odnalazł brakujący element. Najzwyklejsza, morska woda była jeszcze prostszym środkiem gaszącym płomień niż napary z tojadu, naparstnicy i arniki.

Nie przestawał się śmiać, bo lot wysoko na niebie, a potem niżej na horyzoncie i znów wysoko na niebie, podczas gdy wiatr rozwiewał mu włosy, mewy śmigają naokoło, a mały delfin spoglądał na niego z wody, robiąc koziolki i chcąc się z nimi bawić, był samą esencją bycia szczęśliwym. Śmiał się i śmiał, bo krąg samotności został przerwany, co, jeszcze bardziej niż latanie, jest samą esencją bycia szczęśliwym. Miał u swego boku, a dokładniej mówiąc - pod sobą, prawdziwego brata: dużego i silnego.

On i Erbrow, lecąc tak razem, przerwali nie tylko krąg horyzontu. Przerwali także krąg smutku, krąg samotności.

Yorsh pochylił się nad smokiem i objął go. Wtulił twarz w jego szmaragdową sierść i tak już pozostał. Smok krzyknął z radości. Tym razem jego złoty płomień przeciął niebo niczym długi świetlny miecz.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, a potem całkiem zniknęło. Niebo wypełniło się gwiazdami. Maleńka wyspa, na której rosła ogromna dzika wiśnia, była jedynym dostrzegalnym kawałkiem ziemi. Poza nią horyzont tworzył idealny okrąg i nic nie stało na przeszkodzie, aby niebo i morze spotkały się ze sobą.



Juna leżała wyciągnięta na słońcu, a czas płynął tak szybko jak woda w rwącym strumieniu.

Odkąd smok zakrył niebo zielenią swoich skrzydeł, nie przepracowali ani jednego dnia. Nikt nie był na tropie Iomir. Nawet jedzenie zrobiło się odrobinę lepsze, a ona nie została ukarana. Niemożliwe stało się możliwe. Prawdę mówiąc, mimo że minęło zaledwie kilka dni, wspomnienie o tym, co tak naprawdę się wydarzyło, zostało tak zniekształcone, wypaczone i splecione z kolejnymi niezliczonymi wersjami, że było już nie do odtworzenia.

Teoria, uznana w końcu za najbardziej wiarygodną, głosiła, że na niebie pojawił się smok, porwał biedną Iomir, a reszta sierot została ocalona przez dzielnego Karambola, który brocząc krwią po stoczonym pojedynku, zmusił wreszcie smoka do ucieczki.

Najśmieszniejsze - pod warunkiem, że ma się duże poczucie humoru - w całej tej historii było to, że po powtórzeniu jej po raz trzeci wszyscy naprawdę w nią uwierzyli. Prawda wsiąkła w ziemię, tak jak sok z rozgniecionych winogron. Juna nie została nawet ukarana. Co więcej: w kolejnych wersjach stała się tą, która podniosła alarm. Nie była może bohaterką wydarzenia, ale zasługiwała co najmniej na miano jednej z pierwszoplanowych postaci. Niedaleko niej, oparta o ogrodzenie, Beka zdawała relację wysłannikowi z Daligar:

- ...i wtedy ta dziewczynka, Juna, podniosła alarm. Jest córką okropnych ludzi, tych naprawdę najgorszych... - westchnienie - ...na szczęście dosięgła ich już sprawiedliwość; ale dzięki poczuciu moralności, jakie wpajamy tu dzieciom, teraz nawet Juna postąpiła właściwie. Oczywiście, nie zachowała się tak tylko ze względu na umiłowanie sprawiedliwości, ale również ze strachu przed smokiem, to jasne... - chichot - ...niemniej dzięki naszemu wpływowi postąpiła jednak właściwie. A poza tym trzeba było go widzieć, to znaczy Karambola... - moment wzruszenia, oczy wpatrzone w dal i uśmiech - zerwał się na równe nogi, chwycił ogromny kosz pełen winogron i wymachując nim niczym tarczą... - Tak więc żadnej kary dla Juny, żadnych ogarów spuszczonej w pogoni za Iomir -

oficjalnie uznanej za zmarłą - i cztery odznaczenia dla Karambola: za odwagę w obliczu wroga; za wielkoduszne ocalenie małych przed bestią, mimo że na to nie zasługiwali; za nieustraszone działanie mimo niebezpieczeństwa oraz za hołd złożony Daligar, jako że w momencie kiedy Karambol przepędzał potwora, mierząc w niego koszem winogron... -

...krzyknął: „Za Daligar i jego Zarządcę”, po czym rzucił się na smoka. Dokładnie tak, mój mążonek rzucił się z koszem na smoka, wołając jak bohater... - krótki szloch wywołany wzruszeniem i łza. - Potwór tak się przeraził, że uciekł: rozłożył swoje ogromne skrzydła, trzymając nadal w paszczy to, co zostało z małej Iomir, i...

Juna była zadowolona, że Iomir jest wolna i ze swoimi rodzicami, choć mocno za nią tęskniła. Jak nigdy miała ochotę z kimś porozmawiać, opowiedzieć to, co się stało, zrozumieć.

Na niebie pojawił się najprawdziwszy smok. Zielony. Tak jak w jej marzeniu. Smoki nie wyginęły, a

jej marzenie nie było czystą fantazją. Patrzyła na smoka pod światło, ale pomimo rażącego ją w oczy słońca zdołała dostrzec małą ludzką figurkę wiszącą u jego łap, niebezpiecznie kołyszącą się w próżni. Mogłoby się wydawać, że była to jego ofiara, lecz w momencie kiedy Juna na nią spojrzała, wisząca postać zrobiła koziołka i usadowiła się wygodnie na grzbiecie smoka. Siedziała tak nieruchomo przez parę chwil w jaśniejącym słońcu, a potem wyciągnęła ręce tak, jakby chciała objąć cały świat.

To był ostatni wyraźny obraz, później smok skręcił w stronę Gór Ciemności i szybko zniknął za nimi.

Tak więc smok istniał i niósł kogoś na grzbiecie.

Księcia? A jeśli nie księcia, to kogo? Juna słyszała w swojej głowie dwa głosy: jeden mówił jej, że marzenie było prawdą, smok przybył, aby jej pomóc i uratować ją samym swoim pojawieniem się. Teraz wróci, aby ją stąd zabrać. Przepelniała ją radość, tryskała nadzieją, wspomnienie światła, które nabierało szmaragdowego koloru, promieniało z jej wnętrza niczym światło świeczki pośród ciemności.

Drugi głos mówił, że to wszystko nie ma sensu: przecież ona nie jest żadną księżniczką ani nikim w tym rodzaju. Po prostu na świecie istniał jeszcze jakiś smok, i to wszystko.

Jakiś smok, z jakimś osobnikiem na grzbiecie, przez czysty przypadek przybył

dokładnie w chwili, kiedy ona była zrozpaczona i w niebezpieczeństwie, aby uratować ją samym swoim pojawieniem się, i który, przez czysty przypadek, był dokładnie taki sam jak smok, o jakim marzyła każdej nocy, odkąd pozbawiono ją rodziny. Zbieg okoliczności?

Była też trzecia myśl, która chodziła jej po głowie, myśl-robak, myśl-gąsienica: włochata i trująca, jak robaki, które znajdowała w czerwcu w czereśniach, na zewnątrz niby pięknych, a w środku brzydkich. Może to, co mówili Beka i Karambol, jest prawdą. Może to nie były tylko oszczerstwa, same kłamstwa. Może jej rodzina rzeczywiście była... zła.

Rodzina, która... Juna poczuła obrzydzenie od samego wypowiedzenia tych słów tylko w myślach... rodzina, która pomogła elfom. To okropne, to nie mogła być prawda. Jej mama i jej tata byli dobrzy. To nie mogła być prawda. Niemożliwe, aby zrobili tak odrażającą rzecz jak chronienie elfa, i do tego za pieniądze. Takie było oskarżenie: ochrona elfa w zamian za złote monety, za które kupili potem dom, zagrodę, krowę, konia, owce, kury i sad. Ktoś, kto ochronił elfa, może mieć związki ze smokiem. A ten, którego chronili, nie był jakimś tam elfem, był tym elfem, tym, który na rok przed jej narodzinami przybył do Daligar, aby je sterroryzować. To Zarządca uratował miasto przed furią tej strasznej kreatury; tej żądnej krwi bestii, która z przyjemnością wymordowałaby wszystkich żołnierzy, wszystkie kobiety, dzieci, psy, a nawet kury, gdyby nie Zarządca, który powstrzymał go dzięki swej odwadze i swemu męstwu.

Szczegółów tego wydarzenia nigdy nie podano. Juna miała pewne wątpliwości co do jego przebiegu. W całym swoim życiu nie poznała nigdy nikogo, kto byłby dzieckiem kogoś zabitego przez straszego elfa z Daligar, a przecież wszystkie sieroty hrabstwa znajdowały się właśnie tutaj, w sierocińcu, razem z nią.

Jeśli elf był tak silny, że już na sam dźwięk jego imienia rozpięchli się wszyscy żołnierze, to jak mógł stawić mu czoło Zarządca Daligar? Może tak samo dzielnie jak Karambol przeciwstawił się smokowi? Juna zachichotała. Radość znów zagościła w jej sercu.

A jeśli to nie była prawda; to, że smoki są złe, a elfy wrogie? Jeśli to wszystko było tak samo nieprawdziwe, jak heroiczna walka na wzgórzu winogronowym?

- ...heroiczna walka, he-ro-i-czna - kontynuowała Beka. - Ociekał krwią jak zmokła kura wodą po ulewie...

Może smoki były dobre i jeden z nich właśnie przybył, aby ją odnaleźć. Juna zamknęła oczy. Głód i smutek znów zniknęły, a za zamkniętymi powiekami utworzył się po raz kolejny ten sam obraz: smok znajdował się tak blisko, że jego skrzydła zakrywały wszystkich i wszystko. Juna była w stanie rozróżnić spirale złotego futra, które przeplatały się ze szmaragdowymi łuskami.

Choć miała zamknięte oczy, wyczuła czyjaś obecność. Uniosła powieki. Była twarzą w twarz z Calą. Nieco dalej, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, tkwili Drabo i Ospo, podczas gdy Cala klęczała i obserwowała ją tak, jak obserwuje się mrowisko czerwonych mrówek: trochę z obrzydzeniem, a trochę ze strachem.

Juna zorientowała się, że ma jednak kłopoty. Wstała i spojrzała na całą trójkę.

- Gdzie poszła Iomir - syknęła Cala.

Była mała, miała blond włosy, które opadały na twarz, podkreślając jej okrutny wyraz.

Bez dwóch osiłków stojących za plecami nigdy nie stawiałaby Junie czoła, ale w ich obecności czuła się silna.

- Smok ją zjadł, nie pamiętasz? - odparła pogodnie Juna.

- Nie-praw-da - wysylabizowała Cala. - Ty coś wiesz. Smok pojawił się dokładnie we właściwym momencie. - Zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. - U ciebie w domu wszyscy byliście przyjaciółmi elfów - dodała zjadliwie - a więc czemu też nie smoków?

- Dobrze, więc chodźmy zapytać Bekę, czy to, co opowiada, jest prawdą, czy wszystko zmyśla? - zaproponowała Juna coraz bardziej rozweselona.

Obróciła się nawet, jakby naprawdę chciała się skierować w stronę ogrodzenia. Drabo i Ospo popatrzyli na nią przez chwilę, potem zacisnęli usta, wzruszyli ramionami, rzuciwszy ostatnie krzywe i nienawistne spojrzenie, oddalili się. Została tylko Cala.

- ...smok jęknął ze strachu, między jego kłami widać było jeszcze rękę tej biednej istoty... - Beka nie miała zamiaru skończyć.

- Nieprawda - powiedziała Cala, ciągle jeszcze kipiąc złością i nienawiścią.

Miała oczy pełne łez, pełne żalu do całego świata. Ktoś, ryzykując własnym życiem, przyszedł, aby znów zaopiekować się Iomir, swoim ukochanym dzieckiem. Nikt nigdy nie przyszedł szukać Cali.

Juna długo jej się przyglądała. Potem powiedziała coś niedorzecznego.

- Prędzej czy później po ciebie też ktoś przyjdzie.

W pewnym sensie samo wyszło jej to z ust. Usłyszała samą siebie mówiącą te słowa i przeraziła się. To nie miało sensu i było okrutne, ponieważ nieskończenie lepiej jest nie mieć nic, niż mieć złudzenia, a potem zobaczyć, jak pryskają. Po prostu nie zdołała powstrzymać się przed wypowiedzeniem tego zdania. Spojrzała na twarzyczkę Cali, częściowo schowaną za długimi, opadającymi na ramiona, brudnymi blond włosami; na jej pełne rozpacz i jednocześnie wściekłości oczy. I znowu słowa jakby same wyszły jej z ust.

- Prędzej czy później ktoś cię stąd zabierze - potwierdziła.

Twarz Cali pod przykrywającą ją warstwą brudu pobladła. Dziewczynka szeroko otworzyła oczy. Podniosła dłonie do ust, jakby chciała zdusić krzyk. U lewej ręki brak było kciuka, najważniejszego ze wszystkich palców. Nagle w głowie Juny, za zamkniętymi powiekami, powstał obraz dłoni Cali z wszystkimi pięcioma palcami. Ugryzła się w język aż do krwi, aby nie wypowiedzieć na głos, że ta ręka mogłaby być z powrotem normalna, byłoby to bowiem naprawdę zbyt absurdalne i zbyt okrutne.

- Jesteś czarownicą, prawda? - spytała szeptem Cala. - Twoja rodzina to rodzina czarownic? To dlatego jesteście przyjaciółmi elfów? Ale... posłuchaj... ty chyba wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? Prawda?

Juna nic nie odpowiedziała.

- ...Karambol ociekał krwią i błotem, gdybyście go tylko widzieli, krwią i błotem... -

kontynuowała Beka. Potem jej opowiadanie przerwał zdławiony krzyk. Ponad ich głowami latał ogromny, wspaniały i groźny smok o szmaragdowych skrzydłach; Na jego grzbiecie można było dostrzec małą białą figurkę. Wokoło rozległy się krzyki przerażenia. Wszyscy w beładzie i panice rzucili się do ucieczki. Niepomny swych rycerskich i heroicznych wyczynów, Karambol nagle przerwał swe napuszone chrapanie, aby tym razem popisać się niesamowicie szybkim biegiem, aż do najbliższego stogu słomy. Wysłannik z Daligar, ten, który przywiózł odznaczenia, był zbyt zajęty ucieczką w przeciwnym kierunku, w stronę swojego konia, aby zauważyć ową niestosowność. Beka również wylądowała w stogu siana, lecz zanim do niego dotarła, potknęła się o jedno z mniejszych dzieci i jej niebieskoszara tunika wyszywana srebrnymi nićmi oblepiona była teraz błotem i sianem.

Drabo i Ospo uciekli daleko. Juna nie ruszyła się z miejsca, patrząc na smoka.

Tajemniczy uśmiech zagościł na jej twarzy. On zaś po ostatnim okrążeniu znowu skręcił w stronę Gór Ciemności, przeleciał nad ich szczytami i zniknął za nimi. Najwidoczniej jego kryjówka znajdowała się niedaleko stąd. Cala stała blisko Juny i wciąż wpatrywała się w nią, zdumiona. Ona też nie uciekła. Wreszcie odważyła się spytać

- Teraz, kiedy nie ma już Iomir, czy ja mogę spać obok ciebie?

Juna nie musiała się nad tym długo zastanawiać.

- Oczywiście - odpowiedziała.

Pytanie brzmiało *jak*. Smoczek spał szczęśliwy, zwinięty w kłębek i owinięty dwukrotnie swoim ogonem, niczym mały ptaszek w gnieździe. Na zewnątrz jaskini wiał wiatr.

Prawdę mówiąc, to wiał także w środku, gdyż piski niemowlęcia Erbrowa stłukły, jedną za drugą, wszystkie bursztynowe okiennice, a Yorsh nie miał pojęcia, jak je naprawić. W środku wiatr wiał jednak mniej niż na zewnątrz, a do tego para z wulkanu ogrzewała pomieszczenie.

Temperatura była wprawdzie daleka od idealnej, ale przynajmniej pozwalała półnagiemu elfowi przeżyć.

Usadowiony na jednym ze stalaktytów, niczym sowa na gałęzi, Yorsh usiłował podsumować sytuację.

*Jak znaleźć ubrania?* Przecież nie mógł pokazywać się w okolicy taki półnagi. Zima była za pasem. Śnieg, który na razie pojawił się tylko na najwyższych szczytach, w każdej chwili mógł przykryć cały świat. Poza tym ludzie nie przepadali za elfami. Za tymi półnagami przypuszczalnie nie przepadali jeszcze bardziej, a do tego szybciej je rozpoznawali. Kaptur zakryłby mu blond włosy i spiczaste uszy, uchroniłby go przed przeziębieniem i zabezpieczyłby głowę, gdyby, na przykład, obrzucono go kamieniami, co wcale nie było takie nieprawdopodobne.

*Jak nauczyć smoczka czytać i pisać?* Spróbował sobie przypomnieć, jak babcia uczyła jego, pamięć jednak nie sięgała aż tak daleko, aby był w stanie powrócić do czasów, gdy jeszcze nie potrafił czytać. Czy takie czasy w ogóle istniały? Może na świat przychodzi się, umiejąc już czytać? Raczej nie. Na świat przychodzi się, nie umiejąc nic. Potem uczy się mówić i dopiero wtedy - czytać. Tak, kolejność z pewnością musiała być właśnie taka.

Najpierw mówienie, później czytanie. Wprawdzie Monser i Sajra nie potrafili czytać, ale przynajmniej mówili - wprawdzie w trochę prymitywny sposób, nie wspominając już o nielogiczności ich rozumowania, lecz mimo to ich mowa bez wątpienia była zrozumiała.

*Jak stawić czoło światu ludzi i nie zostać przy tym ukamienowanym i/lub obdartym ze skóry, i/lub powieszonym, i/lub spalonym żywcem czy też uśmierconym na któryś z wymienionych sposobów, aby potem zostać spalonym już jako nieboszczyk?* Odpowiedź na to pytanie była prosta: musiał znaleźć Sajrę i Monsera. Oni przyjmą go do siebie, ochronią, pomogą mu i doradzą. Wobec tego: jak znaleźć Monsera i Sajrę? Mógł kogoś o nich zapytać.

Tyle tylko, że od wielu lat nie rozmawiał z nikim, kto nie byłby smokiem. Musiał poćwiczyć pytanie, przygotować sobie wypowiedź.

„Wybaczcie, ekscelencjo...” czy głupku? Która z tych dwóch to formułka grzecznościowa? Ciągle jeszcze je mylił.

Nie, od początku, wypowiedź musiała być bez zarzutu. W razie pomyłki skończyłoby się na

obrzuceniu go kamieniami, czego nikt inny na jego miejscu też by sobie nie życzył.

„Wybaczcie, wielmożny panie (wielmożna pani), wiecie może, gdzie mieszka dwoje osobników, którzy nazywają się Sajra i Monser i są ludźmi?” Tę część o ludziach lepiej pominąć. Inaczej rozmówcy nasunie się wątpliwość co do jego ewentualnej nieprzynależności do ludzkiej rasy i tak czy inaczej skończy się na obrzuceniu kamieniami.

„Wybaczcie, wielmożny panie (wielmożna pani), wiecie, gdzie mieszkają kobieta o imieniu Sajra i mężczyzna o imieniu Monser?”

Nie najgorzej. Mając dużo szczęścia i kilka lat, a może nawet kilka dziesięcioleci do dyspozycji, prędzej czy później znalazłby ich.

Ale co zrobić ze smoczkiem? Opuszczenie go nie wchodziło w grę. Wziąć go ze sobą?

Jak ukryć zielonego smoka, który już teraz musiał ważyć około dwóch tysięcy funtów, a przed końcem miesiąca stanie się dwa razy większy? Niewykonalne. Musiał go opuścić. Ale nie teraz, kiedy malec wciąż jeszcze był zagubiony pośród cichej pustyni niewiedzy. Musiał

go nauczyć mówić i czytać. Wtedy Erbrow, pod jego nieobecność, mógłby spędzać czas, dokształcając się dalej. Bo nawet po odjęciu zarówno tych spalonych, jak i zmiażdżonych zębami książek, biblioteka nadal była na tyle bogata, że smoczek mógłby miło spędzić w niej czas, nie cierpiąc z powodu opuszczenia czy samotności.

Tak więc Yorsh mógłby pozostawić smoka w bibliotece na czas konieczny do odszukania Monsera i Sajry, znalezienia sobie małżonki, uniknięcia ukamienowania, powieszenia i spalenia na stosie, a potem by wrócił.

Najwyżej jedno dziesięciolecie. Może dwa.

Jego małżonka byłaby z pewnością zadowolona z możliwości spędzenia reszty życia na wierzchołku niedostępnej góry, w towarzystwie smoka - w końcu niecodziennie spotyka się smoka, który przecież może się przydać, na przykład do rozpalenia ognia i ugotowania paru ziaren groszku - z tą czynnością ludzie zawsze mają problem, w związku z ich kompletnym brakiem umiejętności w tej dziedzinie. Poza tym, czy może być coś wspanialszego od spędzenia całego życia w bibliotece gromadzącej całą ludzką wiedzę bądź

to, co z niej pozostało, a co i tak było godne uwagi? Nauczyłby swoje dzieci czytania, pisania, astronomii, geometrii, zoologii, i tańca, żywiąc je złotym groszkiem i różowymi grejpfrutami.

Nie jedząc nigdy nieżywych królików, wyrosłyby pewnie na mniej gburowate niż ich matka, a może nawet trochę mniej by śmierdziały, niż zazwyczaj śmierdzą ludzie.

Plan był idealny. Pytanie brzmiało jak.

Yorsh próbował zejść ze swojego stalaktytu. Nie było to łatwe, gdyż Erbrow zżuł

jego buty splecione z pędów dzikiej mandarynki.

Stało się to kilka dni po tym, jak wykluł się z jaja; dwa tygodnie temu, kiedy wyrzynały mu się kły tylno-boczne, co musi być wyjątkowo dokuczliwe. Jakby tego było mało, dywan z żółtych i złotych motyli na podłodze jaskini zastąpiony został przez grubą warstwę ptasich ekskrementów.

Yorsh nie był bowiem jedyną istotą, która zauważyła, że temperatura w jaskini była znacznie wyższa od mroźnej temperatury na zewnątrz, a dzięki stłuczonym okiennicom wszyscy mogli szukać schronienia w jej wnętrzu. Toteż szczyt każdego stalaktytu zajmowało czyjeś gniazdo. Były tam mysikróliki i kilka szpaków, ale zdecydowaną większość stanowiły sroki, zwierzęta w dosłownym tego słowa znaczeniu, czego nie dawało się nie zauważyć: były to najbardziej bijące skrzydłami, najgłośniej krzyczące, najbardziej kłótniwe i produkujące najwięcej ekskrementów ptaki, jakie zamieszkiwały ich jaskinię.

Drepcząc i przeskakując z jednego czystego jeszcze miejsca do następnego, młody elf dotarł do pnączy złotego groszku. W jednym z kątów młode którejś ze srok polowało na ostatnie zastraszone motyle, które walczyły dzielnie o przetrwanie. Malec trzepotał

skrzydłami, zadowolony, kiedy nagle pochwyciła go wielka sowa.

Młoda sroka nie zdążyła nawet krzyknąć, pióra i krew poleciały we wszystkie strony -

znalazły się na złotych strąkach groszku, podłodze i klatce piersiowej młodego elfa, który przez moment poczuł, jak żołądek ściska mu się z rozgoryczenia zmieszanego z odrazą. Te uczucia już od dawna towarzyszyły mu na co dzień.

Hałas obudził smoka, który otworzył oczy i podniósł spoczywającą na zwiniętym ogonie głowę. Yorsh dołączył do niego, podskakując między stosami ekskrementów, piór i resztek kostek obgryzionych przez sowy.

Po wspaniałym locie nad morzem dzień wcześniej wrócili do jaskini, lecz ich nieobecność trwała wystarczająco długo, aby w tym czasie biblioteka zamieniła się w swego rodzaju kryjówkę dla zwierząt. Tylko główna sala, odgradzona od pozostałych, zamknięta i zapełniona książkami, była jeszcze czysta i w należyтым porządku, lecz tam nie zmieściłby się już nawet kanarek, a co dopiero oni dwaj.

Yorsh ogarnął się ze spokojem. Smok obserwował go zaspany, ale uważny. Elf uśmiechnął się do niego: nauka ma być dla ucznia miłym doświadczeniem. Żadna z książek, które przeczytał, nie była skierowana bezpośrednio do małych dzieci, lecz spora część tekstów z filozofii mówiła o tym, jak nauczać. Mniej więcej w dwóch trzecich z nich jako sposób na wsparcie procesu uczenia się polecano uderzenia różgą po palcach, podczas gdy w pozostałej jednej trzeciej polegano na teorii nauki przez zabawę w celu skupienia uwagi ucznia. Smoki nie mają palców, a obicie kijem ważącego ponad dwa tysiące funtów stworzenia, oczywiście pod warunkiem że Yorsh miałby odwagę wyrządzić Erbrowowi krzywdę, mogło stanowić pewne zagrożenie dla jego własnego życia, dlatego elf zdecydował



się zaufać tym przyjemniejszym metodom. Nauczanie miało udawać zabawę.

Położył na ziemi groszki: jeden groszek z jednej strony, dwa z drugiej, potem wszystkie trzy razem i tak dalej, aż do sześciu. Może mógł uczyć smoka języka i matematyki jednocześnie.

- GROSZEK - powiedział, wskazując na pojedyncze ziarnko groszku. Uśmiechnął się i klasnął. - GRO-SZEK, G-R-O-SZ-E-K.

Kolejny uśmiech, mały podskok i klaśnięcie dłoni przy każdej głosce.

Erbrow podniósł głowę i patrzył na niego zdezorientowany. Zdezorientowany, ale zaciekawiony: zadziałało!

- G-R-O-SZ-E-K - powtórzył Yorsh. - G-R-O-SZ-E-K: jeden groszek, dwa groszki.

Groszek, groszki. Jeden, dwa. Jeden groszek. Dwa groszki. Więcej groszków. - Jeden mały podskok, dwa podskoki, więcej podskoków. Klaśnięcie dłoni, śmieszek.

Smok nie odrywał od niego wzroku. Coraz bardziej zdezorientowany, ale zarazem coraz bardziej zaciekawiony. To był zdecydowanie właściwy system nauczania.

- Groszek, groszki. Jeden, dwa. Jeden groszek, dwa groszki. Gie er o esz e ka: groszek!

Yorsh uśmiechnął się promiennie, wyjątkowo rozradowany.

- Czyżbyś tej nocy zamienił się w głupca, elfie młodzieńcze, czy też już wcześniej nim byłeś, a ja tego nie dostrzegłem? - spytał uprzejmie smok. - I, wybaczyć, ale czy nie ma tu czegokolwiek innego do jedzenia niż groszek i różowe mandarynki? Jeśli jeszcze raz je zobaczę, obawiam się, że mogę zwrócić zawartość mego żołądka, a ta podłoga już teraz, tak ubrudzona, przypomina podrzędny szalet.

Kwestii pominiętych w niekompletnej książce do smokologii było sporo. Wiedza młodzieńca na temat smoków okazała się ograniczona, niewystarczająca, niepełna i równie przereczona jak zimą liście na drzewie i jabłka podczas klęski głodu. Z właściwą smokom cierpliwością, wielką i niezrównaną, należało wyjaśnić mu wszystko od samego początku.

- Poprzez jajo? - Yorsh był zdumiony.

- Poprzez skorupę jaja - potwierdził cierpliwie smok. Cierpliwość smoków jest ogromna niczym łąki, które rozpościerają się między górami, podczas gdy umysł młodzieńca wydawał się ciasny niczym schowki na miotły. Smok był zdziwiony, bo przypominał sobie, że w jakiejś książce kategorycznie zapewniano czytelnika o elfim sprycie i elfiej inteligencji.

- Dla jakiej innej przyczyny, według ciebie, smok wysiadywałby latami swe jajo?

- Żeby je ogrzać. Tak jak ptaki - zaproponował Yorsh.

To porównanie zmroziło smoka, przebiegł mu dreszcz po grzbiecie, jakby ktoś obłożył

go lodowatym śniegiem. Łuski zjeżyły mu się na ogonie. Jak ptaki? Jak on śmiał? Za czasów jego rodzica i za czasów rodzica jego rodzica okupiłby takie porównanie krwią, ba, skończyłby nawet w ogniu. W małym ogniu i rozmarynie. Ogniu, soli i rozmarynie. Wyglądał

na smakowitego młodzieńca. Nie, jeszcze raz nie. Choćby nie wiadomo ile głupstw wygadywał, nie wolno upiec kogoś, kto wyciągnął cię z jaja, nauczył latać, zabawiał i ogrzewał twojego rodzica oraz dotrzymywał mu towarzystwa, gdy on cię wysiadywał. Smok westchnął, a potem znów zaczął wyjaśniać, spokojnie i powoli, wykorzystując resztki swojej cierpliwości, która, podobnie jak uroda, skromność i geniusz, jest u smoków niewyczerpalna.

Wyjaśnił, że ptaki słusznie są tylko ptakami, to znaczy zwierzętami obdarzonymi ptasim mózdzkiem. Nawet orły - spojrzenie dumne, a głupota bezdenna. Ptak trzyma swój kuper na jajku, ponieważ będąc ptakiem, czyli zwierzęciem nieuleczalnie głupim, nie zna innego sposobu, aby je ogrzać. On jest smokiem. Smokiem, S-M-O-K-I-E-M. Młodzieniec zrozumiał, czy też miał mu to przesyłabizować, podskakując na swoich łapach? Dobrze, a więc jeśli problem polegałby na ogrzaniu jaja, on, czyli smok, SMOK, obliczyłby temperaturę konieczną do utrzymania przez określony czas i uzyskałby ją dzięki spalaniu łatwopalnych materiałów, refrakcji, parze sejsmicznej lub jeszcze innym środkiem. Jeśli smoki, zamiast odkrywać wszechświat lub upiększać go swoją obecnością, też tkwią z kuprem na jajku, to tylko dlatego, że podczas wysiadywania myśli przenoszą się bezpośrednio ze smoka rodzica na smocze dziecko. Nie, smoki nie myślą tą częścią ciała, na której siedzą. Chodzi o to, że system reprodukcyjny smoków jest idealnie wypośrodkowany pomiędzy systemem reprodukcyjnym feniksów a systemem reprodukcyjnym elfów, ludzi, psów, kotów, kanarków, delfinów, pingwinów i rekinów... tak, owszem, motyli też, oczywiście, ale gdyby Yorsh przestał mu ciągle przerywać, to ułatwiłoby sprawę. Tak przy okazji, czy on, elf, nie chciał

przypadkiem podjąć się wcześniej zadania nauczania go mowy? Słusznie: on już ją opanował, tak

więc czy byłby łaskaw umilknąć i słuchać, co mówi? Na czym to skończył? Nienawidził, kiedy mu przerywano. To rzecz odrażająca. ODRAŻAJĄCA! Czy mówił już o tym, że smoki są wspaniałe, że są najdoskonalszym dziełem natury, samą esencją stworzenia? Nie chciał

tego pominąć, a ciągle mu przerywano niedorzecznymi uwagami. Kto nauczył smoka mówić?

Jego rodzic, oczywiście, a kto inny? „Jego ojciec Erbrow Wspaniały”, jeśli już mieli właściwie go tytułować; nauczył się mowy z jego pamięci. Umysł smoka rodzica koncentruje się na umyśle niemowlęcia i przekazuje mu wszystkie własne wiadomości i wspomnienia, tak aby malec, jak tylko wykluje się z jajka i nauczy się latać, już od razu był... jakby to powiedzieć... jest tylko jedno właściwe określenie: „idealny”.

On mówił inaczej niż Erbrow Wspaniały, ojciec. No dobrze, jeśli Yorshowi tak bardzo zależy, może nazywać go po prostu Erbrow Starszy, choć taka nazwa wydaje mu się mniej godna. Tak więc mówił inaczej niż Erbrow Starszy, gdyż generalnie smoki mówią tym samym językiem co ludzie, a ludzka mowa zmienia się trochę w każdym pokoleniu. Smoki żyją długo. Kiedy smok wysiaduje, to znaczy kiedy jest już stary i zmęczony, powraca do swojej pierwotnej mowy, tej, której nauczył się jako dziecko, czyli, w przypadku Erbrowa Starszego, do mowy drugiej dynastii runicznej. On, Erbrow Młodszy, mówi językiem, którego ojciec używał przedtem: językiem współczesnym.

- Od początku - zaczął znów smok. - System reprodukcyjny smoka leży pośrodku między tym feniksa a tym elfa. Spotkałeś kiedykolwiek feniksa? Nie? Oczywiście, że nie, ostatecznie z nich żyły między trzecią dynastią runiczną a wiekiem średnim, a wy, elfy, pospolite stworzenia, nie wchłaniacie wiedzy waszych przodków. Feniks odradzał się poprzez ogień, zawsze w tej samej postaci. Widzisz, ogień był ich kamieniem filozoficznym, ich drogą ku wiecznej młodości. Dopóki ktoś nie ukręcił im karku, aby przyrzadzić sobie z nich gulasz, feniksy były nieśmiertelne. Na szczęście gulasz był dobry, rozmarynu nie brakowało i tak wyginęły.

- To przez was wyginęły? Przez was wyginęły feniksy? Feniksy, które były nieśmiertelne? Przez was... przez was... wyginęły...

A teraz co znowu mu się stało? Zapomniał, jak się mówi?

Yorshowi brakowało słów. To było jak lodowata kąpiel. Nie mógł nawet prawidłowo oddychać! Chłopiec zrobił krok do tyłu, gdy jego goła stopa poślizgnęła się na obgryzionej do połowy przez sowę kosteczce, przewrócił się i wylądował w pokrywanej podłogę warstwie ekskrementów różnych ptaków.

Być może elfy stawały się inteligentne dopiero na starość.

- Dobrze się czujesz? - spytał go Erbrow.

- Przez was wyginęły... - wybełkotał znowu. - Jak mogliście?

- Cóż, nie było to takie trudne. - Smok wrzucił się na samo wspomnienie: nie jego wspomnienie, wchłonał je z pamięci swego rodzica, a mimo to na samą myśl ciekła mu ślinka. - Kilka liści

laurowych i odrobina morskiej soli. Gotować niedługo, tak jak rybę.

- Przecież to musiały być wspaniałe ptaki!

- Właśnie. Truskawki też są wspaniałe i je także zjadamy. Feniksy były kompletnie bezmyślnymi, zupełnie nieciekawymi i najbardziej nierozgarniętymi ptakami, jakie kiedykolwiek zostały stworzone. Gdy ktoś nie ma ani kropli oleju w głowie, nic dziwnego, że prędzej czy później musi wyginąć. Jedyne, o czym myśli feniks, to pióra na jego ogonie i zmarszczki pod jego oczami. Tylko ktoś, kto je poznał, może coś o tym wiedzieć.

Rozmowa z nimi była tak przygnębiająca jak przebywanie na łące, na której uschła trawa, a kwiaty nigdy nie zakwitły. Na samo jej wspomnienie przygnębienie wypełnia mój umysł. Przyczynienie się do ich wyginęcia stanowiło akt litości, gdyż ich żywot to czyste cierpienie. Żyły tylko po to, aby spalić się żywcem i nigdy się nie zestarzeć. Zrozum, nie rodził się żaden nowy osobnik: ten, który za każdym razem się odradzał, był ciągle tym samym ptasim mózdzkiem z główką pełną samych głupstw!

Smok westchnął.

- U psów, kotów, kanarków, kurczaków, elfów, dzików, psów i - kiedy tak się teraz nad tym zastanawiam - również u motyli, system jest inny. Jest tata i jest mama, którzy łączą się w parę i mają dzieci: jedno, dwoje albo pięcioro, a w przypadku królików nawet i jedenaścioro lub piętnaścioro, i te dzieci nie są ani ojcem, ani matką, są nowym stworzeniem: nos po tacie, oczy po babci, duży paluch po mamie, tylne zęby po drugiej babci. Dziecko jest nowe, jedyne i niepowtarzalne, i aby czegoś je nauczyć, trzeba zacząć od zera. Począwszy od pisemnej i ustnej komunikacji, skończywszy na robieniu siusiu do nocniczka czy kupki z dala od domu - wszystko jest kwestią nauczania. Nadażasz? A jeśli już mowa o ekskrementach, czy zdajesz sobie sprawę, mój synu, na czym właśnie usiadłeś?

Młody elf musiał uderzyć się w głowę. Kiedy był mały. O coś bardzo twardego.

Zarówno młody elf, jak i ten, który napisał, że elfy są najmądrzejsze na świecie.

Yorsh kiwnął potakująco głową. Zdawał sobie sprawę z tego, na czym usiadł.

Podniósł się z trudem i wyszedł z jaskini. Niedaleko była mała kałuża, w której mógł

się umyć. Smok poszedł za nim.

Z jednej strony Yorsh odczuwał ulgę, wielką ulgę. Z drugiej strony jednak, czuł coś dziwnego, jakby z jakichś powodów chciał, aby smok stał się z powrotem niemowlęciem.

Piszczącym i siejącym spustoszenie, ale za to patrzącym nań pełnym uwielbienia wzrokiem.

Teraz wprawdzie smok już nie piszczał ani nie palił wszystkiego wokoło, ale próżno było szukać w jego oczach uwielbienia dla jego osoby.

Świat spowijała mgła. Horyzont rozmywał się w niej. Woda w kałuży była lodowata, ale czysta.

Yorsh ściągnął z siebie swoje podarte, brudne i cuchnące szmatki, po czym zdecydowanym ruchem zanurzył się w wodzie.

- Smok nie jest własnym rodzicem, lecz jego kopią i wchłania naukę, wiedzę oraz wspomnienie upieczonych feniksów poprzez skorupę jaja. Matka natura nie przestaje nas zaskakiwać swoim geniuszem - zakończył Erbrow natchnionym i wzruszonym głosem. - Jako że smok jest już idealnym stworzeniem, jakakolwiek zmiana nie miałaby sensu, tymczasem wasz system za każdym razem wydaje na świat różne dzieci w nadziei na to, że... cóż... że prędzej czy później... nastąpi jakakolwiek... jakby to powiedzieć - smok popatrzył dobrotliwie na elfa, szukając odpowiedniego słowa - poprawa - zaproponował w końcu z życzliwym uśmiechem.

Z całą pewnością Yorsh powinien był się bardziej cieszyć z uwielbienia wtedy, kiedy jeszcze smok go nim darzył. Teraz gdy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że jego przeznaczeniem jest dostrzeżenie pozytywnych rzeczy dopiero wtedy, kiedy już je straci.

Woda była naprawdę zimna. Zamarzył, by być rybą. Zimno stało się przyjemne. Woda pieśczośliwie się po nim ześlizgiwała.

Smok rozgadał się na dobre.

- Jajo zostaje złożone i wysiadywanie rozpoczyna się pod koniec życia smoka właśnie dlatego, aby smok mógł przelać na nową istotę całą swoją wiedzę, całe swoje doświadczenie, wszystkie swoje wspomnienia - dodał natchnionym głosem. - Podczas wysiadywania smok wykorzystuje jedynie niewielką część swego mózgu, tę potyliczną, która jest także najbardziej... jakby to ująć...

- Głupia? - zaproponował Yorsh. Zaczynał mieć tego naprawdę dosyć.

- Zdajesz sobie sprawę, że mógłbym cię spalić jak małego drozda, przypiec jak mięso na ruszcie, sprawić, abyś spłonął w ogniu chwały? - spytał rozdrażniony smok.

- Nigdy byś tego nie zrobił.

- Skąd ta pewność? Przecież nie możesz czytać w moich myślach, w każdym razie nie z takiej odległości!

- Merdasz ogonem, kiedy patrzysz w moją stronę - odparł oschle chłopiec.

Smok poczuł się trochę urażony. Usiadł na ogonie tak, aby uniemożliwić jakikolwiek jego ruch.

- Uważam za naganne twoje upodobanie do tak niedojrzałych wyrażen - pouczył go wyniośle. - Płat potyliczny jest najbardziej... prymitywny, podczas gdy płaty przedni, czołowy, ciemieniowy, środkowy i limbiczny, które są siedzibami odwagi, wiedzy, inteligencji, wspaniałości i... jakby to powiedzieć...

- Nieznośnej pychy? - ponownie zaproponował Yorsh.

- Dumy - poprawił smok. - Dumy. Wyższości i świadomości własnej wyższości.

Tym razem smok był naprawdę zirytowany.

- Jak mówiłem, smok używa do myślenia, jedzenia, spania i życia tylko tylnej części mózgu, gdyż ta przednia jest nieustannie w kontakcie z mózgiem nowego smoka, aby przekazać mu całą możliwą wiedzę. Gdy więc smok przychodzi na świat, posiada wszystkie wspomnienia rodzica i jak tylko pierwszy lot połączy różne części jego mózgu, jest on już gotowy, by być...

- By być?

- Doskonałym. Absolutnie doskonałym. Wybacz, lecz kiedy mówię o naszej doskonałości, to... tak, cóż, po prostu się wzruszam! - Łza wzruszenia spłynęła po policzku smoka. Dotarłszy do brzegu dolnej wargi, skapnęła w pustkę i *plum* - wylądowała na powierzchni wody, dając początek serii koncentrycznych kręgów.

Powinien był pozwolić mu zostać niemowlakiem.

Yorsh był już czysty. Wyszedł z wody. Poczł lodowaty wiatr na mokrym ciele.

Wzdrygnął się. Kichnął. Smok, pochłonięty wychwalaniem swej wspaniałości, spuścił wzrok i spojrzał na niego.

- Drzysz niczym jesienny liść na lodowatym wietrze - zauważył. - To znaczy, że jest ci zimno - zakończył triumfalnie, zadowolony z własnej bystrości.

- Wiedziałem, że nie zdołam tego przed tobą ukryć - potwierdził Yorsh; nie znosił tego tonu.

- Mogę się tego tylko domyślać. Przecież my, smoki, nie wiemy, czym jest zimno -

kontynuowała bestia niezmiennie uprzejmym i napauszonym tonem. - Łuski to wspaniałe izolatory termiczne, nie wspominając już o dwóch wewnętrznych międzyłopatkowych skrzydłach pokrytych sierścią...

- Zaniemówiłem z wrażenia - odparł elf coraz bardziej znudzonym i lodowatym tonem. Właściwie to lodowaty był w tym momencie nie tylko jego ton. Musiał zejść z otwartej przestrzeni i jakimś sposobem spróbować się ogrzać w zimnej i pokrytej ptasimi ekskrementami jaskini. Może zdołałby uzyskać trochę ciepła, paląc ekskrementy, lecz nie była to najprzyjemniejsza z perspektyw. Gdyby choć udało mu się przestać dzwonić zębami!

Smok przypatrywał mu się długo, po czym rozpostarł skrzydła, między którymi otworzyły się dwie wewnętrzne kieszonki, ciepłe i mięciutkie niczym kangurza torba.

- Wskakuj - zaproponował. - Polatamy sobie.

- Polatamy? - Yorsh zmieszał się nieco. Tak się rozżłościł, że aż zapomniał, jak przyjemnie jest latać. Przyjemnie? Wspaniale!

- Polatamy - potwierdził smok, mrugając porozumiewawczo okiem. Rozpostarł

jeszcze bardziej swoje skrzydła, jakby chciał go nimi objąć. - Tutaj było ci ciepło, pamiętasz?

- przypomniał mu.

- Polatamy! - przytaknął Yorsh, wskakując na ciepłą i miękką sierść. - Tym razem w stronę gór.

Z nieznośnego młodszego braciszka, jakim był wcześniej, smok zamienił się w nieznośnego starszego brata. Yorsh musiał jednak przyznać, że pod kilkoma względami -

takimi jak na przykład latanie - wolał go takim jak teraz. Wskakując na wspaniałą grzbiet smoka, znów podjął rozmowę.

- Posłuchaj, co do motyli...

- Ty znów o tych motylach?

- Już ci mówiłem: tylko im mogłem się przyglądać przez cały ten czas. Otóż, chciałem cię o coś zapytać. Jak powiedziałaś, psy, koty, kanarki, kury i elfy rozmnażają się tak jak motyle. A więc i ja narodziłem się z jaja, zgadza się? Według ciebie złożyła je mama czy babcia? Babcia, prawda, skoro mamę straciłem tak szybko... Nasze jajko, to znaczy nasze dziecko, będzie wysiadywała moja żona czy też ja będę mógł to zrobić?... Elfy wysiadują tak jak smoki i kury czy pozostawiają gdzieś jajko, żeby małe samo się wykluło, podobnie jak robią to motyle? I pająki! Raz widziałem pająka, który składał...

Smok zaniemówił. Z trudem złapał oddech.

- Wybacz, synu, ale czy żadna z napotkanych przez ciebie istot ani żadna z przeczytanych przez ciebie ksiąg nie wytłumaczyła ci tych praw życia?

Yorsh zdał sobie sprawę, że jedną z rzeczy, jakich nie znosił najbardziej na świecie, było zwracanie się do niego „synu”.

- Oczywiście, że tak! - odparł rozdrażniony. - Babcia wytłumaczyła mi dokładnie, o co chodzi w Dekrecie Ochrony Elfów i w Specjalnych Prawach Elfów, nie mówiąc już o dwunastu księgach prawa i czterdziestu sześciu księgach historii...

Smok wybuchnął długim, nieznośnym śmiechem. Co jakiś czas udawało mu się go powstrzymać, ale potem spoglądał Yorshowi w twarz i od nowa zaczynał się śmiać. To było nie do wytrzymania.

- Usiądź sobie wygodnie, synu - powiedział w końcu. - Po drodze wytłumaczę ci parę spraw.

Tak, teraz zdecydowanie był kimś w rodzaju starszego brata.

Dzień był szary. Mgła rozmyła kontury świata i uczyniła go magicznym miejscem; cienie wysokich sosen przeplatały się z bladeścią ich wierzchołków. Erbrow poderwał się zdecydowanie do góry. Spytał chłopca, jaki mają plan na dzisiejszy dzień. To interesujące pytanie zmusiło Yorsha do szybkiego obmyślenia jakiegoś planu.

Polecą poszukać Monsera i Sajry, dwójki ludzi, którzy go przygarnęli, uratowali, otoczyli opieką i pocieszyli. Oraz jakichś ubrań... Nie, nie, lepiej odwrócić kolejność: najpierw ubrania, potem ludzie. Bo raczej nie powinien zjawić się między ludźmi goły i szczęśliwy. Nie, nie mówiło się chyba „szczęśliwy”: goły i radosny... - Goły i wesoły -

zasugerował smok.

Goły i wesoły, właśnie. Najpierw zdobędzie dla siebie jakieś ubranie, a potem, już ubrany - odnajdzie kobietę i myśliwego, następnie, z ich pomocą, znajdzie sobie żonę, oczywiście ludzkiej rasy, która z radością zamieszka wraz z nim, do końca swojego życia, w smaganej wiatrami jaskini, na szczycie góry, nieosiągalnej dla kogoś pozbawionego skrzydeł, gdzie razem ze smokiem będą sobie zajadać złoty groszek. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że każda dziewczynka będzie zachwycona taką perspektywą, dlaczego miałby w to wątpić? Pomyślał, że po ubrania mogliby udać się do Astrid - wioski położonej tuż za górami. Lecąc wzdłuż rzeki, zakole za zakolem, na pewno tam dotrą. Jej mieszkańcy byli dla nich mili i nie pałali nienawiścią do elfów. Niewykluczone, że myśliwy i kobieta tam właśnie się osiedlili. To było dobre miejsce do zamieszkania. Pytanie brzmiało: jak zdobyć ubrania? Aby je dostać, będzie musiał oddać coś w zamian, a nie miał nic. Sprawę utrudniała dodatkowo perspektywa targowania się jako goły i radosny.

- Goły i wesoły - poprawił ponownie smok.

Następnie odbyli ze smokiem skomplikowaną rozmowę o tym, jak zaopatrzyć się w ubranie i co oddać w zamian. Yorsh pomyślał o traktacie o astronomii Gerwazego Astronoma, czwartego króla trzeciej dynastii runicznej, który posiadali w bibliotece w dwóch egzemplarzach. Mógłby zamienić jeden na ubrania... Nie, nie przyszło mu do głowy, że pożałowania godna i nieumiejąca czytać ludzka rasa uzna traktat o astronomii Gerwazego Astronoma za przedmiot mało wartościowy... Zawsze przecież mogli sobie pooglądać obrazki

- w traktacie znajdowały się ryciny, i to bardzo ładne... Nie, nie przyszło mu do głowy, że kiedy ktoś trzęsie się z zimna, a do jedzenia ma tylko owsiankę i kasztany, wtedy poczucie estetyki schodzi na dalszy plan... O wykradzeniu ubrań nie było nawet mowy... wykluczone, niech Erbrow nie nalega, prędzej już Yorsh będzie nadal latał goły i radosny... tak, tak, dobrze, goły i wesoły...

Wreszcie mgła pod nimi rozrzedziła się i zorientowali się, że właśnie przelatują nad Astrid.

Yorshkrunsquarkljolnerstrink wystraszył się, że zostanie zauważony, gdy goły i szczęśliwy... czy radosny... mmmm... tak, wesoły, przelatuje na grzbiecie smoka, lecz szybko zorientował się, że



niepotrzebnie się obawiał: po Astrid nie pozostało prawie nic, a jedynymi żywymi mieszkańcami wioski były teraz kruki.

Domów było więcej, niż sobie przypominał, lecz wszystkie strawił ogień: dachy pozapadały się, a to, co pozostało po zwęglonych drzwiach, skrzypiało żałośnie w zawiasach.

Tam, gdzie kiedyś pięły się winnice, teraz, na resztkach spalonych krutek, rosnę kilka dzikich pnączy. Jabłunki zostały ścięte. Na małej plaży, obok barki odwróconej dziurawym dnem do góry, leżał zmurszały szkielet krowy oraz częściowo obgryzione kości jakichś mniejszych zwierząt - może owiec lub psów. Na środku placu, który był kiedyś rynkiem małej wioski, stał kociołek zgody - poobijany, zwęglony, bezużyteczny.

Smok wylądował.

Yorsh czuł się tak, jakby stracił przyjaciela. Podczas swego długiego pobytu w jaskini nieustannie marzył o powrocie do świata - świata ludzi, bo przecież świat elfów istniał już tylko w książkach do historii. Jego podróż marzeń rozpoczynała się zawsze właśnie w Astrid.

Przybywał tu, kupował ubrania, wymieniając je na którąś ze starych książek i kilka złotych groszków, pytał, gdzie są Monser i Sajra, a mieszkańcy Astrid wskazywali mu drogę, bo na pewno nie byłoby to daleko. To najładniejsza wioska, do jakiej wtedy trafili, i najbardziej oddalona od groźnych żołnierzy Daligaru, dlatego jego przyjaciele na pewno tam właśnie mieszkali. Potem znajdował Monsera i Sajrę, którzy mówili: „Ach, jaki jesteś przystojny, jak wyrosłeś, jak się cieszymy z twojego widoku”. On odpowiadał: „Ależ oczywiście, ja także się cieszę, że was widzę. Przybyłem, aby wam podziękować za uratowanie mi życia, gdy byłem jeszcze dzieckiem”. Następnie otwierał swoją torbę i pokazywał im złote groszki, a oni mówili, że są wspaniałe, i wtedy padali sobie w objęcia...

Głos smoka sprawił, że Yorsh aż podskoczył. Po raz kolejny elf zagubił się w swoich marzeniach.

W całym swoim życiu Erbrow widział tylko jedną jaskinię, kilka gór, las i morze, ale to i tak dawało mu prawo do stwierdzenia, że miejsce, w którym obecnie się znajdowali, zostało spustoszone. Co więcej - było okropne. Ze szkieletu krowy wylażyły grube, białawe robaki, poza tym rozchodził się z niego smród stęchlizny. W górze krążyły kraczące kruki.

Mgła przerzedziła się, rozwiana przez lekki wietrzyk, pod którego wpływem trzasnęła gdzieś jakaś połówka drzwi. W ostrzejszym świetle całość wcale nie przedstawiała lepszego widoku.

Młody elf był blady. Przepęlniający go smutek ścisnął mu serce, tak jak wtedy, gdy umiera kochana osoba. Smok przeszukał różne wspomnienia - te swojego rodzica i rodzica jego rodzica - lecz nie znalazł nic odpowiedniego na tę okazję. Spróbował więc wymyślić coś, co pocieszyłoby elfa w takiej sytuacji.

- Osoby, które tu żyły, nie umarły - powiedział stanowczym tonem. Wskazał na szkielet. - Są tu tylko kości krowy, owcy i psa. Nie ma ludzkich kości - ani dzieci, ani dorosłych. Poszli stąd. Albo zostali przepędzeni. Albo też zabrano ich w inne miejsce... Teraz sobie przypominam: to ludzki zwyczaj, aby

przenosić ludzi z miejsca na miejsce, a jeśli ktoś mówi: „Nie, dziękuję, tutaj mi się podoba”, wtedy wieszają go na linie na drzewie, która zaciska się na jego szyi, a to nie wpływa dobrze na oddychanie.

Zadziałało. Młody elf natychmiast otrząsnął się ze zneruchomienia i rozpaczy.

- To prawda! - powiedział.

Potem obiegł dookoła to, co pozostało ze spalonych chat.

- Nie ma nikogo - ani żywego, ani umarłego. Muszą być gdzie indziej! Może uciekli, a może ich... jak to się mówi? Mmm... tak, przeniesiono. Masz rację, to ludzki zwyczaj przenosić innych z miejsca na miejsce. Tak samo było z elfami. Umieścili nas w okropnych Obozach dla Elfów - tak się to nazywało - i tam umarliśmy, jeden po drugim.

- Dlaczego?

- Z głodu, jak sądzę, i zjedzeni żywcem przez wszy.

- A czy elfy nie są zaczarowane?

- Cóż, mają pewne moce. Ale co z tego?

- I nie mogliście nic zrobić? Spalić agresorów, usmażyć ich w płomieniach? Zesłać na nich zarazę? Pokrzywkę?

- To nie takie proste. Nie wszystkie elfy są zaczarowane. Mój tata wcale nie miał

tych mocy. Większość z nas potrafi tylko rozpalać mały ogień i wskrzeszać muszki.

- Wskrzeszać muszki? A co to za moc?

- Zależy od punktu widzenia: dla muszki jest ważna. Poza tym czujesz, jak ona się cieszy, że z powrotem jest żywa, a to wspaniałe uczucie. Ale pomijając muszki, to żaden elf ani nie potrafi, ani nie chciałby wywołać żadnej choroby. Tak naprawdę tylko nieliczni z nas, bardzo rzadko, posiadają moce, które mogłyby się przydać w walce, a ludzie obawiają się, że to nic wielkiego dla każdego z nas i dlatego znienawidzili nas wszystkich. Mimo że elfy nie posiadały prawdziwych mocy - nie licząc wyjątkowych przypadków - nie zdołały uniknąć wygnania, a kiedy zorientowały się, że w Obozach dla Elfów czeka ich śmierć z głodu, było już za późno: elfów pozostało niewiele, były wyczerpane i pogrążone w smutku. A magia tonie w smutku, wiesz przecież. Kiedy umiera syn, matka na zawsze traci magiczne zdolności.

- Mogliście użyć dawnej broni: mieczy, strzał, halabard. Elfy były wielkimi wojownikami, wspaniałymi strzelcami!

Yorsh zamyślił się. Nie wiedział, co powiedzieć. Byli wojownikami, to prawda, ale dawniej. Zanim nauczyli się odczytywać ból i radość w głowach innych. Skoro tak wielka jest radość muszki, kiedy

ożywa, jak wielki musi być strach człowieka, gdy się go zabija. To właśnie ta świadomość musiała ich sparaliżować. Poza tym było ich niewielu, rozproszonych w różnych zakątkach świata. Prześladowania zdarzały się już we wcześniejszych epokach.

Śmiertelne prześladowania. Ostatnimi czasy przenoszono ich tylko z miejsca na miejsce, a przynajmniej takie odnosili wrażenie. Mogli zabierać ze sobą książki. Nie wydawało im się to takie straszne. Kiedy jednak zdali sobie sprawę z tego, co naprawdę się z nimi działo, było już po wszystkim, było za późno... walka na nic by się nie zdała, zwiększyłaby tylko cierpienie...

Poza tym było coś jeszcze, a im więcej Yorsh się nad tym zastanawiał, tym bardziej zdawał sobie sprawę z wagi tego odkrycia: wszyscy pragnęli ich śmierci.

- A wy umarliście, aby wyświadczyć ludziom tę przysługę? Aby ich nie zawieść? To bardzo uprzejme z waszej strony, doprawdy. - Ton głosu smoka znów stawał się sarkastyczny, lecz tym razem Yorsh się nie obraził.

Znów się zamyślił. Kiedy teraz z kimś o tym rozmawiał, zaczynał rozumieć. Problem polegał na tym, że...

- Magia tonie w nienawiści. Zaraz, zaraz. Nie, to myśl tonie w nienawiści. Chęć życia, walki... kiedy wszyscy są przeciw tobie, najłatwiejsze wyjście to odpuścić, pozwolić rzeczom, aby same się działy... nie, właściwie to nie jest najłatwiejsze wyjście, to jedyne wyjście...

Myśliwy i kobieta zaryzykowali własnym życiem, aby ocalić moje... to znaczy, że oni... cóż, tak, kochali mnie; być może kochali mnie, „pomimo że” jestem elfem, nie „dlatego że” nim jestem, ale to bez znaczenia. Gotowi byli zaryzykować własnym życiem, abym ja mógł żyć...

Tak, właśnie kiedy wszyscy są przeciw tobie, wystarczy jedna jedyna osoba, która o ciebie zawalczy, abyś odzyskał swą siłę i chęć walki... Jeśli tego kogoś zabraknie, zginiesz, a twoi ludzie wraz z tobą...

Chłopiec potrząsnął głową. Potem ją spuścił. Lekki powiew zamienił się w wiatr.

Zwęglone drzwi trzasnęły gwałtownie. Młody elf zadrżał. Głos smoka stał się łagodniejszy.

- Jak tylko znajdziesz sobie ubranie, poszukamy mieszkańców tej wioski.

Yorsh ożywił się. Podniósł głowę. Przytaknął.

- Tutaj nikogo już nie ma - dodał smok. - Może rozejrzyj się i znajdź sobie jakieś ubranie, które by na ciebie pasowało.

- Czy to nie będzie kradzież?

- Nie - powiedział łagodnie smok. - Oczywiście, że nie. Zabierzesz tylko rzeczy, które już nikomu nie są potrzebne.

Młody elf jeszcze raz obszedł całą wioskę dookoła. Wszystko było zniszczone i spalone. Wśród ruin największej chaty znalazł to, co zostało z łódki-zabawki i szmacianej lalki, zabrał te resztki ze sobą. Ich widok zalał jego serce kolejną falą smutku. Coś białego wyłoniło się spośród mgły. Był to duży, stary wychudzony pies. Do tej pory, bojąc się może smoka, leżał skulony w zaroślach, lecz kiedy Yorsh dotknął zabawek, wstał z trudem i teraz człapał powoli w jego stronę, merdając słabo ogonem. Nie widział już na jedno oko, ale węż jeszcze nie do końca go zawodził.

- Wierny! - krzyknął Yorsh. - Wierny, Wierny, Wierny! To był ich pies. Monsera i Sajry. Wierny. Wierny. Wierny!

Pies także go rozpoznał. Yorsh uklęknął na ziemi, splótł ramiona wokół starej szyi pokrytej rzadką szarawą i brudną sierścią. Pies lizał go po całej twarzy. Kiedy dłonie elfa dotknęły psiego czoła, przemieszane wspomnienia dotarły do świadomości chłopca: krzyki, ostre zapachy, ogień, strach. Pies zapamiętał kopnięcie otrzymane od konia, po którym poważnie okulał, podczas gdy wokoło wioska stała w płomieniach. Były też inne wspomnienia, inne zapachy: głód, samotność, tęsknota, dni spędzone na walkach toczonych z robakami o stare kości, w nadziei, że ktoś powróci. I ktoś powrócił. Jego warta dobiegła końca. Zadanie zostało wykonane. Yorsh przybył tu, odnalazł dom i teraz, w jakiś sposób, przywróci rzeczom ich dawny bieg. Powrócą dawne zapachy, zapachy z dawnych czasów: suszone jabłka, pieczone kuropatwy, przyjemna woń ludzi, którzy nawzajem się kochają.

Yorsh zobaczył przez moment we wspomnieniach psa postacie kobiety i myśliwego, przez chwilę ujrzał także niewyraźny i mały cień kogoś, kto bawił się lalką i małą łódką.

Kłęcząc, Yorsh długo obejmował psa. Elf wyczuł bezgraniczne zmęczenie zwierzęcia i jedno jedyne pragnienie, teraz, gdy jego czuwanie dobiegło już końca: pragnienie odpoczynku. Poczul, jak oddech psa staje się coraz wolniejszy, aż wreszcie zupełnie ustał.

Poczul uderzenie jego serca, potem jeszcze jedno, słabsze, później, po krótkiej przerwie, jeszcze jedno i wreszcie - to ostatnie. A potem nie było już nic. Yorsh pozostał długo w bezruchu, z rękami oplecionymi wokół szyi psa, czując, jak opuszcza go ciepło, a jego mięśnie zaczynają sztywnieć. Nie zrobił nic, aby temu zapobiec, ale odczekał długo, zanim wypuścił go z ramion. Teraz nie mógł już mieć wątpliwości: Monser i Sajra mieszkali tu, w wiosce, w domu, w którym znalazł zabawki. Coś strasznego musiało im się przytrafić.

Wiedział na pewno, że musi ich odnaleźć.

Yorsh uwolnił psa z uścisku, po raz ostatni pogładził go po głowie i zamknął mu oczy.

Potem pochował go na plaży, w dole wykopanym przez Erbrowa jednym szybkim uderzeniem ogona. Gorączkowo zaczął znów szukać ubrań. Koniecznie musiał je znaleźć, aby móc wędrować po świecie ludzi.

Już miał zrezygnować, gdy nagle szczęście się do niego uśmiechnęło: w najdalej położonej chacie, pod pozostałościami schodów, znalazł starą skrzynię, którą kamienne stopnie uchroniły przed spaleniem. To była mała skrzynia z drewna orzechowego. Zamek z kutego żelaza, na którym wybito

małe kwiatki, był zamknięty, lecz smok jednym uderzeniem swojego pazura rozwiązał ten problem. W środku znajdowała się długa biała suknia, zrobiona z prawdziwego lnu i cała pokryta małymi haftowanymi kwiatkami. Jej wykonanie musiało trwać całe lata. Wokół rękawów i przy dolnym brzegu sukni były nawet kawałki tkaniny z obrazkami utworzonymi za pomocą małych dziurek, które smok nazwał koronką. W dolnej części kamizelki wyhaftowana była litera M.

Yorsh zaplątał się w różne, nakładające się na siebie warstwy, zanim w końcu zdołał włożyć na siebie suknię. Przynajmniej jeden problem został rozwiązany.

Smokowi wydawało się, że pośród ludzi mężczyźni nigdy, za żadne skarby świata, nie noszą białych sukien pełnych koronek, haftów i falbanek, i że kobiety wkładają je też tylko raz w życiu, mianowicie w dzień ich ślubu, nie wydało mu się to jednak bardzo ważne, więc postanowił o tym nie wspominać. Smoki rodzą się nagie i nagie pozostają do końca życia.

Skomplikowane ludzkie obyczaje dotyczące ubioru były w jakiś sposób zgromadzone w rozmaitych wspomnieniach smoka, ale jako że wydały mu się one dziwaczne i bezwartościowe, a sam strój stanowił jego zdaniem tylko bezużyteczną ozdóbkę, uznał, że nie warto nawet zaczynać dyskusji.

Nie żeby Juna umiała naprawdę czytać. I nie żeby czytanie było naprawdę zabronione.

Beka i Karambol potrafili to robić. Depesze, które rzadko kiedy przychodziły z Daligar, czytali z wielką wyniosłością, właściwie to z prawdziwą pompatycznością - napuszeni niczym dwa pawie. Tym wszystkim, którzy nie mieli nic wspólnego z Administracją, czytania, jakby to powiedzieć, nie polecano. Dokładniej mówiąc, to wręcz je odradzano, uznając za umiejętność podejrzaną. W Astrid, osadzie, w której urodziła się Juna, ludzie potrafili trochę czytać, a nawet istniało tam coś w rodzaju szkoły. Astrid było przepiękną osadą, dosłownie opływającą w jedzenie. Po jednej stronie znajdowała się rzeka i pstrągi, po drugiej - sad i jabłonki. Między nimi były ogródki, a w nich kury, natomiast z tyłu, w dolinach, pasły się krowy, co oznaczało mleko, które następnie stawało się masłem.

Kiedy nie musieli łowić pstrągów, zbierać jabłek, doić krów lub naprawiać płotów, czyli dwa razy w roku, przywódca wioski zbierał hałaśliwą grupkę dzieci i starał się, nie stosując żadnej konkretnej metody, bezładnie i chaotycznie nauczyć je alfabetu, czyli przekazać im całą wiedzę, jaką sam posiadał. Lekcjom towarzyszyły śmiechy uczniów, komiczne miny przywódcy wioski, czemu kres kładły w pewnym momencie krzyki matek.

Przychodziły po swoje pociechy i posyłały je do wydojenia krów albo zbierania jabłek.

Opiekały też pstrągi albo wykładały winogrona na kratki, tak aby wyschły, zmieniając się w rodzynki wkładane następnie do chlebów miodowych pieczonych na zimowe święto.

Znajomość liter przywódca wioski zawdzięczał pewnemu tajemniczemu i legendarnemu osobnikowi, który odwiedził Astrid wiele lat przed narodzinami Juny i podarował mu mityczny kociołek do wędzenia.

Z tych absurdalnych lekcji Juna wyniosła znajomość między innymi czterech liter swego imienia: JUNA.

Jak Jabłka, które suszyła jej mama. Ostatnie zjadła na dzień przed tym, jak żołnierze z Daligar zjawili się niczym gromada wygłodzonych wilków, żądając rzeczy, które mieszkańcy posiadali, a nawet tych, których nie posiadali, a wszystko to w związku z niejasną sprawą zaległych podatków. To było ostatniego lata. Następnej zimy wioska została zniszczona, a jej rodzice aresztowani. Właściwie to kolejność była odwrotna: jej rodzice zostali aresztowani, a wioska zniszczona, lecz to stało się później, kiedy ona znalazła się już w Domu dla Sierot. Dowiedziała się o tym od Beki. Latem przyszli żołnierze, którzy chcieli od nich mnóstwa rzeczy: zboża, którego nie mieli; tak ogromnej ilości pstrągów, jakiej nie łowili nawet w ciągu całego roku, dla hrabstwa i jego Zarządcy. Przywódcy wioski już nie było - zmarł ubiegłej zimy, tuż po ślubie swojej córki, tak więc to jej tata stawiał czoło żołnierzom, mówiąc im, że od hrabstwa Daligar ani nigdy niczego nie otrzymali, ani nie byli mu winni, i dodał, że owszem, można zażądać od ludzi części tego, co posiadają, ale na pewno nie wszystkiego, a nawet więcej niż kiedykolwiek mieli. I to właśnie wtedy jeden z nich, jeden z żołnierzy, wysoki, napuszony, wyglądający na kompletnego głupka, z gęstą śnieżnobiałą

brodą, przyjrzał się dokładnie jej tacie i mamie, i ich rozpoznał: to oni pomogli elfowi. To oni byli obrońcami okropnego elfa, który zniszczył Daligar wiele lat wcześniej.

Juna w to nie wierzyła, jej rodzice nie mogli chronić tak ohydnej kreatury jak elf. To nie mogła być prawda.

U jak Ulubione rzeczy do jedzenia. Do picia też. Jak mleko albo świeżo wyciśnięty sok owocowy.

N jak Niestrawność. Kiedy Marsya, córka przywódcy wioski, założyła swój piękny strój z wielu warstw falban, z wyhaftowaną z przodu literą M - pierwszą literą jej imienia, i marszczonym koronkowym kołnierzykiem, zjedli tak dużo, że Juna aż nabawiła się niestrawności. Musiała zrezygnować z trzeciego kawałka tortu orzechowego. Nawet teraz kiedy o tym myślała, z żalu łzy same napływały jej do oczu.

A jak Astrid, jej ukochana wioska.

Gdyby Juna nie знаła tych i kilku innych liter, dzisiejszy poranek nie różniłby się niczym od innych. Byłby jednym z wielu poranków, trochę mniej nudnym dzięki przybyciu wozu z Daligar, który jak zwykle przywiózł kolejnych ukochanych gości Domu dla Sierot.

Byli nimi dwaj chłopcy, wychudzeni blondyni, najwyraźniej bracia - obaj mieli odstające uszy i twarze całe w piegach. Siedzieli skuleni pośród różnych rzeczy przywiezionych z Daligar. Był tam między innymi miedziany kocioł, poobijany i brudny, ale cały, przywieziony prawdopodobnie po to, aby zastąpić ten, w którym dotychczas gotowano wiecznie jedną i tę samą zupę, który był już niezliczoną ilość razy dziurawiony i niezliczoną ilość razy naprawiany i od dawna nie nadawał się do użytku. Wokół kociołka stało wiele pozakrywanych wiklinowych koszy, a na każdym z nich znajdował się jakiś napis. Beka czytała je raz po raz, gdyż rozpierała ją duma, że potrafi to robić, i nie przepuszczała okazji, aby się tym pochwalić. Poza tym na pewno nie najlepszym pomysłem byłoby włożenie sera do kosza, w którym wcześniej przewożono żywą gęs - kolor i zapach sera bardzo by na tym ucierpiały, zwłaszcza jeśli ktoś nie przepada za gęsimi ekskrementami.

Serce Juny podskoczyło do góry. Na najmniejszym z koszy znajdowały się litery, które rozpoznała.

Nie miała wątpliwości. MASŁO.

Masło było bez wątpienia najwspanialszym dobrem: białe jak mleko, delikatne jak pieszczota. To właśnie odrobinę masła kładła mama na owsiance w świąteczne dni.

Masło było spełnieniem marzeń o normalnym życiu. Smakowało dostatkiem.

Czasami, nie zawsze, ale kiedy wszystko dobrze się układało, dodawano je do ciasteczek, jakie jedli w dzień zimowego przesilenia, najkrótszy dzień roku, aby powitać światło dnia, którego miało być od tej pory coraz więcej.

Juna nie była w stanie nawet wyobrazić sobie, jaka kara mogłaby grozić za kradzież masła. Prawdopodobnie wykraczało to poza możliwości jej wyobraźni, ale - niestety - nie poza możliwości wyobraźni Beki. A może jednak tak? Bo jeśli ktoś ściga cię za zjedzenie marnej jeżyny, to może nie

przyjdzie mu nawet do głowy, że mógłbyś odważyć się ukraść najwyższe dobro, najwyższą przyjemność: masło.

Jeden z chłopców, ten mniejszy, zaczął płakać. Juna otrzymała rozkaz zszadzenia go z wozu, a jako że była strasznie głupia i niezdarna, jak wykrzyczała to Beka, potrąciła miedziany kocioł, który spadł z wozu z piekielnym hukiem. Kiedy wszystkie wiktuły zanieśiono na miejsce, okazało się, że nie ma masła. Beka przeszukała wszystko i wszystkich, zwłaszcza Junę, ale koszyk z masłem rozpląnął się w powietrzu. W końcu uzgodniono, że musiała zajść jakaś pomyłka: może jednak wcale go nie przysłano z Daligar. Juna została ponownie przeszukana, do tego jeszcze zbita, tak na wszelki wypadek, i na tym sprawę zamknięto, bo nie widziano żadnego innego wyjścia jak tylko ją zamknąć.

Dwaj nowi chłopcy nazywali się Merty i Monty. Kiedy zapadł wieczór i znaleźli się w brudnej, zrujnowanej owczarni, służącej za salę sypialną, obydwu brakowało już łez, żeby dalej płakać. Drabo i Ospo rozdali wszystkim po jabłku i misce owsianki, każde z dzieci siedziało teraz skulone na swoim pościeliu, starając się przedłużyć jedzenie kolacji, jak tylko się dało. Juna długo im się wszystkim przyglądała: dwóm nowym chłopcom, Drabowi i Ospowi, Cali, wszystkim pozostałym. Potem spojrzała na swoje sińce, te, które zarobiła dziś po południu. Następnie znów spojrzała na wszystkich, a potem jeszcze raz na swoje siniaki.

Merty i Monty znów zaczęli płakać. Cala starała się ich uciszyć, lecz bez powodzenia, więc Drabo i Ospo kazali im się uciszyć, co także nie podziałało, a wręcz pogorszyło sprawę. W

końcu Juna poczuła, że ma tego już dosyć, wstała i wyszła, zanim Drabo i Ospo zdążyli ją zatrzymać, a kiedy wróciła, miała w ręce kostkę masła.

- A niech to - powiedziała. - Chciałam je zatrzymać tylko dla siebie - zasłużyłam na to! Spójrzcie na te sińce... Cała sztuczka polega na tym, aby odwrócić ich uwagę. Kiedy spadł

kociołek, przez moment wszyscy patrzyli w innym kierunku, wtedy schowałam masło pod wozem. Wystarczy odwrócić ich uwagę i wtedy możesz zrobić, co chcesz. Wystarczy być szybkim, a można ukraść wszystko. Ukradłabym nawet koronę z głowy króla... Masło zabrałam potem, kiedy nikt nie patrzył... Ale... teraz przestańcie już płakać... Po kawałeczku masła dla każdego... do owsianki... jak w domu... Gdybym chciała zjeść wszystko sama, za długo by to trwało i prędzej czy później by mnie przyłapali...

Nagrodzili ją owacjami.

Mieli prawdziwą ucztę.

Nie było tak jak w domu, ale przynajmniej jednego wieczoru choć na chwilę zapomnieli o smutku i głodzie. Nawet Drabo i Ospo byli za bardzo zdumieni, za bardzo pełni podziwu i za bardzo zadowoleni, aby atakować i dręczyć, grozić i straszyć.

Płacze ustały. Dwaj nowi chłopcy, przytuleni do siebie, też się rozpogodzili.

Juna wyjaśniała dalej, jak należy kraść. Wykonała nawet kilka demonstracji. Potem dzieci zapytały



ją, skąd wiedziała, gdzie jest masło, a ona wytłumaczyła: M jak Mniem, gdy je się smaczne rzeczy, A jak Astrid, pierwsza litera w nazwie jej wioski, S jak Słodkie suszone jabłka jej mamy, Ł jak Łódka z drewna, jedna z jej zabawek, O jak Owce, które pasły się na łąkach w rodzinnej wiosce. To było nawet jeszcze lepsze niż jej wyjaśnienia dotyczące podstaw sztuki kradzieży. Wszyscy - jedni mniej, drudzy bardziej - podziwiali jej umiejętność czytania, uznając ją za swego rodzaju... jak by to powiedzieć... umiejętność magiczną.

Umiejętność nieprzeniknioną, niewytłumaczalną i niedostępną, umiejętność dzielącą świat na tych, którzy ją posiadli - istoty na swój sposób lepsze, i na tych, którzy, tak jak oni, jej nie opanowali i nigdy nie opanują. Juna, przykucnąwszy, narysowała na ubitej ziemi, na której spali, cztery litery swego imienia, i tak magia stała się możliwa. Pokazała także literę M, pierwszą literę słowa masło; dwaj nowo przybyli chłopcy przestali płakać, kiedy również oni zdołali narysować palcem na ziemi dwa szczyty układające się w pierwszą literę ich imion.

Dodając litery swego imienia i te z wyrazu masło, okazało się, że w sumie Juna zna ich osiem.

Rysowali je długo, a dziewczynka odniosła wrażenie, że te znaki wykonane na ubitej ziemi były bardzo ważne, na swój sposób nawet ważniejsze niż samo masło. Tak jakby wszyscy stali się teraz mniej biedni.

Potem zgasili świeczkę i poszli spać.

Gdy tylko Juna zamknęła oczy, wszystko pod jej powiekami stało się zielone, w złote arabeski.

Aby uniknąć pobrudzenia dołu sukni, Yorsh podciągnął jej brzeg do góry i związał go wokół pasa na coś w rodzaju supła. Było to najbardziej niewygodne ubranie, jakie kiedykolwiek nosił. Nawet okropne „elfie” szmatki z żółtego płótna, które pamiętał z pierwszych lat swojego życia, ciężkie i zimne, wydawały się wygodniejsze od tej fruującej w powietrzu chmury białego lnu. Mimo to robił wszystko co mógł, aby jej nie pobrudzić ani nie podrzeć - nawet spał na parapecie jednego z okien, w którym bursztynowa okiennica pozostała jeszcze cała, a wcześniej dokładnie go wytarł, używając do tego prowizorycznej miotełki wykonanej z piór, jakie pogubiły ze swoich ogonów liczne sroki, które na stałe zadomowiły się pod starym sklepieniem jaskini.

Obudził się rankiem z okropnym uczuciem niepokoju ściskającego go za serce, po nocy pełnej koszmarów sennych, w których widział, jak płonie wioska, i słyszał, jak pośród ciemności ktoś na próżno woła o pomoc. Z minuty na minutę coraz spieszniej mu było wyruszyć. Jego wspaniały strój prawie w ogóle się nie pobrudził. Smok był na zewnątrz jaskini. Elf poinformował go o swoim nieugiętym postanowieniu - chciał jak najszybciej wyruszyć na poszukiwanie kobiety i myśliwego. Potem, na spokojnie i z ich pomocą, może będzie mógł poszukać sobie żony. Zgoda, był trochę młody, ale elfy zwykle bardzo wcześnie zaczynają poszukiwania tej, która kiedyś zostanie ich małżonką, mimo że później czekają całe lata, zanim się z nią ożenią. I jest to zawsze jedyna miłość ich życia, bo miłość w ogóle uważają za rzecz zbyt ważną, aby nie poświęcić jej całego życia. Historia elfów często mówiła o jakiejś zabawce, którą jako dzieci bawili się wspólnie rodzice, a następnie wydane przez nich na świat potomstwo. W jego przypadku był to niebieski bączek: jego tata podarował go jego mamie, kiedy jeszcze byli dziećmi, a potem stał się on zabawką Yorsha.

Elf był pełen wątpliwości, jak powinien postąpić. Spytał smoka, czy jego strój jest odpowiedni do tego, aby szukać w nim żony, na co smok odpowiedział mu, że osoba, która zgodzi się za niego wyjść, widząc go w takim ubraniu, będzie musiała być uosobieniem bezgranicznej tolerancji i wolności od uprzedzeń.

Następnie opuścił wzrok i z powrotem zabrał się do ogoławania z mięsa skrzydeł

upieczzonego ptaka.

- Co to? - spytał zdezorientowany elf.

- Moje śniadanie - odpowiedział wesoło smok. Pokazał mu długi ruszt zrobiony z całego pnia młodego świerka, na którym tkwiły pozostałości po szkieletach srok, sów i głuszców. - Chciałem ci pomóc w sprawie ślubu. Wykonałem połowę całej pracy przy sprzątanii mieszkania, aby twojej żonie, kiedy już będziesz ją miał, było tu wygodniej. Ja zrobiłem porządek z ptakami, ty musisz już tylko wyczyścić podłogę. Skróciłem ci pracę o połowę.

Yorsh znieruchomiał, wpatrywał się w smoka osłupiały i przerażony. Zjadł sroki! I sowy! Te małe śliczne sowy o nieporadnym i zarazem dzikim wyglądzie. I te urocze sroki?

To prawda, robiły piekielny hałas, nie mówiąc już o niewiarygodnej ilości ekskrementów, jaką

produkowały. Były nieznośne, owszem, ale to nie dawało nikomu prawa do pochłonięcia ich za jednym razem, niczym garści groszku ze strąka.

- Jak mogłeś je zjeść? - zapytał, odzyskawszy częściowo głos.

- Z rozmarynem - odparł wesoło smok. - Tuż za drzwiami rośnie jeden krzaczek.

Smok ziewnął, a następnie zaczął czyścić sobie zęby, używając jako wykałaczki tego, co pozostało po kości udowej głuszca.

- Dobrze - powiedział - więc kiedy wyruszamy?

- My? - spytał Yorsh znowu zdezorientowany.

- My - potwierdził pogodnie smok.

Yorsh nie spodziewał się tego. To była ostatnia rzecz, o jakiej mógłby pomyśleć: wybrać się między ludźmi w towarzystwie smoka? Jak? Smok nie był... zbyt...

- ...reprezentacyjny - zaproponował zakłopotany. - Nie jesteś zbyt reprezentacyjny.

Jesteś piękny, powiedziałbym nawet - wspaniały, ale ja muszę przemknąć niezauważony pośród ludzi, którzy będą i tak wystarczająco przerażeni tym, że jestem elfem. Przerażenie na widok smoka na pewno nie zmniejszy ich nieufności. - Nie chciał być nieuprzejmy. Nie chciał obrazić smoka. Uśmiechnął się do niego promiennie. - Teraz, kiedy umiesz już latać, możesz wyruszyć, aby... jak to kiedyś ująłeś? Aby odkrywać wszechświat i ulepszać świat.

- Odkrywanie wszechświata w pojedynkę nie sprawia przyjemności - zaproponował

Erbrow tonem aniołka. - Będziemy ostrożni. Będziemy latać nocą, a w ciągu dnia będę się ukrywał w wąwozach i na polanach w gęstych lasach. Nie martw się, zadbamy o to, żeby nikt mnie nie zobaczył. Jeśli nas wypatrzą, odlecimy ponad chmurami. Przecież stara droga, jak i schody, którymi można opuścić bibliotekę, zawaliły się, pamiętasz? Widzieliśmy je w locie.

A poza tym, zrozum, ja jestem smokiem. Moja obecność w okolicy naprawdę bardzo ograniczy liczbę tych, którzy chcieliby poderznąć ci gardło, powiesić cię albo w ogóle skrzywdzić. Zaufaj mi.

Yorsh przypomniał sobie, że to w Daligar znajdowała się ta dziwna przepowiednia, która mówiła o nim. To odpowiednie miejsce, aby zacząć tam ich podróż.

Przepowiednia była jego przeznaczeniem, wykutym w marmurze i wskazującym mu drogę. Nie miał matki ani ojca. Cała jego rodzina to drewniany bączek i wspomnienie o babci, która mówiła mu, aby sobie poszedł i nie oglądał się za siebie. Ale gdzieś w odległych wiekach żył ktoś, kto wiedział o jego istnieniu, kto widział, jak szukał śladów przyszłości na orbitach dalekich konstelacji.

Ktoś, kto wyrył w marmurze napis mówiący, że on, Yorsh, będzie i jednocześnie nie będzie tym ostatnim. Będzie miał żonę. Może. Tak mu się wydawało, kiedy przypominał

sobie słowa przepowiedni. Pierwsze wersy pamiętał bardzo dobrze: KIEDY WODA ZATOPI ZIEMIĘ,

ZNIKNIE SŁOŃCE, NASTANĄ CIEMNOŚCI I CHŁÓD.

KIEDY OSTATNI SMOK I OSTATNI ELF PRZERWĄ KRAĞ,

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ SPOTKAJĄ SIĘ,

SŁOŃCE NOWEGO LATA ZABŁYŚNIE NA NIEBIE.

Te słowa skazywały go na okrutną samotność. Ostatni to ostatni. Ten, który jest sam.

Dalszy ciąg napawał jednak nadzieją.

Yorsh nie był do końca pewien, jak on brzmiał. Chyba mówił coś o tym, że elf miał

się połączyć małżeńskim węzłem z tą, której imię oznaczało światło poranka i która widziała w ciemności, tą, która była...

...CÓRKĄ MĘŻCZYZNY I KOBIETY, KTÓRZY...

Którzy?...

Poza tym był jeszcze ten dziwny podręcznik smokologii, gdzie pisano coś o dzieciach ludzi i elfów, które stają się autorami dziwnych historii o księżniczках zamienionych w dzieciństwie. Być może elfy i ludzie mogą łączyć się w małżeństwie. Najwidoczniej tak dawniej się działo, a ich dzieci pisały potem powieści tak uwielbiane przez smoki wysiadujące jaja. Być może fakt, że jest ostatnim elfem, nie skazywał go na wieczną samotność, a droga, którą miał podążać, była kwiecistą ścieżką, a nie mroczną aleją. Drogę tę wyznaczał napis w Daligar.

Co do kierunku, w jakim powinni się udać, odbyli krótką naradę. Zarówno rodzic Erbrowa, jak i rodzic jego rodzica byli w Daligar, lecz problem polegał na tym, że podczas wysiadywania jaja zmysł orientacji nieco się przytępia. Niezmiennie olśniewająca pozostaje za to umiejętność opowiadania dziejów historii, smok bowiem był w stanie wymienić imię, przydomek, patronim, rok urodzenia i liczbę dzieci wszystkich kamieniarzy, którzy wzniesli mury Daligar, ale tego, gdzie ono leży, nie wiedział. Yorsh miał wprawdzie mapę, lecz niedokładną i uproszczoną. Zdołał z niej jedynie odczytać, że Daligar znajduje się na południu, co nie było raczej informacją wyczerpującą.

Postanowili lecieć wzdłuż rzeki, przekonani, że w ten sposób prędzej czy później dotrą do miasta.

Woda lśniła w świetle księżyca, dzięki czemu nawet nocą byli w stanie podążać za srebrną wstęgą rzeki. Kiedy zdawało im się, że dostrzegają kwadratowe światła okien jakiejś chaty, obniżali lot i lecieli między wierzchołkami modrzewi. Ciemność miała różne odcienie: głęboka czerń nieba, jeszcze czarniejsza czerń lasów pod nimi, gdzie szczyty drzew, między którymi przelatywali, były ciemniejsze niż niebo usiane gwiazdami, i wreszcie najczarniejsza ciemność ziemi, po której rzeka wiła się srebrną wstęgą.

Kiedy Erbrow wzbijał się wysoko w powietrze, nie musieli lecieć dokładnie wzdłuż zakoli, tylko ścinali je, skracając sobie drogę. Yorsh wspominał tę długą i wyczerpującą trasę, którą jako dziecko pokonał pieszo w przeciwnym kierunku. Właściwie to może nie była tak do końca wyczerpująca, bo przecież kiedy czuł się zmęczony, Monser brał go na ręce, ale za to na pewno była długa. Dotarli do Daligar przed świtem. Mury obronne, najeżone zaostrzonymi pniami wyglądającymi jak kolce ogromnego jeżozwierza, rzucały ponury cień na wodę rzeki lśniącej w złocistym świetle poranka. W mieście było jeszcze więcej baszt, wieżyczek i okien strzelniczych, niż Yorsh pamiętał.

Erbrow poszybował łagodnie w stronę małej polany porośniętej trawą i koniczyną, ukrytej pośród kasztanowców. Przepowiednia znajdowała się w południowej części miasta, dokładnie po przeciwnej stronie wielkiej bramy ze zwodzonym mostem. Plan był prosty: smok pozostanie schowany w cieniu, prawie niewidoczny w słabym i niskim świetle wczesnego poranka, podczas gdy Yorsh wślizgnie się ukradkiem do środka i gdy już uda mu się przemknąć obok straży przed mostem zwodzonym, na moście zwodzonym i za mostem zwodzonym oraz tych, które patrolowały ulice, zmiesza się z tłumem. Następnie dotrze do resztek południowej ściany starego pałacu sprawiedliwości i przeczyta starą przepowiednię.

Yorsh zbliżył się do mostu zwodzonego z obojętnym wyrazem twarzy. Jedną z falban jego obszernej białej szaty zakrywała mu głowę, trochę tak jak kaptur, zasłaniając spiczaste uszy i zbyt jasne włosy. Jego serce tłukło się jak oszalałe. Od lat mieszkał w odosobnieniu, w bibliotece położonej na szczycie niedostępnej góry, mając smoka za jedynego towarzysza.

Niepokoje napawała go już sama bliskość tak wielu ludzkich istot. Do tego wszystkiego dochodził strach przed napaścią, nadzieja na odnalezienie śladu swojego przeznaczenia i wspomnienie Monsera i Sajry, które nieustannie przepełniało go tęsknotą. Był już kilka kroków od bramy, kiedy nagle, jakimś sposobem, został zauważony. Wszyscy przerwali to, co akurat robili: ci, którzy rozmawiali, zamilkli; ci, co przechodzili przez most, zatrzymali się; momentalnie ucichły krzyki dwóch obwoźnych sprzedawców zachwalające ich towar - jabłka i kapustę. Słowo „elf jednak nie padło. Wszyscy po prostu zaczęli pokładać się ze śmiechu.

Nieoczekiwanie pojawiła się grupka obdartych chłopców pod przywództwem jednego, o wyjątkowo dużych odstających uszach.

Zacząli szydzić z niego. Mówili wszyscy naraz i Yorsh nie zdołał nic z tego zrozumieć, ale także z ich ust nie usłyszał słowa „elf. W takim razie czego mogli od niego chcieć?

Rzucono kilka kamieni, które na szczęście go nie dosięgły: koncentrując się na trajektorii lotu kamienia, Yorsh potrafił ją zmienić. Po pierwszych chwilach strachu opanował

tę sztukę do perfekcji i cała ta zabawa zaczęła mu się niemal podobać. Jeden z żołnierzy przy bramie miał już chyba tego dosyć, bo ochryplymi krzykami przerwał rzucanie kamieni, a także zdołał wszystkich trochę uciszyć. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z gęstą szarawą brodą. Obrócił się w stronę Yorsha i dał mu znak, aby poszedł za nim. Prawdopodobnie chciał

znaleźć przełożonego i spytać go o radę. Chłopiec wszedł do miasta, podążając za tym mężczyzną, co uchroniło go od kolejnych ataków. Dla niego, zamkniętego przez lata w bibliotece, Daligar

wydawało się olbrzymie i, tak jak wtedy, kiedy był dzieckiem, wprawiło go w osłupienie. Pełne było ogromnych budynków ze starodawnymi kolumnami i ogromnymi łukami, które krzyżowały się ponad głowami przechodniów, dzieląc niebo na dziwne geometryczne figury. Wiele łuków było połamanych, a sklepienia na wpół zawalone. W

niektórych spośród starych budynków znajdowały się szpitale zakaźne i nędzne bazy, gdzie przed byle jak skleconymi straganami ustawiały się uporządkowane kolejki, aby kupić kilka główek kapusty lub parę jabłek. Panował tam nieznośny zaduch; zapach wielkich kwiatów jaśminu, obficie zwisających z ukruszonych murów, mieszał się z zapachem stęchlizny.

Yorsh zastanawiał się, jak te kwiaty mogły jeszcze kwitnąć teraz, pod koniec jesieni.

Rozpoznał miasto po bruku i fasadach domów o spiczastych dachach w pastelowych kolorach, z okiennicami pomalowanymi za to w ciemnoczerwone i zielone pasy, które przecinały się po przekątnej, tworząc po zamknięciu figurę rombu. Teraz jednak wszystko było obdrapane, a z okien zniknęły kwiaty pelargonii zdobiące je wtedy, gdy przybył tu jako dziecko. Przeszli tuż obok fontanny, nad którą górowała drewniana rzeźba wspiętego na tylnych łapach niedźwiedzia - nie miał już głowy, a woda płynęła zaledwie cienką strużką o brzydkim zapachu. Przed nimi znajdowała się bardzo wysoka ściana ułożona na przemian z kwadratowych kamieni i cegieł, rosły na nich maleńkie paprocie i maleńkie różowe kwiatki.

Był to pałac Zarządcy, rozrastał się w budynek sądu, pod którym znajdowały się więzienia.

Być może Yorsh dotarł do właściwego miejsca, aby dowiedzieć się czegoś o swojej ludzkiej rodzinie.

Pałac wznosił się nad miastem. Zbudowano go na planie jakiegoś asymetrycznego wieloboku, którego dokładnej formy nie sposób było rozpoznać. Nie miał wież: po prostu jedna część była wyższa od drugiej, przez co całość sprawiała wrażenie koślawej, prowizorycznej konstrukcji, czegoś, co nie zostało jeszcze ukończone, ale już zaczęło się walić.

W przeciwieństwie do Daligar, jakie zapamiętał, teraz nie biegały po ulicach kury.

Nagle jednak z na wpół zawalonej bramy wyłoniła się jakaś. Była bardzo stara, powolnym, zmęczonym, lecz zarazem zdecydowanym krokiem zmierzała w stronę Yorsha. Chłopiec ją rozpoznał. To właśnie ją trzynaście lat temu przywrócił do życia. Najwidoczniej niecodzienne wydarzenie uratowało ją przed kociołkiem i rusztem, a więź, jaka utworzyła się między obojgiem, nie pozwoliła jej umrzeć. Teraz nie miała już sił. Wyczuła obecność Yorsha; jej umysł połączył się z umysłem chłopca, kiedy powróciła ze świata umarłych, i to powiązało ich ze sobą na zawsze. Wreszcie kura doczłapała do niego. Chłopiec pochylił się i wziął ją na rękę. Spojrzeli na siebie po raz ostatni i wtedy kura pozwoliła sobie umrzeć. Chłopiec poczuł, jak wypełnia ją spokój, jak zatrzymuje się jej serce. Podniósł wzrok i spojrzał na zgromadzonych wokół ludzi. Nie on jeden znał historię o kurze i nie on jeden ją rozpoznał.

Na ulicy, oprócz żołnierza, który mu towarzyszył, było czterech mężczyzn, dwie starsze kobiety, jedna dziewczynka i wciąż ta sama grupka wychudzonych i obdartych chłopców, niebezpiecznie

uzbrojonych w proce. Wszyscy mu się przyglądali. Słowo „elf rozbrzmiewało wokół, głośno i wyraźnie. Znow zaczęli rzucać w niego kamieniami, teraz liczniejszymi. Tym razem śledzenie wszystkich trajektorii było niemożliwe.

Yorsh zastanawiał się, dokąd uciec. Wszystkie drogi ucieczki były odcięte, pozostawał

tylko mur. Wystarczyło, że wyobraził sobie, że jest jaszczurką, a już znalazł się na jego szczycie, ścigany przez okrzyki i kamienie, zawinięty w swoją suknię niczym biała chmura.

Po drugiej stronie muru znajdował się ogród z wielkimi drzewami, tryskającymi wodą fontannami i stawem, w którego tafli przeglądały się łabędzie. Ogromne glicynie opierały się o mur, a ich sękaty pnie ułatwiły Yorshowi zejście. Uginały się pod ciężarem licznych kwiatów. Miał wrażenie, że znalazł się w raju, lecz był to raj dziwny, w pewnym sensie zbyt rajski. Znowu się zastanowił, skąd wzięły się tam, u progu zimy, te wszystkie niezwykle, kwitnące kwiaty. Nie znał się na glicyniach, ale nawet ich zapach wydał mu się nienaturalny: zbyt mocny. Niedaleko jakaś dziewczynka, tak jak on ubrana na białą, bujała się na huśtawce, śpiewając starą pieśń o dziewczętach, chłopcach i nowej miłości. Wciąż ukryty w cieniu glicynii, Yorsh podszedł do niej bliżej. Dziewczynka była wysoka, smukła i bardzo ładna -

miała białą skórę, duże zielone oczy i blond włosy splecione w wiele drobnych warkoczyków, które przeplatały się ze sobą tak samo jak gęsty ścieg w jej wysokim sztywnym kołnierzyku, a w miejscach, w których się krzyżowały, spięte były małym złotym kółeczkiem. Wszystko to przypominało scenę z obrazka lub z przedstawienia w teatrze. Poza tym dziewczynka wydawała mu się trochę za duża, by spędzać czas na zabawie na huśtawce i śpiewaniu.

Wreszcie czar przysł: obok dziewczynki na huśtawce stała druga, mała i ciemnowłosa, która, gdy tylko umilkł śpiew tamtej, nabrała odwagi oraz powietrza w płuca i ośmieliła się o coś spytać. Rozpętało się małe piekło. Yorsh zdołał usłyszeć jedynie strzępki rozmowy, do jakiej doszło. Chodziło o możliwość zamiany na huśtawce. Właściwie to nie była rozmowa, ale raczej monolog. Wynikało z niego, że prawo do korzystania z huśtawki miała - przynajmniej tak się wydawało - na zawsze i na stałe dziewczynka o blond włosach.

- *Ja jestem córką Zarządcy, więc jak śmiesz ty... nieznośna i niewychowana córko pospolitego... nic nieznaczącego...*

Małeńka płakała zrozpaczona.

- *Jesteś gruba, brzydka i głupia. I jesteś pospolita. Pospolita. Mój ojciec to ten, który...*

Co za nieznośna mała czarownica. Właściwie to ile ona ma lat? Dwa i pół, a tylko wygląda tak staro? I co niby miało znaczyć słowo „pospolita”. To obraza? Pomijając fakt, że huśtawki są dla dzieci, a ta panienka wyglądała na taką, co to powinna lada moment wyjść za męż. Ta „jej wysokość córka Zarządcy” była prawdziwą hieną. Yorsh chętnie stanąłby w obronie mniejszej dziewczynki, ale już i tak miał wystarczająco dużo kłopotów i wołał nie przysparzać sobie ich jeszcze więcej.

Więc to była córka Zarządcy? Dodatkowy powód, by nie dać się złapać w tym ogrodzie. Po drugiej

stronie muru wciąż rozbrzmiewały krzyki „elf”. Yorsh obliczył, że skoro północny mur, czyli ten, który właśnie przeskoczył, odgradzał ogród od głównej ulicy, to mur po przeciwnej stronie powinien odgradzać go od rzeki. Za późno: brama została otwarta i dziesiątki żołnierzy wbiegało już do środka, podczas gdy jasnowłosa dziewczynka, krzycząc z przerażenia, uciekała w kierunku porośniętego pnączami róż budynku w głębi ogrodu. Róże także kwitły. Może teraz mniejsza dziewczynka będzie mogła się wreszcie pobujać na huśtawce, pomyślał Yorsh.

Pytanie brzmiało, jak wydostać się z ogrodu. Elf znowu wspiął się na mur i próbował

biec po nim, ale nagle jedna z jego stóp zaklinowała się w gałęzi glicynii - spadł z powrotem w to samo miejsce, z którego rozpoczął ucieczkę, czyli na główną ulicę. Zastęp żołnierzy przerzedził się, gdyż większość z nich była teraz w ogrodzie. Powiększył się natomiast zastęp obdartych chłopców. W jego stronę znów poleciał gęsty deszcz kamieni. Coraz częściej trafiały Yorsha. Jego czoło już krwawiło, a jasne ubranie namokło krwią.

Zaczął biec. Biegł tak, jak biegają elfy: marząc, że jest orłem, który nurkuje w powietrzu. Łatwo wywiódłby w pole prześladowców, lecz potknął się o swoją falbaniastą suknię i runął ciężko na ziemię. Zdołał się jednak podnieść i doczłapać do wyżej położonej części miasta, gdzie chaty wznosiły się jedna nad drugą, niczym ogromny kopiec termitów, pokryty pnączami kaparów i kilkoma marnymi pędami winorośli, z których zwisało kilka kiści pomarszczonych winogron. Domy zrobione były z ziemi i kory drzew, ulice pokrywało błoto, kałuże i strumyki, tworzące nieprzerwaną sieć brudnej wody, w której odbijały się biel chmur i niebo. W błocie ulic tarzały się porzucone dzieci i bezpańskie psy, walcząc ze sobą o głąby kapusty i ogryzki jabłek. Żadne z nich nie zwróciło na niego uwagi, nikt z niego nie drwił ani za nim nie biegł. Yorsh pędził ciasnymi zaułkami, przez które z trudem przeciskała się jedna osoba i które wspinały się coraz wyżej krzyżującymi się ze sobą koślawymi schodkami. Żaden z żałośnie wyglądających mieszkańców - ani zgarbiona staruszka, ani młody kulawy mężczyzna podpierający się sękatym kijem, ani kobieta z małym dzieckiem na rękach - nie próbował go zatrzymać, wręcz przeciwnie: wszyscy przywierali do murów, aby nie blokować mu drogi. Yorsh zrozumiał, że jest to silne poczucie solidarności, na którą najwidoczniej mógł w tych stronach liczyć każdy, kto uciekał przed sprawiedliwością Zarządcy. Udało mu się zgubić prześladowców i oddalić od nich na tyle, by dotrzeć do równiny, która górowała nad zakolem rzeki. Stamtąd mógł dostrzec Erbrowa. A Erbrow mógł

dostrzec jego.

Świat stał się zielony. Krzyki zwycięstwa doganiających elfa żołnierzy zamieniły się w krzyki przerażenia. Erbrow Młodszy przybył, aby go ocalić. Smok zniżył lot. Ryknął i język ognia przeszył powietrze. Równina była wystarczająco duża, aby Erbrow mógł na niej wylądować, Yorsh usiadł mu na grzbiecie, a potem przelecieli nad przerażonym miastem aż do południowej bramy. Yorsh rozpoznał krążanek i schodki; odnalazł łuk z przepowiednią.

Smok znowu obniżył lot i powoli krążył w powietrzu, aby dać mu czas na przyjrzenie się napisowi i odczytanie go. Przepowiedni już tam nie było, została zdrapana. Pozostawione na kamieniu ślady po dłucie, niczym blizny, rozwiewały wszelkie wątpliwości.

Jeden z łuczników otrząsnął się z przerażenia: napiął łuk i wystrzelił strzałę. Erbrow drgnął, a z jego



klatki piersiowej zaczęła ciec krew. Yorsh zrozumiał, czemu na świecie nie ma już więcej smoków: przednia część ich ciała, ta, którą smok pokazywał światu podczas lotu, była całkowicie nieosłonięta, pokryta małymi łuskami, nie twardszymi od łusek węża czy jaszczurki. Smok natychmiast podniósł lot.

Skierowali się prosto w stronę Gór Ciemności. Znow przelecieli nad wzgórzami z winnicami i sadami, które minęli wcześniej, ale teraz, już bez blasku w oczach, Yorsh zdołał

dostrzec liczne figurki biegnące w różnych kierunkach pośród zieleni. Nie wszystkie - w pobliżu płotu dwie maleńkie postacie pozostały na miejscu i patrzyły w górę, wodząc głowami za ich lotem w świetle słońca. Potem skręcili i smok zniknął poza wierzchołkami Gór Ciemności. Tam pojawił się szczyt, na którym znajdowała się ich biblioteka, a za nim rozciągało się morze.

Rana Erbrowa nie była ciężka ani głęboka i Yorshowi wystarczyło kilka chwil, aby ją zagoić. Zanim smok wzniósł się ponad miastem Daligar, strzała była już usunięta, a krew przestała się sączyć. Kiedy dotarli do biblioteki, rana zdążyła się już zabiżnić, a zaraz po przybyciu na miejsce blizna zniknęła bez śladu. Erbrow, który był w świetnym nastroju, spędził resztę dnia na ośnieżonych szczytach gór, wesoły jak skowronek, ślizgając się po śniegu i polując na głuszce, które następnie piekł nad skwierczącym ogniem z palących się szyszek i krzaków rozmarynu. Yorsh leżał wyciągnięty na podłodze jaskini. Siły całkowicie go opuściły: było mu niedobrze i trzęsły nim dreszcze. Wydawało się, że energia, potrzebna do usunięcia strzały i zaleczenia rany Erbrowa, opuściła jego własną klatkę piersiową. Teraz odczuwał w niej ból, tak jakby strzała trafiła jego samego. Sytuację pogarszał fakt, że nie udało mu się ustalić, gdzie mogli przebywać Monser i Sajra. Pod warunkiem że w ogóle jeszcze żyli. Dopiero wieczorem Yorsh poczuł się na tyle silny, by wyjść z jaskini i dowlec się do kałuży z zimną wodą. Jego suknia nosiła ślady błota i kamieni, którymi go obrzucono; była też na niej krew, która skąpała mu z czoła, krew Erbrowa oraz - przede wszystkim -

ślady ekskrementów różnych ptaków, zwłaszcza srok i sów, z podłogi jaskini, na którą opadł

bezwładnie, gdy tylko zsiadł z grzbietu smoka. Białe pozostały jedynie fragmenty koronki przy kołnierzyku. Kolor reszty sukni przechodził z ceglastego w rubinowy, poprzez kasztanowy, czarny i szarawy, z jasnogroszkowymi plamami ekskrementów sikorki.

Następnego dnia Yorsh czuł się dosyć dobrze i poszukiwania zostały wznowione.

Postanowili powrócić do Astrid.

Wyruszyli o zachodzie słońca, aby nie rzucać się tak bardzo w oczy. Wieczór nie był

całkiem bezchmurny, ale też nie mglisty. Przelecieli ponad lasami modrzewi, które stały nieruchome niczym posągi w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, a potem ponad kasztanowcami, z których żółte liście opadały powolnym lekkim deszczykiem, lśniąc w słabym świetle nielicznych gwiazd.

Leniwie machając skrzydłami, smok zaczął powoli obniżać lot i zataczać duże kola nad równiną Astrid. Mały księżyc zaświecił ponad zakolem rzeki. Odbijający się w wodzie blask oświetlił pozostałe po wiosce popioły, odsłaniając ogrom spustoszenia. Potem księżyc skrył się za chmurą i na świecie zapanowała ciemność. Yorshowi było ciepło i wygodnie na grzbiecie smoka. Przepęłniała go jednak rozpacz, że nie zdołał się niczego dowiedzieć.

Wybierał się na podbój świata i na ratunek swoim przyjaciołom, a nie miał nawet bladego pojęcia, w jakim kierunku powinien się udać.

Smok wylądował. Obaj zaczęli się zastanawiać, co powinni zrobić w dalszej kolejności. Nie wiedzieli.

Chmura odsłoniła księżyc, który z powrotem rozbłysnął na niebie. Yorsh spuścił

wzrok. Coś błyszczało u jego stóp na wpół ukryte w trawie. Pochylił się, aby to podnieść: był

to biały kamyczek, od którego odbijało się światło księżyca. Elf odchylił trawę rękami. Krok od pierwszego kamyka leżał drugi, potem trzeci, a potem jeszcze jeden. Z góry nie było ich widać, ale idąc na czworakach, z łatwością dawało się dostrzec, jak lśnią w świetle księżyca.

Yorsh pokazał ścieżkę smokowi.

- Zostawili nam ślad - powiedział triumfalnie.

- Nam? Przecież nawet nie wiedzą o naszym istnieniu!

- Cóż, może nie zostawili go nam, ale tak czy inaczej zostawili ślad! - odparł z przekonaniem Yorsh.

- Ale kto mógł być tak głupi, aby zostawić szlak z kamyków dla nie wiadomo kogo? I po co miałyby to robić?

- Żeby odnaleźć drogę do domu. To musiało być jakieś dziecko. Kiedy odszedłem z miejsca, w którym została moja babcia, też zostawiłem szlak z kamyków, aby móc ją potem odnaleźć. Zatopił je deszcz, a poza tym i tak ich zabrakło, zanim upłynęło pół dnia. Tak zawsze robi dziecko, gdy jest zmuszone opuścić miejsce, którego nie chce opuszczać. Układa ścieżkę z kamieni, by odnaleźć drogę powrotną, i to daje mu poczucie bezpieczeństwa. Albo przynajmniej może marzyć o tym, że ją odnajdzie. Kiedy wszystko napawa cię strachem, potrzebujesz jakiegoś marzenia jeszcze bardziej niż czegoś do jedzenia. Ale teraz te kamyki wskazują drogę nam. Musimy iść pieszo. Są zbyt małe, aby dostrzec je z góry.

- Jesteś pewien? Nienawidzę chodzenia. Smoki nie chodzą. Nie przepadają za przechadzkami. Oczywiście, potrafią chodzić, ale sama konstrukcja ich kolan i śródstopia...

Księżyc lśnił na niebie. Przed nimi otwierała się ścieżka, która rozszerzyła się potem w górską drogę. Kamyczki leżały w trawie, na poboczu drogi, tak aby nie pomieszały się z tymi na drodze. Wszystkie były takie same: okrągłe, bielusińskie. Dziecko, które je rozrzuciło, musiało zbierać je przez wiele lat, przeszukując plażę wzdłuż rzeki, zbierać i przechowywać jak skarb, aby potem zostawić je wzdłuż drogi w zamian za marzenie o możliwości powrotu do domu.

Początkowo droga biegła w kierunku przeciwnym do Gór Ciemności, w stronę Daligar, ale potem skręciła na wschód. Kamyczków zaczęło ubywać, tak jakby osoba, która je rozrzuciła, postanowiła je oszczędzać. Było ich coraz mniej, leżały coraz dalej od siebie.

Smok ani na chwilę nie przestał się uskarżać na ból tylnych łap, nie mówiąc już o kręgosłupie, ani przekonywać o wyższości latania nad maszerowaniem. Rzeczywiście, podczas gdy jego skrzydła, rozpostarte na niebie, wyglądały wspaniale, jego chód przypominał chód ogromnej kury.

Księżyc zaszedł i nastał brzask. Kamyczki były już tylko na rzadkich rozdżach, w miejscach, gdzie droga się rozwidlała, tak aby zaznaczyć właściwy kierunek. Leżały kilka kroków od rozwidlenia, na poboczu, aby nie było wątpliwości.

Wschodzące słońce oświetliło ostatni kamyczek, który wskazywał wąską błotnistą dróżkę, ginącą w porastających ją do połowy krzakach jeżyn. Po kilku krokach ścieżka stała się bagnista i po chwili nie dało się jej rozpoznać. Kamyczków już nie było. Przed nimi otwierały się podmokłe tereny. Powitały ich chmury komarów. Słońce stało wysoko na niebie, a wraz ze światłem nowego dnia obudziły się także muchy.

Z trudem szli dalej. Wszystko było przesiąknięte wodą.

Wreszcie otworzyło się przed nimi coś na kształt doliny. Na jej końcu dostrzegli zanurzoną do połowy w błocie, zrujnowaną chatę zrobioną z suchych gałęzi i błota oraz, sądząc po zapachu, z krowich i kozich ekskrementów.

- Nie ma już kamyczków - powiedział Yorsh - a my gdzieś dotarliśmy.

- Dobrze - odparł smok. - To dobra wiadomość, zważywszy, że moje tylne łapy przypominają dwie kielbaski z rusztu, kolana skrzypią mi jak stare drzwi w zawiasach, nie mówiąc już o moim biednym kręgosłupie. Do tego wszystkiego kiszki grają mi marsza.

Możemy się tu zatrzymać, odpocząć, przespać i złapać oddech. A nawet lepiej: ja zatrzymam się już w tym miejscu, odpocznę, prześpię się i złapię oddech, a ty podejdź bliżej i się rozejrzyj.

Yorsh był wyczerpany, ale żadne zmęczenie, choćby nie wiadomo jak wielkie, nie mogło go teraz zatrzymać. Smok przycupnął przy wyższym ze zboczy maleńkiej doliny, pod dwoma dużymi dębami, udając z powodzeniem element krajobrazu. Długi nocny spacer przykrył go kurzem, a do tego on sam pobrudził się błotem, kiedy kładł się na ziemi.

Skomplikowane spirale tworzone na jego grzbiecie przez łuski w różnych odcieniach zieleni jeszcze bardziej utrudniały rozróżnienie go od moczarów.

Młody elf ruszył w kierunku zrujnowanej chaty. Co jakiś czas obracał się, by sprawdzić, czy smok faktycznie stanowi niedostrzegalną pośród zieleni plamę. Kiedy podszedł bliżej, spostrzegł, że obok chaty znajduje się uroczy budynek, wyrzeźbiony w zachwycającym białym i różowym kamieniu, z architrawem z granitu, w którym wyrzeźbiony był długi rząd maleńkich gąsek, każda z kokardką wokół szyi i bukietkiem kwiatów w dziobie. Na drewnianych drzwiach namalowany był długi szereg wielobarwnych serduszek, z komina wydobywała się smużka dymu, a za płotem z trzciny małe stado gęsi dziobało w ziemi razem z kurami. Po drugiej stronie ogrodzenia rozciągała się polana otoczona nędznym, aczkolwiek groźnie wyglądającym płotem, najeżonym starymi, zardzewiałymi kopiami, zaostrzonymi kawałkami drewna, krzakami jeżyn i cierniami, a pomiędzy tym wszystkim znajdowały się dwie strażnice dla łuczników. Oczom elfa ukazała się dziwna scena: na polanie grupa brudnych, jednakowo ubranych, wychudzonych i obdartych dzieci kopła w błocie długie rowy.

Światem zawładnął strach. Wydawało się, że wszyscy oszaleli. Smok z elfem na grzbiecie znów pojawił się w Daligar, gdzie wytepił cały drób hrabstwa. Nad górami martwych kur unosiły się chmary much i stęchły smród zgnilizny. Tak przynajmniej głosiła fama.

Juna nigdy nie była w Daligar, gdyż jej tata i mama zawsze unikali tego miasta, ale Glamo, jeden z większych chłopców, długi i chudy, o czarnych włosach, które opadały mu na twarz, pochodził właśnie stamtąd i mówił, że w Daligar nie ma już ani jednej kury, ponieważ nie chciał ich tam Zarządca, bo przez nie nie było czysto na ulicach. Czasem kilka z nich pojawiała się w górnej części miasta, najmniej atrakcyjnej w całym hrabstwie, w której nawet żołnierze starali się pokazywać jak najrzadziej. Tam również kur było tak mało, że dawało się je policzyć na palcach jednej ręki, nawet zebrane wszystkie razem na pewno nie utworzyłyby wielkiej góry, prawdopodobnie nie wypełniłyby nawet jednego worka. Problem jednak polegał na tym, że Glamo to największy kłamczuch, jakiego kiedykolwiek widziano. Był

synem dwójki wędrownych handlarzy, którzy wędrowali od rynku do rynku, sprzedając różne drobiazgi, zanim nie uśmierciły ich zimno i kaszel podczas najgorszej z wszystkich zim.

Glamo, jako że widział w swoim życiu mnóstwo rzeczy, tak jak wszyscy wędrowcy uważał

się za wszystkowiedzącego i był przekonany, że pozostali są na tyle głupi, że uwierzą w każde jego słowo.

To właśnie on utrzymywał, że w dolnej części miasta pozostała przy życiu jedna jedyna kura, której nikt nie miał odwagi ukrećić łba, bo była wyjątkowa, magiczna - najpierw umarła, a potem została przywrócona do życia.

Glamo, choć został wiele razy pobity przez ludzi, których drażniły zmyślane przez niego głupie historie - przede wszystkim przez Draba i Ospa - wcale się tym nie przejmując, wciąż opowiadał o kurze z Daligar, która trafiła do królestwa umarłych, a potem z niego wróciła. Wygadywał też wiele innych głupstw i bredni, na przykład o tym, że w Daligar rosną rośliny, które kwitną przez cały rok, albo o tym, jak spotkał raz trolla, który pracował jako stolarz razem z dwoma gigantami w Górach Ciemności i wszyscy trzej pomogli jego ojcu naprawić wóz. Ojciec podarował im za to kawałek szynki, a oni, zanim go zjedli, pochowali go w ziemi, a potem z powrotem odkopali. Również za tę historię Glamo został pobity...

Nawet jeśli uznać go za mało wiarygodnego, to trzeba przyznać, że historia o wielkich górach martwych kur nie miała wiele sensu. Skoro smok rzeczywiście zabił całe ich stopy, to czy mieszkańcy, zamiast pozwalać im gnić, nie mogli ich zjeść? Albo dać im? Tu, w Domu dla Sierot, zjedliby kury nawet z robakami. Zdaje się, że ta historia o stosach zabitych kur, które rozkładały się, zatruwając powietrze, była równie prawdziwa jak ta o porwaniu Iomir.

Zgodnie z krążącą plotką, smokowi stawiała czoło gwardia honorowa Zarządcy, która po zaciętej walce przegoniła bestię, broczącą krwią i prawie już nieżywą. Najwyraźniej jednak śmiertelne rany

smoków goją się jeszcze szybciej niż bąble na dziecięcych dłoniach, stwór bowiem zdołał przelecieć nad Domem dla Sierot, po czym, cały i zdrowy, udał się w swoją stronę, unosząc się prawie na wysokości chmur.

Wiadomości rozchodziły się błyskawicznie i każda kolejna wersja wydarzeń bogaciła się o nowe szczegóły. Jediną pewną rzeczą było to, że pracy przybyło, a owsianki ubyło i teraz, kiedy nie zbierali jabłek dla Daligar, kopali w błocie okopy. W sierocińcu założono prawdziwe drzwi zamykane na zasuwę. Po tym jak biedna Iomir została porwana przez latającą bestię wszyscy musieli obowiązkowo pracować w parach. Każdy był odpowiedzialny za swojego partnera i musiał za niego odpowiadać przed Beką i Karambolem. Na szczęście Juna znalazła się w parze z Calą. Ze wszystkich okropnych prac, jakie Juna kiedykolwiek wykonywała, kopanie okopów okazało się najgorsze. Miękkie błoto obsuwało się i obsuwało, a potem znów obsuwało się z powrotem. Były w nim robaki i coś w rodzaju włochatych gąsienic, które wyglądały jak pogrążone we śnie, ale kiedy się budziły, gryzły, a ich nieprzyjemne ugryzienia bolały potem całymi godzinami.

Na pomysł wykonania okopów wpadł Karambol, który wiedział o strategii wojskowej tyle, co o astronomii, czyli kompletnie nic, bo tylko ktoś zupełnie bezmyślny, kto w ciągu ostatnich dziesięcioleci odzwyczaił się od używania rozumu, mógł wpaść na pomysł, aby przeciwstawić się uskrzydłonemu stworzeniu, zapadając się w błocie i bez żadnej osłony.

Kiedy smok pojawił się po raz drugi, świętowanie zwycięstwa ustąpiło miejsca blademu przerażeniu i totalnej panice. Karambol, który już raz pokonał smoka wiklinowym koszem na winogrona, a zatem miał doświadczenie w walce, został mianowany głównodowodzącym obrony „terenów przyległych”, czyli wszystkiego, co znajdowało się poza murami miasta Daligar. W rezultacie na zmianę z wysłuchiowaniem kolejnych wersji opowieści o przepędzeniu smoka oglądali serie wstrząsających Karambolem, historycznych ataków paniki. Najpierw drążyli okopy wokół bagien. Potem zostawili je, aby kopać pod winnicami. Następnie zaczęli budować wał obronny, którego budowa, nigdy niedokończona, została porzucona tuż po rozpoczęciu, po to, aby powrócić do pierwszej koncepcji, czyli okopów wokół bagien.

Juna przestała na chwilę kopać. Nie miała już siły. Bolały ją ramiona i miała bąble na dłoniach. Była zmęczona i do tego wszystkiego głodna. Przy kopaniu okopów nie było czego kraść.

Mówiło się, że smok jest ranny. Może nawet nie żyje. Może już nie wróci. Czyli wszystko już przepadło? Może smok, którego zobaczyła raz, a potem drugi, jest tylko pozbawionym sensu marzeniem. Może nikt wcale po nią nie przybędzie, nikt jej nie uratuje -

jej ani nikogo innego? Wszystko zostanie po staremu.

Nagle jej oczom ukazał się obrazek jak z bajki. Juna poczuła, że wracają jej siły i odżywa nadzieja. Przez błoto przemknął największy szczur, jakiego kiedykolwiek widziała.

Nie tylko ona - Cala również go zauważyła. Obie dziewczynki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Mięso. Dużo mięsa. Cały szczur, jeden z tych większych, najprawdziwszy wielki szczur.

Kiedy trafiła do Domu dla Sierot, zabrano jej ubrania, buty i duży, szorstki wełniany szal, który

zrobiła jej mama, na szczęście Juna zdołała zachować swoją procę. Zrobił ją dla niej tata. Był to skórzany pasek, szerszy na jednym końcu, tak że można było z niego wystrzelić kamień. Pomimo wielu inspekcji, Junie udało się ją zachować, zaszytą źdźbłami słomy w brudnej kurtce z juty.

Beka i Karambol znajdowali się na drugim końcu długiego okopu, a Juna i Cala nie wykorzystały jeszcze przerwy z tytułu „potrzeby fizjologicznej”, przysługującej raz w ciągu dnia każdemu „małoletniemu pracownikowi”. Dwie dziewczynki rzuciły się w pogoń za szczurem, który na szczęście schował się za krzakami głogu i jeżyn na skraju polany tuż przed lasem, gdzie Juna, przez nikogo niezauważona, mogła wyciągnąć procę, wziąć kamień i oddać strzał. Pac. Czysty i precyzyjny strzał. Szczur upadł. Dwie dziewczynki pospieszyły z powrotem na swoje miejsca do okopu. Dzień ciągnął się powoli i nieubłaganie aż do południa, kiedy to każde dziecko ustawiało się w kolejce, aby otrzymać swoje sześć sztuk kasztanów i pół jabłka, które w całej swej hojności przewidziało dla niego hrabstwo Daligar.

Szczur był pożywieniem całej wspólnoty. Winogronami, jeżynami, orzechami, jajkami i jabłkami można się było objadać samemu, nie mówiąc o tym nikomu ani słowa. Ale szczur, jeśli tylko był jadalny, musiał najpierw zostać obdarty ze skóry i upieczony - zadania wykonalne jedynie pod warunkiem, że zaangażuje się w nie cała wspólnota „ukochanych gości” Domu dla Sierot. Przesuwając się wzdłuż okopów, niby w przypadkowym kierunku, Juna zdołała dotrzeć do Draba oraz Ospa i powiadomić ich o udanym polowaniu. Kiedy to robiła, serce ścisnęło jej się z żalu, albowiem oznaczało to, że oni dwaj zatrzymają dla siebie połowę szczura. Druga połowa zostanie rozdzielona między wszystkich, ponieważ szczur miał zostać obdarty ze skóry w sali sypialnej i tam też ugotowany, nad małym ogrzewającym ją piecykiem koksowym, a to oznaczało mały kawałeczek szczura dla każdego. Ale mały kawałeczek to i tak lepsze niż nic, nie mówiąc już o tym, że będzie to swego rodzaju święto.

Kiedy nadeszła godzina rozdzielania posiłku, Ospu poszedł sam wykonać to zadanie, podczas gdy Drabo, Juna i Cala udali się w kierunku krzaków jeżyn, aby odzyskać lup. Zabrali ze sobą pusty worek po kasztanach, żeby ukryć w nim szczura i wieczorem przemycić go do sali sypialnej. Upolowanie szczura nie uchodziło wprawdzie za kradzież i nie były za to przewidziane żadne kary, ale jako że z czynnością tą wiązało się niechybnie „opuszczenie stanowiska pracy”, prawdopodobnie tak czy inaczej szczur zostałby zarekwirowany, nie wspominając już o nieuchronnych oskarżeniach o niewdzięczność i barbarzyństwo.

- Jak mogliście? - skrzeczałyby Beka. - Tyle dobrych rzeczy jadacie w Domu dla Sierot. Wszystkiego macie pod dostatkiem, i takie smaczne!

- To barbarzyńcy! - bąknąłby Karambol, otrząsając się ze zwyczajowego stanu katalepsji. - To przecież dzieci barbarzyńców, o barbarzyńskich zwyczajach... na szczęście teraz znalazły się tutaj, my, osoby inteligentne, możemy ich nauczyć...

Martwego szczura nie było już na polanie. A właściwie to był, tyle że zamiast leżeć martwy na ziemi, siedział na kolanach u kogoś, kto wyglądał jak chmura z owłosionymi nogami, miał bowiem na sobie nieprawdopodobnie brudną suknię ślubną, podciągniętą do góry i zawiązaną wokół pasa. Był to chłopiec, niewiele starszy od nich. Juna zastanawiała się, czy nawet jeśli jego ubranie byłoby trochę mniej ubrudzone, całość mogłaby się prezentować nieco mniej komicznie. Problemem był nie tyle

brud, co nieznośny i jedyny w swoim rodzaju smród ptasich ekskrementów, jaki się wokół rozchodził. Nawet dla nich, mieszkańców starej, na wpół zawalonej owczarni, którzy jeśli się myli, to tylko wtedy, gdy przyszło im pracować w deszczu, smród ten był nie do wytrzymania. Nieznajomy trzymał szczura na kolanach i, głaszcząc go, rozmawiał z nim jak z członkiem rodziny lub bliskim mu przyjacielem. Szczur patrzył na niego, szczęśliwy, machając delikatnie ogonem. Najwidoczniej Juna musiała go tylko ogłuszyć i najwidoczniej smród ekskrementów musiał mu służyć. Obaj przyglądali się sobie czule jeszcze przez długą chwilę, a potem szczur ześlizgnął się na ziemię i oddalił

leniwie, zaszywając się w krzakach głogu. Nawet w ciągu dwóch lat spędzonych w pobliżu Karambola Juna nigdy nie była świadkiem tak idiotycznej sceny - osobnik przebrany za brudną i śmierdzącą ptasimi ekskrementami pannę młodą pieścił szczura, jakby to było jego własne dziecko.

Cala zrobiła krok w tył, przestraszona absurdalnością tego, co zobaczyła. Juna uspokoiła ją, ściskając za ramię: jest przy niej, nie musi się niczego obawiać.

Nieznajomy zauważył ten gest i uśmiechnął się.

Pierwszy doszedł do siebie Drabo.

- Głupia smarkulo, nie wiesz nawet, kiedy szczur jest martwy, a kiedy nie - syknął z pogardą.

- Ale on był martwy - zaprotestowała zaskoczona Juna.

Czuła się równie zdziwiona, co upokorzona.

- Teraz już nie jest - powiedział łagodnie nieznajomy.

Cala rozplakala się. Całymi godzinami myślała o upieczonym mięsie szczura, całymi godzinami marzyła o tej chwili, kiedy wieczorem ugryzie swój kawałeczek mięsa, a wszyscy powiedzą, że ona i Juna są naprawdę dzielne, dwie prawdziwe łowczynie, i wszyscy będą zadowoleni, a upieczone mięso będzie chrupać w momencie ugryzienia...

- Juna go zabiła - przekonywała Cala. - Zjedlibyśmy go sobie wieczorem - dodała zasmuconą łamiącym się głosem na myśl o tym, że nici z ich małej, skromnej uczy. Juna nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie wolno jeść niczego, co myśli - upomniał ją łagodnie nieznajomy.

Stwierdzenie było tak dziwaczne, że Cala aż przestała płakać.

Nieznajomy wstał, nie przestając się wciąż uśmiechać. Okazał się najpiękniejszym chłopcem, jakiego Juna kiedykolwiek widziała. Gdyby tylko nie był tak strasznie głupi i tak strasznie nie cuchnął! I miał coś do jedzenia. Z tym głupkowatym uśmiechem na twarzy wyglądał na jednego z tych, którzy jeśli mają coś do jedzenia, to pozwalają sobie to odebrać.

- Szczury myślą? - zapytał Drabo zdezorientowany.



Juna odpowiedziała nieokreślonym wzruszeniem ramion. Skoro myślał Karambol...

- Co to znaczy? - zapytał znów Drabo.

Juna wzruszyła ramionami w jeszcze bardziej niejasnym geście.

- Myślisz, że to elf? - zapytał znowu Drabo, zniżając głos.

Welon spadł z głowy nieznanego, odsłaniając jego jaśniutkie włosy i spiczaste uszy.

- Nie - odpowiedziała stanowczo Juna.

- Skąd masz pewność?

- Elfy to wprawdzie kanalie, ale powinny być też inteligentne - odpowiedziała szeptem Juna.

Nieznamy przyjrzał im się i jeszcze szerzej się uśmiechnął. Potem uklonił się i powiedział:

- Yorshkrunsquarkljolnerstrink.

- Na zdrowie - odparła grzecznie Juna, tak jak uczyła ją odpowiadać mama, kiedy ktoś kichnie.

- Na zdrowie i wam - powiedział nieznamy. - Możecie mnie nazywać Yorsh, jeśli chcecie. Szukam kogoś, kto pochodzi z wioski Astrid.

Cala i Drabo wyciągnęli ręce - jedno prawą, drugie lewą, jako że stali po obu stronach Juny - i oboje skierowali palce wskazujące na nią.

Oczy nieznanego zatrzymały się na dłoni Cali, przy której brakowało kciuka.

Przyglądał jej się długo, a potem wypowiedział najgłupsze z możliwych zdań:

- Brakuje ci kciuka!

Cala opuściła rękę, potem oczy, upokorzona i zawstydzona. Dolna warga znów zaczęła jej drżeć, wstrząsnęło ją kilka cichych szlochów. Juna spojrzała na obcego z nienawiścią. Zamarzyła, by być wystarczająco duża i wystarczająco silna, aby móc wymierzyć mu kilka policzków.

Nieznamy zbliżył się do Cali, ujął jej lewą dłoń w swoje dłonie, po czym trzymał ją długo, wpatrując się w pustkę. Cala była wystraszona, ale, o dziwo, nie ruszyła się z miejsca ani nie próbowała uwolnić dłoni. Również stała nieruchomo, ze wzrokiem zatopionym w błękitnie oczu nieznanego, które z kolei gubiły się w pustce. Nieznamy zaczął blednąć, aż w końcu zrobił się prawie biały, a całym jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Juna zaniepokoiła się, czy przypadkiem nie jest to jakaś zaraźliwa choroba, i podeszła, aby uwolnić Calę. Nie było jednak takiej potrzeby: duże, długie i delikatne dłonie nieznanego otworzyły się i brudna, okaleczona rączka Cali była znów wolna. Nie mając siły stać dłużej na nogach, Yorsh opadł bezwładnie na kolana, w błoto, a potem wypowiedział kolejne głupie zdanie:

- Z twoją ręką będzie wszystko w porządku, słyszysz? Dorośli nie mogą zdrowieć, ale dzieci tak.

Cała wciąż wpatrywała się w niego zafascynowana, a Juna była coraz bardziej wściekła. Jeszcze mocniej zamarzyła, by być wystarczająco duża, aby móc wymierzyć mu kilka policzków. Policzków i kopniaków.

Nieznajomy, klęcząc i z trudem łapiąc oddech, znów odwrócił się w stronę Juny.

- Wiedziałem, że jest tu dziecko, które pochodzi z Astrid - powiedział do niej triumfalnym tonem. - Ktoś zostawił ścieżkę z kamyczków, a to mogło zrobić tylko jakieś dziecko!

Dziecko? Drabo spojrział na Junę wzrokiem, jakim patrzy się na półgłówków, i Juna poczuła, że z całego serca nienawidzi nieznajomego.

- Kłaniam się, moja pani. Proszę, powiedz mi, co przytrafiło się waszej uroczej osadzie i dlaczego ty znajdujesz się teraz w tym miejscu i co w nim robisz?

Na słowa „moja pani” Juna obróciła się gwałtownie, spodziewając się ujrzeć za swoimi plecami Bekę. Kiedy upewniła się, że za nią nie ma nikogo i że w takim razie nieznajomy zwracał się właśnie do niej, złość i frustracja odczuwane z powodu tego błazna, Yorsha - mówił, że chyba tak się nazywa - który nie dość, że pozbawił ją nadziei na ciepłą kolację, to jeszcze drwił z niej i ją ośmieszał, sprawiły, że straciła i tak bardzo ograniczoną cierpliwość. Pochyliła się, aby podnieść kawałek gałęzi, i zagroziła nią odważnie nieznajomemu.

- Jestem od ciebie mniejsza, ale potrafię bić mocniej - poinformowała go. - I nie waż się więcej jej dotknąć - dodała, wskazując ruchem głowy Calę i nie spuszczać wzroku z nieznajomego.

Nieznajomy czuł się bardzo źle. Wciąż miał dreszcze i ciężko oddychał, a ponieważ nadal nie był w stanie ustać na nogach, Juna górowała nad nim z kijem w ręku.

- Wybacz mi, moja pani. Jeśli cię obraziłem, to niechcący! Mmm... Eksce... nie, głupe... nie, to też nie to...

Juna przybrała jeszcze bardziej złowrogi wyraz twarzy, a jej dłonie jeszcze mocniej zacisnęły się wokół gałęzi. Nieznajomy zrobił taką minę, jakby nagle coś sobie przypomniał.

Otworzył swoją torebkę z niebieskiego haftowanego aksamitu, którą nosił przewieszoną przez ramię, i wyciągnął z niej drewnianą łódeczkę oraz małą szmacianą lalkę, z włosami zrobionymi z owczej wełny farbowanej na czarno w łupinach z orzecha.

- Są twoje, prawda? - powiedział nieznajomy, podając je dziewczynce. - Znalazłem je w Astrid. Przyniosłem, żeby ci oddać!

Tym razem spojrzenie Draba pełne było kpiącego politowania. Juna, z jednej strony, pragnęła, aby nieznajomy zniknął, utopił się w bagnie; zapadł się w błocie, aby przyleciał

smok i zabrał go daleko stąd. Z drugiej strony, gdy spojrzała na swoją łódkę i na swoją lalkę, z

całych sił zapragnęła dotknąć ich jeszcze raz, chociaż przez chwilę. Jej umysł wypełniły wspomnienia taty, kiedy strugał kadłub łódki w kawałku bukowego drewna, oraz mamy, gdy wycinała ze swojej własnej spódnicy kawałek materiału na ubranko dla lalki. To było wszystko, co pozostało jej po rodzicach.

Wyciągnęła rękę i wzięła zabawki bez słowa.

- Co się wydarzyło w Astrid? - zapytał nieznajomy łagodnym głosem.

Juna obserwowała go nadąsana, a potem opuściła powoli gałąź.

- Została zniszczona - powiedziała jednym tchem.

- Dlaczego?

Juna milczała. Nie miała ochoty tego wspominać. Nie miała ochoty o tym mówić.

- Dlaczego? - powtórzył nieznajomy.

- E-go-izm - przesylabizowała od niechcenia Juna.

- A co to znaczy?

Nie odpowiedziała.

- Nie zapłacili należnych podatków - wyjaśnił Drabo, wtrącając się do rozmowy. - Nie chcieli zapłacić - wyjaśnił dokładniej, chłodno i wyniośle, kładąc nacisk na słowo „nie chcieli”, naśladując Bekę.

- Nie mogli! - zaprotestowała Juna, zrozpaczona. - Nie mogli ich zapłacić.

Nieznajomy przytaknął w zamyśleniu, potem znów zwrócił się do niej.

- Mieszkańcy wioski żyją?

Juna przytaknęła.

- A gdzie są?

- Uciekli na drugą stronę Gór Ciemności, za wodospad, i teraz żyją nad brzegiem morza. - Nie była to tajemnica. Żołnierze wiedzieli. Nie udali się nigdy na poszukiwania uciekinierów po prostu dlatego, że za bardzo bali się wodospadu.

- Czy znasz mężczyznę o imieniu Monser i kobietę o imieniu Sajra? - zapytał znów nieznajomy.

Cisza.

- Czy znasz mężczyznę o imieniu Monser i kobietę o imieniu Sajra? - powtórzył.

Cisza. Juna poczuła, jak wargi zaczynają jej drżeć, a oczy powoli wypełniają się łzami. Ścisnęła nerwowo swoją łódkę i swoją lalkę. Nawet Drabo nie ośmielił się nie zachować powagi.

- To byli moi rodzice, mój tata i moja mama - powiedziała powoli. Jeśli będzie głęboko oddychać i mówić powoli, to może uda jej się nie rozplakać.

- Byli? - dopytywał się nieznajomy.

Nie, nie uda jej się, nawet mówiąc powoli i biorąc głębokie wdechy. Juna rozplakała się.

- Powiesili ich - powiedział Drabo.

Nieznajomy zbladł.

- Dlaczego? - zapytał zdławionym głosem, gdy już zdołał go odzyskać po długiej chwili, kiedy nie mógł złapać oddechu. - Dlaczego?

Cisza!

- Egoizm - powiedziała Juna między kolejnymi szlochami. Nie mogła się uspokoić. -

I... - nie zdołała dokończyć.

- I...? - zachęcał ją nieznajomy.

- I oprócz tego, powiadają, że chronili elfa, ale ja wiem, że to nieprawda, to nie może być...

Juna nie zdołała skończyć zdania.

- Neeeeeeeeee! - krzyknął Yorsh. - Nie, nie, nie, nie! Oddali swoje życie, zginęli, osierocili cię, aby mnie uratować?!

Nieznajomy ukrył twarz w dłoniach. Klęczał na ziemi, skulony. Wstrząsały nim coraz gwałtowniejsze dreszcze, drżał niczym liść zimą na wietrze. Drabo uśmiechnął się triumfalnie.

- A nie mówiłem, że to elf?

Juna przestała płakać. Podniosła głowę i spojrzała w dół na popłakujące stworzenie, które klęczało u jej stóp. To naprawdę był elf? Ten elf? Ten, przez którego... Czy jej rodzice naprawdę zginęli i pozostawili ją sierotą, aby uratować to coś? To coś tutaj? To przez to coś ona została sierotą? To przez to coś nie zobaczy już mamy ani taty? Już nigdy więcej nie zje suszonych jabłek ani kuropatw z rusztu i nie prześpi się w swoim ciepłym łóżeczku, nie wypije rano ciepłego mleka z miodem? I to wszystko przez to nędzne stworzenie, które umiało tylko zadrwić z grupy głodnych dzieci i jednej okaleczonej rączki? To nie mogła być prawda, to niemożliwe. Gdy nieznajomy wymienił nazwę Astrid, Juna rozpoznała ubranie, które miał na sobie. Było okropnie wybrudzone, ale bez wątplenia była to suknia ślubna córki przywódcy wioski! Nawet jej mama wspólnie z innymi wyszywała z przodu literę M. Jej złość była jeszcze silniejsza niż ból, który odczuwała. Gołą stopą wymierzyła

Yorshowi leciutkiego kopniaka, on jednak był zbyt zrozpaczony, aby to zauważyć.

- Wynoś się stąd! - krzyknęła. - Wszystko, co powiedziałaś, to nieprawda. Wynoś się stąd! - Napluła na niego, ale Yorsh nawet nie drgnął. Zemdłał.

Juna nie zdążyła już pomyśleć o niczym innym, co mogłaby powiedzieć lub zrobić -

krzyk Beki za jej plecami uświadomił jej, że przerwa w pracy dawno się skończyła, w przeciwieństwie do jej kłopotów, które już nigdy nie miały się skończyć.

- To elf - krzyknął Drabo, wskazując na figurę leżącą bezwładnie u ich stóp.

Słowo „elf znów rozbrzmiało w powietrzu i dotarło aż do uszu żołnierzy. Poleciało kilka strzał. Juna, Cala i Drabo rzucili się na ziemię, zakrywając głowy rękami. Yorsh leżał

nieruchomo, ledwo oddychając. Nagle wzgórze, które widać było za Domem dla Sierot, poruszyło się. W trawie ukrywał się smok. Był bardzo blisko i był ogromny. Wszyscy w panice uciekli w różnych kierunkach - wszyscy z wyjątkiem ich trojga, którzy pozostali wyciągnięci na ziemi z rękami na głowie, niewiele widząc i nie wiedząc, co się dzieje.

Zorientowali się dopiero, gdy przeszył ich ciepły i cuchnący wiatr, a gdy podnieśli wzrok, okazało się, że zaglądamy wprost w gardziel smoka i wtedy też zrozumieli, że ów wiatr to oddech wydobywający się z paszczy o kłach długich jak całe ramię.

Na szczęście smok nawet na nich nie spojrzał, ponieważ starał się bezboleśnie chwycić kłami Yorsha.

- Juna! - zawołała Cala.

- Ciii. Teraz bądź cicho.

- Juna, posikałam się.

- To nic, właściwie to nawet dobry pomysł - wyszeptała, uspokajając ją, Juna -

będziesz mniej apetyczna. A teraz bądź cicho.

Smok jednak nie był nimi ani trochę zainteresowany. Wciąż zastanawiał się, jak przenieść Yorsha. Po kilku nieudanych próbach złapania go kłami zdecydował się chwycić go za pomocą szponów: tymi u lewej łapy przytrzymał elfa za kostki, a tymi u prawej - za nadgarstki. Następnie rozpostarł swe ogromne skrzydła w kolorze szmaragdu i powoli uniósł

się w górę.

Kiedy był już wysoko na niebie, ale naprawdę bardzo wysoko, kolejne strzały poleciały w jego stronę, lecz nie miały szans go dosięgnąć.

Juna pozostała na ziemi. Nie wiedziała, co dalej robić. Wreszcie Beka chwyciła ją za ramiona i zmusiła do wstania.

- Ty... - zaczęła zdławionym wściekłością głosem. - Ty... ty nędzna... przyjaciółko elfów... tak, właśnie tak, przyjaciółko elfów... tak samo jak twój ojciec i twoja matka, chwala Daligar za to, że skazali ich na śmierć... nędznych łajdaków... ale ja cię obserwowałam...

wiedziałam... to ty ich na nas ściągnęłaś... to twoja wina, prawda?

Juna nie próbowała nawet odpowiadać. Wiedziała, że w ten sposób tylko jeszcze bardziej rozwścieczyłaby Bekę, a tym samym zwiększyłaby siłę jej uderzeń. Próbowała się osłaniać, ale i tak czuła się już na tyle źle, że razy Beki były najmniejszym problemem. Jej mama i tata skazali siebie na śmierć, a ją na nieszczęśliwe życie z powodu jakiegoś marnego głupka. Marzenie, jakie towarzyszyło jej, odkąd jej życie i jej rodzina zostały zniszczone -

smok z ubranym na biało księciem na grzbiecie - urzeczywistniło się i oto jakiś elficki gbur w sukni ślubnej umorusanej ptasią kupą i różnymi innymi paskudztwami - jakimi, lepiej nie dociekać - zjawił się, aby jeszcze bardziej skomplikować jej i tak już wystarczająco skomplikowane życie.

Kiedy Beka wreszcie się uspokoiła, Juna była cała w sińcach. Przyszedł także Karambol i oboje naradzali się, co dalej. Postanowili, że Karambol sam pojedzie do Daligar, aby poprosić o posiłki konieczne do przewiezienia do miasta małej czarownicy.

- ...tak, czarownicy - dodał zwrócony w stronę Juny - prawdziwej czarownicy. Tak właśnie nazywamy przyjaciółki elfów...

Miało mu to zająć pół dnia, ale nie mógł przecież ryzykować swego cennego życia, wioząc ją w pojedynkę. Smok i elf mogliby znów zaatakować. Teraz z pewnością zaatakowali po to, aby ją uwolnić...

I dobrze, pomyślała gorzko Juna. Miała pojechać do Daligar, trafić do więziennej celi, a stamtąd prawdopodobnie na szubienicę, jak tylko osiągnie odpowiedni wiek - pod warunkiem że nie uznają, iż już go osiągnęła. I tak oto urzeczywistniała się również druga część jej marzenia: dzięki smokowi i księciu opuści Dom dla Sierot już na zawsze.

Pozwoliła się doprowadzić do jednej z wartowni, gdzie zakuto ją w łańcuchy. Dwóch łuczników miało jej strzec, czekając na przybycie dodatkowych posiłków. Juna przycupnęła w kącie, z głową schowaną między łokciami, ściskając w rękach łódkę i lalkę, podczas gdy w jej głowie ciągle wirowały te same myśli, niczym stado oszalałych kruków.

Mijała godzina za godziną. Od czasu do czasu oczy Juny zamykały się ze zmęczenia, ale pod powiekami nie rodził się żaden obraz z wyjątkiem otwartej małej lewej dłoni z pięcioma palcami. Wrócił Karambol. Towarzyszył mu cały garnizon. Przyszli, aby ją zabrać.

Zdjęli łańcuchy i kazali założyć inne, lżejsze, odpowiednie na podróż. Potem posadzili ją na osła. Pierwszy raz miała jechać na grzbiecie osła, była jednak zbyt zrozpaczona, aby się tym przejąć. To

był smutny i mglisty dzień, o wyblakłych jesiennych kolorach.

Pozostałe sieroty stały w ciszy na polanie przed starą owczarnią. Jedna ręka podniosła się w geście pożegnania i pozostała tak w górze, otwarta, z wszystkimi pięcioma palcami.

Beka warknęła coś, ale rączka pozostała uparcie podniesiona i wreszcie Juna zorientowała się, że nie był to zwykły gest pożegnania: to Cala pokazywała jej swoją lewą rękę z wszystkimi pięcioma palcami.

Również z kciukiem, tym, który dwa lata temu ucięła jej siekiera.

Juna przyjrzała się obu dłoniom Cali trzymanym razem w górze. Zabrakło jej tchu, przez chwilę zamglili jej się wzrok. Wreszcie zrozumiała: na jej drodze stanęła niewyobrażalnie silna i dobra istota, a ona zdobyła się tylko na to, by wymierzyć jej kopniaka i opluć ją! Wpatrywała się w Calę, dopóki dziewczynka była w zasięgu jej wzroku, podczas gdy osioł oddalał się, eskortowany przez garnizon żołnierzy na tyle liczny, że spokojnie mógłby stawić czoło całej armii trolli.

Yorsh był zrozpaczony. Zachował się jak głupiec, ostatni głupiec. Na samą myśl o swojej głupocie robiło mu się niedobrze. Była bezgraniczna, kosmiczna, gigantyczna, ogromna, nieskończona, wielka jak góry i bezkresna jak ocean. Nieuleczalna. Nieodwracalna.

- Zgoda, zachowałeś się trochę głupiutko, ale to jeszcze nie koniec. Koniec to śmierć, a wczoraj przecież nikt nie umarł...

Słowa smoka zagubiły się w wietrze, który wiał gwałtownie od strony wzburzonego morza.

Yorsh był zbyt słaby, aby móc robić cokolwiek innego niż leżeć na ziemi skulony, trzęsąc się jak liść, którym targa wiatr w czasie burzy, podczas gdy nieznośny ból niczym rozżarzone ostrze noża przesywał mu kciuki obu dłoni. Paliła go gorączka: lodowaty wiatr przynosił ulgę rozpalonej skórze. Elf leżał na mokrej trawie, z dłońmi zanurzonymi w małej kałuży z lodowatą wodą, która zebrała się po wielu dniach deszczu między skałami przed jaskinią.

To oczywiste, że dziewczynka musiała być ich dzieckiem, córką Monsera i Sajry: miała rysy twarzy matki i ciemną skórę ojca; sam powinien był zdać sobie z tego sprawę.

Była szlachetna i odważna, jak rodzice. Ani na chwilę nie przestała się troszczyć o mniejszą dziewczynkę. Szkoda, że, podobnie jak jej matka i ojciec, momentalnie wpadała we wściekłość, i na dodatek, tak samo jak oni, z równie niezrozumiałych powodów! Yorsh sam powinien był się zorientować, że mała jest zrozpaczona, niedożywiona, biedna, strudzona ciężką pracą, i przede wszystkim powinien był ochronić ją i zabrać w bezpieczne miejsce, a nie pozostawić tam, gdzie była, i to po sprowadzeniu na nią śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Tyle że ból drugiej dziewczynki, tej mniejszej, która miała okaleczoną rączkę, podziałał na niego jak silne uderzenie kamieniem i dlatego elf nie od razu zdał sobie sprawę z logicznej kolejności, w jakiej należało wszystko wykonać: najpierw zabrać dzieci w lepsze miejsce, potem uleczyć ich rany, zaradzić ich bólom i rozwiać ich smutki.

Smok przytaknął z przekonaniem, nadgryzając jednocześnie trzeciego głuszca, którego trzymał nadzianego na ruszt z gałęzi wierzby i rumienił nad ogniem, a smakowite zapachy palonych gałązek rozmarynu i sosen mieszały się z zapachem opiekanego mięsa.

- Jak możesz to jeść? - zapytał płacząco elf.

- Gryzę przednimi kłami i przeżuwam tylnymi - odpowiedział uprzejmie smok. - Kontynuujmy opowiadanie: dlaczego zemdlałeś?

- Przywrócenie dziewczynce kciuka dużo mnie kosztowało. Powinienem był wiedzieć, że tak będzie, powinienem sobie przypomnieć, jak okropnie wyczerpujące było uleczenie twojej rany, i pomnożyć to nieskończoną liczbę razy. Mogłem przewidzieć, że uniemożliwi mi to działanie, i domyślić się, że to nie jest właściwy moment na takie rzeczy. Ale najgorsze nastąpiło potem: kiedy dowiedziałem się, że oni zginęli przeze mnie... przeze mnie... - Oczy Yorsha błędnymi w pustce. - To wszystko jest



takie... takie... - brakowało mu słów.

- Niemądre, komiczne, śmieszne? - zasugerował Erbrow Młodszy, zabierając się za czwartego głuszca. Zaczął nawet chichotać. Wściekłość opanowała Yorsha do tego stopnia, że aż poczuł się lepiej.

- Jak śmiesz?... Jak możesz?... - zaplątał się, szukając słów na tyle ostrych, aby uraziły smoka równie mocno, jak on czuł się urażony. - Głupia, nieczuła bestio, synu jeszcze głupszej, jeszcze bardziej nieczulej bezmyślnej bestii, a do tego uwielbiającej słuchać idiotycznych bajek. Jak możesz się śmiać! Ta cudowna dziewczynka jest zrozpaczona i osierocona, bo... bo ja... bo oni... uratowali mnie!

Smok nie wyglądał na poruszonego. Zadowolony, zanurzył kły w swoim piątym głuszcu.

- Śmieję się z ciebie, nie z niej. Ta cudowna dziewczynka jest zrozpaczona i osierocona nie przez ciebie, ale przez bandytów, którzy zacisnęli pętlę na szyi jej rodziców, a jakby tego było jeszcze mało, zamknęli ją w miejscu, w porównaniu z którym fosa wypełniona węzami to prawdziwy luksus. My odpowiadamy za nasze działania. Tylko za nasze. Marsio i Silla, czy jak im tam było, postanowili cię uratować i mieli do tego prawo.

Taki był ich wybór. Poza tym gdyby nie ty, może nigdy nie zostaliby parą i ich cudownej dziewczynki nie byłoby w ogóle na świecie. Ale nie o to tu chodzi. Pamiętasz historię karłów w czasach drugiej dynastii runicznej? Najpierw prześladowano ich za to, że nosili brody, a potem za to, że przestali je nosić. Tak naprawdę ludzie chcieli po prostu zagarnąć ich kopalnie. Wyruszali odkrywać wschodnie wybrzeża i potrzebowali srebra na budowę statków.

Smok przerwał, żeby przełknąć szóstego głuszca, potem kontynuował:

- Ten, kto rządzi w Daligar, chce mieć głupich i biednych poddanych, a ci dwoje ani nie byli głupi, ani nie mieli zamiaru być biedni. Jeśli nie przez ciebie, to z jakiegoś innego powodu i tak by ich zgładzono. Pomyśl raczej, że zawdzięczasz im życie, więc ciesz się z niego i go używaj. Przestań się miotać jak głuszc, który stracił swój ogon, rusz zadek i ratuj dziewczynkę - jak ona się nazywa?

- Juna, ta druga, mniejsza, nazywała ją Juna.

- Juna? Ludzie najwidoczniej mają talent do nadawania imion, które kompletnie nic nie znaczą. Nie rozumieją, że imię to ważna rzecz. Jaki jest plan? Jak wrócimy, aby ją zabrać?

Yorsh naprawdę zaczynał czuć się lepiej.

- Wybierzemy się tam nocą. Ciemną nocą, kiedy na niebie nie będzie świecił księżyc.

Jak dzisiaj. - Yorsh zorientował się, że z każdą chwilą przybywa mu sił. Jeszcze nie wszystko stracone. Smok miał rację. - Wrócimy tam jeszcze tej nocy. Wyruszamy natychmiast -

powiedział zdecydowany.

- Tylko dokończę podwieczorek - westchnął smok. Był właśnie przy siódmym głuszcu, na

wierzbowym ruszcie tkwiło ich dwadzieścia jeden. - Tutaj nigdy nie można spokojnie dokończyć posiłku.

Yorsh połknął kilka złotych groszków i pozbiierał swoje rzeczy: łuk i strzały elfickie -

bo, jak mówił Erbrow, „nigdy nic nie wiadomo” - wysłużoną torbę z haftowanego niebieskiego aksamitu, w której znajdowały się należąca do jego mamy książka z wierszami i bączek z czasów dzieciństwa, którym przed nim bawili się jako dzieci jego rodzice.

- Tak, myślę, że to nasz najważniejszy bagaż, jeśli zaatakują nas strzelcy, zawsze będziesz mógł im przeczytać jakiś wiersz i dać im bączka, żeby się pobawili - skomentował

nie bez ironii Erbrow.

Yorsh nie odpowiedział. Wolne miejsce w torbie wypełnił złotymi groszkami, aby przynajmniej jeden z problemów dzieci - głód - został błyskawicznie rozwiązany.

Jego ubranie nadal śmierdziało ptasimi ekskrementami, chociaż noc spędzona na wietrze i w deszczu sprawiła, że ich zapach był nieco mniej wyczuwalny. Elf coraz bardziej nie mógł oprzeć się wrażeniu, że z jego strojem jest coś nie tak. Nie mając żadnej alternatywy, ograniczył się do wprowadzenia kilku zmian. Ściągnął wierzchnią warstwę sukni, tę, na której były hafty i obrazeczki utworzone z dziurek nazywanych koronką, urwał

bufiaste rękawy krępujące mu ruchy i skrócił dół sukni do kostek, tak aby nie musiał motać jej w pasie. W rezultacie miał teraz na sobie coś w rodzaju habitu, w nieokreślonym szarym kolorze o prawie znośnym zapachu, trochę przypominającego stroje alchemików i starodawnych mędrców.

Z każdym dniem smok stawał się coraz większy - osiągnął już niemal rozmiary Erbrowa Starszego, a jego rozpostarte skrzydła były większe niż polana, na której znajdowały się skały i mała kałuża. Wziął chłopca na swój grzbiet, między skrzydła, a potem uniósł się pewnie, pośród wiatru i burzy. W całkowitych ciemnościach nocy, w ścianach padającego deszczu, najpierw stracili orientację, potem pokłócili się, chcąc ustalić, w którą stronę należy lecieć, następnie znów zabłądzili, a na koniec od nowa się pokłócili, chcąc ustalić z czyjej winy zabłądzili poprzednim razem. Wreszcie, kiedy miało już świtać, zrobiło się jaśniej.

Błady cień mokrych wzgórz wyłonił się z ciemności i na wpół zawałona owczarnia z jej srogo wyglądającym ogrodzeniem pojawiła się na horyzoncie. Yorsh nie zmókł, ale skrzydła Erbrowa były tak nasiąknięte wodą, że prawie nie mógł już lecieć. Wylądowawszy za małym lasem, na skraju sławnej polany, na której Yorsh popisał się ożywieniem szczura, obaj zastanowili się, co dalej. Elf czytał dużo o taktyce oraz strategii militarnej i z nieskrywaną dumą zaczął objaśniać swoje dwa plany działania: główny i awaryjny. Pomysł był taki, aby...

jakby to powiedzieć... mniej rzucający się w oczy z nich dwóch, to znaczy Yorsh, przedostał

się po cichu do starej owczarni, podczas gdy Erbrow pełniłby wartę z tyłu, zabezpieczając drogę ucieczki, gotowy do udaremnienia jakichkolwiek manewrów osaczających...

W tym momencie gęsi zaczęły trzepotać skrzydłami. W szarym świetle błota i deszczu, w kurniku Karambola i Beki, przed ich uroczym, porośniętym winoroślą domkiem z drewna i kamienia, stały cztery gęsi. Ich białe jak śnieg skrzydła odbijały się w kałuży, która podwajała ich liczbę. Gdy tylko Yorsh podszedł bliżej, ptaki zaczęły wydawać z siebie najgłośniejsze dźwięki, jakie kiedykolwiek słyszał. Młody elf przypomniał sobie, że starodawni królowie trzymali przy swych pałacach gęsi, aby, niczym strażnicy, ostrzegały ich przed intruzami, złodziejami oraz najeźdźcami. Teraz pojął, jak mądre było to posunięcie.

Beka i Karambol wyszli natychmiast na podwórze w samej bieliźnie, natomiast żołnierze wybiegli ze swoich wartowni uzbrojeni, trzymając w rękach łuki gotowe do strzału. Przez kilka chwil wszyscy spoglądali po sobie, a potem do akcji wkroczył smok. Otworzył paszczę, wydał z siebie przerażający ryk i długa wiązka ognia przecięła w deszczu powietrze. Powstała w związku z tym chmura pary zasłoniła wszystkich, którzy rzucili się do ucieczki: z Beką na czele, żołnierzami potykającymi się o swoje uzbrojenie tuż za nią i Karambolem z ogromnym siedzeniem odzianym w gatki o delikatnym groszkowozielonym odcieniu na końcu.

Pozostały tylko dzieci, zamknięte nadal w brudnej sali sypialnej.

- Jak brzmiał ten plan awaryjny? - spytał uprzejmie smok.

Wystarczyło, że Yorsh pomyślał i - klik - kłódka sama ustąpiła.

Drzwi się otworzyły. Kilkanaścioro przerażonych dzieci tłoczyło się w kącie i spoglądało na Yorsha, a przede wszystkim na wielki cień Erbrowa po drugiej stronie drzwi.

- Posikałem się - wyszeptało płaczkliwym głosem jedno z najmniejszych dzieci.

- Dobrze, to dobry pomysł - pocieszyła je Cala. - Tak jesteś mniej apetyczny.

- Nazywam się Yorsh - przedstawił się elf.

Miał już dosyć słuchania, jak w odpowiedzi na dźwięk jego pełnego imienia wszyscy mówią „na zdrowie”, i postanowił ograniczyć się do zdrobnienia.

Dzieci nadal tłoczyły się przerażone w kącie. Popłakiwały coraz bardziej piskliwymi głosikami.

- Zrób coś, żeby je uspokoić - powiedział do smoka elf.

Erbrow zmieszał się, wymamrotał coś pod nosem, szukając wśród swoich różnych wspomnień jakiegoś pomysłu, a potem jego paszcza wykrzywiła się przy próbie uśmiechu, odsłaniając dolno-środkowe i tylnoboczne kły, w następstwie czego pełne przerażenia kwilenie dzieci stało się wyższe o kolejny ton.

- Postaraj się bardziej! - jęknął Yorsh.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy: ukazały się tylnodolne kły, które oprócz tego, że dłuższe, były także bardziej zakrzywione. Wiele dzieci rzuciło się na ziemię, błagając, aby ich nie zjadano.

- Doprawdy, co za nonsens! Smoki nigdy nie jedzą ludzi! - powiedział Yorsh poirytowany. Zorientował się już, że wśród dzieci nie ma Juny. Musiał dość szybko kogoś uspokoić na tyle, żeby móc, dowiedzieć się, co się z nią stało.

Hałas był coraz większy. Jęki przeplatały się z błaganiami o litość. Dzieci prosiły Erbrowa, aby ich nie jadł, a jego - straszego elfa, aby nie zabijał ich swoim gniewem.

Yorsh nie wiedział, co robić. Wszystko, co przychodziło mu do głowy - krzyki, machanie rękami, podpalanie myślami małej pochodni zawieszanej w pobliżu wejścia - tylko jeszcze bardziej przerażało dzieci.

Wreszcie lament i płacz zagłuszył ryk smoka, a światło płomienia rozświetliło ciemność. Powietrze wypełnił zapach trochę przypieczonego, a trochę spalonego mięsa.

Zapadła nagła i całkowita cisza.

- Kto chce trochę pieczonej gęsi? - spytał smok. - Taka piękna tłusciutka gęś, a wy jesteście wychudzeni i mizerni. Czy naprawdę myślicie, że mając do dyspozycji cały kurnik, skusiłbym się na takie chodzące kupki samych kości i wszy? Hej, wy dwaj, ci więksi -

powiedział, zwracając się do Draba i Ospa - jeden z was pójdzie poszukać trochę rozmarynu, a drugi gałęzi wierzby lub sosny i nadziejemy na ruszt resztę kurnika.

Nie zdążył nawet dokończyć - dzieci rzuciły się na zewnątrz, w stronę ogrodu, skąd dochodził jedyny w swoim rodzaju zapach czegoś ciepłego, w czym można zatopić zęby i poczuć, jak napęnia się tym żołądek, przepędzając jednocześnie głód, strach, tęsknotę i smutek, które nieodmiennie goszczą w pustych żołądkach.

- Jediną rzeczą silniejszą od strachu jest głód - wyjaśnił pośpiesznie smok. - Dotyczy to psów, kotów, ludzi, ryb, smoków i trolli; nie znam wystarczająco dobrze elfów, aby w tej kwestii się o nich wypowiadać.

Cała pozostała w środku. Zbliżyła się do Yorsha, westchnęła i przełknęła łzy. Yorsh ukląkł przy niej tak, aby jego twarz znalazła się na wysokości twarzy dziewczynki.

- Dokąd zabrali Junę? - zapytał łagodnym głosem.

Cała uspokoiła się, przełknęła jeszcze raz, a potem zdołała przemówić:

- Do Daligar, zabrali ją do Daligar. Słyszałam, jak Beka i Karambol mówili. Zabrali ją w miejsce, które nazywa się „lochy starego pałacu”.

- Wiem, gdzie to jest - odezwał się Yorsh. - Byłem tam jako dziecko.

Cała jeszcze raz przełknęła łzy.

- Powiedzieli... powiedzieli... Myślę, że zrobią jej coś złego... Beka ją zabiła... bardzo.

- Nie bój się. Już po nią idę. Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Yorsh powtórzył to jeszcze kilka razy - nie tylko po to, aby uspokoić Calę, ale także samego siebie. Oczywiście, że wszystko będzie dobrze.

Cała przytaknęła. Do oczu napłynęły jej łzy, ale udało jej się nie rozplakać.

Yorsh odwrócił się, chcąc odejść. Był już w drzwiach, kiedy dziewczynka jeszcze coś wymamrotała.

- Słucham? - spytał, odwracając się do niej.

Cała podniosła nieśmiało otwartą lewą rączkę i znów wzięła głęboki wdech.

- Dziękuję za moją rękę - powiedziała.

Tym razem zrozumiał.

Przez te kilka chwil, które Yorsh spędził z Calą, Erbrow Młodszy zdążył się już zająć dziećmi. Mniejsze umieścił bezpiecznie w domku ozdobionym gąskami i serduszkami, w którym Beka i Karambol pozostawili drzwi szeroko otwarte, a większe, pomimo padającego deszczu, pomagały mu zrobić olbrzymi ruszt. W domu Hien dzieci znalazły prawdziwy chleb z prawdziwego zboża i coś żółtego o bardzo specyficznym zapachu, co nazywały piwem.

Wszędzie unosiły się pióra gęsi i kur. Yorsh spojrzał z przerażeniem na biedne stworzenia, którym zamierzali właśnie skrócić kark.

- Może ktoś chce trochę złotych groszków? - spytał.

Nikt mu nawet nie odpowiedział.

- To prawda, że czasem zjadacie ludzi? - dopytywało się jedno z mniejszych dzieci.

- Tylko w wyjątkowych przypadkach - odparł wyniośle smok. - Ich smak nie należy do najlepszych, a dodatkową komplikacją są buty...

- Mógłbyś zjeść Karambola? - zapytał malec głosem pełnym nadziei.

- To ten z siedzeniem w jasnym groszkowozielonym kolorze? - spytał smok, lekko zainteresowany.

- Smoki nie jedzą ludzi. Smoki nigdy nie jedzą ludzi. NIGDY! - krzyknął Yorsh, już trochę poirytowany.

Przynajmniej zdołał ich na chwilę uciszyć.

- Idę do Daligar odzyskać Junę - powiedział do smoka.

- Daligar to jest to sympatyczne miejsce, gdzie żołnierze strzelają z łuku? Nie obrazisz się, jeśli

zostanę tutaj, aby bronić dzieci? Może im tu grozić niebezpieczeństwo. Sam nie wiem.. nie chciałbym, żeby zaatakowały je gęsi... - smok zaczął się wahać.

Yorsh zastanowił się nad tym.

- Tak, to dobry pomysł. Zostań tu i broń dzieci. Żołnierze albo tych dwoje okropnych ludzi, którym je - że tak powiem - powierzono, mogą tu wrócić. - Odezwał się do dzieci: -

Kiedy wrócę, kto zechce, poleci z nami aż nad morze, na drugą stronę Gór Ciemności.

Wreszcie Yorsh wiedział, co ma robić: musi odzyskać Junę, a potem zabrać wszystkich w bezpieczne miejsce nad morzem.

- Nad morzem są muszle, które może myślą i piszą wiersze, ale można je jeść -

powiedział, cytując Monsera, myśliwego.

Cala zaczęła się śmiać.

- Juna też tak mówiła, a jej powiedział to tata.

- No tak. Ile zajmie mi podróż do Daligar? Jeden dzień?

- Na piechotę chyba tak - odpowiedziała Cala. - Ale tu jest koniec. Ostatnim razem, kiedy Karambol pojechał do Daligar, wrócił na koniu. Stoi uwiązany przy szopie, po drugiej stronie domu.

- A zatem wezmę konia i lepiej się pospieszę, zanim on też skończy w rozmarynie -

powiedział Yorsh, po raz ostatni spoglądając na smoka i zgraję wygłodniałych dzieci. - Ty też idź... idź zjeść swój kawałek mięsa.

- Nawet jeśli myślało?

Yorsh przełknął szybko ślinę, aby zmniejszyć uczucie mdłości, o które przyprawiał go zapach mięsa pieczonego na ogniu. Popatrzył na zapadnięte policzki dziewczynki, na duże sińce pod oczami oraz potwornie chude nogi i pomyślał, że gęsi i kury zamienią się teraz w siłę, krew i ciało.

- Tak - powiedział przekonany - nawet jeśli myślało. Cala uśmiechnęła się do niego i pobiegła szczęśliwa.

Yorsh poszedł po konia. Był to wspaniały gniady wierzchowiec o dużych orzechowo brązowych oczach. Elf położył mu dłoń na czole i poczuł pod palcami jego miękką sierść; fala doznań przemknęła przez umysł zwierzęcia: tęsknota za matką, kiedy był jeszcze źrebakiem, strach przed siodłem i uprzężą, pretensja za długą podróż z Daligar pod wielkim siedzeniem tego okropnego typu, bijącego go pejcem, wielka ochota, aby dać mu parę kopniaków.

- W porządku - szepnął Yorsh. - Żadnego siodła i żadnej uprzęży. My, elfy, ich nie potrzebujemy.

Koń spojrzał mu w oczy i zrozumiał. Myśli elfa stały się teraz także jego myślami.

Yorsh wskoczył na grzbiet i natychmiast ruszyli. Elf poczuł się tak, jakby stał się jednością z jego siłą i prędkością; to było najpiękniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznał, nie licząc lotu na grzbiecie Erbrowa.

Pomimo padającego deszczu w świetle poranka łatwo było odnaleźć kierunek. Przed południem jego oczom ukazały się złowieszcze mury Daligar.

Zbudowane z gołego kamienia więzienie było o wiele zimniejsze niż Dom dla Sierot, poza tym nie znajdowały się w nim inne dzieci, a cieplej robi się tylko wtedy, kiedy wszyscy razem oddychają w małym pomieszczeniu. Było za to bardziej sucho, słoma, na której się spało, wydawała się wygodniejsza i dawano więcej do jedzenia. Poza tym żadnej pracy do wykonania. Gdyby nie słowo „powiesić”, które rozbrzmiewało co jakiś czas tu i ówdzie, pobyt w więzieniu byłby dla Juny niczym prawdziwe wakacje.

Siedziała tam zamknięta od poprzedniego wieczoru. Tuż po jej przybyciu zerwał się lodowaty wiatr i zaczął padać ulewny deszcz. Nic nie wskazywało na to, aby miał ustąpić.

Juna zastanawiała się, czy ta paskudna pogoda powstrzyma jej księcia, czy też mimo wszystko po nią przybędzie. Teraz wiedziała, że księżę i smok to nie tylko twory jej wyobraźni - obaj istnieją naprawdę. Smok jest ogromny, a księżę to elf, któremu jej rodzice, gdy był jeszcze dzieckiem, uratowali życie! Księżę na pewno już jej szukał. Zastanawiała się tylko, której ze swoich mocy użyje, aby ją odnaleźć: może powali mury, trąbiąc na trąbce, albo przeniknie przez nie niczym zjawą, albo przyleci na smoku i każe mu zniszczyć dach, zrzucając na niego kamienie. Albo...

Marzenia stawały się prawdą. Odkąd pod jej powiekami zaczęły tworzyć się obrazy, Juna zastanawiała się, czy mogły mieć jakiś sens, czy to tylko zwykła, bezsensowna i mająca ją pocieszyć niedorzeczność, coś niegroźnego, co wypełnia zniszczone życie złożone z zimna, tęsknoty i głodu. Teraz wiedziała, że to, o czym marzyła, dzieje się naprawdę. Nie do końca tak samo jak w jej marzeniach, ale dzieje się. Księżę istnieje i ma smoka u swego boku, mimo teorii, która głosiła, że smoki wyginęły tak samo jak dobrzy księżęta. Księżę istnieje i jest dobry, może trochę trudno było go zrozumieć, ale bez wątplenia jest dzielną osobą i kochał

swojego tatę i swoją mamę. Fakt, że miał dług wdzięczności wobec jej rodziny, zwiększał

szansę na to, że... że pomimo, iż wymierzyła mu parę kopniaków i na niego napluła, on nie potraktuje tego zbyt poważnie.

Zjawili się dwaj strażnicy więzienni: Lebiód, mały i chuderlawy, oraz Obal, duży, gruby, z czerwoną twarzą, wiecznie szukający okazji do wypicia kufła piwa. Ci mężczyźni w średnim wieku, prawdopodobnie ojcowie rodzin, nie byli dla niej bardzo źli, właściwie to byli nawet bardzo uprzejmi, z pewnością o wiele miłsi niż Beka i Karambol. Pozwolili jej nawet zatrzymać lalkę i małą łódkę, przynieśli też kocyk, którym mogła się przykryć w nocy.

Teraz byli wystraszeni i zdenerwowani: Zarządca we własnej osobie schodził właśnie do lochów, aby z nią porozmawiać. Było to wydarzenie absolutnie nadzwyczajne - coś takiego nie zdarzyło się od niepamiętnych czasów. Dwaj strażnicy biegali w kółko z prędkością błyskawicy, rozpaczliwie starając się zaprowadzić odrobinę porządku w miejscu zarośniętym wieloletnim brudem. Śmiesznie długi czas poświęcili na dyskusję o tym, czy pozostawić, czy też zabrać Junie koc i zabawki: w pierwszym wypadku wyglądałoby na to, że dba się o skazańców, w drugim - że za bardzo się im nie pობlża. Wreszcie postanowili zostawić jej wszystko, nakazując, by ukryła zabawki pod kocem w



najciemniejszym kącie celi. Zapalili pochodnie, których nie używano przez całe lata i które już częściowo zamokły i spleśniały. Ta operacja również zajęła im wyjątkowo dużo czasu, a kiedy już dobiegła końca, lochy wypełniły się dokuczliwym i gryzącym dymem o dziwnym żółtawym kolorze.

W świetle pochodni stopy siana porozrzucane po kątach i duże biegające po nich szczury wcale nie prezentowały się lepiej. Dwaj strażnicy starali się przynajmniej usunąć siano, tak aby zastępy szczurów też się przerzedziły, a całość zaczęła bardziej przypominać lochy pałacu o królewskich aspiracjach niż stajnię. Dyskusja o tym, który z nich lepiej nadaje się do tego, by usunąć siano, również za bardzo się przeciągnęła i dopiero gdy było już naprawdę późno, obaj zorientowali się, że najpilniejszą rzeczą, jaką należało zrobić, było wyniesienie pustych kuflów. Całe ich stopy leżały w pobliżu miejsca warty, stanowiąc niepodważalny dowód na to, że głównym zajęciem na służbie jest picie piwa. Wreszcie Obal, z rękami pełnymi słomy, i Lebiód, obładowany pustymi kuflami, pospieszili w stronę wyjścia. Niestety, dokładnie ten sam moment wybrał Zarządca na to, aby wejść do środka, i tak oto wszyscy zderzyli się ze sobą w drzwiach. Zarządca i Obal upadli na ziemię. Lebiód zdołał ustać na nogach, ale nie udało mu się utrzymać w rękach pustych kuflów, które z hukiem upadły na podłogę i potoczyły się w stronę dwójki leżącej na ziemi, a ponieważ Obal okazał

się wystarczająco sprytny, aby się usunąć, wszystko wylądowało na Zarządcy. W

przedostatnim kuflu, który na niego spadł, było jeszcze trochę piwa i ubranie Zarządcy zmieniło swój kolor z liliowobiałego, wpadającego w kość słoniową, na jedyny w swoim rodzaju żółtawy kolor piwa, a co za tym idzie, jego nastrój zmienił się z „naprawdę rozjuszonego” na „dajcie mi kogoś do uduszenia, i to jeszcze przed kolacją”.

Juna wybuchnęła śmiechem. Wiedziała, że nie powinna tego robić, a poza tym to wcale nie było takie zabawne: w końcu te trzy osoby przewróciły się i może nawet zrobiły sobie krzywdę, kiedy jednak napięcie jest duże i zbyt długo się nie śpi, popełnia się takie głupstwa jak wybuchanie nieznośnym i niekończącym się ostrym chichotem na widok kogoś, kto upada. Kiedy zdołała się opanować, miała przed sobą Zarządcę. Opierał się o kraty jej celi i był bardzo rozżłoszczony.

- To ty, nieprawdaz? To twoja sprawka! Wiem o tym - syknął. Zarządca był wysoki, szczupły, miał wąsy, brodę i włosy w kolorze srebra, które zjełczałe piwo zamieniło teraz w brzydko pachnącą żółtawą skorupę. - Rzuciłaś na nich urok i upadli, nieprawdaz? Wiem o tym! Przybyłaś tu tylko po to, aby mnie skompromitować i ośmieszyć, tak? Skompromitować mój urząd i moją osobę! Wiem o tym.

Juna zastanawiała się, czy to odpowiedni moment, aby spróbować odpowiedzieć i usprawiedliwić się; wyjaśnić, że ona nie potrafi nikogo z czarować, nigdy nie potrafiła i nigdy nie będzie tego umiała. Poza tym nie przyszła tu z własnej woli, ale została zaciągnięta i jeśli miałyby jakkolwiek moc, to użyłaby jej przede wszystkim po to, by otworzyć celę i zniknąć najszybciej jak to tylko możliwe, aby nie niepokoić nikogo swą obecnością. Zarządca znów jednak zaczął mówić, nie dając jej czasu na ewentualną odpowiedź.

- Wiesz z pewnością, kim jestem, nieprawdaz?

Juna wahała się przez moment. Ta jej połowa, w której przeważały duma i odwaga, chciała odpowiedzieć: mordercą moich rodziców, tym, który wydał na nich wyrok śmierci, żalonym, głupim

przestępcą, który sieje niesprawiedliwość i biedę tak jak świeczka światło.

Druga połowa, ta, która za wszelką cenę chciała podtrzymać życie, jakie podarowali jej rodzice, myślała o posłużeniu się jakimś bardziej oficjalnym zwrotem: „Jesteście panie Zarządcą” - i uzupełnieniu go ewentualnie jakimiś określeniami - „...wielmożnym...

dostojnym...”

I tym razem nie musiała jednak dokonywać wyboru, Zarządcą bowiem nie prowadził z nią dialogu, tylko wygłaszał monolog, ożywiany co jakiś czas przez pytania retoryczne. Jej odpowiedzi nie były przewidziane.

- Ja jestem tym, który przybył, aby zaprowadzić sprawiedliwość na tych ziemiach, wypłenić z nich zachłanność, chciwość i pychę. To zadanie zbyt poważne i zbyt szlachetne, by pozwalać sobie na litość. Wiem o tym! Niczym chirurg, który odważnie amputuje kończynę, kiedy atakuje ją gangrena, ja uzdrowię ciało tego nieszczęsnego i ukochanego hrabstwa. Wiesz, dlaczego ja, który reprezentuję hrabstwo Daligar, zniżyłem się do tego, by zejść tutaj i z tobą porozmawiać?

Tym razem Juna wcale się nie wysiliła, trzymając język za zębami, bo naprawdę nie miała pojęcia, jak brzmi odpowiedź na to pytanie.

- Ponieważ chcę, abyś zrozumiała. Wiem. Skazanie dziecka na śmierć może wydawać się okrucieństwem. Dlatego też nie zostaniesz powieszona publicznie, na rynku, jak twoi nieszczęśni i nic nieznaczący rodzice, ale tu, z dala od spojrzeń tych, którzy mogliby nie zrozumieć. Chcę jednak, abyś ty zrozumiała, bo inaczej w swojej nieszczęsnej i nic nieznaczącej główce mogłabyś oskarżyć moją wspaniałą osobę o niesprawiedliwość, nieprawdą? A to byłoby dla mnie nie do przyjęcia. Wiesz, że twój nędzny ojciec ośmielił się powiedzieć głośno, że jedyną rzeczą na świecie, jaka go interesuje - rozumiesz, bardziej niż Daligar i ja, wyobrażasz to sobie, bardziej niż *ja* - jest jego nieszczęsna i nic nieznacząca żona oraz jego jeszcze mniej znacząca i jeszcze bardziej nieszczęsna córka?

Juna była coraz bardziej zdezorientowana. Często myślała o Zarządcy i wyobrażała go sobie jako kogoś w rodzaju Pana Wszelkiego Zła, dumnego ze swego okrucieństwa; kogoś mniej więcej takiego jak ork, ale bardziej inteligentnego i cywilizowanego. Błąd. Zgadzała się tylko ta część o orku. Zarządcą, podobnie jak Beka i Karambol, był „dobry”, podczas gdy źli byli wszyscy inni, ci, którzy usiłowali zachować coś dla siebie, aby nakarmić własne dzieci; ci, którzy nie chcieli umrzeć z głodu ani skończyć jako pokarm dla psów w miejskich rynsztokach. Lud niewolników, prawie nieżywych z głodu, który nie kochałby niczego i nikogo i nie byłby w stanie o nic walczyć - oto cel jego rządów i praw. A dokładniej celem tym była gromada ludzi, którzy nie kochaliby niczego i nikogo oprócz niego, Zarządcy; ludzi, którzy naprawdę by go uwielbiali, którzy rzeczywiście by w niego wierzyli.

- Złapaliśmy twojego elfa! - poinformował ją Zarządcą z dziką dumą. - Sam dobrowolnie oddał się niedawno w ręce straży: wie, że jesteśmy niezwyciężeni, i nawet nie próbował walczyć. Wiem - to moment naszej chwały! Nieprawdą?

Dobrze. Oto jaką drogę wybrał książę, aby do niej dotrzeć. Poddał się. Plan prosty i genialny. Juna odetchnęła z ulgą. Na szczęście u Zarządcy w parze z okrucieństwem szła głupota. Najwidoczniej

uważał on za normalne, że chłopiec o niezwykłych mocach, który do tego jeździł na smoku, nie ma nic lepszego do zrobienia, jak uszczęśliwić jego, wyżej wspomnianego Zarządcę, poddając mu się dobrowolnie po to, by umożliwić mu następnie, bez dalszych komplikacji, jego powieszenie.

Juna nigdy wcześniej nie czuła się tak pewnie jak teraz. Książę przybywał, aby ją uratować. On na pewno wiedział, co zrobić i jak to zrobić.

Yorsh nie miał pojęcia, co zrobić ani jak to zrobić. Poddanie się żołnierzom przy bramie to jedyny pomysł, jaki przyszedł mu do głowy, nie był jednak do końca pewien, czy to mądre posunięcie.

Postanowił dokonać wymiany - poddał się bez walki w zamian za uwolnienie dziewczynki. Postąpił tak nie tylko dlatego, że był to winien Monserowi i Sajrze, ale również dlatego, że odkąd ją ujrzał, przestało mu zależeć na czymkolwiek innym. Poddanie się w zamian za dziewczynkę to jedyny pomysł, na jaki zdołał wpaść. Nie potrafił walczyć. Co innego mógł zrobić?

W zagmatwanych bajkach, które czytywał Erbrowowi Starszemu, podczas gdy ten wysiadywał swoje jajo, często zdarzało się, że ktoś zamieniał się na coś z kimś innym: ja dam ci teraz pół funta kabaczków i ćwierć kwarty fasoli, a kiedy urodzi się twoja córka będzie moja. Albo: jeśli przyniesiesz mi trzy pióra z ogona złotego sępa, dostaniesz połowę mego królestwa lub, do wyboru, siedem ósmych magicznego kobierca i pięć jedenastych kociołka dostatku. I wszyscy dotrzymywali danego słowa. Tak więc Yorsh nie wiedział, że czasem ktoś może nie dotrzymać umowy i w związku z tym należy pertraktować z silniejszej pozycji, zanim się z niej ustąpi. Powinien był najpierw zmusić ich do uwolnienia Juny, a dopiero potem się poddać. Tymczasem jemu - dopiero teraz to sobie uświadomił wydało się nieuprzejme zarówno podejrzewanie, że osoby, którym się poddał, mogłyby być niehonorowe, jak i zabezpieczenie się na taką właśnie ewentualność. A zatem poddanie się garnizonowi przy bramie, uzbrojonemu po zęby i mierzącemu do niego z łuku, nie było najsprytniejszym posunięciem. Powinien był zagrozić im odwetem ze strony smoka, bo prawdopodobnie nikomu nie przyszło do głowy, że go z nim nie ma, jednakże odwieczna nieumiejętność kłamania i zażenowanie na myśl o tym, że mógłby zostać przyłapany na kłamstwie, całkowicie go sparaliżowały. Teraz było już za późno. Poddał się i aktualny plan przewidywał stryczek dla wszystkich. Dla niego na rynku, dla Juny w czeluściach lochów.

Yorsh miał na sobie tyle łańcuchów, że z trudem mógł oddychać. Żołnierzy, którzy go otaczali, było tak wielu, że nie umiał ich policzyć. Jedyne, co go pocieszało, to fakt, że prowadzili go we właściwe miejsce: znajdował się w lochach pałacu Daligar, gdzie była też Juna. Prędzej czy później jakiś pomysł przyjdzie mu do głowy. O siebie w każdym razie za bardzo się nie martwił, wiedział, że jakoś sobie poradzi. Poza tym, jeśli stara przepowiednia dotyczyła jego przyszłości, to znaczy, że jakaś przyszłość była dla niego przewidziana. A on nie miał zamiaru uratować się tylko sam, nie zabierając ze sobą Juny.

Schodził coraz niżej, po coraz węższych i coraz bardziej stromych schodach, przechodził przez coraz niższe i coraz ciemniejsze korytarze, położone coraz głębiej pod ziemią, coraz dalej od światła dnia, aż wreszcie ściany rozszerzyły się i w blasku pochodni dostrzegł ubraną na biało i wydzielającą osobliwy zapach zjełczałego piwa figurę, którą rozpoznał jako Zarządcę.

Za nim, w ciemnościach, za kratami, ukryta była ledwo dostrzegalna drobna postać Juny.

Zarządca nie tracił czasu.

- Oczekiwałem cię, elfie - powiedział surowym tonem. - Przybyłeś tu w poszukiwaniu twej przyszłej

żony, nieprawdaż? Wiem o tym.

Yorsh zaniemówił. Skąd o tym wiedział? Oczywiście, Juna jest jeszcze prawie dzieckiem, a on jeszcze chłopcem, ale elfy wybierają swą przyszłą żonę bardzo młodo i już na zawsze. Za każdym razem, gdy myślał o Junie - o jej twarzy, czułości, odwadze, z jaką starała się obronić i pocieszyć młodszą dziewczynkę, tę bez kciuka - nie miał wątpliwości, że albo ona, albo żadna!

- Wiem o tym. Ja także potrafię odczytywać starodawne języki; ja także przeczytałem przepowiednię, zanim kazałem ją zniszczyć jak każdy inny napis, który kalał tutejsze mury.

Czytanie nie służy ludowi - nie żeby ktoś tutaj potrafił czytać! Przepowiednię napisał Arduin, wielki czarownik, Pan Światła, założyciel nowego miasta! Daligar było kiedyś miastem elfów, wiedziałeś o tym, nieprawdaż? Po tym jak podbili i zniszczyli je orkowie, Arduin odzyskał je i odbudował. Był kompletnie szalony - lubił elfy, choć przyznaję, że nie był też pozbawiony talentu wojskowego. Uwolnienie miasta od orków, gdy znajdowali się oni u szczytu swej potęgi, i odniesienie miażdżącego zwycięstwa na czele armii nawet w połowie nie tak silnej jak armia przeciwnika stanowiło - przyznaję - wyczyn dość brawurowy, dość odważny, a nawet dość sprytny, ale to nic w porównaniu z moimi osiągnięciami! To ja jestem prawdziwym założycielem Daligar, jego prawdziwym wybawcą. To ja wyzwalam Daligar od żądz, egoizmu, przywracam w nim cnotę i pokorę, okupuję jego winy moją sprawiedliwością i surowością. I upiększam je. Ja także jestem magiem, i to o wiele potężniejszym niż Arduin, który potrafił jedynie przepowiadać przyszłość i zniszczyć czar Cienia, za którego pomocą orkowie ujarzmiali świat. Ja uczyniłem więcej, nie zauważyłeś? Nie widziałeś mojego nadzwyczajnego cudu? Mego zwycięstwa?!

Cisza. Długa cisza. Yorsh zastanawiał się, czy ma coś powiedzieć. Zapewne tak, ale szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, czym był ów nadzwyczajny cud Zarządcy. Jedyne, co przyszło mu na myśl, to to, że Daligar wydało mu się miejscem nadzwyczajnie biednym i że istotnie swego rodzaju cudu wymagało doprowadzenie go do takiego stanu, biorąc pod uwagę, jak wspaniała była jego przeszłość.

Krępujące milczenie przedłużało się, aż wreszcie Zarządca znów przemówił.

- Kwiaty! - wybuchnął rozżłoszczony. - Wiecznie kwitnące glicynie, zapach jaśminu!

Oto mój cud. Pozwalając gnić ogromnym ilościom owoców i zboża, jakie przysyłają do nas z wiosek, uzyskuje się specjalny nawóz, który sprawia, że kwiaty cały czas kwitną, a zapachy są wyjątkowo intensywne. Czyż to nie nadzwyczajne? To naprawdę niezwykle, nieprawdaż?

Yorsh z fascynacją wpatrywał się w Zarządcę. On był obłąkany; kompletnie i nadzwyczajnie szalony. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Yorsh nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego liczni i uzbrojeni żołnierze wciąż stali na baczność przed tym szaleńcem, zamiast wziąć go za rękę i uprzejmie, aczkolwiek stanowczo, odprowadzić w jakieś miejsce, gdzie jego szaleństwo mogłoby zostać uleczone albo przynajmniej unieszkodliwione.

- Musiałem także kazać zburzyć stary pałac Arduina - były w nim same łuki, te nedorzeczne łuki i kolumny, na zmianę z tymi nedorzecznymi zielnikami, otaczającymi absurdalne drzewa cedrowe.

Wszystko stare. Arduin budował tak samo jak dynastie runiczne, albo jeszcze gorzej, jak elfy. Ja, Zarządca, kazałem zburzyć prawie wszystko, pozostały tylko krużganki, tak by wreszcie nastąpiło „nowe”; aby nadeszła Era, jakiej jeszcze nie było, której symbolem jest właśnie mój pałac.

Zaległa cisza. Zarządca dumał nad swoją wspaniałością.

- Arduin - zaczął znowu - zanim umarł, zapisał swoją przepowiednię: ostatni elf pojmie za żonę dziewczynkę, jego dziedziczkę, spadkobierczynię samego Arduina.

Dziewczynka będzie obdarzona, podobnie jak jej przodek, mocą jasnowidzenia, a w jej imieniu będzie światło poranka; będzie córką mężczyzny i kobiety, którzy tego elfa... i tutaj brakowało słowa, które zmasały czas i niepogoda, a które - jak się domyśliłem - brzmiało

„nienawidzili”. Kiedy doniesiono mi, że dostałeś się do mojego ogrodu i zobaczyłeś mą uroczą córkę Aurorę, zrozumiałem, że wrócisz, aby ją porwać, i że wtedy będę musiał i będę mógł cię zniszczyć.

Aurora? Córka zarządcy? Córka Zarządcy nazywała się Aurora! To wcielenie niezyczliwości, arogancji i despotyzmu miało w swoim imieniu światło poranka?

- Moja córka Aurora. W jej imieniu - światło poranka. Wychowałem ją na absolutny ideał. Jest doskonała. Gra na lutni, czyta stare poematy i śpiewa, kiedy buja się na huśtawce, tak jak dawniej księżniczki w nieistniejących już dziś królestwach. Tak przynajmniej przedstawiają je obrazki na pergaminach. Tak więc nie było jej wolno niczego - mojej Aurorze, odkąd osiągnęła dojrzały wiek - mogła jedynie grać na lutni i śpiewać, kołysząc się pośród kwiatów, gdyż dla dziewczynki to właśnie jest ideał...

Lutnia, śpiewy, huśtawka i kwiatki od rana do wieczora, dzień po dniu. Yorsh poczuł

odrobinę sympatii dla biednej Aurory, zmuszonej do życia będącego idealną imitacją absurdalnego opowiadania o jakiejś księżniczce, która może w ogóle nigdy nie istniała! Oto dlaczego jest taką nieznośną gęsią: doskonałość musi być ogromnym ciężarem.

- Aurora jest moją córką, a więc i spadkobierczynią Arduina, skoro ja, tak jak on, jestem przywódcą miasta, a więc jego następcą. - Zarządca mówił podniesionym głosem i wyraźnie skandował słowa, jakby chciał przez to podnieść ich wagę. - Poza tym Aurora posiada dar przewidywania przyszłości, wiesz? Raz przewidziała na przykład, że złoty naszyjnik żony dowodzącego strażą będzie jej, i zgadnij, co się stało? Okazało się, że był on zdrajcą. Został powieszony, jego dobra skonfiskowano i naszyjnik należy dziś do Aurory...

Poza tym kiedy przepowiedziała, że trwająca ubiegłego lata susza prędzej czy później się skończy i że jesienią będzie padać, też miała rację.

Niewyraźny uśmiech złagodził na moment rysy twarzy Zarządcy. Yorsh miał zamęt w głowie. Aurora! Ta nieznośna, podła, głupia gęś z huśtawki? Ta złośnica, zdolna do doprowadzenia małego dziecka do wielogodzinnego płaczu? Było mu jej nawet żal: na swój sposób jej los także był ciężki, ale o tym, aby wraz z nią założyć nowy ród, nie mogło być nawet mowy. Nigdy. Wolał już stryczek.

Przenigdy. Za nic na świecie. Jego los kończył się tu i teraz tak samo jak jego cierpliwość dla Arduina i jego przepowiedni. Może biednemu Arduinowi wiek dawał się już we znaki - był Panem Światła, więc światło od czasu do czasu musiało go oślepić, a cienie namieszały mu w głowie. Wojna z orkami to też nie przelewki: najwidoczniej, podczas jednego z oblężeń, Arduin musiał uderzyć głową o coś bardzo twardego i wtedy wpadł na pomysł, że on, Yorsh, mógłby kiedyś poślubić Aurorę.

Teraz jednak problem polegał na tym, jak uwolnić Junę i nie przeszkadzać już dłużej Zarządcy, pozostawiając go i jego ukochaną córeczkę sam na sam z ich genialnymi wizjami.

Zarządca trzymał w rękach łuk Yorsha z trzema strzałami i torbę z niebieskiego aksamitu.

- Zobaczmy elfie, czym zamierzałeś nas zniszczyć. Twój łuk i twoje strzały są w moich rękach. Co my tu jeszcze mamy?

Zarządca rozdarł aksamitną torebkę. Złote groszki potoczyły się po podłodze.

Ich zapach był mało wyczuwalny dla ludzkich nozdrzy, ale nie dla nozdrzy elfa.

Gdy turlały się po podłodze, Yorsh poczuł ich woń, subtelną, jedyną w swoim rodzaju, przyjemną i przenikliwą jak zapach świeżo upieczonego chleba.

Przypomniał sobie o szczurach.

Duże, grube szczury zamieszkujące więzienia w Daligar już raz mu pomogły, kiedy był jeszcze dzieckiem.

One także poczuły zapach groszków i ich umysły wypełniły się nim. Umysł szczura można łatwo kontrolować. Tutaj były ich tysiące. Yorsh wyczuł je. Wyczuł ich wieczny niezaspokojony głód, ich złość i żal za wszystkie trutki, kopnięcia, wszystkie kamienie, jakimi w nie rzucano, strzałki, którymi celowano w nie dla zabawy. W całych podziemiach były ich tysiące - wygłodzonych, zdenerwowanych, złych. Yorsh wciągnął powietrze w płuca i poczuł, jak rośnie jego siła. Wiedział już, co zrobi. Wykorzysta szczury. Wzmocnił zapach groszków, za jego pomocą poszukał szczurzych umysłów i poprowadził je.

- Dziecięca zabawka. - Zarządca upuścił na ziemię bączek i roztrzaskał go jednym kopnięciem. - I... książka! Interesujące, nieprawdaż?

Szczury zaczęły wylaniać się z ciemności panującej za kratami i w bocznych korytarzach. Niektóre z nich biegly po murach, po rzeźbieniach między pochodniami. Nie było ich jeszcze dużo, może kilkadziesiąt. Yorsh oczyścił ich umysły ze strachu. Przybywały następne, a za nimi jeszcze następne i kolejne. Biegly w stronę groszków, nie zwracając uwagi na żołnierzy, bez cienia strachu: fala ciał, sierści i maleńkich zębów, która zalała ludzkie stopy niczym przyływ. Żołnierze próbowali się rozstąpić, usunąć, zderzając się ze sobą nawzajem. Zarządca trzymał w rękach książkę z wierszami, należąca do mamy Yorsha, i był nią zbyt zajęty, aby cokolwiek zauważyć.

- Co to takiego? Zaklęcia? Wiersze? Co za bzdury! *Po... dążaj za ga... łęzią... podążaj za gałęzią*

*bluszczu. Znam także twój język, elfie, wiedziałeś o tym? Zawsze należy znać język swoich wrogów. „Podążaj za błękitną gałęzią bluszczu”. Bluszcz jest zielony, wiem o tym. Elfy zawsze kłamią, nieprawdaż? Nawet w wierszach.*

*Podążaj za błękitną gałęzią bluszczu: zaprowadzi*

*cię tam, gdzie lśniące złoto leży. Szukaj miejsca,*

*gdzie woda chlupocze. Przyszłość zależy od naszej*

*sily... i...*

Szczury zaczęły gryźć nie tylko złote groszki, ale wszystko, co napotkały na swojej drodze, czyli stopy i nogi żołnierzy oraz Zarządcy, który z krzykiem upuścił książkę na ziemię. Tylko Yorsh i Juna byli cali: ich stopy nie zostały uwięzione przez bezkształtną masę szczurów, która pokrywała wszystko inne niczym falujący ruchomy i uzębiony dywan.

Niektórzy zaczęli uciekać, opierając się o ściany, aby nie stracić równowagi. Cyk: zamek w łańcuchach ściskających nadgarstki Yorsha otworzył się i łańcuchy upadły na ziemię, cyk: i kostki też były już wolne. Ludzie uciekali w panice, podczas gdy morze szczurów zalewało wszystko dookoła. Zarządca potknął się na tym, co pozostało z bączka, i upadł na ziemię. Nieliczni żołnierze, którzy jeszcze nie uciekli, pospieszyli w jego stronę, próbując z powrotem postawić go na nogi, w ten sposób i krata, za którą zamknięta była Juna, pozostała zupełnie niestrzeżona. Cyk: i zamek w niej też się otworzył. Yorsh wziął

dziewczynkę za rękę, wyciągnął ją z krat, a potem oboje oddalili się powoli, idąc tyłem, aby nie spuszczać z oczu żołnierzy i Zarządcy. Morze szczurów rozstępowało się posłusznie pod ich stopami. Yorsh zdjął ze ściany jedną z pochodni, spojrzał po raz ostatni przed siebie: Zarządca znów stał na nogach, ale teraz miał inne rzeczy na głowie niż pilnowanie ich. Na schodach roilo się od żołnierzy, a nad nimi były następne schody z następnymi żołnierzami, i następnymi, i jeszcze następnymi.

W umysłach szczurów było za to wyobrażenie ogromnego świata podziemnych labiryntów, który rozciągał się pod miastem i pod rzeką. Yorsh także je zobaczył. I on, i Juna odwrócili się i zaczęli biec w kierunku przeciwnym do schodów. Na ich drodze stały kolejne kraty, na szczęście zamknięte tylko na zasuwy, które łatwo ustępowały. Yorsh zamykał z powrotem wszystkie zasuwy, aby opóźnić pościg żołnierzy, którzy prędzej czy później za nimi wyruszą. Miał wielką nadzieję, że dojrzy gdzieś światło; promyk słońca wpadający przez jakąś szczelinę, który wskazałby im drogę na górę, nic takiego jednak się nie pojawiło. Korytarz biegł w dół, coraz niżej, coraz ciemniejszymi chodnikami. Szczurów zaczęło ubywać. Kolejne bramy, kolejne zasuwy i korytarze, coraz niżej położone, coraz głębsze i ciemniejsze. Ten, kto kazał wybudować stare królestwo, czyli prawdopodobnie Arduin, postanowił wykorzystać dawne elfickie podziemia, przekształcając część z nich w więzienie, oddzielone od całej reszty wiekowymi bramami nie do pokonania. Potem jego stare królestwo zawaliło się, a w jego miejscu wznosił się teraz dziwaczny pałac Zarządcy o nieokreślonym kształcie, lecz więzienie zachowało się w nienaruszonym stanie.

Yorsh i Juna zatrzymali się, nie mogąc złapać tchu. Elf był wystraszony, nie miał



pewności, czy zdoła ich stamtąd wydostać. Prędzej czy później szczury się rozproszą albo ktoś przypomni sobie, że wystarczy zapalona pochodnia, aby je rozpędzić, a wtedy oni staną twarzą w twarz z całą armią Daligar, by podyskutować o szansach ich przeżycia. I nie będzie to wcale przyjazna dyskusja. Albo po prostu się zgubią pośród tych na wpół zawalonych tuneli, czekając, aż zamiast stryczka spotka ich śmierć z głodu.

- Nie wiem, dokąd iść - przyznał Yorsh, gdy tylko znów był w stanie mówić.

Juna uśmiechnęła się do niego, spokojna. Nie odezwała się, tylko podniosła rękę, wskazując na sufit tunelu, gdzie niepewne światło pochodni oświetlało bardzo długi fresk przedstawiający pęd błękitnego bluszczu. Książka z wierszami jego mamy była także mapą!

Wystarczyło iść za bluszczem!

Problem w tym, że bluszcz był wszędzie: tam, gdzie korytarz rozwidłał się na dwa, trzy, a nawet cztery inne korytarze; w korytarzach, które prowadziły donikąd, zwężając się coraz bardziej, tak że trzeba było wracać, przyciskając się do ścian; w korytarzach, które kończyły się nagle ścianami bogato ozdobionymi wizerunkami fontann i ogrodów.

Przyglądając się uważnie, Yorsh zauważył, że w niektórych miejscach bluszcz przybierał formę elfickich liter. Kiedy dawało się z niego odczytać słowo IDŹ, droga biegła dalej. Znajdowali się w starym labiryncie, w którym pełno było krzyżujących się ze sobą korytarzy ozdobionych tym samym rodzajem fresku. Wystarczyło odczytać litery ukryte we wzorze bluszczu, aby odnaleźć drogę. Czasem było w nim ukryte słowo NIE, innym razem jakiś złośliwy wers:

TERAZ POBŁĄDZIŁEŚ, DROGI NADŁOŻYŁEŚ albo: JEŚLI BARDZIEJ SIĘ

WYSILISZ, WIĘCEJ DROGI NIE POMYLISZ.

Dla kogokolwiek, kto nie znał języka elfów, labirynt był nie do przebycia, ale odpowiednio duża grupa osób uzbrojona w cierpliwości, czas i dużą ilość sznurka, którym oznaczałaby sobie drogę, mogłaby go wreszcie pokonać. Musieli się pospieszyć: zajmie im to trochę czasu, ale prędzej czy później żołnierze Zarządcy ich znajdą.

Zabawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Słowo IDŹ zaczęło prowadzić do korytarzy kończących się nagle ścianami albo do schodów, które prowadziły donikąd. Jedna ze ścian przedstawiała grę w elfickie szachy: białe nimfy i dwa czarne smoki walczyły wokół

królowej z koroną na głowie, wokół której okręcał się błękitny bluszcz. Kluczem do rozwiązania zagadki była książka. Z wierszami zaczęły się teraz przeplatać zagadki: *Dumnym okiem patrzymy*

*Odwagę rycerza*

*w sercu nosimy*

*W ręku miecz dzierzymy*

*Królowej w czwórkę bronimy.*

Nimfy! Yorsh przyjrzał się im uważnie: w miejscach, gdzie dłonie nimf obejmowały miecze, znajdowały się cztery maleńkie, prawie niedostrzegalne szczeliny, ukryte w tym, co na malowidle stanowiło cień rzucany przez rękojeść miecza. Wsuwając w nie dłoń, Yorsh natknął się na tyleż samo dźwigni, które udało mu się musnąć palcami, ale nie przestawić. To nic. Teraz najważniejsze, aby odkrył właściwy ruch, dzięki któremu mógłby nimi sterować, dokładnie tak samo jak przy zasuwach. *Cyk.* Ściana okazała się ruchomą płytą i odsunęła się.

Jednak dźwignie, uszkodzone przez upływ lat, zepsuły się w trakcie otwierania i w ciągu tak krótkiego czasu nie dało się naprawić ich skomplikowanego mechanizmu: pozostawiali więc otwartą drogę dla swoich prześladowców, wprowadzając ich do starych podziemi.

Za kolejną ścianą znajdowały się przyprawiające o zawrót głowy spiralne schody, którymi zesli nisko w dół. Yorsh zaczynał już myśleć, że są głęboko pod rzeką. Na ścianie namalowane było morze.

- Kiedy stąd wyjdziemy, zamieszkamy nad morzem - powiedział do Juny, być może chcąc dodać otuchy bardziej sobie samemu niż jej.

*... Małe owoce, od słońca zaczerwienione, słonymi falami skropione...* mówiła książka.

Przyglądając się z uwagą obrazowi, Yorsh odnalazł na nim małą wyspę z rosnącą na niej dziką wiśnią. Ta wyspa, nad którą przeleciał na grzbiecie Erbrowa, istniała już wieki temu, razem z rosnącą na niej wiśnią, która musiała być prababcią tej obecnej, czy też malarz po prostu ją sobie wyobraził; po prostu mu się przyśniła? Wiśnie na drzewie błyszczały czerwoną emalią, ciemniejszą w zacienionych miejscach, gdzie znajdowały się szczeliny ukrywające mechanizmy. *Cyk.* Ruchoma ściana znowu się otworzyła i również tym razem nie mogli jej za sobą zamknąć. Teraz ważne było tylko to, aby jak najszybciej się stamtąd wydostać. Schodzili coraz niżej i niżej, we wnętrzości miasta, do podziemi tego, co kiedyś było pałacem królewskim stolicy elfów.

Ogromne pajęczyny przesłaniały korytarz. Zawalone ściany sprawiały, że był on węższy, a przeciekająca przez nie woda zalewała go. Coraz częściej brnęli przez błoto, powietrze, którego ubywało, stawało się coraz gęściejsze od pyłów, starych zapachów ziemi, wody i zgniłych liści. Yorsh był przerażony. Możliwe, że szedł na spotkanie śmierci, ale co gorsza, zabierał na nie także Junę. Do tej pory tak naprawdę niczego się nie obawiał, gdyż w pewnym sensie chroniła go przepowiednia. Fakt, że ktoś, a dokładniej Arduin, Pan Światła, miał pewne przypuszczenia co do jego przeznaczenia, oznaczał, że on, Yorsh jakieś przeznaczenie mimo wszystko ma. Teraz jednak wiedział, że przepowiednia go nie dotyczyła!

Wobec tego wołał już, by pożarł go jakiś troll, niż miałby spędzić resztę życia z tą okropną gęsią, Aurorą. Albo wyzionąć ducha w podziemiach Daligar. Jeśli przepowiednia była tylko częściowo prawdziwa, również jego prawo do przeżycia stawało się kwestią sporną: Arduin był za, Zarządca - absolutnie przeciw. Tyle że ten drugi znajdował się o wiele bliżej niego niż ten pierwszy, a do tego w dużo liczniejszym towarzystwie. Gdyby tylko mógł uratować Junę!

Niespodziewanie korytarz po prostu się skończył. Szli na czworakach przez błoto i nagle znaleźli się na wprost kraty. Po drugiej stronie szerzyły się ciemności, a powietrze było świeże i czyste. Najwidoczniej tunel przechodził w jaskinię. Krata wykonana była ze skomplikowanych spirali imitujących bluszcz: liście ze srebra i pędy ze złota układały się w splecione łuki. Z pewnością została wykonana przez elfa, nie przewidziano jednak żadnego sposobu, by ją otworzyć: nie miała zamków ani zawiasów. To była po prostu krata, a nie brama.

- Muszę cię o coś zapytać - odezwała się Juna. W drżącym świetle pochodni jej oczy lśniły niczym dwie gwiazdy, a nieśmiały uśmiech rozjaśniał jej twarz. Yorsh uśmiechnął się przyzwalająco, mając nadzieję, że nie usłyszy pytania o to, jak wielkie są nadzieje na ich przeżycie, gdyż był to temat, nad którym wolałby się raczej nie rozwodzić.

- Teraz? - spytał.

Juna przytaknęła. Na jej twarzy malowało się onieśmienie.

- Dobrze, co chcesz wiedzieć?

- To słowo, które wypowiedział Zarządca... mmm... dziedziczka, tak chyba powiedział

- to znaczy, że ten ktoś wykonuje to samo zajęcie czy że ma tę samą krew? Jest córką syna wnuka córki... coś takiego... Rozumiesz?

Yorsh był zmieszany. Zmieszany i wzruszony. Żądza wiedzy dziewczynki była tak wielka, że nawet teraz, mając przed sobą perspektywę wyboru między ponownym spotkaniem z Zarządcą i jego szubienicą a spokojniejszą śmiercią z wycieńczenia, Juna rozwodziła się nad kwestiami semantycznymi.

- Może znaczyć obie te rzeczy - wyjaśnił.

Juna skinęła głową, zadowolona.

- Ten pan, ten od światła, miał dużo dzieci?

- Masz na myśli Arduina?

- Tak.

Yorsh spróbował sobie przypomnieć:

- Hmm... tak, teraz sobie przypominam: miał syna, który był jego następcą i umarł, nie pozostawiając po sobie dzieci, to był Gesein zwany Mądrym, oraz co najmniej sześć córek, z których dwie opuściły Daligar, kiedy wyszły za mąż.

- I te córki miały synów lub córki, którzy mieli kolejnych synów i córki, a ci też mieli kolejnych synów i córki, tak że dziś nie wiadomo już nawet, kto jest dziedzicem Arduina!

Może ci, którzy są jego następcami, nic o tym nawet nie wiedzą! - stwierdziła triumfalnie.

Yorsh zastanowił się nad tym przez chwilę. Właściwie to ta konwersacja była trochę absurdalna, ale przynajmniej odwlekała chwilę, w której będą musieli przyznać, że nie ma już dla nich nadziei.

- Tak. Myślę, że tak - potwierdził.

Po tej historycznej dygresji ich rozmowa znów skupiła się na kwestiach semantycznych.

- Jasno... mmm... widzę jasno...

- Jasnowidzenie?

- Tak, jasnowidzenie: to wtedy, gdy zamykasz oczy, a obrazy tego, co się potem wydarzy, same się tworzą?

- Tak - odpowiedział z przekonaniem Yorsh. Potem stwierdził, że ma już dość tej rozmowy. - Nie ma sposobu, aby przejść na drugą stronę tej kraty.

- Ależ oczywiście, że jest - odparła spokojnie Juna. - Musi być. Nie może go nie być.

Po prostu jeszcze się nad nim wystarczająco nie zastanowiłeś. Nie masz czegoś do jedzenia?

Nawet czegoś głupiego?

- Czegoś głupiego? - rozmowa stawała się coraz bardziej absurdalna.

- Czegoś, co nie myśli!

Postępując zgodnie z instrukcjami zawartymi w dwudziestu sześciu tekstach dotyczących szycia i haftowania, Yorsh zrobił sobie w swojej tunice dwie wewnętrzne, ukryte kieszenie, do których teraz zajrzał. Była tam jeszcze garść złotych groszków. Gdy wręczał je Junie, ich dłonie przez moment lekko się musnęły. Elf doznał dziwnego uczucia w żołądku: coś między głodem a czkawką; coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Juna napchała sobie buzię groszkami. Yorsh wiedział, że są smaczne. Uśmiechnął się, widząc jej rozpromienioną twarz. Gdy dostrzegł malujące się na niej zadowolenie towarzyszące jedzeniu, poczuł w sobie jej radość. To było niczym huragan. Oczywiście, że uda mu się ją stąd wydostać. Przepowiednia może i go nie dotyczyła, ale on wciąż był elfem.

Ostatnim i najpotężniejszym. Znajdował się w starym elfickim królestwie. Droga wyjścia istniała, trzeba ją tylko znaleźć. A żeby ją znaleźć, wystarczyło być pewnym, że jest się w stanie to zrobić. Poczuł pokusę, by powiedzieć Junie, jak bardzo już ją kocha i że na całym świecie istnieje dla niego tylko ona, ale na szczęście się powstrzymał. Juna nie była elfem, tylko ludzką istotą, a ludzkie istoty nie wybierają sobie towarzyszy życia, będąc jeszcze dziećmi, lecz gdy są już dorosłe. Musiał czekać i mieć nadzieję, że Juna go zechce. Będzie miał większe szanse, jeśli odłoży to o kilka lat. A poza tym on jest elfem. Większość ludzi nienawidzi elfów. Na początku Monser i Sajra także go

nienawidzili! Jeśli chciał mieć jakieś szanse, musiał poczekać, aż Juna lepiej go pozna.

Nagle Juna spytała go o Aurorę. Znał ją? Widział, jaka jest piękna? Yorsh już miał jej odpowiedzieć, jaką wstrętną, nieznośną gęsią jest, jego zdaniem, Aurora, kiedy uświadomił

sobie jeszcze inną rzecz: Juna jest tak niewiarygodnie spokojna, ponieważ nie ma wątpliwości, że on stanowi część przepowiedni i w związku z tym ich ocalenie jest pewne.

Jeśli powiedziałby jej prawdę, sparaliżowałby ją strach. Ograniczył się więc do potwierdzenia niewyraźnym skinieniem głową.

W momencie kiedy elf zjawił się otoczony przez zastępy straży, serce Juny zaczęło bić szybciej. Był jeszcze piękniejszy, niż pamiętała. Teraz miał na sobie normalną tunikę, która przypominała trochę szaty starodawnych mędrców. Nadgarstki skuto mu na plecach łańcuchem, a mimo to od jego osoby biły jednocześnie delikatność i siła.

Przyszedł po nią. Poddał się, aby ją uwolnić. Od kiedy zabrakło jej mamy i taty, Juna bardzo cierpiała z tego powodu, że nie jest już niczym dzieckiem. Jej życie, śmierć, głód, jej obdrapane kolana nikogo już nie obchodziły. Teraz, niespodziewanie, znalazła się w centrum uwagi. Prawdziwy nastoletni chłopiec o ogromnych mocach i olśniewającej urodzie ryzykował dla niej swoim życiem. Stał tam, z rękami skutymi na plecach, nie bojąc się niczego, bo był pewien, że zdoła ją uratować.

Potem Zarządca powiedział o przepowiedni i wtedy światło zalało serce Juny. To ona!

Ona miewała wizje, które mówiły jej, co miało się zdarzyć. To ona nosiła imię... już miała to powiedzieć, już miała wykrzyknąć jako pierwsza, że Juna to tylko zdrobnienie. Tata i mama nadali jej imię, które zawierało w sobie ten magiczny moment poranka, kiedy światło zaczyna zalewać świat i kiedy trwa jeszcze niezmacona nadzieja, że dzień będzie ładny. Mama powtarzała jej to każdego ranka, kiedy przychodziła, aby ją obudzić, nawet wtedy, kiedy na zewnątrz padał deszcz lub śnieg i nie było żadnego światła. To ona była Jutrzenką, światłem, w którym codziennie odradza się nadzieja na nadejście ładnego dnia. Na szczęście uciszyła ją jej roztropność, a potem Zarządca zaczął mówić o swojej własnej córce, Aurorze, i promień słońca, który zalewał serce Juny światłem, zamienił się w masę lodowatego błota. Jedyne, co po nim pozostało, to dziwne uczucie w górnej części żołądka, coś jakby między głodem a czkawką, tak jak wtedy, gdy Beka odkrywała, że coś ukradła.

Juna знаła Aurorę. Widziała ją, gdy, eskortowana przez połowę armii hrabstwa, przybyła do Daligar. Minęły się tuż za wielką bramą, Juna na swoim osiołku, a Aurora w lektyce w kolorach karmazynu i kości słoniowej. Juna zaniemówiła - ujrzała najpiękniejszą dziewczynkę, jaką kiedykolwiek widziała. Aurora miała anielską twarz, ozdobioną blond włosami, splecionymi w wiele warkoczyków, które krzyżowały się, tworząc na jej głowie wzór w romby, przypominający ścieg na górze od jej sukni. Na Junę, wpatrującą się w nią z otwartymi ustami, spojrzała wzrokiem osoby spoglądającej na karalucha. I Juna poczuła się jak karaluch. Cóż, tak właściwie to była troszkę karaluchem. Minęły dwa lata, odkąd po raz ostatni ktoś ją czesał. Ostatniej kąpieli zaznała podczas przedostatniej ulewy minionego lata -

ostatnia ulewa była tej nocy i Juna jej uniknęła. Od jesiennych deszczów tylko mokły i marzły stopy, a tak poza tym pozostawało się brudnym. Do tego wszystkiego Aurora była od niej przynajmniej o dwie stopy wyższa!

Kiedy byli z nią jeszcze rodzice, mama mówiła jej, że ma oczy taty, a tata - że odziedziczyła uśmiech mamy, i obydwójce promienieli, gdy na nią patrzyli. Już od dawna nie było jednak rodziców, którzy by promienieli i mówili jej te wszystkie miłe rzeczy!

Jeszcze kilka chwil wcześniej pragnęła jedynie, by móc dalej żyć. Teraz już nie wystarczało jej, aby

Yorsh ją uratował, chciała, aby był tylko jej. Ale tamta jest od niej nieskończenie piękniejsza! I starsza!

Do licha.

To przecież ona, Juna, Jutrzenka, jest żoną z przepowiedni. Wiedziała o tym. To, co Zarządca nazwał „wizjami Aurory”, to bzdury. To ona widziała rzeczy. Tak, z całą pewnością „przewidywanie” to właśnie oznaczało - widzenie rzeczy, zanim się one wydarzą.

Córka mężczyzny i kobiety, którzy zawsze go nienawidzili? Cóż to by miała być za przepowiednia?! Pół świata nienawidziło elfów. Wszyscy nienawidzili elfów. Wszyscy z wyjątkami. Nielicznymi wyjątkami. Wszyscy z wyjątkiem Monsera i Sajry. Tym brakującym słowem musiało być „chronili”, a nie „nienawidzili”.

Córka mężczyzny i kobiety, którzy zawsze go chronili, córka Monsera i Sajry, ta, która ma w imieniu światło poranka.

Najwyraźniej była wnuczką wnuczki Pana Światła! Wśród dziadków jej dziadków lub jej pradziadków albo wśród pradziadków jej dziadków lub jej pradziadków musiał być ten pan od światła, a tak w ogóle to kto może wiedzieć, kim są dziadkowie jego pradziadków? To mógłby być każdy, więc czemu akurat nie ten od światła (jak on się nazywa?). Juna upewniła się, pytając Yorsha: „dziedziczyć” może oznaczać, że ma się tę samą krew, a jasno...

nieważne, w każdym razie to coś oznaczało, że obrazy przyszłości powstają w twojej głowie, a ty znasz przyszłość, zanim ona nastąpi. Teraz, kiedy młody elf powiedział jej o zamieszkaniu nad morzem, wreszcie zrozumiała, co oznaczał błękit, który wypełniał jej głowę za każdym razem, gdy zamykała oczy.

Kiedy uciekali coraz węższymi i coraz ciemniejszymi korytarzami, gdzie na ścianach przeplatały się ze sobą niesamowite elfickie rysunki, Juna odczuwała radość i spokój, które rosły z każdym przebytym korytarzem, z każdym listkiem bluszczu na ścianie. Ten Arst...

Ard... ten typ od światła nie śniłby chyba o nich po to, żeby teraz mieli zawisnąć na szubienicy albo zginać we wnętrzu ziemi jak dwa szczury. Już miała to wszystko powiedzieć Yorshowi: o swoim imieniu, o swoich wizjach, kiedy znów radość w niej zamarła i zamieniła się w zimny gład w górnej części żołądka. On byłby jej dlatego, że tego chciał, czy dlatego, że tak było napisane na jakimś murze? To znaczy Pan Światła, Ar... nieważne, on widział to, co ktoś chciał zrobić, czy to, co musiał zrobić? A jeśli on, Yorsh spędzi z nią życie, myśląc o innej? O Aurorze! Jej twarz znów mignęła Junie przed oczami. Prawie tak piękna jak elf! Nie same łokcie, kolana i wystające zęby! Kiedyś Beka zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów i powiedziała słodkim i pełnym rozczarowania głosem, że z tą swoją ciemną skórą wygląda dokładnie jak karaluch. Karaluch ze szczurzymi zębami. Potem stwierdziła z ubolewaniem, że niestety nie wszyscy rodzą się piękni. Poza tym Aurora prawdopodobnie umiała pisać, a groszki zjadłaby jak prawdziwa dama, na pewno nie napchałaby sobie nimi ust tak jak przed chwilą zrobiła to ona! Kiedy Yorsh podał jej groszki, ich dłonie musnęły się: jego smukła, biała, idealna dłoń dotknęła jej małej, brudnej dłoni z obgryzionymi czarnymi paznokciami.

Juna spojrzała na swoje chude kolana, ubrudzone błotem i obdrapane, i poczuła się znów jak karaluch. Spytała Yorsha o Aurorę i jego potakujące skinienie głową pograżyło ją w rozpacz.

Z powrotem zamknęła usta. Nie powie mu, że to ona jest jego przyszłą żoną. Nigdy.

Woli nią nie być i nigdy nią nie zostać, niż wiedzieć, że wybrał ją dlatego, że musiał.

Wreszcie, po długich i uważnych oględzinach, Yorsh zrozumiał, jak działała krata.

Główna jej część była połączona z resztą za pomocą czterech malutkich łądyżek z delikatnego złota okręconych wokół miedzianych drucików. Jak wyjaśnił Junie, wystarczyło podwyższyć temperaturę, aby drążki, które trzymały kratę, „stopiły się”, czyli rozpuściły niczym ostatni śnieg w wiosennym słońcu. On potrafił ogrzać rzeczy głową, ale nie w takim sensie, że uderzał w nie głową, lecz w ten sposób, że myślał o ciepłe, a wtedy drążki ogrzały się tak bardzo, że wreszcie rozpuściły się dokładnie tak samo jak śnieg na słońcu.

Gdy usunęli kratę, otworzył się przed nimi świat. Po drugiej stronie znajdowała się grotta z wielkimi kamiennymi kolumnami, których część wyrastała z podłoża, a część jakby kapiała z sufitu. Słychać było głośny szum wody. Cała jaskinia wysadzana była złotem, które błyszczało w świetle pochodni, jakby jaskinia usiana była gwiazdami. Jak objaśnił jej Yorsh, te kolumny, które wyrastały z ziemi, nazywały się stalak... coś tam, a podobną, aczkolwiek nie do końca taką samą nazwę, nosiły te, które wyrastały z góry. Jaskinia leżała pod rzeką Dogon. Cała została wydrążona przez wodę, a ponieważ rzeka Dogon niesie w swoich wodach złoto, jaskinia pokryła się nim, drobinka po drobince. Juna nie rozumiała do końca, jak woda może cokolwiek wydrążyć, skoro potrzeba do tego łopaty i dwóch rąk, w których można by ją trzymać, a woda nie posiada przecież żadnej z tych trzech rzeczy. Mimo to nie poprosiła o wyjaśnienie. Głos i uśmiech Yorsha kiedy jej coś wyjaśniał były wprawdzie olśniewające, jednak to, co mówił, nie miało dla niej najmniejszego sensu, podczas gdy

„tamta” prawdopodobnie wszystko by rozumiała, nie chciała więc wyjść na głupią.

Za ich plecami rozległ się rozpoznawalny odgłos zbroi żołnierzy.

Obal zaklinował się między kratami, a Lebiód popychał go z całych swoich sił.

Wciąż zaklinowany między złotymi i srebrnymi zwojami bluszczu, Obal uśmiechnął się.

- Śledziliśmy was, krok za krokiem - zakomunikował triumfalnie. - Szliśmy za waszymi głosami.

- Inaczej zgubilibyśmy się w tym labiryncie - dokończył Lebiód.

- Ten szaleniec chciał nas powiesić! - zaczął znów Obal, czerwony na twarzy z wysiłku. - Za te pół kufla piwa, które wylaliśmy mu na głowę!

- Chyba nie będzie wam przeszkadzać, jeśli do was dołączymy? - spytał Lebiód. -



Tylko żeby stąd uciec, potem sobie pójdziemy i zajmiemy się własnymi sprawami.

- Poza tym jeśli nawet was ścigali, to my ich spowolniliśmy! - stwierdził Obal, cały szczęśliwy, pokazując im wielki pęk kluczy. To my mamy klucze! Oni będą musieli znaleźć ślusarza, a to nie będzie łatwe. Ostatniego, jaki nam został, powiesili dwa dni temu.

- Przynieśliśmy wam wasze rzeczy - powiedział Lebiód, pokazując im łódkę, lalkę, łuk, strzały i książkę. - Prawda, że nas też ocalicie?

Yorsh i Juna zaniemówili. W milczeniu wpatrywali się w dwóch nowo przybyłych z takim samym wyrazem twarzy, z jakim wpatrywaliby się w gadającą rybę albo w uskrzydłonego osła. Lebiód, który wciąż pchał Obalą z całych sił, nie przesuwając go zresztą ani odrobinę w żadną stronę, spytał z lekką niecierpliwością, czy przypadkiem zamiast przyglądać się im, stojąc po drugiej stronie jak dwie urocze statuetki, nie mogliby im pomóc, jeśli nie sprawiłoby im to kłopotu.

- Skąd wam przyszło do głowy, aby za nami iść? - zapytał Yorsh, gdy tylko odzyskał głos.

Obaj zaczęli się przekrzykiwać.

- Mówiłem ci: ten tam kazałby nas powiesić... Pół kufla piwa na czasce... nie znasz go... chociaż właściwie to jakby się nad tym dobrze zastanowić, to ty też go znasz... więc rozumiesz, że nie chcemy umierać...

- A poza tym - stwierdzili na końcu, wreszcie jednogłośnie - ty jesteś magiczny.

Nawet Arduin wiedział, że twoim przeznaczeniem jest przeżyć. Jeśli zostaniemy przy tobie, to też przeżyjemy i wyjdziemy stąd żywi! - dodali pewnym głosem.

Z jakichś tajemniczych powodów Yorsh zrobił dziwną minę. Z pewnością nie była to mina osoby zadowolonej, ale raczej kogoś, kto właśnie dowiedział się, że jedyna rzecz do jedzenia, jaką znalazł, została właśnie ożywiona, albo kogoś, komu powiedziano, że musi drążyć okopy w błocie. Mina kogoś, kto nie tylko nie jest zadowolony, ale ma też wysoką gorączkę. Yorsh podszedł do kraty i zaczął szukać innego miejsca, w którym mógłby ją wyłamać, lecz najwidoczniej oryginalne elfickie dzieło nie przewidywało przejścia dla żołnierzy w kształcie beczki. W końcu problem został rozwiązany dzięki Yorshowi, który ciągnął ze wszystkich sił, i Lebiódowi, który pchał ze wszystkich sił, podczas gdy Obal przeklinał ze wszystkich sił. Ostatecznie, dzięki połączonym siłom wszystkich trzech, żołnierz wystrzelił spomiędzy krat i wylądował na ziemi. Jego zbroja wydała przy tym niepokojąco głośny hałas łamiącego się żelastwa, jednak on sam na szczęście nie odniósł

trwałych uszkodzeń.

- Dobrze - powiedział Obal, gdy już wstał. - Teraz jednak musimy się bardzo pospieszyć. Jak tylko stąd wyjdziemy, opuścimy was i zajmiemy się własnymi sprawami, a nasze sprawy są takie, że musimy udać się do naszych domów, żeby zabrać stamtąd nasze rodziny.

- Ja mam czworo dzieci, a on pięcioro - wyjaśnił Lebiód. - Musimy iść do domu, żeby je zabrać i uciec wszyscy razem, bo jak tylko ten szaleniec się zorientuje, że mu uciekliśmy, odbije to sobie na naszych żonach i naszych dzieciach.

Mina Yorsha stała się jeszcze bardziej przygnębiona: przypominała minę kogoś, kto dostał gorączki, swędzących bąbli, a do tego ma ochotę zwymiotować.

Jaskinia była ogromna. Jej opis znajdował się ukryty między wierszami:

*...w ciemnym lesie z kamienia*

*śpią turkawki pogrążone w zaklętych sennych marzeniach...*

Oto i on, po prawej, stalaktyt, na którym woda i złoto utworzyły zarys czterech turkawek. Należało do niego dotrzeć i tam poszukać dalszej drogi:

*...sen spłynie z góry...*

Sen? O jaki sen mogło chodzić? Po elficku sen i welon to jedno słowo: welon snów, delikatny i przezroczysty stalagmit, w głębi na lewo. Potem znów na prawo, gdzie znajdowało się:

*...lustro dziewczynki młodej*

*i dumnej, lustro starości szlachetnej*

*i rozumnej...*

Mały staw powstały z kropel wody kapiącej z góry, w którym odbijały się stalaktyty w kształcie młodej kobiety i wysokiego starca o lasce. Yorsh zawsze się zastanawiał, co oznaczają wiersze pozostawione mu przez mamę, które, prawdę mówiąc, zawsze wydawały mu się raczej dziwne, a teraz nabierały konkretnego znaczenia, wskazując mu drogę.

Posuwając się wciąż naprzód, Yorsh stopniowo nabierał odwagi. Był taki moment, kiedy na myśl o liczbie istnień, za które wziął na siebie odpowiedzialność, i o ogromnym bólu, jaki wywołałaby jego porażka, ogarnęło go przerażenie, zamieniając jego żołądek w bryłę lodu.

Narażał na niebezpieczeństwo nie tylko życie Juny, która nie dość, że była córką mężczyzny i kobiety, którzy go ochronili i uratowali, była też radością jego własnego życia, ale narażał

także życie tych dwóch biedaków, ich żon i dzieci!

Pokonując wielką jaskinię wydrążoną w ciągu minionych stuleci przez wody rzeki Dogon i przebiegającą pod całym miastem Daligar, Yorsh stopniowo odzyskiwał odwagę. To miejsce dodawało mu pewności siebie. Stare wersy opisujące przejście wśród stalaktytów stanowiły pewny trop. Z pewnością gdzieś go doprowadzą. Yorsh znajdował się w miejscach, które należały niegdyś do elfów. Był ostatnim ze swego rodu i może najpotężniejszym. Jeśli nie on, to kto?

Lustro wody odbijało pochodnie - jego i tę, którą niósł Lebiód - dlatego nie od razu się zorientowali, że robiło się coraz jaśniej. Wreszcie między złotymi stalaktytami pojawił się promień słońca, oświetlając pył tak, że przypominał on rój gwiazd.

W świetle stał złoty tron, na którym zwoje błękitnego bluszczu przeplatały się z elfickimi literami.

Na tronie nadal siedział stary władca: jego szkielet odziany był w złote szaty, a na głowie tkwiła lśniąca korona, w której złoto przeplatało się z rzeźbionymi liśćmi błękitnego bluszczu. W rękach ciągle jeszcze trzymał swój miecz, jego złotą rękojeść także ozdabiały emaliowane pędy bluszczu. Ostrze miecza tkwiło w kamiennym piedestale. Ozdobione błękitnym bluszczem były także złoty naszyjnik na jego szyi oraz złote pierścienie na wszystkich palcach. Yorsh zbliżył się do niego i jego także oświetliło dzienne światło, na moment nadając jego włosom blask aureoli. Zerwał pajęczyny, które rozleciały się wśród kłębow pyłu, i przeczytał:

TU SPOCZYWA TEN, KTÓRY KORONĘ NOSIŁ I MIECZ W RĘKU DZIERŻYŁ

Obok stalaktytów stały cztery kolumny ze złota, a wokół nich również owijały się pędy bluszczu, tworząc wypukłą rzeźbę, która mogła służyć jako długie spiralne schodki.

Yorsh spojrział w górę. Oślepiło go światło, zdołał jednak dostrzec otwór w suficie, otoczony paprociami. Najwyższa i najbliższa otworowi część kolumny pokryta była mchem i kilkoma małymi paprotkami, które lśniły w słońcu.

- Przestało padać - powiedział Lebiód.

- Możemy stąd wyjść. Te kolumny to najprawdziwsze schody - dodał zadowolony Obal.

Juna także zbliżyła się do sarkofagu. Światło padło na jej oczy, które rozbłysły niczym gwiazdy.

Z nią u boku Yorsh poczuł, jak rośnie jego siła, a strach znika niemal zupełnie. A może to od starego króla biło to dziwne poczucie mocy. Elf spojrział w puste oczodoły, zasłonięte pajęczynami, i doznał dziwnego uczucia jakby przynależności. Położył dłoń na rękojeści miecza, który ani drgnął z miejsca. Spróbował ponownie obiema rękami, ale to także nic nie dało. Miecz tkwił w skale tak mocno, jakby był jej częścią. Yorsh roześmiał się.

Ależ oczywiście: miecz był przeznaczony dla elfa. To tylko sztuczka, aby mieć pewność, że jedynie właściwa osoba zdoła go wyciągnąć, prosta zasada termodynamiki: zmniejszając temperaturę, zmniejsza się również objętość. Schłodzone ostrze skurczy się niemal niezauważalnie, ale to wystarczy, aby wyslizgnęło się ze skały tak samo łatwo jak wieki temu, równie zimne, zostało tam wetknięte. Na szczęście konieczność gaszenia niezliczonych pożarów wywoływanych przez Erbrowa, kiedy był jeszcze niemowlakiem, pozwoliła Yorshowi nabrać wprawy w obniżaniu temperatury przedmiotów. Położył dłoń na rękojeści, zamknął oczy i zamroził ostrze, a potem je wyciągnął. To był lekki, niewymuszony ruch.

Stary miecz załśnił w jego dłoniach. Rękojeść w zwojach bluszczu dopasowała się do jego ręki, jakby została zrobiona specjalnie dla niego. Być może sztuczka z odbieraniem ciepła była wyjątkowa nawet jak dla elfa. Być może miecz nie został wykonany po prostu dla elfa, ale dla najpotężniejszego elfa. Ostatniego. To tak, jakby ten miecz czekał właśnie na niego; jakby król go dla niego przechował.

Po strachu Yorsha nie pozostał nawet ślad. Zmogło go jednak zmęczenie i usiadł u podnóża tronu,

czekając, aż czoło przestanie go palić. Nie było to tak bolesne doświadczenie jak gaszenie pożarów Erbrowa, ale mimo to elf potrzebował chwili, aby dojść do siebie.

Kiedy wstał, jeszcze raz przyjrzał się królowi. Korona, naszyjnik i pierścienie zniknęły.

Yorsh, zmieszany, wpatrywał się w dwóch żołnierzy, którzy spoglądali na niego ukradkiem.

- Czwooro dzieci ja, pięcioro on... - zaczęli zakłopotani.

- Umarłemu się nie przydadzą, przecież nie ma już nikogo na utrzymaniu...

- On nie ma pojęcia, jak to jest, kiedy wracasz do domu i nie możesz nakarmić wszystkich, więc wszyscy płaczą.

- Jak nie my, to ktoś inny i tak weźmie te rzeczy...

- Może nawet Zarządca, potem wszystko weźmie sobie Zarządca...

Yorsh zgromił ich wzrokiem, ale nie było już czasu na to, żeby kazać im wszystko odłożyć na miejsce. Spowolnieni przez bramy, rozproszeni po labiryncie, wreszcie jednak żołnierze Zarządcy zjawili się. Nie zrozumieli wskazówek pozwalających odnaleźć właściwą drogę, ale ich atutem była ich liczba: mogli się rozdzielić, aby sprawdzić wszystkie rozwidlenia dróg i podążać wszystkimi ścieżkami, aż wreszcie znaleźli tę właściwą.

Już zaczynało się od nich roić w najniższej i najgłębszej części jaskini, nie było ich jednak jeszcze widać. Używając kolumny jako spiralnych schodów, elf i reszta wspięli się na górę, jedno po drugim, najpierw Yorsh, a na końcu Lebiód. Obal ściągnął zbroję i tym razem nigdzie się nie zaklinował. Wydostali się na zewnątrz wśród paproci niedaleko rzeki.

Znawali się w południowej części miasta. Po drugiej stronie rwących wód Dogonu leżał

pałac Zarządcy. Strażnicy ujrzeli ich z daleka i wycelowali w nich łuki, ale Lebiód i Obal udawali, że już zaaresztowali dwójkę uciekinierów i ich eskortują. Pokonali nasyp prowadzący na drugi brzeg rzeki i skierowali się w stronę pałacu: dziewczynka i chłopiec w środku, z rękoma na plecach, jakby byli zakuci w łańcuchy, a dwaj żołnierze po bokach -

dokładnie jak dwójka więźniów pod eskortą. Juna udała, że się przewróciła, i wykorzystała to, aby nazbierać kamieni. Yorsh miał przy sobie miecz i łuk. Starał się je ukryć w fałdach swojej długiej tuniki. Trzymał ręce za plecami i wszystko szło dobrze, dopóki potencjalni przeciwnicy znajdowali się naprzeciwko nich. Gdy jednak pierwsi z ich prześladowców ukazali się za ich plecami, pośród paproci na brzegu rzeki, oszustwo wyszło na jaw. Nim posypały się pierwsze strzały, Lebiód i Obal rzucili się do ucieczki. Było to sprytnie posunięcie, ponieważ wszyscy rzucili się na dwójkę zbiegów i za nimi nikt nawet nie pobiął.

Obaj uciekali wyjątkowo szybko, nawet Obal, pomimo swojej baryłkowatej postaci. Yorsh nie uznał tej ucieczki za zdradę, wręcz przeciwnie - poczuł ulgę. Teraz nie musiał się już martwić ani o tych dwóch uciekinierów, ani o ich rodziny, bo wyglądało na to, że sami jakoś dadzą sobie radę. Musiał

więc jedynie stawić czoło ośmiu żołnierzom, których miał przed sobą, sześciu, którzy byli na dachu, nie wiadomo dokładnie ilu znajdującym się za jego plecami, a potem zająć się czterema jeźdźcami, którzy blokowali drogę, przedostać się przez wielką bramę i odzyskać swojego nieposiadającego jeszcze imienia konia, mając nadzieję, że znajdzie go tam, gdzie go zostawił. Tym razem nie mógł uciekać wodą, bo Juna nie potrafiła pływać i była za mała oraz zbyt delikatna, aby wytrzymać zimno rzeki. Yorsh poradzi sobie inaczej. Nie bał się. Nie ze swym mieczem w dłoni. Pochylił się nad Juną, aby powiedzieć jej, żeby niczego się nie obawiała. Mała miała w ręku prawdziwą procę i mierzyła w jakiś cel.

Przytaknęła pewnie, nie odrywając wzroku od celu.

Jedna ze strzał o mały włos jej nie trafiła. Yorsh zacisnął dłoń na mieczu. Na widok tych uzbrojonych po same zęby żołnierzy, celujących z łuków do dwójki biedaków, którzy nie zrobili nikomu nic złego i chcieli tylko odejść, ogarnęła go wściekłość. Jego furia zamieniła się w burzę. Przeciwno żołnierzom zerwał się gwałtowny wiatr. Oślepieni przez kurz, nie byli w stanie w nich trafić, bo nieliczne strzały, jakie wypuszczali, nie docierały do celu, porwane przez siłę wiatru. Konie spłoszyły się i wyrzuciły jeźdźców z siodeł. Yorsh zdołał połączyć się z umysłem jednego ze zwierząt, dużej czarnej klaczy, która była najbliżej nich. Powiedział

jej o wolności i złotych groszkach. Zrodził w jej głowie obraz zdejmowanej uprzęży. Klacz, zdezorientowana, długo nie mogła się zdecydować, aż wreszcie zaczęła się do nich powoli zbliżać. Grupa żołnierzy otoczyła dwójkę uciekinierów. Było ich trzech, młodych, wysokich i uzbrojonych w miecze - trzy solidne wojskowe miecze z dobrej stali. Miecz Yorsha lśnił

własnym blaskiem. W starciu z jego ostrzem trzy pozostałe szczybiły się i kruszyły. Elf poczuł w swojej głowie ból mężczyzny, najmłodszego z tych trzech, którego zranił w ramię, ale nienawiść do każdego, kto gotów był zabić Junę, wymazała go. Do tamtych dołączyli następni żołnierze, a potem kolejni - masa hełmów, tarcz i mieczy, pośród których Yorsh nie był już w stanie odróżnić twarzy. Rozpędził ich wszystkich, jednego po drugim. Za każdym skrzyżowaniem miecza on nabierał odwagi, podczas gdy inni ją tracili. Jakiś oficer z mnóstwem odznaczeń na zbroi już miał go zaatakować od tyłu, kiedy Juna powaliła go kamieniem wystrzelonym z procy. Niespodziewanie klacz podjęła decyzję i zaczęła biec w ich kierunku, przewracając po drodze żołnierzy. Yorsh zdołał ją zatrzymać i wsadzić Junę na jej grzbiet, prawie trzymając ją na rękach. Aby to zrobić, musiał opuścić miecz. Wysokiemu żołnierzowi o siwej brodzie, który aresztował Yorsha, gdy ten zjawił się po raz pierwszy w mieście, wystarczyło to, aby go zranić: cios zadany mieczem ugodził Yorsha w nogę i z długiego rozcięcia zaczęła ciec krew. Potem mężczyzna podniósł miecz nad głowę Juny.

Yorsh zadał mu cios i w swojej głowie poczuł, jak żołnierz umiera: poczuł wspomnienie jego dzieciństwa, strach przed ciemnością i pustką, tęsknotę za kobietą, której nie poślubił. Choć przerażenie i ból wypełniały jego głowę, Yorsh zdołał wsiąść na klacz. Usiadł za Juną i, obejmując ją w pasie, chwycił wodze, po czym popędził klacz w stronę dużej bramy. Minęli główny plac, gdzie stały już przygotowane dwie szubienice: duża dla niego i mniejsza dla Juny. Zarządca, ogarnięty wściekłością, widocznie zrezygnował z wątpliwego przejawu swej wątpliwej przyzwoitości, w ramach której chciał uniknąć publicznej egzekucji dziecka.

Widok szubienicy przeznaczonej dla Juny przywrócił elfowi gotowość do walki za wszelką cenę,

nawet jeśli oznaczało to ranienie lub zabijanie innych. Musiał szybko zabrać ją w bezpieczne miejsce, zanim straci siły wskutek zadanej rany; musiał wygrać swoją walkę, i to szybko. Klacz pędziła jak na skrzydłach przez ulice Daligaru. Lśniące ostrze elfickiego miecza było poplamione krwią, a jego srogi blask wystarczył, aby onieśmielić i oddalić każdego, kto chciałby ich zatrzymać.

Dotarli do wielkiej bramy. Most zwodzony właśnie się przed nimi podnosił. Były dwa mechanizmy, które go podnosiły: jeden szybki, linowy, a za nim drugi, wolniejszy, łańcuchowy. Yorsh wręczył Junie wodze, chwycił łuk, przełożony przez ramię, oraz jedną z trzech strzał z małego kołczanu przyczepionego do rękawa tuniki, i wystrzelił. Latami ćwiczył strącanie wiszącego wysoko owocu, przecinając strzałą jego szypułkę. Wiedział, że musi ujrzeć cel oczami swego umysłu, a nie swego ciała. Gdy tylko strzała opuściła jego łuk, podpalił jej ostrze. Jedna z dwóch grubych lin podtrzymujących zwodzony most została trafiona w sam środek, częściowo przecięta i wreszcie zaczęła płonąć. Potem przyszła kolej na drugą linę. Przecięte przez strzały, spalone przez płomień, obie liny w końcu puściły.

Most opadł przed nimi z hukiem, aż zaskrzypiały jego stare drewniane belki i podniosła się chmura czerwonego pyłu.

Klacz przemknęła przez nią niczym wiatr. Żołnierze przy bramie zamiast interweniować, usunęli się im z drogi. Obłok kurzu uniemożliwił łucznikom oddanie celnych strzałów.

Byli wolni! Udało im się! Byli wolni! Wolni!

Yorsh miał ranę na nodze, elficki miecz w dłoni, konia, a nawet dwa, i łuk z jedną strzałą. I miał ze sobą Junę. Udało mu się. Juna była cała i zdrowa, i była z nim. Ból z powodu zabitego żołnierza powrócił. Yorsh wiedział, że już nigdy go nie opuści. Wiedział

także, że jest gotów znów walczyć za Junę i pozostałych, za siebie samego i za swoje dzieci, jeśli będzie je kiedyś miał.

Przejechali przez polanę i las kasztanowców. Koń stał tam, gdzie Yorsh go zostawił.

Nie przywiązał go, tak jak mu obiecał, a on sobie nie poszedł. Słońce zachodziło. Powietrze stawało się coraz zimniejsze. Yorsh poczuł coś dziwnego w górnej części żołądka; coś, czego nie doznawał już od lat, dokładnie od trzynastu lat, i co rozpoznał jako uczucie głodu.

Strasznego głodu. Jego los ewidentnie miał problemy z zachowaniem umiaru. Elf powoli zsiadł z klaczy, ciągle się o nią opierając. Rana nie sprawiała mu już bólu, mógł stać na nodze. Oderwał kawałek swojej tuniki i obwiązał nim ranę. Zebrał parę garści kasztanów i podzielił się nimi z Juną, która pozostała na grzbiecie klaczy, aby uniknąć problemów związanych z ponownym wsiadaniem.

Yorsh chciał coś powiedzieć. Chciał powiedzieć, że im się udało. Że zdołali uciec.

Byli żywi. Byli razem. Wolni. Chciał powiedzieć, jak bardzo jest szczęśliwy, że ona jest żywa, wolna, że jest razem z nim.

Z jakichś niezrozumiałych dla niego powodów myśli o rzeczach, które mógłby powiedzieć, biegały

po jego głowie, zderzając się ze sobą nawzajem niczym kłócące się sroki i wreszcie ta, którą wypowiedział na głos, była tą najmniej ważną, tą, która właściwie niewiele go obchodziła.

- Powinniśmy byli pozostawić mu koronę. To znaczy królowi.

- Ale on był już nieżywy - zaproponowała stanowczo Juna. - Naprawdę bardzo nieżywy

- przekonywała.

Yorsh czuł się coraz bardziej zakłopotany i coraz bardziej głupi. Jak mógł, mając tyle rzeczy do powiedzenia, wplątać się w rozmowę tak... niedorzeczną?

- Tak było napisane w książce - wyjaśnił. - ... *komu przeznaczone być wojownikiem, będzie nosił miecz, komu przeznaczone być królem - koronę...* - wyrecytował. - On był królem: powinniśmy byli zostawić mu koronę, tak myślę - dodał niepewnie.

- Ach, więc o to chodzi - powiedziała Juna. - Czyli nic się nie stało! Zobacz!

Włożyła dłoń do swojej dużej kieszeni z brudnego płótna i po chwili w jej rękach zaśniła elficka korona przeplatana błękitnym bluszczem.

Yorsh wpatrywał się w koronę z otwartymi ustami.

- To ty ją zabrałaś?

- Nie, wziął ją Obal, ten grubszy z dwóch strażników. Wspinał się przede mną, kiedy wydostawaliśmy się na powietrze, więc łatwo było wyciągnąć ją z jego torby. I tak zostały mu jeszcze pierścionki dla jego dzieci, a miał ich sporo, to znaczy pierścionków. Jestem dobrą złodziejką, wiesz! Potrafię ukraść wszystko! - dodała z nieśmiałym, ale i dumnym uśmiechem. - Ale jeśli mówisz, że to ważne, następnym razem kiedy będziemy tamtędy przechodzić, oddamy mu ją, to znaczy królowi, żeby był zadowolony. Jego też ożywisz, tak jak szczura, czy pozostanie martwy?

- Pozostanie martwy.

„Niedorzeczna” to mało powiedziane. Ale w końcu był to pierwszy raz, kiedy rozmawiał z Juną. Tylko dlaczego nie mówił jej... czegoś innego? Yorsh wciąż czuł się jak głupiec, pocieszył się jednak: jeszcze będzie czas na rozmowy. W tym momencie go nie mieli. W mieście z pewnością organizowano już pościg za nimi. Trzeba się było stamtąd oddalić.

Klacz nazywała się Plama - Yorsh wyczytał to w jej pamięci - ale jego koń nie miał

jeszcze imienia. Musiał często zmieniać właściciela i dlatego w jego głowie panował zamęt -

żadne z imion nie pozostało mu na dłużej w pamięci.

Yorsh musiał więc nadać mu imię. Takie, które byłoby dla niego jak najbardziej odpowiednie, tak jak Wierny było odpowiednim imieniem dla psa. Pomyślał o czymś, co jednocześnie wyraziłoby jego



piękno i jego szybkość. Szybki błysk światła!

- Nazwę cię Błyskawica - powiedział na głos.

Juna pomyślała, że spośród wszystkich imion, jakie można nadać koniowi, to było najbardziej dziwaczne. Koń powinien się nazywać Plama albo Kopyto, Ogon albo po prostu Koń. Pomyślała, że to na pewno będzie pierwszy i ostatni koń o imieniu Błyskawica, bo to naprawdę komiczne imię, ale nic nie powiedziała.

Koń zgodził się kiwnięciem łba.

Yorsh na Błyskawicy, a Juna na Plamie skierowali się w stronę Domu dla Sierot, każde chrupiąc swoją garść surowych kasztanów, powoli, tak aby trwało to jak najdłużej.

Podczas pierwszej części podróży Yorsh odczuwał straszne zmęczenie, to, które zawsze ogarnia go po zużyciu całej swojej mocy - wyczerpanie tak ogromne, że aż staje się cierpieniem. Ale potem poczuł się lepiej. Niebo się przejaśniło. Rozbłysnęło na nim kilka gwiazd.

Co jakiś czas on i Juna wymieniali ukradkowe spojrzenia.

Yorsh odczuwał ból z powodu zabicia człowieka, rany na nodze i świadomości, że podąża za nimi cała armia, ale jednocześnie, w całym jego dotychczasowym życiu, życiu, które obejmowało także lot na smoku, to był moment najszczęśliwszy.

Kiedy dotarli do Domu dla Sierot, już świtało, niebo było pochmurne, ale nie padał

deszcz. Delikatna lodowata mgła unosiła się nad ziemią. Byli zmęczeni, szczęśliwi, głodni i wolni. Kiedy przejeżdżali przez lśniącą czerwienią i złotem winnicę, dwóch rozbójników zastąpiło im drogę. Byli zamaskowani, uzbrojeni w kije Beki oraz Karambola i mieli na sobie rozpoznawalne łachmany z Domu dla Sierot. Zagrozili przerażającymi konsekwencjami, jeśli Yorsh i Juna natychmiast nie oddadzą im koni. Przez moment obie strony były zdezorientowane, ale potem wszyscy nawzajem się rozpoznali. Napastnikami byli Drabo i Ospo. Weseli i upojeni, zakomunikowali, że to smok, jeszcze zanim uspiło go piwo, osobiście powierzył im zadanie zdobycia tyłu koni, ile im się uda, aby potem przetransportować wszystkich nad morze. Yorsh i Juna byli pierwszymi jeźdźcami, którzy tamtędy przejeżdżali.

Wszystkich? Jakich wszystkich? Wszystkich, którzy do nich dołączyli. Kiedy przestało padać, a zapach ich pieczeni rozszedł się po okolicy, unosząc się ponad nędznymi wioskami i domostwami, których najlepiej odżywionymi mieszkańcami były króliki, wszyscy przymierający głodem przyszli, aby do nich dołączyć. Przyszli ci, którzy nie posiadali niczego, i ci, którzy nie posiadali nikogo. Zebrali się wszyscy przepędzeni ze swoich domów i nękanii biedą; ci, którzy nie mieli ziemi, i którzy marzyli, by znów ją mieć. Było ich dużo.

Siedząc nadal na swoich koniach, Yorsh i Juna przybyli na polanę przed Domem dla Sierot. Wszędzie tliły się jeszcze pozostałości po ogniskach, niektóre wciąż dymiły, a dym mieszał się z mgłą. Na ziemi pióra gęsi, kur i kaczek mieszały się z jesiennymi liśćmi.

Dookoła smoka leżały trzy puste przewrócone beczki po piwie, w których spali ludzie.

Pozostali leżeli na polanie jedni na drugich, widać było przede wszystkim ich czarne ręce, które wystawały spod postrzępionych rękawów ich ubrań. Inni spali w domku Beki i Karambola, niektórzy na podwórku. Domu dla Sierot już nie było. Na jego miejscu niezliczona ilość kamieni tworzyła maleńki pagórek - Dom dla Sierot zburzono, obrzucając go kamieniami. Z pomocą Draba i Ospa Juna zsiadła z grzbietu Plamy, potem schyliła się, podniosła jeden z kamieni i uderzyła nim w to, co pozostało z północnej ściany, niedaleko miejsca, w którym spała. Stała tak długo z wzrokiem wpatrzonym w pustkę. Cała usłyszała ją i wybiegła jej naprzeciw, krzycząc, że zachowała dla niej jedno prawdziwe kurze udko, dzielnie broniąc go przed wszystkim i przed wszystkimi. Kury nie myślą zbyt wiele, a są o wiele smaczniejsze od szczurów.

Smok był w podłym nastroju i miał nieznośny ból głowy. Yorsh, wściekły, spytał go, jak mógł wpaść na pomysł, aby sprowadzić na złą drogę dwóch niewinnych chłopców, zmieniając ich w rozbójników i złodziei koni. Smok odparł, że słowo „niewinny” najwidoczniej nie jest do końca jednoznaczne i że ci dwaj mieli już wcześniej tak wielki talent do zbójnictwa, że okrucieństwem byłoby nie pozwolić im go wykorzystać. Tak czy inaczej, jeśli Yorsh jest taki mądry i ma lepszy pomysł na zorganizowanie dla wszystkich transportu aż do Astrid, to on chętnie wysłucha jego rad. Skala wieku obecnych tam sierot rozciągała się od trochę większych niż niemowlaki do nastolatków. Nastolatki potrafią chodzić, a trochę więksi niż niemowlaki - nie, i trzeba ich wziąć na ręce.

Oprócz tego była też grupa wędrownych grajków, którzy zjawili się nagle nie wiadomo skąd; choć właściwie to niezupełnie nagle - przybyli, kiedy zapach pieczonej gęsi zaczął rozchodzić się nad równiną, i zatrzymali się tutaj, twierdząc, że jedno z dzieci z Domu dla Sierot jest ich dalekim krewnym, a więc i oni należeli do spółki. Wśród wędrownych grajków było dwoje babć i dziadków, sześcioro prababć i pradziadków, siedmioro ojców i matek oraz dwadzieścia troje dzieci, wśród których również znajdowały się te niewiele starsze niż niemowlaki oraz nastolatki, plus wszelkie miary pośrednie, ale praktycznie nie było nikogo, kto byłby w stanie przemaszerować więcej niż kilka mil. Byli też staruszkowie, którzy uciekli z północnej farmy, tej gdzie umieszczano staruszków tak samo jak w Domu dla Sierot umieszczano sieroty. Ludzie spożywali ilość jedzenia proporcjonalną do ilości pracy, jaką byli jeszcze w stanie wykonać, a jako że staruszkowie byli już trochę wyczerpani -

zważywszy ich podeszły wiek - nie mogli pracować więcej niż tyle, by dostać za to porcję jedzenia dobrą dla żaby, stworzenia jedzącego zazwyczaj dużo mniej niż człowiek. Jeden ze strażników Domu dla Sierot wrócił i zapytał, czy może zostać. Był to przyszczaty chłopak o rudych włosach, który na początku należał do „pensjonariuszy” Domu, a potem dostąpił

zaszczytu zostania jednym z jego strażników. Pomijając pieczone gęsi, chłopiec wrócił, bo nie istniało, a przynajmniej nie przychodziło mu na myśl żadne inne miejsce, do którego mógłby odejść, żadne inne osoby, z którymi mógłby zostać. Natomiast na to, by zostać samemu i w pojedynkę wyruszyć w świat, brakowało mu zarówno zdolności, jak i odwagi. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, jak wyglądało do tej pory jego życie. Ale jego przynajmniej można było uznać za silnego i zdrowego człowieka, to samo tyczyło się „ochotniczych pracowników” hrabstwa Daligar, czyli dwóch kopaczy uzbrojonych w motyki i jednego stolarza-drwala uzbrojonego w siekierę i piłę, którzy uciekli z kopalni żelaza, za północnym wzgórzem. Tak, tam również dotarł zapach z ich różna:

wiatr wiał w tamtym kierunku, a człowiek staje się bardzo wyczulony na zapachy, jakich nie czuł całymi latami. Wszyscy trzej znajdowali się w najmniej wesołej sytuacji, gdyż zabrali ze sobą swoje narzędzia. Cała trójka utrzymywała, że należały one do nich od zawsze, na dużo wcześniej, zanim Zarządca przejął władzę i powiedział, że wszystkie rzeczy pod słońcem między Górami Ciemności a wysoką doliną Dogonu należą do Daligar. Co więcej, stolarz swoją siekierę odziedziczył po ojcu. Problem jednak polegał na tym, że wszystkie te przedmioty zostały już uznane za własność hrabstwa Daligar, tak więc poza udziałem w kradzieży gęsi wszyscy trzej byli też odpowiedzialni za kradzież narzędzi pracy, a zatem powieszoni mogli zostać aż dwa razy, a nie tylko raz. Na koniec, jakby tego wszystkiego było mało, opustoszał także szpital, który znajdował się na wschodzie, po drugiej stronie fosy z krzakami jeżyn. Na szczęście nie było tam żadnych przypadków chorób zakaźnych, tylko kulawi, kalecy, chorzy na skrofuły i ludzie tak wyczerpani, że z trudem trzymali się na nogach. Wszyscy oni oświadczyli, że wolą już umrzeć tu, na miejscu, niż wrócić skąd przyszli.

Nie, nie wszyscy byli w stanie uciekać. Jeśli cała grupa potrafiłaby maszerować cały dzień, nie istniałaby konieczność uciekania się do rozbójnictwa w celu zdobycia koni.

Najstarsi, najbardziej chorzy i cały zastęp najmniejszych dzieci nie daliby rady dojść aż do Gór Ciemności, nie zatrzymując się, a zatrzymywanie się na pikniki na trawie i majówki wśród kwiatów nie było dobrym pomysłem, skoro być może ściga ich już cała armia hrabstwa.

Nie, on nie jest w stanie latać, dopóki nie stawi piwa i nie pozbędzie się bólu głowy, w rzeczy samej, jeśli byłby w stanie latać, już dawno wróciłby w Góry Ciemności, bo jest smokiem, ostatnim ze swego rodu, ostatnim z gatunku, a smoki nigdy nie zadawały się z nikim, kto nie byłby smokiem, i dlatego on zaczyna już mieć naprawdę dosyć tych wszystkich ślimaczących się dzieci, ich śmierdzących szmatek, elfów prawiących morały, nie mówiąc już o jego okropnym bólu głowy. Czy Yorsh mógłby z łaski swojej mówić trochę ciszej, bo on ma wrażenie, że ktoś uderza kilofem wewnątrz jego głowy, a każde uderzenie przyprawia go o nieznośny ból, przytłumiony, ale zabójczy, między czwartą a piątą kością ciemieniową, a skoro już zeszli na temat bólu, również ból tylnych łap jeszcze mu nie przeszedł, nie wspominając o bólu kręgosłupa. Yorsh przypomniał sobie, że smoki mają chyba w sumie trzy kości ciemieniowe, lecz po latach spędzonych z Erbrowem Starszym wysiadującym jajo nabrał wyczucia, kiedy należy trzymać język za zębami.

Mgła przerzedziła się. Wyłonił się z niej szczyt wzgórza, odsłaniając rzędy winorośli, między którymi widać było miejsca, gdzie trawa została wypalona. Yorsh wpatrywał się w nie zdezorientowany. Drabo wyjaśnił, że po piwie smok dostawał czkawki.

Odkąd zabrakło jej taty i mamy, Juna nie miała w ustach kurzego udka. Mięso cudownie rozpływało się na podniebieniu; jego zapach przypominał jej mamę, która gotowała, i tatę, który polował. Dodali do niego nawet rozmaryn! Nie wiedziała, czy zjeść je szybko, tak by głód prędzej minął, czy powoli, kawałeczek po kawałeczku, aby trwało to trochę dłużej.

Wszędzie byli ludzie. Wszyscy mieli postrzępione ubrania. Wyglądali na zmęczonych.

Być może niektórzy byli chorzy.

Yorsh starał się zgromadzić wszystkich razem. Musieli szybko stamtąd uciekać.

Prędzej czy później, ale raczej prędzej, z Daligar przybędzie kawaleria, a wtedy wszyscy będą wspominać niewolniczą pracę na farmach jako najszcześniejszy czas w ich życiu, bo to, co stałoby się z nimi teraz, byłoby o wiele gorsze. Yorsh był ranny i kulał. Próbował zebrać wszystkich ludzi w jedno miejsce, ale jego zabiegi przypominały wysiłki kulejącego psa pasterskiego, który próbuje zapędzić stado owiec. Kiedy już wydawało się, że wszyscy są i można wyruszać, znowu ktoś się oddalał, żeby coś zabrać, poszukać jeszcze jednej kiści winogron lub znaleźć ostatni kawałek chleba lub kufel piwa, który być może gdzieś się jeszcze uchował.

Juna zrozumiała: ci ludzie byli zrozpaczeni od tak dawna, że nie potrafili już nawet mieć nadziei na ocalenie. Kiedy masz za sobą lata głodu i wycieńczenia, „jutro” staje się ciężką do wytrzymania myślą. Jedyne, co wypełnia twoje myśli, to „tu i teraz”. Odczuwać trochę mniejszy głód *teraz*. Zostać *tu*, bo marsz jest męczący. Kto wcześniej otrzymywał

tylko rozkazy i razy za każdym razem, kiedy próbował robić coś, czego mu nie rozkazano, teraz, jeśli nie otrzymał rozkazu, nie był już w stanie zrobić niczego, nawet uratować sobie życia!

Ludzie ci byli tak bardzo oswojeni ze strachem, że groźba ewentualnego ataku ze strony kawalerii z Daligar nie robiła na nich wrażenia. Nie wydawało im się to niczym gorszym od dotychczasowej pustki. Poza tym sądzili, że nie zabija się niewolników, bo potem trzeba za nich pracować. Tymczasem wcale tak nie było. Jeśli szybko stamtąd nie odejdą, nie czekał ich los niewolników, ale los nieboszczyków. Nieboszczyków bez imion i nagrobków, pozostawionych pośród błota dla robaków, sępów, kruków i szurów. Zarządca nie pozwoliłby nigdy na to, aby po buncie lub nawet tylko po uczcie z drobiu będącego własnością „jego” hrabstwa ktokolwiek uszedł z życiem.

Poza tym nie wierzyli, że naprawdę istnieje jakaś droga ucieczki, oczywiste było dla nich tylko to, że nie mogą się ocalić. Jedyne, czego chcieli, to wygrzebać skądś jeszcze jakieś resztki jedzenia, a potem spokojnie poczekać na to, co przyniesie los, i niech się dzieje, co ma się dzieć. Byli od zawsze przyzwyczajeni do głodu, tak więc od uniknięcia spotkania z kawalerią ważniejsze było dla nich to, aby nie przeoczyć nawet najmniejszego ziarnka zboża, nawet najdrobniejszego winogrona.

Juna zamknęła oczy. Wszystko pod jej powiekami stało się błękitne. Teraz mogła już dojrzeć fale, usłyszała nawet ich szum i zobaczyła białe ptaki, które fruwały w stronę horyzontu. Ujrzała plażę i rozpoznała dwie postacie: staruszkę, która bawiła się z Calą, tę trochę przygarbioną, z kijkiem, i

mężczyznę z haczykowatym nosem, który teraz stał między rzędami winogron. Na łodzi, z siecią, rozpoznała Draba i Ospa. A więc miało im się udać!

Yorsh najwyraźniej był w stanie ich poprowadzić. Musiało być coś, co mógł dla nich zrobić, choć sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Coś, co według niego nie miało znaczenia albo nie było w tym momencie przydatne, a w rzeczywistości było niesłychanie ważne!

- Co umiesz zrobić? - spytała nagle Yorsha, kiedy do niego podeszła.

Elf zmieszał się na moment, a potem zaczął wymieniać wszystko po kolei. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy i jaką wymienił, była umiejętność ożywania muszek. Juna musiała zebrać w sobie całą swoją wiarę, aby nie stracić nadziei. Potem lista wzbogaciła się o... umiejętność rozpalania ognia bez podpałki... otwierania zamków bez użycia kluczy...

Potrafił także wzniecać wiatr, który wprowadzał zamęt wśród przeciwników, tak jak zrobił to w Daligar, ale było to zadanie bardzo wyczerpujące, dlatego zdołał zapanować nad nim jedynie przez parę chwil, a potem nie mógł się ruszyć i odzyskanie sił zajęło mu pół dnia.

Umiał leczyć rany... nie, swoich nie, tylko rany innych... umiał... ożywiać muszki, już o tym mówił? Szczury też... i kury... raz ożywił królika... Przez ostatnie trzynaście lat głównie czytał. Czytał bardzo dobrze, potrafił czytać w siedmiu różnych językach, nie licząc elfickiego... Spędził trzynaście lat w bibliotece, w której były wszystkie rodzaje książek...

również o taktyce wojennej, ale te akurat objaśniały, jak wygrać, kiedy występowały przeciw sobie dwa wojska, a teraz po jednej stronie było wojsko, a po drugiej banda... Cóż, lepiej dać sobie spokój z taktyką wojskową. Poza tym przeczytał książki do astronomii, alchemii, balistyki, biologii, kartografii, etymologii, filologii, filozofii... o tym, jak się robi konfitury z winogron... nie mówiąc już o różnych historiach. Jakich? Tych, które czytał smokowi. Nie, nie temu; innemu, jego rodzicowi, kiedy wysiadywał jajo... Smoki wysiadują jaja... Samicą?

Tego nie wiedział, nigdy nie zrozumiał do końca, czy był samcem czy samicą... w każdym razie kiedy smok wysiaduje jajo, jego mózg nie pracuje zbyt dobrze... dlatego trzeba mu dotrzymywać towarzystwa, opowiadając historie, takie jak ta o księżniczce na ziarnku grochu... Jaka jest historia księżniczki na ziarnku grochu?... A zatem była sobie raz królowa, która nie mogła mieć dzieci, była więc bardzo smutna, bo jej życie upływało, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, a ona nie miała kogo kołysać w kołysce...

Zapadła absolutna cisza. Nawet ci, którzy wygrzebywali resztki jakiegoś jedzenia, przestali to robić. Juna także o wszystkim zapomniała, nawet o dokończeniu obgryzania swojej kosteczki kurczaka, i zasłuchała się w jego słowa. Wydało jej się, że wszystko to, co właśnie się dzieje, łącznie z kawalerią z Daligar, która prawdopodobnie zmierza w ich kierunku, jest w jakiś sposób mniej ważne od straszego smutku tej nieszczęśliwej królowej, który teraz i ją przepełniał.

Yorsh przestał mówić i spojrzał na nią zdezorientowany.

- Mów dalej! - krzyknęła Juna.

- A potem co się stało? - krzyknął ktoś inny.

- Hej, nie przerywaj!

- Jak to się kończy?

Ci, którzy słyszeli historię od początku, opowiadali ją innym, którzy jej nie słyszeli, i teraz spieszyli, aby też posłuchać.

Yorsh długo się w nich wpatrywał, coraz bardziej zdziwiony, a potem zaczął znowu opowiadać.

Podniósł głos i nie przerywając, rozejrzał się dookoła: wszyscy przybliżali się do niego. Zaczął ich liczyć, w dalszym ciągu nie przestając mówić, co więcej, włączając liczenie do historii: w momencie kiedy królowa znajdowała się na polu grochu i zaczynała jeść ziarna, liczyła je, jedno po drugim. Wszyscy byli obecni. Można wyruszać. Astrid było od nich oddalone o mniej niż jeden dzień marszu. Wodę mogli czerpać z przydrożnych potoków i strumieni. Wszyscy mieli pełne żołądki. Może im się uda. Nadal opowiadając swoją niekończącą się historię, Yorsh obudził Erbrowa, który zaczął z powrotem chrapać, wsadził

dwoje najmniejszych dzieci na grzbiet Plamy, a sam, jako że rana uniemożliwiała mu chodzenie, wsiadł na Błyskawicę, plecami do przodu, dzięki czemu mógł patrzeć na tłum swoich obdartych słuchaczy, i wyruszył. Pochód zamykał smok. Ani na moment nie przestał

się skarżyć, jak to przy każdym kroku do bólu głowy dochodzi ból tylnych łąp, nie wspominając jak zwykle o bólu kręgosłupa, mówił to jednak dość cicho, aby słychać było historię opowiadaną przez Yorsha. A ona nie miała końca. Za każdym razem, kiedy można było odnieść wrażenie, że zbliża się już ku końcowi, dochodziło do nowego odnalezienia po latach, do nowego porwania, do kolejnego rozpoznania lub następnego złego postępu, następnego pojedynku... Słońce stało wysoko na niebie. Błota było coraz mniej. Nogi zaczynały się męczyć. Z każdym krokiem rosła ochota, by usiąść na chwilę przy drodze.

Najmniejsze dzieci na zmianę jechały na grzbiecie Plamy, ale pozostali musieli maszerować.

Yorsh ochrypl, nie przestawał jednak mówić. Wędrowni grajkowie wyciągnęli swoje flety i zaczęli akompaniować muzyką przy wzniosłych momentach opowiadania: kiedy księżniczka na ziarnku grochu uciekała ze swym ludem przed orkami, muzyka stawała się głośniejsza i szybsza, a Yorsh mógł wtedy na chwilę przerwać, aby napić się parę kropli wody. Kiedy znów zaczął mówić, historia stała się dziwnie podobna do ich własnej. Była w niej mowa o rzece uciekinierów, którzy mogli się uratować, jedynie nadal maszerując. Juna słyszała o ich desperacji, ich nadziejach, obawach, o ich odwadze i z całych sił zaprzagnęła się nie zatrzymywać, nadal stawiać krok za krokiem, dojść do samego końca wysnionej drogi, tej, która nie skończy się, dopóki nie doprowadzi ich do morza. Rozejrzała się dookoła.

Zmęczenie zniknęło również z twarzy innych, utonęło w historii, której słuchali i która rozgrzewała ich od środka niczym ogień. Jedyнным wyczerpanym był Yorsh, nie tylko jego głos stawał się coraz bardziej ochryply, ale także jego ręce zaczęły lekko drżeć. Słońce chyliło się już ku zachodowi:

wkrótce miało zniknąć za górami cienia, Górami Ciemności.

Tuż za ostatnim zakrętem, kiedy dało się już dostrzec resztki tego, co pozostało po wiosce Astrid, wszyscy wreszcie zrozumieli, dlaczego kawaleria Daligaru za nimi nie podążała: mieli ją dokładnie przed sobą, stała w szeregu w Astrid, blokując wejście do wąwozu.

Yorsh poczuł, jak ogarnia go przerażeniem Krok za krokiem, zdanie za zdaniem, poprowadził wszystkich do zguby. Stał skamieniały, wpatrując się w zbroje lśniące w ostatnich promieniach słońca.

Przyprowadził ich na rzeź. Silniejsze od wszystkiego było teraz pragnienie, aby nie musieć wybierać, nie musieć decydować. Silniejsza niż kiedykolwiek była tęsknota za kimś, kto by powiedział: „Nie martw się, synku, jestem przy tobie, ja się tym zajmę”.

Yorsh milczał. Wszyscy się zatrzymali. Smok, mimo bólu głowy i tylnych łap, dotarł

na początek kolumny i stanął obok Błyskawicy i Plamy. Słońce zawisło nad szczytami Gór Ciemności, długie cienie zarysowały się na ziemi. Potem wszystko pochłonęły chmury.

- Jaki jest teraz plan? - spytał oschle.

- Masz jakiś pomysł? - odparł Yorsh z nadzieją w głosie.

- Ja pójdę od prawej, a ty od lewej i ich otoczymy? - zaproponował ironicznie smok.

- Podczas wojny z trollami jeden ze smoków podpalił pole bitwy, unikając w ten sposób starcia. To było w czwartym wieku drugiej dynastii runicznej.

- W trzecim wieku czwartej dynastii - poprawił smok. - I było lato. Upalne i suche lato: wystarczyło jedno kichnięcie. Teraz mamy koniec jesieni. Widzisz to ciemnobrązowe coś, co leży na ziemi między źdźbłami trawy? To coś nazywa się błoto. B-Ł-O-T-O. Błoto ma liczne właściwości, między innymi taką, że jest ognioodporne, co stanowi przeciwieństwo do

„palne”: nie plonie i nie zapala się. Jeśli chcesz, mogę wypalić kilka kręgów w trawie, pod warunkiem że nie zaczną padać, ale wątpię, aby zrobiło to na nich wrażenie.

Yorsh i Erbrow stali, wpatrując się w siebie nawzajem. Nadeszła noc i zaczął padać lekki deszczyk.

Juna zamknęła oczy. Wszystko wypełniło się błękitem. Na tle lśniącego morza zobaczyła długi szereg postaci: byli tam Yorsh, Cala, Drabo i Ospo, ten wysoki i pokrzywiony mężczyzna, mała kobieta, która kuląła... Byli wszyscy. Uda im się. Wszystkim.

Yorsh i smok byli w stanie sobie poradzić. Po prostu nie wiedzieli tylko jak. Musiała się spieszyć. Desperacja wkradła się w ich szeregi niczym wąż do mysiej nory i niczym wąż w mysiej norze połykała wszystko, co napotkała na swojej drodze. Płacze przeplatały się z krzykami i złorzeczeniami. Jeszcze chwila, a wszyscy zaczną uciekać, rozproszą się po równinie, stając się łatwymi i marnymi ofiarami dla uzbrojonych jeźdźców, niczym gromada żab dla latających nad nimi sępów.

Juna przemówiła pogodnie.



- Ty potrafisz latać - powiedziała do smoka - i ziejesz ogniem, a on ma niezwyciężony miecz. Na pewno wam się uda.

- Jego miecz nie jest niezwyciężony. Nie chciałbym sprawić wrażenia pedanta i fanatyka nic nieznaczących drobiazgów, ale żaden z nas dwóch nie jest nietykalny. On już jest ranny, a moje łuski przednio-dolne, te na brzuchu, cóż... są... ehm... troszkę za miękkie dla strzał. Zieję ogniem z moich gruczołów ogniowych, które nie są niewyczerpalne. A teraz, jako że miałem tę... tę...

- Czkawkę z upicia? - zasugerowała gorliwie Juna.

- Powiedzmy, że nie jestem w szczytowej formie - odparł oschle smok. - Mogę zwęglić jednego czy dwóch jeźdźców, pod warunkiem że ten tu wojownik mi na to pozwoli, ale i tak pozostaje ich wystarczająco wielu, aby dać nam do zrozumienia, że nie uznają tego za zabawne.

- Możesz ich wystraszyć - zasugerowała Juna. - Oni nie wiedzą, że jesteś... że jesteś...

pusty.

- Wyczerpany.

- Wyczerpany, właśnie. Oni o tym nie wiedzą i nawet jeśli nie upieczesz żadnego z nich, to i tak każdy będzie się bał, że jest tym wybranym do upieczenia i dlatego wszyscy będą się trzymać z daleka. Posłuchajcie, to nie jest niemożliwe. Smok odwróci ich uwagę od tej strony, a my uciekniemy w kierunku wąwozu. Ktoś nas zaatakuje, ale będzie ich niewielu, Yorsh sobie z nimi poradzi, w Daligar stawiał czoło mnóstwu żołnierzy.

- A potem? Nie mogę odwracać ich uwagi w nieskończoność! Prędzej czy później zdołają wejść do wąwozu. A wodospad? Wąwóz robi się coraz węższy, na jego końcu jest wodospad, zapomnieliście o tym? Nazywa się Otchłań Dogonu i jest nie do przebycia.

Schody prowadzące do biblioteki są zablokowane przez osuwisko. Widzieliśmy je pierwszego dnia naszego lotu.

- Wodospad nie jest nie do przebycia. Pokonali go mieszkańcy Astrid, pokonamy i my.

- Dobrze - powiedział smok. - A więc pokonają go również oni. Zamiast zostać wymordowani tutaj, zostanieie wymordowani na plaży.

Zapadła długa cisza. Juna poczuła coś dziwnego w górnej części brzucha - nie był to głód, lecz strach. Nauczyła się ufać swoim wizjom, ale wiedziała, że nie są kompletne. Może wszyscy dotrą do błękitnych wód morza, i to właśnie widziała, ale możliwe też, że potem przybędą żołnierze Zarządcy i błękit zamieni się w jasną czerwień albo bardzo ciemny róż.

Opanowała się. Morze jest błękitne i takie miało pozostać. Przejrzyste, lśniło w blasku słońca.

- My przejdziemy, a oni nie - krzyknęła pewnym głosem. - Bo my jesteśmy inteligentni, a oni są głupi. My uciekamy, aby się ocalić i żyć dalej, a oni wykonują tylko rozkazy. Na pewno coś wymyślimy,

coś, o czym oni nie wiedzą. Uda nam się. Spójrzcie! Oni mają peleryny i zbroje. Deszcz przeszkadza bardziej im niż nam. Popatrzcie! Kopyta ich koni ślizgają się po błocie bardziej niż nasze stopy. Spójrzcie!

- Naprawdę? - powiedziała Cala, która była przemoczona do suchej nitki i leżała w błocie, bo właśnie się poślizgnęła. - Deszcz naprawdę dokucza bardziej im niż nam?... Jesteś pewna?... A więc to jeszcze nie jest nasz całkowity koniec?... Jeszcze może nam się udać?...

Juna nie odpowiedziała.

- Spójrzcie! - krzyknęła po raz ostatni do elfa i smoka. Potem obróciła się i popatrzyła na nędzną grupę, która rozproszyła się w padającym deszczu. Przyszło jej do głowy, że mogłaby wskoczyć na grzbiet Plamy, ale trzech malcy, którzy na niej siedzieli, tak mocno się jej trzymali, że nie sposób było ich stamtąd ściągnąć. Spróbowała zebrać całą gromadę w jedno miejsce, bo zjednoczeni mieli szansę sobie poradzić, podczas gdy rozproszeni byli zgubieni.

Biegała od jednego do drugiego, ślizgając się w błocie.

- Była sobie raz - Yorsh krzyknął na całe gardło. Jego głos rozbrzmiał donośnie pośród jęków i płaczów. - Była sobie raz gromada bohaterów, którzy... którzy... byli kiedyś niewolnikami. Był sobie raz lud niewolników, który... postanowił... odejść... aby stać się ludem wolnym i aby to osiągnąć... aby być wolny... przybyli nad morze...

Yorsh zaczął długą i niesamowitą opowieść. Wymyślił imiona, opisał armię, opisał

uciekinierów, jednego po drugim, każdy odnalazł w tej opowieści siebie samego, pod innym imieniem i z inną historią. Strach zaczął ich opuszczać. Zmęczenie zaczęło ustępować z nóg i wyczerpanych umysłów.

Deszcz przestał padać. Podniósł się lekki wiatr i rozpędził chmury. Światło księżyca rozświetliło równinę i wąwóz Astrid, po którego drugiej stronie czekały wolność i morze.

Banda obdartusów zaczęła się gromadzić.

- Był sobie raz lud niewolników, który stał się ludem wolnym, przebywając pustynię i morze... a potem jeszcze wąwóz... Idźcie za Juną. Trzymajcie się razem i idźcie w kierunku wąwozu. Ona zna drogę: mieszkała tutaj. Ja i smok będziemy bronić waszej kolumny. Wy pozostańcie razem, idźcie za Juną.

Juna musiała być jak najbardziej widoczna w słabym świetle księżyca. Światła było niestety niewiele, a do tego wszyscy ciągle mylili ją z Calą, i część szła za jedną, a część za drugą. Wciąż miała w kieszeni koronę króla. Wyciągnęła ją i włożyła na głowę. Księżyc ją oświetlił i korona rozblęsnęła w ciemności.

W tym momencie kawaleria ruszyła. Rozpoczęła natarcie. Yorsh dobył swój miecz.

Błyskawica był wyczerpany: miał za sobą dzień, noc i jeszcze jeden dzień drogi, odnalazł

jednak siłą. Stał dęba. Juna ujrzała miecz Yorsha, który lśnił w świetle księżyca jak jej korona.

Przez moment wydawało się, że blask księżyca skryzalizował czas, tak jakby rzeczywistość i marzenia stopiły się w chwili bezruchu. Potem wszystko się rozbiło.

Erbrow zdecydował się wreszcie wkroczyć do akcji.

Przerażający ryk rozbrzmiał wokół.

Straszny płomień rozdarł ciemność, zmieniając wilgotne powietrze w delikatną mgłę.

Kawaleria zatrzymała się, niepewna. Armia obdartusów znów nabrała odwagi. Między nimi a lancami żołnierzy Daligaru zawisł lśniący miecz jednego wojownika i płomień smoka.

W ich sercach była historia ludu niewolników, który przebył świat, aby stać się ludem wolnym, i to zmieniło ich w lud bohaterów. Przed nimi korona małej królowej lśniła w ciemności jak ostrze miecza.

Drabo i Ospo, uzbrojeni w swoje kije, zbliżyli się do Yorsha, aby osłaniać go po bokach. Dwaj mężczyźni, którzy uciekli z kopalni, zabierając ze sobą swe łopaty, teraz chwycili je, by nimi walczyć. Również drwał, były „pracownik przy pniach”, zabrał swoją siekierę, tak samo jak inni pomnażając przestępstwo „kradzieży narzędzia pracy” o przestępstwo „opuszczenia przydzielonego stanowiska pracy”. Teraz postanowił wykorzystać owo narzędzie. Wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety bez dzieci i wszyscy starsi chłopcy zebrali się wokół Yorsha, który ani na chwilę nie przestawał mówić. Teraz opowiadał o bohaterskich czynach Drabina Wspaniałego i Ospina Niezwycięzonego, rozbójników, którzy zostali porucznikami, Prarta, który przybył z lasów ze swoją magiczną siekierą, dwóch Szlachetnych Kopaczy, z których zdjęto właśnie czar...

Padł deszcz strzał, ale smok stanął między nimi a jeźdźcami Zarządcy i strzały odbiły się od grubych i twardych łusek na jego grzbiecie niczym groszki od muru.

- Wytrzymamy - krzyknęła Juna, szczęśliwa.

„Jak długo?” zastanawiał się Yorsh.

Niebo całkiem się roz pogodziło. Chmury się roz pierzchły. Księżyc oświetlił dokładnie szkielety pozostałe po domach w Astrid, w zakolu rzeki, która lśniła srebrem swych wód pośród ciemności nocy. Powyżej, po jednej stronie skała tworzyła pionowe urwisko, po drugiej było ono niewiele łagodniejsze, na górze zaś rozpościerała się ziemia i las ogromnych starych dębów, ich czarne korzenie utrzymywały olbrzymie skały białego granitu, od którego odbijało się światło księżyca.

Chronieni przez Yorsha i jego małą prowizoryczną armię, a przede wszystkim przez groźny i wielki grzbiet smoka, jeden po drugim weszli do wozu. Juna przeszła tuż obok popiołów tego, co było kiedyś jej domem. Łzy napłynęły jej do oczu. Musnęła dłonią zwęglone ściany, które były wszystkim, co pozostało po budynku. Przypomniła sobie, jak dwa lata temu wyciągnięto ją stąd siłą, a ona pozostawiła szlak z rzecznych kamyków -

białych, okrągłych i jednakowych - tak aby odnaleźć drogę powrotną. Od tamtej chwili już nigdy więcej nie zapłakała. Pies, Wierny, próbował jej bronić i został okulawiony. We wszystkich swoich snach, kiedy wracała do Astrid, Wierny wybiegał naprzeciw, kulejąc.

Poszukała go wzrokiem w nadziei, że pozostał tutaj, pilnując domu i czekając na jej powrót, ale była to płonna nadzieja, bo żaden pies nie jest aż tak wierny, aby czekać na kogoś całymi latami. Kośława sylwetka psa nigdzie się nie pojawiła. Oczy dziewczynki wypełniły się łzami, które jednak nie spłynęły po policzkach: powstrzymała je jak zawsze.

Musieli iść dalej.

Juna odwróciła się. Cała poszarpana grupa weszła bezpiecznie do wąwozu. Yorsh i pozostali zamykali pochód bohaterów „z przymusu”, który teraz odcinał się wyraźnie na tle srebrzystej rzeki. Smok blokował wejście do wąwozu. Na jak długo? Gdyby się odsunął, jeźdźcy natychmiast by ich zaatakowali; mieliby kawalerię tuż za plecami. Jeźdźcy byli wypoczęci. Oni maszerowali od samego rana. Niektórzy zaczęli upadać na ziemię ze zmęczenia. Żadna opowieść nie była już w stanie dodać im sił, aby mogli dalej maszerować.

Najmniejsze dzieci kwiliły z zimna i głodu. Plama też wydawała się tracić siły. Nawet Błyskawica się zatrzymał.

I wtedy w powietrze wzbił się smok.

Jego skrzydła rozpostarły się na niebie. Wspaniałe zielone spirale zaśniły w świetle księżyca. Był wspaniały. WSPANIAŁY. WSPANIAŁY. WSPANIAŁY. WSPANIAŁY.

WSPANIAŁY. WSPANIAŁY. WSPANIAŁY. WSPANIAŁY.

Wzbił się w powietrze pośród deszczu strzał i nawet w słabym świetle jasnego nocnego nieba Juna dostrzegła czerwone smużki krwi ciekącej z ran, które otwierały się, jedna za drugą, pośród delikatnych łusek jego klatki piersiowej. Jak we śnie usłyszała, jak długie „Nieeeeeeeeeeeee” Yorsha gubiło się w ciemnościach niczym daremna modlitwa.

Ostatni wielki płomień przeszył nocne niebo, rozświetlając je po raz ostatni. Zabójcza fala ognia ogarnęła drzewa dębowe, które, mimo że były przemoknięte, zapaliły się. Zwęglone korzenie rozsypały się i skały granitu zaczęły ześlizgiwać się w dół, porwane przez błoto zmieszane z tym, co pozostało z ciągle palących się pni. Smok uderzył całym ciężarem swego ciała w ostatnie skały, które podtrzymywały całe zbocze wzgórza, ale by tego dokonać, musiał pozostać w powietrzu, z klatką odsłoniętą przed napastnikami - przeszyły ją kolejne strzały, potem następne i jeszcze następne.

Potężna lawina ziemi, skał i ognia z przerażającym hukiem osunęła się do wąwozu, zamykając wejście do środka.

Skały, błoto, znów skały i błoto, i znów skały i błoto, i połamane drzewa.

Całe zbocze góry osunęło się, zamykając wąwóz Astrid już na zawsze.

Smok po raz ostatni uderzył skrzydłami, potem spadł i zniknął na zawsze po drugiej stronie ściany ziemi, kamieni, błota oraz połamanych drzew, ściany, której nie sposób było pokonać, a która teraz ich osłaniała.

Juna zamknęła oczy. Wszystko stało się błękitne, a postacie ich wszystkich odcinały się na tle lśniącego morza.

Jak mogła tego wcześniej nie zauważyć? Nigdzie nie było zieleni.

W jej wizji nie było smoka.

Oni wszyscy mieli ocaleć, bo smok oddał za nich swoje życie.

Znała smoka zaledwie pół dnia. Zamieniła z nim tylko kilka drażliwych słów, ale gdyby nie on, ich sen o wolności byłby czystym szaleństwem.

Od dwóch lat obraz dużych zielonych skrzydeł pocieszał ją, gdy była w rozpacz.

Juna wybuchnęła przeciągłym płaczem, który dołączył do lamentu Yorsha.

Światło księżyca zalało świat. Chłodny wiatr zerwał się, by go orzeźwić. Ból głowy minął, Erbrow znowu był w stanie latać.

Wreszcie mógł stamtąd odlecieć. Szybki pionowy lot, grzbietem do łuczników.

Jego obecność i tak na nic by się już nie zdała. Prędzej czy później wszystkich ich wybiją. Lepiej prędzej niż później - oczekiwanie jest męczące, odwlekane egzekucje to okrucieństwo.

On zaś uda się do biblioteki, gdzie pożyje kilka wieków, latając czasem nad morze, aby najeść się delfinów i mew. Kiedy nadejdzie w końcu moment wysiadania jaja, zaszyje się na dobre w swojej wspaniałej bibliotece, gdzie będzie mógł się cieszyć złotymi groszkami, różowymi grejpfrutami i niewyczerpanym zapasem opowiadań, aż do narodzin swego potomka, który, także będąc smokiem, przez kolejne stulecia również będzie objadał się delfinami i mewami, i tak dalej, i tak dalej.

Bo przecież on jest smokiem, a oni tylko tłumem nędzników. Ale jeśli chce odlecieć odwrócony grzbietem do łuczników, będzie musiał przefrunąć nad Yorshem, Juną oraz całą resztą i spojrzeć na nich po raz ostatni, zanim opuści ich na zawsze. Ale to nic. Samotność jest przeznaczeniem każdego smoka, a zdrada od zawsze była dla jego rasy czymś tolerowanym. SMOK nie jest nikomu winien dochowania wierności.

Erbrow uświadomił sobie, że nikt nie zajmie się jego niemowlęciem.

Nikt nie nauczy go latać.

Jego malec będzie pogrążony w rozpacz i samotny. Może zginie w pożarze wznieconym przez samego siebie podczas kichnięcia lub popłakiwania, gdy potknie się o własny ogon.

Przypomniał sobie Yorsha, kiedy uczył go latać.

Pomyślał, że nigdy nie zdoła odlecieć, pozostawiając ich tam samych naprzeciw całego wojska. Przez jego głowę przemknęły różne wspomnienia, rozbrzmiało wśród nich potępienie ze strony jego przodka i przodków przodka za to, że on, smok, ośmiela się myśleć o narażeniu własnego życia dla jakichś przeciętnych istot, tłumy zwykłych nędzników.

On jest smokiem. Ostatnim smokiem. Najdoskonalszym ze stworzeń. Smok nie walczy za nic i za nikogo prócz siebie, bo nie istnieje nic ani nikt jemu dorównujący. Musiał

stamtąd odlecieć. Musiał ich opuścić, by ratować siebie.

Jeśli oddali się stamtąd teraz, będzie żył dalej. Przeżyje długie życie w okrutnej całkowitej samotności. Narodzi się mały smok, który także będzie żył w okrutnej całkowitej samotności, pod warunkiem że zdoła w jakiś sposób przeżyć swoje smutne i puste dzieciństwo. To jeszcze gorsze niż życie feniksa.

Pomyślał o tym, że nie ma już smoków, bo to właśnie samotność sprawiła, że wyginęły.

Pomyślał, że nie można żyć, stulecie za stuleciem, hodując tylko własną wspaniałość i własną samotność.

Pomyślał, że ważne są nie rzeczy, lecz sens, jaki im nadajemy. Prędzej czy później wszystkich czeka śmierć. Ważniejsze od odwlekania śmierci jest nadanie jej sensu.

W ciemności miecz Yorsha i korona Juny lśniły w srebrzystym świetle księżyca.

Erbrow pomyślał, że będą o nim krążyć legendy. Przez całe wieki pieśniarze będą śpiewać o ostatnim smoku, tym, który pomógł wielkiemu elfickiemu wojownikowi i małej, potarganej królowej dopełnić ich przeznaczenia jako założycieli krainy, w której ludzie mogą być wolni.

Ogromny smok wzbił się w powietrze, a jego lot przyniósł ocalenie - wielką lawinę błota, która zamknęła wąwóz ogromną ścianą, niebezpieczną i niemożliwą do przebycia. Lecz ratując ich, Erbrow odsłonił swoje podbrzusze, wrażliwe miejsce, od którego strzały nie odskakiwały jak groszki od ściany, lecz wbijały się głęboko w ciało, a obfite strumienie mocno czerwonej krwi plamiły zieleń łusek. Smok wzniósł się do góry, rozpościerając w świetle księżyca swe wielkie skrzydła. Potem strzał było tak wiele, że krew, która ciekła z ran, wyczerpała się.

Erbrow, ostatni smok, upadł na ziemię i już na niej pozostał, leżąc w trawie i błocie w ostatnich chwilach swego życia.

Do samego końca marzył, by nie umierać, by móc jeszcze trochę pożyć, nawet z ciałem przebitym strzałami i w błocie, które nasiąkało wokół od jego krwi.

Potem jego umysł przepełniło inne marzenie, pierwsze marzenie w jego życiu.

Zamarzył o sobie, kiedy był niemowlakiem, szczeniakiem, urodzonym niedawno, z głową spoczywającą na kolanach swojego brata elfa, pośród bezkresnej łąki stokrotek. Po raz ostatni otworzył oczy. Cud się powtórzył. Otaczały go tysiące maleńkich kwiatów, jaśniejących w świetle księżyca pod stopami żołnierzy, którzy zbliżali się do niego ostrożnie. Erbrow spojrzał na płatki i poczuł przepełniającą go radość, po czym znów zamknął oczy. Tym razem już na zawsze.

Świt wstał zimny, pochmurny i szary. Yorsh drżał. Nie chodziło tylko o ranę, zmęczenie i zimno, którym nie miał już siły się opierać.

Strata Erbrowa ciążyła mu niczym głaz. Erbrow był jego rodziną, jego bratem.

Wydawało się, że przeznaczeniem wszystkich, których kochał lub którzy kochali jego, była śmierć. Wszystkich, z wyjątkiem Juny.

Juna wciąż żyła. Musi skupić całą swoją uwagę na niej, na jej oddechu, na jej uśmiechu - wtedy ciężar stawał się na tyle lżejszy, że elf mógł oddychać.

Po zejściu ogromnej ziemnej lawiny uciekinierzy upadli na ziemię, kładąc się jedni na drugich, aby było im cieplej. Wśród pozostałości po chatach Astrid zapalili kilka ognisk, by się ogrzać.

Dla Yorsha noc była niekończącą się udręką, każda kolejna minuta przynosiła kolejne rozczarowanie. Co chwilę miał nadzieję, że ponownie ujrzy skrzydła, znowu zobaczy płomienie. To musiała być jakaś sztuczka lub jakiś żart. To na pewno jest jakaś sztuczka lub żart. Może ranny Erbrow został schwytany? Zakutego w łańcuchy, zabiorą do Daligar i zamkną w więzieniu. On, Yorsh, weźmie swój miecz i wyruszy, by go uwolnić; stawi czoło całemu garnizonowi, a potem uciekną razem - Erbrow rozłoży swe wielkie skrzydła, a on usiądzie na jego grzbiecie.

A jednocześnie przecież wiedział. Jedna część umysłu karmiła go bajkami, druga zaś wiedziała. Umysł Yorsha potrafił postrzegać umysł Erbrowa dokładnie tak samo jak jego oczy umiały go widzieć, a węch czuć. Umysł Yorsha wiedział, że Erbrow zginął. Ich umysły były ze sobą złączone. Tam, gdzie wcześniej chłopiec wyczuwał umysł smoka, teraz ziała czarna dziura lodowatego nieistnienia.

Yorsh nie mógł pogodzić się z tym, że oto teraz musi żyć na świecie, na którym nie istnieją już smoki; gdzie nie ma Erbrowa, który nie złoży już żadnego jaja.

Nagle pewna nieoczekiwana myśl zmroziła go niczym wiadro lodowatej rzecznej wody: nawyk traktowania Erbrowa jako swego starszego brata bogatego w mnóstwo wielorakich i odziedziczonych wspomnień, które pozwalały mu mówić o wydarzeniach sprzed wielu lat lub nawet wieków tak, jakby on sam w nich uczestniczył, sprawił, że Yorsh zapomniał, iż w rzeczywistości smok żył mniej niż dwa miesiące. Był jak meteor.

Przypomniawszy sobie, że w starym języku elfów Erbrow to inaczej „kometa”.

Juna długo szlochała. Tak jak mamie, kiedy była zrozpaczona, jej także ciekła z oczu woda. Nos zapełniały smarki, miała czerwone oczy i opuchnięte powieki, jakby nie spała od dwóch dni. Z jednej strony, Yorsh nadal uważał takie zachowanie za dziwaczne, mało higieniczne i niewygodne, z drugiej - on sam z całego serca również pragnął, by mógł

zapłakać.



Jakby tego wszystkiego było mało, cierpiał jeszcze okropnie na myśl, że musiał zadać śmierć.

Kiedy brzask poranka rozjaśnił świat, pojawił się problem jedzenia. Wszyscy byli głodni. Zapasy, jakie ze sobą zabrali - resztki z uczyty na polanie przed Domem dla Sierot - już dawno się skończyły. Jabłonie i winnice w Astrid zostały ścięte lub spalone. Pozostały jedynie pstrągi. W tym miejscu w Dogonię roiło się od ryb. Ich srebrzyste łuski połyskiwały w wodzie, a Yorsh miał łuk z elficką strzałą. Nikt nie ośmielił się go o to poprosić, ale w pewnym momencie sam uznał, że nie wytrzyma już dłużej głodu wszystkich tych biednych ludzi, wszystkich dzieci. Życie i śmierć są nierozłączne, powiadał Erbrow.

Śmierć jednych łączy się z życiem dla innych. Już nigdy więcej nie usłyszy, jak smok mówi te słowa. Nigdy więcej. Nigdy więcej nie usłyszy, jak chrapie. Nigdy więcej nie usłyszy, jak oddycha. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Cokolwiek robił, te dwa słowa wciąż rozbrzmiewały w jego wnętrzu. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej.

Yorsh napiął łuk i wycelował. Nigdy więcej nie usłyszy już jego głosu. Choć nigdy nie chybiał celu, bo celował oczami umysłu, to za każdym razem rozdzierało go pragnienie, by nie trafić, aby nie czuć bólu ryby, która umierała. Strzelił. Nigdy więcej nie ujrzy jego skrzydeł na niebie. Zobaczył, jak strzała trafiła pstrąga, i poczuł smutek umierającego zwierzęcia. Przed końcem dnia miał go odczuć jeszcze około pięćdziesięciu razy. Musiał

nakarmić dziewięćdziesiąt dziewięć osób, a jeden pstrąg wystarczał dla jednego dorosłego lub dwojga nastolatków albo trojga małych dzieci. Drwał rzucił się do wody, by wyłowić rybę.

On i jeden z kopaczy byli jedynymi, którzy potrafili pływać, dlatego musieli na zmianę odławiać zdobycz z lodowatej wody i wyciągać z niej jedyną strzałę, jaką mieli.

Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy więcej.

Drwał odzyskał strzałę i oddał ją Yorshowi. Elf zaczął od nowa. Upolował jeszcze kilka pstrągów, a potem wszyscy znowu ruszyli w drogę. Na zmianę maszerując, łapiąc ryby i chwilę odpoczywając, mieli dojść do wodospadów. Yorsh przypomniał sobie, jak kiedyś przeleciał nad nimi na grzbiecie Erbrowa. Nigdy więcej. Znowu zapragnął umieć płakać.

Szli, łapali ryby, czasami komuś udawało się znaleźć krzaki jagód. Przed zachodem słońca rozbijali obóz. Drwał ścinał duże gałęzie jodeł i świerków, z których budował

prowizoryczną chatę. W jej czterech kątach paliło się drewno, a nad ogniem opiekały się pstrągi. Szli naprzód, dzień za dniem, z dziwnym uczuciem, że czas i ich życie znalazły się jakby w zawieszeniu, jakby w oczekiwaniu na coś, co miało się zdarzyć.

Yorsh myślał o tym, jak po raz pierwszy pokonał tę trasę. Leżał wyciągnięty na plecach w łódce i płynął z dwiema wspaniałymi osobami, które robiły wszystko, by nie widział, jak jedzą uwędzone pstrągi, on zaś miał całe woreczki grochu oraz kukurydzy i napełniał sobie żołądek. Pokonywana pieszo droga okazała się dłuższa, kamienista, bardziej męcząca, nie mówiąc już o dokuczliwym

głodzie. Ale wszystko to było niczym w porównaniu z raną, jaką niósł w sercu, z tymi dwoma słowami „nigdy więcej” rozbrzmiewającymi w jego głowie przy każdym oddechu. Niemniej jednak, niespodziewanie dla siebie samego, zdobył ten wspaniały, niezwyklej skarb - Junę, która szła teraz tuż obok niego.

Musieli iść dalej. Była już późna jesień, w każdej chwili mógł spaść pierwszy śnieg, a wtedy wszystko stałoby się dla nich jeszcze trudniejsze.

Miejscami droga była łatwiejsza do pokonania i mogli iść brzegiem małych plaż, kiedy indziej musieli wspinać się po stromych mokrych skałach, ślizgając się na mchu lub, jeśli nie dawało się przejść brzegiem, okrążali go, idąc lasem, uważając przy tym, by nie oddalić się zbyt od wody, nie stracić orientacji i nie zablądzić.

Nagle pojawiły się przed nimi wodospady. Choć zapowiedział je wcześniej huk spadającej wody, ich widok i tak przyprawił wszystkich o zawrót głowy. Woda spadała z bardzo wysoka, skrząc się w promieniach światła. Poniżej, przed nimi, rozciągało się morze.

Horyzont dotykał nieba wzdłuż długiej, niczym nieprzerwanej linii, nie licząc maleńkiej wysepki, na której rosła dzika wiśnia tracąca właśnie swoje ostatnie liście. Między skałami, po ich prawej stronie, ponad maleńką plażą, do której można się było dostać jedynie od strony rwącej rzeki, wspięły się wąziutkie schody prowadzące do wysokiej skały, na której widniał

napis Hic SUNT DRACOS. Jedna część schodów była nieodwracalnie zniszczona, a napis teraz był już nieaktualny. Odizolowana od wszystkiego i wszystkich, położona na niedostępnym szczycie, biblioteka strzegła swych nieprzydatnych skarbów.

Skupiając myśli na Junie, Yorsh był w stanie nie poddawać się przygnębieniu.

Hic SUNT DRACOS.

Nigdy więcej, już do końca świata.

Miał za to Junę, na świecie była z nim Juna. I inni. Już zdążył ich poznać. Wszystkich, każdego z osobna. To dziwne uczucie dla kogoś, kto spędził całe dotychczasowe życie w samotności.

Juna była na tym świecie i była przy nim. Musiał sobie to wciąż powtarzać.

- Jak teraz przejdziemy? - spytał Drabo, na którym wspaniały i przyprawiający o zawrót głowy wodospad zrobił ogromne wrażenie.

- Nie wiem - odparł szczerze Yorsh.

- Nigdy nam się to nie uda! - dodał przygnębiony Ospó.

- Ależ oczywiście, że nam się uda - pocieszyła ich pogodnie Juna. - Nie może nam się nie udać. Mieszkańcy Astrid kiedyś już tędy przeszli, więc musi być jakiś sposób!

Yorsh odzyskał odwagę. Erbrow nie mógł zginąć na darmo. Uda im się. Musi się tylko bardziej skupić. Rozejrzył się wokoło. Morze było błękitne. Wokół nich, na prawie nagich drzewach, lśniły w słońcu ostatnie czerwone i złote liście, podczas gdy szczyty Gór Ciemności były już białe od śniegu. Musiał być jakiś sposób, by mogli iść dalej.

Nic nie przychodziło mu jednak do głowy.

- Hej, to wcale nie takie trudne: wystarczy kopać! - mruknął jakiś głos.

A właściwie dwa głosy.

To dwaj robotnicy z kopalni hrabstwa Daligar, którzy sami ochrzcili się Szlachetnymi Kopaczami, identyfikując się z bohaterami pewnej osobliwej historii o heroicznych czynach dwóch postaci wymyślonych przez Yorsha na ich podobieństwo. Od tamtej pory, po długich latach, gdy uważali samych siebie za niewiele więcej niż zwierzęta pociągowe, poczuli, że bije od nich nowe światło godności i wartości. Po raz pierwszy w całym swoim życiu ośmielili się podnieść głos, by przemówić publicznie. Dwaj Szlachetni Kopacze wspięli się na południową ścianę wąwozu i odkryli, że oprócz skał jest tam także trochę ziemi. Mogli wykopać drogę przez skałę, za wodospadem. Potrzebowali tylko drużyny pomocników, którzy wynosiliby ziemię, w miarę jak oni będą kopać przejście; pomocników, którzy zmienialiby ich, kiedy zaczną ich boleć ramiona, oraz prostych i zastrzonych na końcu gałęzi, które by podtrzymywały wykop.

Jeśli wszyscy pomogą, może im się udać.

Pół dnia nie wystarczyło. Zajęło im to całe trzy dni. Kiedy skończyli, nie było wśród nich ani jednej osoby, która nie wyglądałaby jak posąg z błota. Musieli wydrążyć przejście najpierw w ziemi, potem w skale, używając zaostrzonych kamieni zamiast kilofów, jako że ich nie posiadali.

W ramionach odczuwali zmęczenie tak wielkie, że wydawało im się niemożliwe, by kiedykolwiek przestały ich boleć.

To było powolne, męczące, ale i wspaniałe zejście. Przed nimi otwierało się morze, obok wodospad spadał z łoskotem niezliczoną ilością skrzących się w słońcu kropel wody. W

powietrzu zapach soli mieszał się z zapachami mirtu i dzikiego kopru, które wraz z maleńkimi dzikimi orchideami rosły uparcie w szczelinach niegościnnych skał smaganych wiatrem.

Schodząc powoli coraz niżej, dostrzegli małe jezioro, utworzone przez wodospad na samym dole i otoczone nadmorskimi sosnami. Tuż za nim rozciągała się długa biała plaża, która biegła wzdłuż znajdującej się pod nimi zatoki. Zatoka z jednej strony ciągnęła się dalej, przechodząc w płaskie wybrzeże, a z drugiej była zamknięta ostrym i porośniętym zielenią przylądkiem, na którym nocą świeciły maleńkie światełka: nowe domy Astrid!

Yorsh nie miał już ani siły, ani pomysłów, by snuć dalsze opowiadania, lecz wędrowni grajkowie wyciągnęli swoje instrumenty i muzyka dodała sił tym, którzy pracowali. Godzina za godziną, garść ziemi za garścią ziemi, przekopali sobie drogę.

Zauważyli kawałki spalonej liny zwisające ze skał i z najniższych gałęzi wielkich kasztanowców, które wychylały się w stronę horyzontu.

Mieszkańcy Astrid musieli zejść po linowej drabinie, którą potem za sobą spalili, kiedy dotarli już bezpiecznie na dół. Yorsh zdał sobie sprawę, że deszcze i niepogoda natychmiast uczynią drogę, która zostawała za ich plecami, niewidoczną, a przede wszystkim niedostępną.

Z jego rany nie ciekła już krew, ale nie zdążyła się ona jeszcze zupełnie zagoić, dlatego Yorsh nie był wśród tych, którzy, uchwyceni zbocza, torowali drogę pozostałym.

Został na górze, razem z najstarszymi kobietami, najmniejszymi dziećmi i tymi, którzy odpoczywali po pracy. Kiedy Szlachetni Kopacze znaleźli kamień tak twardy i duży, że nie mogli go ani zniszczyć, ani ominąć, posłali po Yorsha Całę. Elf przybył na miejsce i spróbował coś wymyślić. Przypomniał sobie, że w jednej z ksiąg do mechaniki czytał o dźwigniach, lecz w pobliżu nie było niczego, czym mogliby podważyć kamień, tak aby go przesunąć. Być może, mając kilka klinów, dałoby się rozłupać go na pół, nie było w nim jednak żadnej szczeliny, w którą można by wcisnąć klin, a oni nie mieli niczego, co mogłoby im za niego posłużyć. Podniósł się lekki wiatr, który przyniósł ze sobą teraz już wyraźne krzyki mew. Zrozpaczony swoją niemocą, Yorsh wyciągnął miecz i z całej siły uderzył nim o granit, który rozkruszył się na kawałki pod uderzeniami ostrza. Ostrze pozostało całe i zalsniło jeszcze większym blaskiem, jakby uderzenie dodało mu dodatkowej mocy. Pogodny uśmiech Juny stał się jeszcze szerszy, a dookoła rozbrzmiał deszcz oklasków.

Zejście na dół było niełatwe. Szli krok za krokiem, trzymając się za ręce, niczym jeden długi wąż, tak aby mieć pewność, że nikt nie spadnie.

Kiedy dotarli wreszcie na dół, ogarnęło ich tak ogromne wzruszenie i zmęczenie, że długo stali w milczeniu, spoglądając na fale i obserwując, jak powoli rozbijają się o brzeg.

Niektórzy uklękli i ucałowali piasek. Wielu podeszło, by dotknąć morza.

Yorsh po raz pierwszy poczuł zapach morza, kiedy leciał na grzbiecie Erbrowa.

To wtedy pomyślał, że dotknięcie morza dzieli życie na przed i po, ponieważ po tym, jak dotknie się morza, nic nie jest już takie samo jak przedtem. Cisza trwała długo, przerywana jedynie przez szum fal i krzyki mew, które trwały nad brzegiem.

Pierwsze poruszyły się dzieci. Rozpierzchły się po plaży, zafascynowane ruchem fal.

Yorsh, który przeczytał pięć traktatów na temat muszli, nauczył ich, jak znaleźć w piasku te z jadalną zawartością - rozpoczęły się hałaśliwe i wesołe zbiory.

Juna także przycupnęła na brzegu, z dłońmi zanurzonymi w wilgotnym i miękkim piasku, który szybko uciekał z wodą tak, że między jej palcami zostawały tylko gładkie i podłużne muszelki jasnoróżowych małż.

- Mój tata mówił, że to, co jest w muszlach jest dobre do jedzenia, mimo że myśli i może nawet zna się na poezji - powiedziała do Yorsha ze śmiechem, a jej duże oczy lśniły niczym dwie gwiazdy. Elf pomyślał, że prędzej czy później będzie jej musiał opowiedzieć o tym, jak narodził się ten dowcip.

Rozbili obóz w lasku sosnowym, w pobliżu jeziora pod wodospadem. Było to dobre miejsce na obóz, nie brakowało im pitnej wody. Hałas wodospadu mieszał się z szumem fal i można było odnieść wrażenie, że ktoś śpiewa kołysankę.

Była tam także stroma ściana jasnej skały, która górowała nad polaną.

Yorsh wyjął swój miecz i wrył nim w skałę napis ERBROW, najpierw pismem elfickim, potem aktualnym runicznym.

Gromadka osób patrzyła na niego zafascynowana. Niektórzy podeszli bliżej, by dotknąć liter opuszkami palców. Spytali go, co to znaczy, i Yorsh im wyjaśnił.

- Dobrze - powiedział drwał, były pracownik leśny w hrabstwie Daligar. - Tak miał na imię smok, prawda? A więc to będzie nazwa naszego kraju. Nazwiemy go Erbrow.

Zawtórował mu cichy chór aprobaty.

Wtedy jeden z byłych „pracowników uprawiających ziemię hrabstwa Daligar” powiedział:

- Napisz i to:

TO CO KTOŚ WYPRACUJE UPRAWIAJĄC ZIEMIĘ JEST JEGO I NIKT NIE

MOŻE MU TEGO ODEBRAĆ.

Yorsh zapisał to wyraźnie, nie zmieniając ani jednej sylaby, bo ten, kto walczył o to, by móc przemawiać, ma prawo do tego, by jego słowa nie zostały zmienione.

Kiedy skończył, dodał wszystkie inne rzeczy, które zostały powiedziane: JEŚLI KOMUŚ SIĘ TUTAJ NIE PODOBA MOŻE SOBIE IŚĆ A JEŚLI PÓŹNIEJ

WRÓCI TO TEŻ W PORZĄDKU.

NIKT NIE MOŻE NIKOGO BIĆ.

MOTYKA KTÓRĄ ZAWSZE PRACOWAŁEŚ I KTÓRA NALEŻAŁA

WCZEŚNIEJ DO TWEGO OJCA JEST TWOJA.

WIESZAĆ INNYCH TEŻ NIE MOŻNA.

MOŻNA PRÓBOWAĆ CZYTAĆ.

PISAĆ TEŻ.

WSZYSTKO TO CO WYŁOWISZ Z MORZA JEST TWOJE I NIE MUSISZ

NIKOMU NIC PŁACIĆ.

JEŚLI TATA I MAMA UMRĄ ICH NAJLEPSI PRZYJACIELE STAJĄ SIĘ TATĄ I MAMĄ ICH DZIECI.

ŻADNE MAŁE DZIECKO NIE MUSI PRACOWAĆ.

DZIECI PRACUJĄ MNIEJ NIŻ DOROŚLI I WYKONUJĄ PROSTE PRACE.

KOPANIE W BŁOCIE WCALE NIE JEST ŁATWE I ŻADNE DZIECKO NIE

MUSI TEGO ROBIĆ.

Zapadła długa cisza.

- Każdy może się starać być szczęśliwy na swój własny sposób - powiedziała jedna z kobiet.

Ospo dodał:

- Nie jest zabronione być elfem.

Yorsh zapisał i to. Juna i Cala długo szeptały między sobą, co jakiś czas dziwnie chichocząc, po

czym Cala, czerwieniąc się niczym pączek róży, wypowiedziała ostatnie prawo, podczas gdy Juna schowała się za jej plecami.

- Każdy może poślubić kogo chce, nawet jeśli ten ktoś jest trochę inny, i nikt nie może mu nic powiedzieć.

Kiedy Yorsh skończył, przeczytał wszystkie zapisane prawa i wszyscy je zaaprobowali.

Potem wszyscy się rozeszli, by zorganizować sobie swój pierwszy nocleg w Erbrow, kraju wolnych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Cala i Drabo pozostali na miejscu, przyglądając się sobie nawzajem.

- Juna powiedziała, że ktoś po mnie przyjdzie, ktoś mnie zabierze z Domu dla Sierot.

- Przyszedł elf i smok.

- Tak, wiem, ale oni przyszli po wszystkich. Ja myślałam, że ktoś przyjdzie, by zabrać tylko mnie. To nie to samo.

Drabo usiadł na piasku.

- Ja też marzyłem całymi latami, że ktoś przyjdzie właśnie po mnie, żeby zabrać z Domu dla Sierot właśnie mnie. Dalej o tym marzę, naprawdę, jeszcze teraz, kiedy już stamtąd odeszliśmy.

Cala nic nie mówiła, więc Drabo znów się odezwał.

- To zrobmy tak: ja zabrałem ciebie, a ty zabrałaś mnie, w ten sposób oboje będziemy mieć kogoś, kto przyszedł zabrać właśnie nas.

Cala skinęła potakująco głową, a potem też usiadła na piasku, tuż przy nim.

Słońce schowało się za morzem. Różowozłoty pas światła rozświetlił horyzont i niebo wypełniło się blaskiem, podczas gdy na wschodzie, w zapadającej powoli ciemności, rozblęły pierwsze gwiazdy. Jedna z mew leciała w ich stronę.

Juna i Yorsh podeszli bliżej wody, tam, gdzie fale rozbijały się o brzeg.

- Wiesz - zaczęła Juna - moje imię...

Nie zdążyła dokończyć. Yorsh jej przerwał.

- Twoje imię jest przepiękne, bardzo mi się podoba.

- Podoba ci się imię Juna?

- Tak, to jak dźwięk spadającej kropli; kamyka, który odbija się od powierzchni wody.

To piękne imię.

Juna stała niepewna i zamyślona, potem delikatny uśmiech na jej twarzy zaczął się stawać coraz wyraźniejszy, aż wreszcie uśmiechnęła się szeroko.

- A przepowiednia? - spytała. - Twoje przeznaczenie? Dziewczynka ze światłem poranka w imieniu?

Yorsh wzruszył ramionami i spojrzał na nią. Zaczerwienił się mocno i wykonał niejasny gest.

- Naszym przeznaczeniem jest to, czego chcemy my, nie to, co zostało wyryte w kamieniu; to nasze życie, nie sen wyśniony przez innych.

Juna przytaknęła. Pochyliła się nad wodą i położyła na jej powierzchni swoją łódkę z lalką w środku, patrzyła, jak delikatnie się kołysze. To były zabawki, które zrobili dla niej rodzice, wszystko, co jej po nich pozostało, nie licząc procy, jej imienia i jej samej.

- Moje dzieci będą się nimi bawić - powiedziała pewnym głosem. Wiedziała o tym.

Widziała to.

Zastanawiała się, czy powinna Yorshowi o tym wszystkim powiedzieć: o jej imieniu, o przepowiedni.

Teraz mogła się nad tym spokojnie zastanawiać.

Miała na to całe życie.